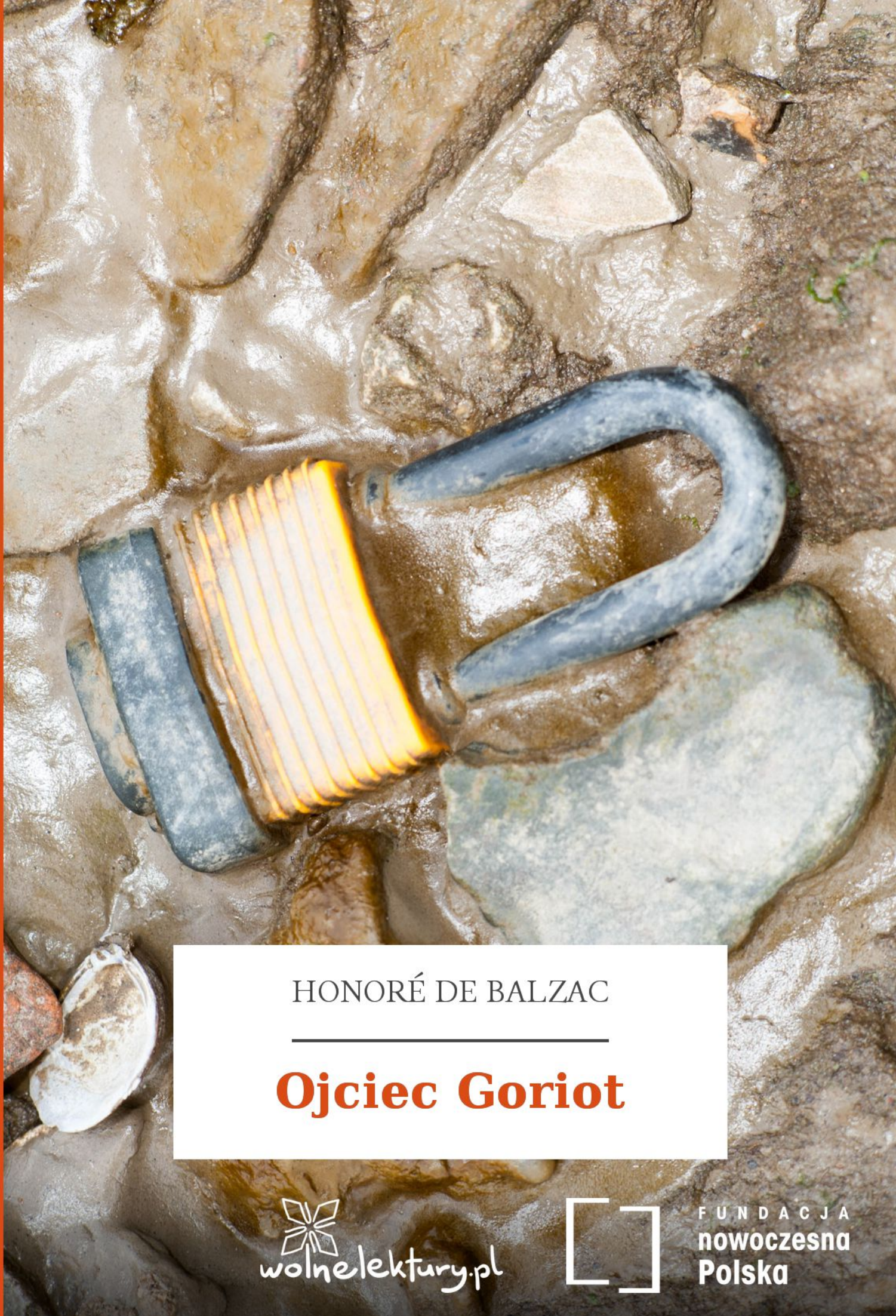

HONORÉ DE BALZAC

Ojciec Goriot

wolnelektury.pl

FUNDACJA nowoczesna Polska

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

HONORÈ DE BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

Ojciec Goriot

TŁUM. AMELIA BORTNOWSKA

Karczma

Pani Vauquer, z domu de Conflans, jest to kobieta w podeszłym wieku, posiadająca od lat czterdziestu mieszczańską gospodę, położoną przy ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, między dzielnicą łacińską a przedmieściem Saint-Marceau. Gospoda ta, znana pod nazwą Domu Vauquer, daje schronienie tak mężczyznom jak i kobietom, tak młodzieży, jak starcom; pomimo to obmowa nie tknęła nigdy obyczajów tego szanownego zakładu. Trzeba wszakże i to dodać, że od trzydziestu lat nie widziano w nim prawie wcale młodych osób; zabłąkał się tam chyba taki nieborak, któremu rodzina przysyłała utrzymanie bardzo szczupłe. Jednakże w roku 1819, to jest w chwili rozpoczęcia się naszego dramatu, mieszkała tam jedna uboga dziewczyna.

Musimy posługiwać się tu wyrazem dramat, jakkolwiek w tych czasach opłakanej literatury stracił on wiele ze swej wziętości, z powodu że go nadużywano i naciągano wedle potrzeby; posługujemy się nim nie dlatego, by powieść ta miała być dramatyczną, w całym znaczeniu tego słowa, ale dlatego, że fakt spełniony wyciśnie może kilka łez *intra muros* i *extra*. Czy go ktokolwiek pojmie poza obrębem Paryża? pozwalamy sobie wątpić. Szczegóły tej sceny tak są pełne spostrzeżeń i barw miejscowych, że można je dobrze zrozumieć tylko pomiędzy wzgórzami Montmartre, a wyniosłością Montrouge, w tej sławnej dolinie wiecznie osypujących się tynków i rynsztoków czarnych od błota; w dolinie cierpień prawdziwych i radości często zwodniczych; w dolinie, gdzie się wszystko tak straszliwie kotłuje, że chyba nadzwyczajny wypadek może wywrzeć nieco silniejsze wrażenie. Wszakże i tutaj zdarzają się od czasu do czasu boleści wielkie i uroczyste, bo się na nie składa ogrom występku i cnoty; na ich widok egoizm nawet zatrzymuje się wzruszony; ale to chwilowe wrażenie przypomina smaczny owoc pochłonięty z chciwością. Rydwan cywilizacji, na kształt wozu bożyszcza Jaggernaty, opóźnia się wprawdzie, spotkawszy na swej drodze serce oporne, co się nie daje zgnieść tak łatwo jak inne; ale zmiażdżywszy je po chwili, posuwa się dalej w swym tryumfalnym pochodzie. Tak samo postąpicie wy, co wziąwszy w białe ręce książkę, pogrążycie się w miękkim fotelu, mówiąc sobie: może też mnie zabawi. Przeczytawszy o tajemnych nieszczęściach ojca Goriot, zjecie obiad z apetytem, składając swą nieczułość na karb autora, zarzucając mu przesadę, obwiniając o zbytek poezji. Ach! wierzcie mi, ten dramat nie jest ani wymysłem, ani romansem. *All is true*, jest on tak prawdziwy, że każdy znajdzie w sobie, może nawet w swym sercu, te same czynniki, z których on się składa.

Dom, w którym się mieści gospoda mieszczańska, należy do pani Vauquer i znajduje się przy końcu ulicy Neuve-Sainte-Geneviève w tym miejscu właśnie, gdzie grunt zniżający się ku ulicy Arbalete tworzy tak raptowną pochyłość, że konie rzadko wjeżdżają na nią. Okoliczność ta przyczynia się do ciszy panującej wśród ulic ściśniętych pomiędzy murami Val-de-Grace i Panteonu. Oba te gmachy nadają odrębny charakter atmosferze, powlekając ją żółtawym kolorytem, na którym jakoś posępnie ich cień się zarysowuje. Bruk tam suchy, rynsztoki bez błota i wody, trawa porasta wzdłuż murów. Najswobodniejszy człowiek musi tam ulec smutkowi ogarniającemu wszystkich przechodniów; turkot powozu — to rzadki wypadek, domy ponure, ściany przypominają więzienie. Zbłąkany Paryżanin ujrzałby tam same gospody mieszczańskie lub zakłady; ujrzałby nędzę lub zniechęcenie, dogorywającą starość lub wesołą młodzież zmuszoną do pracy. Żadna z dzielnic Paryża nie jest okropniejsza, ani mniej znana. Mianowicie ulica Neuve-Sainte-Geneviève

niby rama brązowa, jedynie stosowna do naszego opowiadania, przed zaczęciem którego trzeba, o ile możności, nastroić umysł do barw ciemnych, do myśli poważnych; tak wędrowiec zstępujący do katakumb, za każdym stopniem prowadzącym w głąb, coraz mniej widzi światła dziennego, coraz niewyraźniej słyszy śpiew przewodnika. Prawdziwe porównanie! Któż bowiem powie, co przedstawia straszliwszy obraz: czy serca wyschłe, czy czaszki próżne?

Front gospody zwrócony jest na ogródek; w skutek czego dom przytyka pod kątem prostym do ulicy Neuve-Sainte-Geneviève miejscu najbardziej zagłębionym, gdzie ją przerzyna inna ulica. Wzdłuż całego frontu, pomiędzy domem a ogrodem, znajduje się na sążeń szeroka przestrzeń wybrukowana okrągłymi kamieniami, a dalej aleja wysypana piaskiem i otoczona wazonami z białego i niebieskiego fajansu, w których rosną krzewy geranium, oleandry i granaty. Furtka, prowadząca w głąb tej alei, ma nad sobą deskę z nadpisem: *Dom Vauquer*, a poniżej: *Gospoda dla płci obojej i innych*. Przez kratę znajdującą się we drzwiach opatrzonych donośnym dzwonkiem, widać niszę wymalowaną na przeciwległym murze, wznoszącym się przy końcu wyżej wzmiankowanego bruku. Artysta tej dzielnicy nadał niszy kolor zielonego marmuru, udając zagłębienie, pod którym umieszczono statuę przedstawiającą Kupidyna. Patrząc na obłupany lakier, co go pokrywa, amatorowie symbolów ujrzeliby w nim może mit miłości paryskiej, która się leczy o kilka kroków dalej. Na podstawie napis wpół zatarty przypomina epokę, do której się ta ozdoba odnosi, świadcząc o zapale dla Woltera, który powrócił do Paryża roku 1777:

Ktokolwiek jesteś, oto obraz tego,
Kto jest twym mistrzem, był nim, albo będzie.

Gdy noc nadchodzi, drzwi z kratą ustępują miejsca innym, całym drzwiom. Ogródek tak szeroki jak front domu, otoczony od strony ulicy murem, przytyka drugim bokiem do ściany sąsiedniego domu, na którym zwiesza się okrywająca go szczelnie zasłona bluszczu. Widok ten sprawia w Paryżu malownicze wrażenie i przyciąga oczy przechodniów. Mur okalający ogródek osłonięty jest szpalerem i winną latoroślą, której owoce nędzne i zapylone bywają przedmiotem corocznej troski pani Vauquer i rozmów jej z mieszkańcami domu. Po obu stronach, wzdłuż muru, ciągnie się wąska dróżka prowadząca pod cień lip, które pani Vauquer, chociaż z domu de Conflans, nazywa uporczywie *tieuilles*, pomimo gramatycznych uwag swych stołowników. Pomiędzy dwiema równoległymi alejami znajduje się przestrzeń kwadratowa zasadzona karczochami, otoczona drzewami owocowymi karłowatego gatunku i objęta wkoło szczawiem, sałatą i pietruszką. Pod lipami umieszczono okrągły stół zielony, otoczony ławeczkami. W dni świąteczne przychodzą tu bogatsi goście, którym środki pozwalają zapłacić za filiżankę kawy i popijają ją z wolna, przy upale dochodzącym do tak wysokiego stopnia, że kurczęta mogłyby się wykluć z jaj, gdyby je umieszczono w podobnej temperaturze.

Trzypiętrowa facjata domu, nad którą wznoszą się jeszcze poddasza, zbudowana jest z piaskowca i pomalowana na kolor żółty, który wszystkim prawie domom paryskim nadaje jakiś nieszlachetny charakter. Na każdym piętrze znajduje się po pięć okien o małych szybkach; żaluzje w oknach podniesione tak nierówno, że przecznice ich zdają się kłócić między sobą. Boczna ściana domu mieści dwa okna w rząd; na parterze mają one zamiast ozdób żelaznych sztaby wyrabiane w kratkę. Poza domem znajduje się podwórze, szerokie blisko na dwadzieścia stóp, gdzie trzoda chlewna żyje w najlepszej zgodzie z kurami i królikami; w głębi widać drwalnię. Między tą drwalnią a oknem kuchennym przytwierdzono szafę spiżarnianą, pod którą znajduje się ściek brudnej wody. Z podwórza na ulicę prowadzą wąskie drzwiczki, przez które kucharka wyrzuca wszystkie nieczystości, polewając następnie kałużę czystą wodą dla uniknięcia zarazy.

Parter, przeznaczony na mieszczańską gospodę, składa się z pokoju o szklanych drzwiach i dwóch oknach wychodzących na ulicę. Ten salon łączy się z jadalnym pokojem oddzielonym od kuchni sionką, w której znajdują się schody drewniane malowane i woskowane. Trudno znaleźć coś bardziej smutnego jak ten salon, którego całe umeblowanie stanowią fotele i krzesła, obite włosianą materią w pasy błyszczące i matowe. Pośrodku stoi stół okrągły z marmuru Sainte-Anne, na którym postawiono dla ozdoby bardzo dzisiaj rozpowszechniony serwis biały porcelanowy, o złotych paskach w połowie już pozacieranych.

Podłoga w tym pokoju dosyć nędzna, ściany obwiedzione u dołu szeroką lamperią, wyżej zaś wyklejone lakierowanym papierem, przedstawiającym główne sceny z Telemaka, w których klasyczne osoby dla odróżnienia odmalowano żywszymi barwami. Przestrzeń między dwoma oknami o żelaznych sztabach, przedstawia mieszkańcom gospody obraz uczty, którą Kalipso wydała na cześć syna Ulissesowego. Lat czterdzieści minęło od dnia, w którym powyższe malowidło ukazało się w salonie pani Vauquer, a jeszcze do tej pory nie przestaje ono pobudzać do żartów młodszych stołowników, którym się zdaje, że się wzniosą ponad swoje smutne położenie, drwiąc ze skromnego obiadu, na jaki nędza ich skazuje. Kominek ozdobiony pośrodku szkaradnym zegarem z sinawego marmuru, a po bokach dwoma wazonami sztucznych kwiatów, co dawne czasy zdają się pamiętać. Ognisko kominka, zawsze czysto umiecione, zdaje się mówić, że ogień bywa tu rzadkim gościem. Pierwszy ten pokój przejęty jest wonią, nie mającą w mowie ludzkiej odpowiedniego określenia; najwłaściwiej byłoby nazwać ją *wonią gospody*. Czuć w niej zaduch, stęchliznę, pleśń; wieje z niej chłód, wilgoć utrudniająca oddech i przejmująca odzienie; unosi się zmieszany zapach różnych potraw, a wszystko razem przypomina izbę czeladną, kredens, szpital. Może by się to dało jaśniej wyrazić, gdyby był sposób zanalizować pierwiastki ulatniające się z atmosfery *sui generis*, otaczającej każdego mieszkańca tego domu. A jednak, pomimo tych wszystkich obrzydliwości, salon opisany, w porównaniu z sąsiednim pokojem, wydaje się woniejący i wykwintny jak buduar. Ściany drugiego pokoju, od góry do dołu wykładane drzewem, były niegdyś kolorowe, ale dziś widać tylko jakieś tło nieokreślone, na którym pokład brudu zarysował się w dziwaczne wzory. Do ścian poprzybijano półki pokryte jakąś lgnącą warstwą, a na nich stoją zapylone i powyszczerbiane karafki, wraz z podstawkami metalowymi, wyrabianymi w deseń naśladujący morę, obok zaś piętrzą się stosy talerzy porcelanowych z niebieską obwódką, z turnejskiej fabryki. W kącie stoi pudełko z numerowanymi przegródkami, służące za ogólny skład serwet poplamionych i zalanych winem. Spotkasz tutaj ten rodzaj sprzętów, co najlepiej opiera się niszczącej sile czasu i, zewsząd już wygnany, sprawia takie wrażenie, jak szczątki społeczeństwa w szpitalu chorób nieuleczonych. Zobaczysz tu barometr z kapucynem zapowiadającym deszcz, wstrętne malowidła odbierające apetyt, w ramach lakierowanych ze złotymi brzeżkami, zegar ścienny z szyldkretu wykładanego miedzią, zielony piec, kinkiety Arganda, w których oliwa zgęstniała od kurzu, długi stół pokryty ceratą, dosyć zatłuszczoną, by krotochwilny stołownik mógł wypisać na niej swe imię, posługując się palcem w braku rylca; dalej krzesła kulawe, nędzne słomianki, przenośne piecyki zużyte, popsute, z połamanymi zawiasami i przepalonym drzewem. Chcąc wyrazić jak dalece wszystkie te meble są stare, popękane, struchlałe, drżące, stoczone, połamane, wykrzywione, roztrzęsione, dogorywające, potrzeba by długiego opisu, przez co opóźniłby się wątek powieści, a tego nigdy by mi nie darowali niecierpliwi czytelnicy. Czerwona podłoga pełna jest zagłębień, powstałych w skutek niejednokrotnego malowania i szorowania. Jednym słowem, panuje tu nędza pozbawiona strony poetycznej, nędza ukrywana, oszczędzająca się, wyszarzana, nie zwalana wprawdzie błotem, ale już mocno poplamiona, nie mająca jeszcze dziur i łachmanów, ale za chwilę gotowa ulec zgniliźnie.

Około siódmej z rana, do znajomego nam pokoju wbiega kot pani Vauquer, poprzedzając swą właścicielkę, wskakuje na półki i wącha garnuszki z mlekiem pokryte talerzami, pomrukując przy tym głośno. Po chwili zjawia się wdowa, przystrojona w tiulowy czepek, spod którego zwiesza się fałszywy warkocz źle przytwierdzony, i posuwa się, wlokąc za sobą powykrzywiane pantofle. Twarz jej stara, jakby obrzękła, z nosem zakrzywionym na kształt papuziego dzioba; ręce pulchne, cała osoba utuczona jak szczur kościelny, o nadzwyczaj pełnych kształtach; wszystko harmonizuje jak najlepiej z tym salonem, do którego wszystkimi szparami, zdaje się wciskać nieszczęście, gdzie z kątów wygląda zaczajona spekulacja, gdzie powietrze duszne i odrażające nie sprawia jednak wstrętu pani Vauquer. Oblicze jej, świeże jak pierwszy przymrozek jesienny, oczy otoczone siecią zmarszczek, których wyraz słodki jak uśmiech tancerki, może w jednej chwili zmienić się w pochmurne spojrzenie rachmistrza; cała wreszcie jej osoba wyjaśnia lepiej gospodę, która, ze swej strony, stanowi niby jednolitą całość z jej osobą. Gdzie jest więzienie, tam musi być i dozorca, jednego nie można sobie przedstawić bez drugiego. Chorobliwa otyłość tej małej kobiety jest skutkiem życia, jakie prowadzi, tak jak tyfus jest wynikiem

szpitalnych wyziewów. Spod starej, przerabianej sukni wymyka się podołek wełnianej spódnicy, świecący kłakami wypadającej waty. Ten widok przypomina nam salon, pokój jadalny i ogródek, przeczuwamy kuchnię, odgadujemy, jacy mogą być mieszkańcy domu. Widząc razem osobę i otoczenie, mamy dopiero obraz zupełny. Pani Vauquer ma lat około pięćdziesięciu i wygląda jak wszystkie kobiety, które *doznały nieszczęść* w swym życiu. Wzrok jej szklisty, a wyraz twarzy przypomina faktorkę, udającą gniew dla wyłudzenia większej zapłaty, a po chwili gotową na wszystko, by tylko polepszyć swój los, gotową wydać Grzegorza lub Pichegru, gdyby to było rzeczą jeszcze możliwą. To nie przeszkadza jej być *w gruncie dobrą kobietą*, przynajmniej takie jest zdanie jej lokatorów, którzy uważają ją za biedną istotę, stękającą i kaszlącą wraz z nimi. Kto był pan Vauquer? Wdowa nie lubi rozpowiadać o nieboszczyku. Jakim sposobem utracił mienie? W skutek nieszczęść, odpowiada kobieta. Wyznaje jednak, że się z nią niedobrze obchodził, a zostawił jej tylko dwoje oczu potrzebnych do płaczu, dom, w którym mieszka, i przekonanie, że żadne nieszczęście nie zasługuje na jej współczucie, bo sama przecierpiała wszystko, co tylko przecierpieć można. Słysząc panią drepczącą po pokoju, kucharka, znana pod nazwą grubej Sylwii, pośpiesza podać śniadanie dla stałych mieszkańców gospody. Wszyscy przychodzący stołownicy dostają tylko obiad, za co miesięcznie płacą trzydzieści franków.

W chwili, gdy się ta powieść zaczyna, stałych mieszkańców było tylko siedmiu. Na pierwszym piętrze były dwa najlepsze apartamenty; pani Vauquer zajmowała mniejszy, a drugi należał do pani Couture, wdowy po wojennym komisarzu rzeczypospolitej francuskiej. Pani Couture utrzymywała przy sobie młodą osobę, niejaką Wiktorynę Taillefer, której starała się zastąpić matkę. Dochód obu tych pań wynosił tysiąc osiemset franków. Na drugim piętrze, jedno mieszkanie zajmował człowiek w podeszłym wieku, nazwiskiem Poiret, drugie zaś pewien jegomość mogący mieć lat ze czterdzieści; nosił on ciemną perukę, czernił faworyty, uchodził za byłego kupca; znano go powszechnie pod imieniem Vautrina. Trzecie piętro składało się z czterech pokoi; jeden z nich wynajmowała stara panna, nazwiskiem Michonneau, drugi zajmował były fabrykant włoskiego makaronu, włoskich ciastek i krochmalu, nazywany pospolicie ojcem Goriot. Dwa pozostałe pokoje dawały schronienie różnym *przelotnym ptakom*, a najczęściej nieszczęśliwym studentom, którzy na stół i kwaterę mogli wydać najwięcej czterdzieści pięć franków miesięcznie, to jest właśnie tyle, ile płacili ojciec Goriot i panna Michonneau; ale pani Vauquer nie rada była takim mieszkańcom, przyjmowała ich tylko w takim razie, gdy się nic lepszego nie nastręczało: uważała, że studenci zjadają najwięcej chleba. Obecnie jeden z tych pokoi należał do młodego człowieka spod Angoulême, który przyjechał do Paryża studiować prawo. Liczne rodzeństwo studenta odmawiało sobie wielu wygód, byle zaoszczędzić sto dwadzieścia franków, które stanowiły jego całoroczne utrzymanie.

Eugeniusz de Rastignac, tak się bowiem ów student nazywał, był z rzędu tych młodych ludzi, których nieszczęście urabia do pracy, którzy pojmują od najmłodszych lat, jak wielkie nadzieje rodzice w nich pokładają, marzą o świetnej przyszłości i, rachując na potęgę nauki, starają się zastosować ją zawczasu do przyszłych potrzeb społeczeństwa, z którego zamierzają wyciągnąć dla siebie jak najwięcej korzyści. Gdyby nie jego ciekawe spostrzeżenia, gdyby nie ta zręczność, z jaką potrafił zająć pewne stanowisko w salonach Paryża, powieść niniejsza byłaby pozbawiona tych barw prawdziwych, które zawdzięcza przenikliwości jego umysłu i usilności, z jaką badał tajniki tego straszliwego położenia, które najstaranniej osłaniali ci, co je wytworzyli i ci, co je znosili.

Ponad trzecim piętrem był strych do suszenia bielizny i dwa poddasza, gdzie sypiał posługacz zwany Krzysztofem i gruba Sylwia, kucharka. Oprócz siedmiu stałych mieszkańców, pani Vauquer miewała rok rocznie ośmiu studentów z wydziału prawnego lub medycznego i dwóch stołowników mieszkających w tej samej dzielnicy; ci wszyscy przychodzili tylko na obiad. Do obiadu siadało osiemnaście osób, a w razie potrzeby i dwadzieścia mogłoby się pomieścić w sali jadalnej; ale z rana tylko siedmiu stałych mieszkańców schodziło się na śniadanie i wtedy można by pomyśleć, że to kółko rodzinne zasiada przy stole. Wszyscy przychodzili w pantoflach i udzielali sobie wzajemnie różnych spostrzeżeń poufnych: zastanawiano się nad ubraniem i wyrazem twarzy obiadowych gości, roztrząsano wypadki ubiegłego wieczoru, a każdy wyraz tchnął szczerością i zaufaniem. Wszyscy stali mieszkańcy byli pieszczochami pani Vauquer, która z dokładnością astronoma obdzielała ich staraniem i względami, stosownie do większej lub mniejszej zapłaty.

W każdym razie otaczano wyjątkowym szacunkiem te siedem istot, które tutaj wypadek zgromadził. Obaj mieszkańcy drugiego piętra płacili tylko po siedemdziesiąt dwa franki na miesiąc. Taka taniość, która zresztą istnieje tylko na przedmieściu Saint-Marcel, między la Bourbe i la Salpetriere, dowodziła, że wszyscy ci ludzie, z wyjątkiem pani Couture, uginali się pod ciężarem nieszczęścia mniej lub więcej widocznego. Toteż odzienie ich wytarte i zniszczone przedstawiało widok nie mniej opłakany, jak wnętrze ich mieszkania. Surduty mężczyzn były koloru zagadkowego, obuwie takie, jakiego nie ścierpiano by w obrębie eleganckiej dzielnicy, bielizna zniszczona, reszta odzieży tylko że się trzymała. Kobiety nosiły suknie wypełzłe, farbowane i znów wypłowiałe; stare, cerowane koronki, rękawiczki wyglansowane od długiego użycia i chusteczki wyrudziałe, aż do dziur przetarte. Takiego to rodzaju odzież okrywała postaci po większej części dobrze zbudowane, o silnym organizmie, co się oparł wszystkim burzom życia, o twarzach zimnych, twardych, zatartych jak dukaty wyszłe z obiegu. Spoza warg wywiędłych ukazywały się chciwe zęby. Widok tych ludzi kazał się domyślać dramatów spełnionych lub rozwijających się w chwili obecnej; nie tych dramatów, co to się odgrywają przy sztucznym oświetleniu, pomiędzy malowanymi kulisami, ale dramatów żywych i niemych, zastygłych, a tak silnie poruszających serce, dramatów nieprzerwanych, długotrwałych.

Stara panna Michonneau osłaniała swe oczy zmęczone daszkiem, który mógłby rozdrażnić samego anioła litości, składał się on z zatłuszczonego kawałka zielonej kitajki rozpiętej na drucie. Chustka otoczona nędzną, powyskubywaną frędzlą, okrywała kształty tak spiczaste, iż rzekłbyś, że pod nią kościotrup się ukrywa. Co pozbawiło tę istotę kształtów niewieścich? Musiała być kiedyś ładna i zgrabna; cóż ją doprowadziło do stanu obecnego: występek, zgryzota, czy chciwość? Czy kochała zbyt wiele, czy była ostatnią z kobiet, czy tylko kurtyzaną? Może starość odrażająca była karą za tryumfy młodości ambitnej spędzonej wśród uciech różnorodnych. Wzrok jej wygasły przejmował chłodem, w pomarszczonej twarzy czytałeś groźbę jakąś niepojętą. Gdy się odezwała, dźwięk jej głosu przywodził na myśl konika polnego, co za zbliżeniem się zimy odzywa się ciągle w głębi zarośli. Opowiadała o sobie, że dozorowała pewnego starca cierpiącego na katar pęcherza, którego dzieci opuściły, sądząc, że się po nim niczego spodziewać nie można.

Ten to starzec zapisał pannie Michonneau tysiąc franków dożywotniego dochodu, co dało powód do niejednokrotnych zatargów z sukcesorami, którzy nie przestawali prześladować jej potwarzą. Chociaż gra namiętności wyryła się na jej twarzy, można było jednak dopatrzeć jeszcze pewnych śladów płci białej i delikatnej, co pozwalało przypuszczać, że ciało jej zachowało dotąd pewne szczątki piękności.

Pan Poiret był rodzajem automatu. Trzeba było widzieć go w chwili, gdy na kształt cienia szarego przesuwał się po alei ogrodu botanicznego: zmięta czapka okrywała mu głowę, laska o zżółkłej gałce z kości słoniowej gotowa była lada chwila wypaść z ręki niedołężnej, wygniecione poły surduta rozwiewały się z wiatrem ukazując spodnie obwisłe, a nogi okryte sinymi pończochami plątały się jak u pijaka. Reszta stroju składała z białej zbrukanej kamizelki i z żabotu z grubego, powyciąganego muślinu, który nie przystawał dobrze do chustki okręconej wkoło indyczej szyi. Toteż niejeden przechodzień pytał siebie, czy ten cień chiński należy rzeczywiście do śmiałej rasy synów Jafeta, fruwających po bulwarze włoskim? Jakiego to rodzaju praca mogła go tak powyłamywać? jaka namiętność nadała ciemnobrunatny kolor jego szyszkowatej twarzy, która na rysunku wydałaby się przesadną karykaturą. Czym był ten człowiek? Może urzędnikiem w ministerstwie sprawiedliwości, w biurze, do którego kaci przedstawiają rachunek za dostawę czarnych welonów dla ojcobójców, za otręby do napełniania koszów, za sznurki i noże. A może do niego należało oczyszczanie szlachtuza lub inna jakaś czynność nakazana przez komisję sanitarną. Jednym słowem, człowiek ten wyglądał na jedno z pracowitych bydląt naszego młyna społecznego, na jednego z tych paryskich Ratonów, którzy nie znają nawet swych Bertrandów, wyglądał na jakąś sprężynę, która poruszała niedolę lub szumowiny społeczne; wreszcie był to jeden z tych ludzi, o których powiadamy: *A jednak i tacy są potrzebni*. Piękny Paryż nic nie wie o tych twarzach zbladłych wśród cierpień moralnych i fizycznych. Ale Paryż to istny ocean. Na próżno sondę zapuszczać będziecie, nigdy nie zbadacie jego głębokości. Możecie go zwiedzać i opisywać; ale na cóż się zdadzą wasze starania? Tylu jest badaczy sumiennych, co się tym morzem zajmują, a jednak pozostanie tam wiecznie jakaś ustroń nietknięta, jakaś nieznana pieczara, znajdą się zawsze kwiaty,

perły, potwory, coś niesłychanego, o czym zapomnieli nurkowie-literaci. Dom Vauouer to właśnie jedna z takich ciekawych potworności.

Dwie twarze stanowiły tam uderzającą sprzeczność z ogółem mieszkańców i stołowników. Chociaż cera panny Wiktoryny Taillefer pociągnięta była bladością chorobliwą, jaka cechuje zwykle dziewczęta cierpiące na bladaczkę; chociaż właściwy jej wyraz smutku i przygnębienia zlewał się harmonijnie z cierpieniem ogólnym stanowiącym tło tego obrazu; choć wydawała się zawsze zbiedzona i niepewna siebie: z tym wszystkim jednak twarz jej była młoda, głos wdzięczny i poruszenia żywe. Ta niedola młoda przypominała krzew o zżółkłych listkach, przesadzony na grunt niewłaściwy. Jej włosy jasne wpadające w odcień miedziany, twarz delikatna, figura nadzwyczaj szczupła, jednym słowem postać cała tchnęła tym wdziękiem, który nowożytni poeci upatrują w statuetkach średniowiecznych. Oczy szare z czarnym odcieniem wyrażały chrześcijańską łagodność i poddanie się. Ubranie skromne i niedrogie wdzięcznie się układało na młodej i kształtnej figurze. W szczęściu dziewczę to byłoby zachwycające: szczęście jest poezją kobiety, tak jak strój jest jej dekoracją. Niechby uciecha balu rozlała na tej bladej twarzy swoją barwę różaną, a wygody wykwintnego życia wypełniły i zarumieniły te policzki trochę już wpadłe; niechby miłość rozjaśniła smutne te oczy: a Wiktoryna mogłaby walczyć o lepsze z najpiękniejszymi pannami. Nie znała tego, co daje kobiecie jakby drugie życie: brakło jej gałganków i liścików miłosnych. Historia jej życia mogłaby dostarczyć wątku do powieści. Ojciec Wiktoryny sądził się w prawie nie uznawać córki, nie chciał jej mieć przy sobie, przeznaczał jej tylko sześćset franków rocznie, wreszcie sprzedał swoje dobra, chcąc wszystko przekazać synowi. Matka Wiktoryny umarła z rozpaczy u dalekiej swej krewnej pani Couture, która odtąd z macierzyńską troskliwością zaopiekowała się sierotą. Na nieszczęście wdowa po wojennym komisarzu wojsk rzeczypospolitej nic w świecie nie posiadała prócz swej wdowiej pensji; mogła więc kiedyś zostawić na łaskę i niełaskę świata biedne dziewczę bez doświadczenia i środków do życia. Dobra kobieta chciała na wszelki wypadek zaszczepić pobożność w sercu Wiktoryny; w tym celu co niedziela bywała z nią na mszy, a co dwa tygodnie wodziła ją do spowiedzi. I miała słuszność; tylko uczucia religijne mogły wesprzeć w przyszłości to dziecko odrzucone, które nie przestało kochać ojca i corocznie udawało się do niego, niosąc przebaczenie swej matki; ale szło tylko po to, by wyczekiwać nadaremnie u drzwi ojcowskiego domu, które przed nią nielitościwie zamykano. Brat, jedyny pośrednik, na którego mogła rachować, ani razu nie odwiedził jej przez cztery lata, nigdy nie pośpieszył jej z pomocą. Wiktoryna błagała Boga, by ojca jej wyprowadził z błędu i zmiękczył serce brata; modliła się za obydwóch, nie obwiniając ich wcale. Natomiast pani Couture i pani Vauquer wyczerpały cały słownik obelg, nie znajdując wyrazu, który by dobrze określał barbarzyńskie postępowanie tych ludzi. Podczas gdy obie przeklinały niecnego milionera, Wiktoryna odzywała się łagodnie i wyrazy jej przypominały głos zranionego gołębia, który nawet krzykiem boleści wyraża miłość.

Eugeniusz de Rastignac przedstawiał typ południowy; miał płeć białą przy czarnych włosach i oczach niebieskich. Cała jego powierzchowność i wszystkie ruchy zdradzały potomka szlachetnej rodziny, gdzie początkowe wychowanie bywa zwykle przesiąknięte tradycją wytwornego gustu. Oszczędny z potrzeby, musiał zadowalać się na co dzień przeszłorocznymi sukniami; jednak wychodząc na miasto mógł się niekiedy ubrać nie gorzej od wytwornych strojnisiów. W dni powszednie nosił surdut stary, kamizelkę zużytą, czarny krawat zmięty i niedbale, po studencku zawiązany, spodnie odpowiednie do całego stroju i buty podzelowane.

Czterdziestoletni Vautrin z poczernionymi faworytami stanowił niby przejście od tej młodej pary do reszty mieszkańców. Był to jeden z tych ludzi, o których lud prosty powiada: „To tęgi chłop!" Szeroki w ramionach, biust miał potężny, muskuły wydatne i ogromne, czworogranne ręce porośnięte na palcach kępami gęstych, ognistorudych włosów. Twarz poorana przedwczesnymi zmarszczkami, miała w sobie jakiś wyraz okrucieństwa i nieludzkości, ale łatwość i zgodność w obcowaniu z ludźmi zadawały kłam temu wyrazowi. Głos basowy, harmonizujący z rubaszną wesołością sprawiał miłe wrażenie. Nadskakujący był, a jednak lubił kpić ze wszystkiego. Gdy w domu zepsuł się jaki zamek, on go wnet rozebrał na cząstki, naprowadził oliwą, naprawił i złożył, dodając zawsze: „Znamy się na tym". Zresztą znał on wszystko: okręty, morze, Francję, zagranicę, interesy, ludzi, wypadki, prawa, hotele i więzienia. Gotów był pośpieszyć z pomocą

każdemu, kto tylko bardzo się uskarżał. Kilka razy już pożyczał pieniędzy pani Vauquer i niektórym mieszkańcom gospody, ale kredytorowie woleliby umrzeć niż zapóźnić się z wypłatą, bo Vautrin, pomimo swej miny dobrodusznej, umiał spojrzeć niekiedy wzrokiem tak stanowczym i głębokim, że aż mrowie przechodziło. Miał szczególny sposób spluwania, który zdradzał człowieka obdarzonego wielkim zasobem krwi zimnej i niezdolnego cofnąć się przed żadnym występkiem, gdyby takowy miał go wybawić z dwuznacznego położenia. Niby sędzia surowy, zdawał się badać każdą rzecz do głębi; każde sumienie, uczucie każde zdawał się wzrokiem przenikać. Według przyjętego raz na zawsze zwyczaju, wychodził po śniadaniu i wracał na obiad, po czym znikał na cały wieczór i dopiero koło północy dostawał się znów do mieszkania za pomocą wytrycha, który mu pani Vauquer powierzyła. On tylko jeden dostąpił takiej łaski. To też był w jak najlepszych stosunkach z wdową, którą nazywał *maman* i obejmował czule za kibić (zapomniana to pieszczota!). Poczciwa niewiasta nie widziała w tym nic nadzwyczajnego, gdy w rzeczy samej jeden chyba Vautrin miał ramiona dość długie, by uścisnąć tę ciężką bryłę. Było to cechą jego charakteru, że płacił wspaniale po piętnaście franków na miesiąc za *glorię* (t.j. kawę z wódką), którą pijał po obiedzie. Ludzie mniej lekkomyślni niż ta młodzież porwana wirem życia paryskiego lub ci starcy obojętni na wszystko, co nie dotykało ich bezpośrednio, potrafiliby wyjaśnić sobie wątpliwe wrażenie, jakie Vautrin sprawiał na otaczających. Człowiek ten znał i odgadywał zawsze sprawy innych, lecz nikt nie mógł zbadać nawzajem jego myśli i zajęć. Dobroduszność pozorna i ciągła uprzejmość służyły mu za przegrodę, którą się oddzielił od innych; pomimo to zdradzał niekiedy przerażającą głębię swego charakteru. Często wpadał w zapał godny Juwenala, natrząsał się z prawa i tak zawzięcie chłostał wyższe towarzystwo, zarzucając mu sprzeczność z sobą samym, iż można było przypuścić, że bardzo był niezadowolony z ustroju społecznego i miał w swym życiu tajemnicę starannie ukrywaną.

Oczarowana, bezwiednie może, siłą czterdziestoletniego atlety i pięknością młodego studenta, panna Taillefer dzieliła pomiędzy nich swe spojrzenia przelotne i myśli tajemne; lecz obaj zdawali się nie myśleć o niej wcale, choć z dnia na dzień ślepy traf mógł zmienić jej położenie i pomieścić ją w rzędzie bogatych panien. Zresztą żaden z mieszkańców gospody nie zadawał sobie trudu, by zbadać, czy nieszczęścia innych były rzeczywiste, czy zmyślone. Każdy spoglądał na otaczających obojętnie, prawie podejrzliwie, a wynikało to z położenia, jakie względem siebie zajmowali. Widzieli, że nic nie mogą poradzić na swą niedolę, a dzieląc się troską nieustanną, wyczerpali cały zasób współczucia. Podobni do pary starych małżonków, nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Stosunki istniejące pomiędzy nimi były też czysto mechaniczne i przypominały ruch kół niesmarowanych. Wszyscy zdolni byli przejść obok ślepego nie spojrzawszy nań wcale lub wysłuchać obojętnie opowiadania o czyimś nieszczęściu, wszyscy jednozgodnie patrzyli na śmierć, jako na rozwiązanie zadania nędzy, wobec której bladł obraz najstraszliwszego zgonu. Najszczęśliwszą z tych dusz stroskanych była pani Vauquer królująca wszechwładnie w tym domu-przytułku. Mały ogródek, który pod wpływem zimna, suszy i wilgoci stał się pustym i głuchym stepem, dla niej był zawsze rozkosznym gajem. Dla niej jednej ponętnym był ów dom żółty i ponury, w którym powietrze, przejęte wonią zaśniedziałej miedzi, przypominało kantor weksli. Do niej należały wszystkie te celki ciemne. Ona żywiła wszystkich tych galerników skazanych na karę dożywotnią, ona posiadała nad nimi władzę niezaprzeczoną. Czyż biedne te istoty znalazłyby w całym Paryżu, za taką cenę jak u niej, pożywienie zdrowe i dostatnie, mieszkanie, które nie odznaczało się co prawda wdziękiem i wygodą, lecz mogło być porządnym i ochędożnym, boć to przecie od samych mieszkańców zależało. Wiedziała też, że gdyby dopuściła się jakiej krzyczącej niesprawiedliwości względem jednego ze swych lokatorów, to ofiara zniosłaby ją bez szemrania.

Zgromadzenie podobne musiało przedstawiać i rzeczywiście przedstawiało na małą skalę wszystkie składowe części społeczeństwa. W gronie osiemnastu stołowników znalazło się to, co się znajduje i w szkole, i w świecie, znalazła się owa istota wzgardzona, ów kozioł ofiarny, służący wszystkim za cel do żartów. Na początku drugiego roku osobistość ta stała się dla Eugeniusza de Rastignac najwybitniejszą ze wszystkich, pomiędzy którymi skazany był przeżyć jeszcze dwa lata. Owym *Patirasem* był stary fabrykant makaronu, ojciec Goriot, na którego głowie malarz skupiłby światło całego obrazu. Jakim sposobem on, najdawniejszy mieszkaniec, zasłużył na tę pogardę graniczącą prawie z nienawiścią, na

to prześladowanie miarkowane niekiedy litością, na to lekceważenie, z jakim spoglądano na jego nieszczęście? Czy wywołał je dziwactwem lub jaką śmiesznością, która zwykle surowiej od występku bywa sądzona?

Pytania te odnoszą się bezpośrednio do wielu objawów niesprawiedliwości społecznej. Może to leży w naturze ludzkiej, że najmniej litości mamy dla tych, którzy przez pokorę, słabość lub obojętność najwięcej znieść gotowi. Czyż nie lubimy wszyscy próbować sił naszych kosztem kogoś lub czegoś? Czyliż ulicznik, ta bezsilna istota, nie dzwoni u wszystkich drzwi w dzień mroźny, czy się nie wspina z wysiłkiem, by wypisać swe imię na świeżym, nietkniętym pomniku?

Ojciec Goriot, starzec prawie sześćdziesięciodziewięcioletni, przeprowadził się do pani Vauquer w 1813 roku, wycofawszy się poprzednio z interesów. Zajął zrazu mieszkanie należące obecnie do pani Couture i płacił tysiąc dwieście franków komornego, z miną człowieka, który mało dba o to, czy wyda pięć luidorów mniej lub więcej. Pani Vauquer odświeżyła wszystkie trzy pokoje (wzięła jednak z góry pieniądze, wystarczające aż nadto na pokrycie kosztów nędznego umeblowania), sprawiła firanki z żółtej bawełnianej tkaniny, fotele lakierowane wybite pluszem, kilka nędznych malowideł i tapety, którymi pogardziłby każdy szynk miejski.

Ojciec Goriot, którego wówczas nazywano z szacunkiem panem Goriot, pozwalał się okpiwać z jakąś niedbałą wspaniałością, co sprawiło może, iż zaczęto go uważać za głupca nie znającego się na niczym. Goriot posiadał piękną garderobę, przybył bowiem ze wspaniałą wyprawą kupca, który porzucając interesy niczego sobie nie odmawia. Pani Vauquer podziwiała osiemnaście koszul z płótna holenderskiego, których cienkość tym bardziej wpadała w oko, że fabrykant makaronu wpinał do żabotu dwie duże szpilki brylantowe, połączone z sobą złotym łańcuszkiem. Nosił zwykle garnitur szafirowy koloru bławatka, ale co dzień brał świeżą kamizelkę z piki, pod którą wznosił się i opadał wydatny żołądek kształtu gruszkowatego, ozdobiony ciężkim łańcuchem z brelokami. Tabakierkę złotą zdobił medalion napełniony włosami, co naprowadzało na myśl, że właściciel musiał być szczęśliwym w miłości. Gospodyni nazywała go bałamutem, a on się uśmiechał wesołym uśmiechem mieszczanina, którego zręcznie po sercu pogłaskano. Wszystkie szafy (a nazywał je *ormoires* na wzór prostego ludu) zostały zapełnione rozlicznym sprzętem srebrnym. Iskrzyły się oczy wdowy, gdy z wielką usłużnością pomagała mu rozkładać na półkach łyżki wazowe i stołowe, nakrycie srebrne, nalewki do oliwy i sosów, kilka półmisków, złocony serwis do śniadania i wiele innych przedmiotów, z którymi Goriot nie chciał się rozstać, a wszystko to było mniej lub więcej piękne, każda sztuka ważyła pewną liczbę grzywien. Były to podarunki, które mu przypominały różne uroczyste chwile życia domowego. „Patrz pani — mówił chowając półmisek i filiżankę z pokrywką, na której znajdowała się para gołąbków złączonych z sobą dzióbkami — oto jest pierwszy podarunek, którym dostał od żony w rocznicę naszego ślubu. Poczciwe biedactwo! Poświęciła na to wszystkie pieniądze zaoszczędzone z czasów panieńskich. Wiesz pani co? Wolałbym kopać ziemię paznokciami, niżeli z tym oto się rozstać. Z łaski Boga mogę do końca życia pić co rano kawę z tej filiżanki. Nie jestem biedakiem godnym litości, jeszcze mi na długo chleba wystarczy." Oprócz tego bystre oko pani Vauquer dostrzegło w głównej księdze handlowej kilka cyfr, które dodane razem mogły dać nieocenionemu Goriotowi od ośmiu do dziesięciu tysięcy franków dochodu.

Od owego dnia pewien plan zrodził się w głowie pani Vauquer, z domu de Conflans, która miała wówczas lat czterdzieści osiem, a przyznawała się tylko do trzydziestu dziewięciu. Znajdowała, że Goriot odznaczał się powierzchownością przyjemną i przyzwoitą, chociaż, co prawda, gruczołki łzowe jego oczu były nabrzękłe i wydatne, wskutek czego musiał dość często ocierać sączącą się łzę. Zresztą łydki mięsiste i wydatne wraz z długim, prawie kwadratowym nosem i okrągłą, naiwnie głupowatą twarzą poczciwca, znamionowały przymioty moralne, które jak się zdaje, wdowa ceniła wysoko. Wyglądał na bydlę dobrze zbudowane, u którego uczuciowość przeważa nad rozsądkiem. Fryzjer Szkoły Politechnicznej przychodził co rano pudrować mu włosy, które zaczesane w *ailes de pigeon*, przyozdabiały jego oblicze, tworząc pięć pukli nad niskim czołem. Zakrawał trochę na nieokrzesanego prostaka, ale ubierał się nadzwyczaj starannie i niezmiernie obficie zażywał tabakę, wciągając ją do nosa z miną człowieka pewnego, że w tabakierce jego nigdy nie zabraknie makuby. Pani Vauquer zważyła to wszystko wnet po przeprowadzeniu się

Goriota do jej domu, a wieczorem płonęła już żądzą zrzucenia całunu Vauquera i zmartwychwstania jako pani Goriot. Marzyła, jak to cudownie byłoby wyjść za mąż, sprzedać gospodę, podać rękę temu kwiatowi mieszczaństwa, stać się damą znaną w dzielnicy, zbierać ofiary dla biednych, urządzać niedzielne wycieczki do Choisy, Soissy, Gentilly; bywać kiedy się zechce w teatrze, w loży, nie czekając gratisowych biletów, które stołownicy przynosili jej niekiedy w miesiącu czerwcu; widziała w marzeniu całe Eldorado życia paryskiego. Nie wyznała dotąd nikomu, że składając grosz do grosza, zebrała czterdzieści tysięcy franków. Otóż, ze stanowiska majątkowego uważała siebie za partię stosowną. „Pod każdym innym względem nie jestem przecie mniej warta od niego," powtarzała przewracając się w łóżku, jak gdyby pragnęła zapewnić się, że nie zbywało jej na wdziękach, których odcisk głęboki gruba Sylwia znajdowała co dzień w pościeli. Począwszy od tego dnia, wdowa korzystała prawie przez trzy miesiące z fryzjera pana Goriot i porobiła niektóre sprawunki z zakresu toalety, tłumacząc się potrzebą utrzymania domu na pewnej stopie, harmonizującej z szanownymi osobami, które w nim bywały. Zaczęła się bardzo starać o to, żeby zmienić cały personal mieszkańców, powtarzając, że odtąd będzie przyjmowała tylko ludzi wyborowych pod każdym względem. Każdy nowy przybysz musiał się dowiedzieć, że pan Goriot, jeden z najszanowniejszych i najznaczniejszych kupców paryskich, oddał jej domowi pierwszeństwo przed wszystkimi innymi. Zaczęła rozdawać ogłoszenia opiewające zalety domu Vauquer. Była to, według słów prospektu: „jedna z najdawniejszych i najszanowniejszych gospód dzielnicy łacińskiej, odznaczająca się przyjemnym widokiem na dolinę, wśród której wznosi się fabryka gobelinów (można ją było dostrzec z trzeciego piętra), przytykająca do *pięknego* ogrodu, wzdłuż którego *ciągnie* się ulica Lipowa". Dalej wspomniano coś o świeżym powietrzu i położeniu ustronnym. Ogłoszenie to zwabiło hrabinę de l'Ambermesnil, trzydziestosześcioletnią kobietę, która żyła nadzieją likwidacji i emerytury, należnej jej jako wdowie po generale poległym na *polach* bitwy. Pani Vauquer zaprowadziła u siebie stół wykwintny, kazała opalać salony blisko przez sześć miesięcy i tak sumiennie wypełniała obietnice prospektu, że musiała *swego dołożyć*. Ale za to hrabina nazywała panią Vauquer *chère amie* i obiecywała zwabić do niej baronową de Vaumerland i wdowę po pułkowniku hrabi Picquoiseau, które musiały jeszcze domieszkać do końca kontraktu w hotelu droższym niż dom Vauquer. Zresztą interesy finansowe tych pań powrócą do stanu kwitnącego, skoro tylko biura wojenne ukończą swą czynność. „Ale — dodawała hrabina — biura wojenne nigdy nic nie kończą." Po obiedzie obie wdowy udawały się do pokoju pani Vauquer, gdzie zajmowały się gawędką popijając przy tym nalewkę porzeczkową i zajadając przysmaczki przeznaczone dla podniebienia samej gospodyni. Pani d'Ambermesnil pochwalała bardzo plan wdowy względem Goriota; odgadła była jej myśl od razu i utrzymywała, że Goriotowi nic zarzucić nie podobna.

— Ach, pani moja droga! — mówiła wdowa — ten człowiek zdrów jak ryba; zakonserwowany jest wybornie i może jeszcze bardzo uprzyjemnić życie kobiecie.

Hrabina udzieliła wspaniałomyślnie niektórych uwag dotyczących stroju pani Vauquer, który nie był wcale odpowiedni do jej pretensji. „Trzeba się trzymać na stopie wojennej", mówiła. Po długich naradach obie wdowy udały się do Palais-Royal i kupiły w Galeries de Bois kapelusz z piórami i czepeczek. Hrabina pociągnęła przyjaciółkę do magazynu Małej Żanety, gdzie wybrano suknię i przepaskę. Dzięki wszystkim tym sprawunkom, wdowa stanęła pod bronią i przypominała żywo szyld *du Boeuf à la mode*. Znalazła siebie tak zmienioną na korzyść, że uczuła żywą wdzięczność dla hrabiny i ofiarowała jej dwudziestofrankowy kapelusz, chociaż była to osoba *nie przynosząca wielkiego zysku*. Miała wprawdzie zamiar prosić przyjaciółkę, by wybadała Goriota i zwróciła jego uwagę na wszystkie przymioty wdowy Vauquer. Pani de l'Ambermesnil podjęła się tej sprawy skwapliwie i trzymała starego fabrykanta w oblężeniu tak długo, aż jej udzielił posłuchania. Miała ona niekłamaną chętkę zbałamucić go na swój własny rachunek; ale stary okazał się tak nieśmiały a pomimo to oporny, że wszystkie usiłowania spełzły na niczym i hrabina wyszła obrażona jego gburowatością.

— Mój aniele — powiedziała do swej najdroższej przyjaciółki — nie dasz rady z tym człowiekiem! Niedowierzający jest aż do śmieszności, przy tym taki to dusigrosz, takie głupie bydlę, że na nieprzyjemności tylko mógłby cię narazić.

Między panem Goriot i panią de l'Ambermesnil rzeczy tak stanęły, że hrabina nawet widzieć go już nie chciała. Nazajutrz opuściła dom wdowy, zapominając zapłacić komornego za sześć miesięcy; pozostawiła trochę starych rzeczy wartych może pięć franków. Pani Vauquer poszukiwała zapalczywie zbiegłej przyjaciółki, ale w całym Paryżu nie umiano jej nic powiedzieć o hrabinie de l'Ambermesnil. Odtąd powracała często do tej sprawy opłakanej, utyskując na swą łatwowierność, choć w rzeczy samej żadna kotka nie mogła być bardziej nieufna od niej; ale podobna była do tej licznej klasy ludzi, co to bliskim nie dowierzają, a obcym ufają bez granic. Jest to fakt moralny, dziwaczny, lecz prawdziwy, którego zarodek łatwo znaleźć w sercu ludzkim. Są ludzie, co nie spodziewają się już nie pozyskać u osób, z którymi żyją; może czują, że zdradziwszy przed otaczającymi próżnię swej duszy, zasłużyli na ich sąd surowy; ale nie umieją się obejść bez pochlebstwa, trawi ich żądza błyszczenia pozorem cnót, których nie posiadają, i pragną zdobyć szacunek lub serce obcych ludzi, choćby wkrótce mieli utracić oboje. Wreszcie bywają ludzie z natury już sprzedajni; ci nie zrobią nic dobrego przyjaciołom lub bliskim, dlatego tylko, że to jest ich obowiązkiem; ale obcym gotowi ofiarować usługi, bo to pochlebia ich miłości własnej; im ciaśniejsze jest koło, w którym się ich uczucie obraca, tym mniej zdolni są kochać; im więcej się ono rozszerza, tym czulszymi się stają. Pani Vauquer łączyła w sobie obydwie te natury małoduszne, fałszywe i nędzne.

— Gdybym ja był tutaj — mówił jej Vautrin — nie spotkałoby pani podobne nieszczęście. Potrafiłbym zedrzeć maskę z tej komediantki. O, bo ja się znam na takich sztuczkach.

Obyczajem wszystkich ludzi ciasnej głowy, pani Vauquer nie wykraczała nigdy poza sferę faktów i nie zagłębiała się w badanie przyczyn. Chętnie zwalała na innych własne swe błędy. Toteż poniósłszy ową stratę patrzyła na uczciwego fabrykanta makaronu, jako na źródło swych nieszczęść i od owego dnia, jak mówiła, zaczęła się rozczarowywać. Teraz odgadła, dlaczego na nic się nie zdały wszystkie zaczepki z jej strony, również jak i kosztowna wystawność, jaką się otaczała. Teraz dopiero spostrzegła, że lokator jej miał, jak mówiła, swoje narowy. Musiała wreszcie zgodzić się na to, że nadzieja jej tak czule wykołysana spoczywała na podstawie chimerycznej; musiała przyznać słuszność hrabinie, która dała dowód wielkiej przenikliwości, przepowiadając stanowczo, że wdowa nie da sobie rady z tym człowiekiem. Rzecz naturalna, że niechęć, z jaką obecnie spoglądała na niego, przewyższała o wiele przyjaźń dawniejszą; nienawiść przerosła miłość i przybrała rozmiary zawiedzionych nadziei. Serce ludzkie spoczywa niekiedy wspinając się na szczyt przywiązania, lecz prawie nigdy się nie wstrzymuje na stromej pochyłości uczuć nienawistnych. Ale pan Goriot był jednym z mieszkańców domu i wdowa musiała powstrzymywać wybuchy obrażonej miłości własnej, musiała tłumić westchnienia wyrywające się na myśl o zawodzie i przemagać pragnienie zemsty, jak mnich, którego rozdrażnił przełożony. Ludziom płytkiego umysłu nędzne środki wystarczają do zadowolenia i złych, i dobrych skłonności. Wdowa wyczerpała całą złośliwość kobiecą, gotując swej ofierze szereg prześladowań tajemnych. Zaczęła od tego, że odrzuciła wszelkie dodatkowe ulepszenia zaprowadzone ostatnimi czasy w gospodzie. „Nie potrzeba nadal ani korniszonów, ani sardeli: po co te głupstwa?" powiedziała pewnego dnia do grubej Sylwii i od tej chwili wróciła do dawnego programu. Pan Goriot należał do rzędu tych ludzi wstrzemięźliwych, co to dobijając się majątku przywykają tak dalece do oszczędności, że ta staje się w końcu ich drugą naturą.

Obiad składający się z zupy, sztuki mięsa i jarzyn wystarczał mu aż nadto. Trudno było pani Vauquer udręczyć swego stołownika, bo w niczym nie mogła sprzeciwić się jego upodobaniom. Wpadała w rozpacz, nie mogąc znaleźć słabej strony w tym człowieku; zaczęła go lekceważyć i tak wpłynęła na innych mieszkańców swego domu, że wszyscy z wolna przejęli się jej niechęcią dla Goriota i przez lekkomyślność stali się narzędziem jej zemsty. Ku końcowi pierwszego roku, nieufność wdowy rozrosła do tego stopnia, że zaczęła się zastanawiać, dlaczego ten kupiec posiadający siedem lub osiem tysięcy liwrów dochodu, pyszne srebra i brylanty, których mogłaby mu pozazdrościć niejedna kobieta lekkich obyczajów, mieszka u niej, płacąc komorne tak małe w stosunku do znacznej fortuny. W tym pierwszym roku Goriot jadał obiad na mieście raz, lub dwa razy na tydzień; później nieznacznie doszło do tego, że tylko dwa razy na miesiąc jadał poza domem. Pani Vauquer bardzo rada była wyprawom jegomości Goriota, toteż gniewało ją okrutnie,

że stołownik coraz punktualniej zaczął się zjawiać u jej stołu. Przypisywano tę zmianę zarówno powolnemu zmniejszaniu się majątku, jak i chęci sprzeciwienia się gospodyni. Nieznośna to właściwość umysłów poziomych, że wszystkich mierzyć chcą swoją miarą. Ku końcowi drugiego roku, Goriot usprawiedliwił, niestety, plotki krążące o nim, gdyż zapragnął przeprowadzić się na drugie piętro i zmniejszyć komorne do dziewięciuset franków. Musiał się tak dalece ograniczyć, że przez całą zimę nie opalał swego mieszkania. Wdowa Vauquer zażądała pieniędzy z góry i zaczęła odtąd nazywać swego lokatora ojcem Goriot. Niezmiernie trudno było zbadać przyczynę takiego upadku, bo już i pseudohrabina powiedziała, że Goriot był ponury i milczący. Ludzie o pustych głowach, zajęci zwykle rzeczami małej wagi, nie lubią trzymać języka na wodzy; toteż według ich rozumowania, każdy kto nie rozpowiada o swoich czynach, musi zajmować się złymi sprawami. I oto kupiec ów poważny został naraz okrzyczany za oszusta, ów bałamut wydał się teraz starym nicponiem. Według zdania Vautrina, który w tym czasie zamieszkał u wdowy Vauquer, ojciec Goriot grał na giełdzie i należał do ludzi, którzy straciwszy całe mienie, próbują szczęścia na małą skalę. Innym razem umieszczano go w rzędzie tuzinkowych szulerów, którzy ryzykują i wygrywają co wieczór dziesięć franków. Czasami znów robiono z niego szpiega policyjnego, choć Vautrin twierdził, że stary za mało miał sprytu do tego rzemiosła. Utrzymywano jeszcze, że Goriot był sknerą żyjącym z lichwy, że kupował ogromną masę biletów loteryjnych; słowem robiono z niego istotę tajemniczą, obarczoną wszystkim, co tylko może się wyrodzić z występku, bezsilności i sromoty. Oburzano się na jego życie nikczemne, na jego występki, jednak pomimo całego wstrętu nie wygnano go z domu, a nie wygnano dlatego, że regularnie płacił komorne. Przy tym był nawet potrzebny i wszyscy spędzali na nim zły lub dobry humor, obsypując go żartami i przycinkami. Przystawano ogólnie na sąd pani Vauquer, który wydawał się najtrafniejszy. Wdowa utrzymywała, że człowiek ten doskonale zakonserwowany, zdrów jak ryba i bardzo jeszcze przyjemny, prowadził życie rozwiązłe i dziwne miał upodobania. Oto fakty, którymi wdowa popierała swą potwarz. W kilka miesięcy po odjeździe niefortunnej hrabiny, która pół roku przeżyła kosztem pani Vauquer, ta ostatnia, leżąc pewnego poranku w łóżku, posłyszała na schodach szelest sukni jedwabnej i chód leciuchny młodej kobiety przemykającej się do Goriota, którego drzwi w samą porę się otworzyły. Gruba Sylwia nie omieszkała też donieść swej pani, że jakaś panna, zbyt piękna, żeby miała być uczciwa, wśliznęła się jak węgorz do kuchni i zapytała o mieszkanie Goriota; *ubrana była jak bóstwo*, a buciki prunelowe świadczyły, że nie przyszła po błocie. Pani Vauquer i kucharka stanęły na czatach i dosłyszały kilka słów zamienionych czule podczas dość długich odwiedzin. Pan Goriot odprowadzał *swą damę*. Gruba Sylwia zaczęła się niby wybierać na rynek, a w rzeczy samej wyszła z koszykiem po to tylko, by śledzić czułą parę.

— Pani! — rzekła powróciwszy z wyprawy — pan Goriot musi być jednak diablo bogaty, skoro może utrzymać je na takiej stopie. Niech pani sobie wyobrazi, że na rogu ulicy de l'Estrapade czekał powóz wspaniały, do którego *ona* wsiadła.

Podczas obiadu pani Vauquer zaciągnęła firankę, żeby zasłonić Goriota przed blaskiem słońca, który raził mu oczy.

— Masz pan łaskę u pięknych dam, panie Goriot, toteż i słońce pana szuka — rzekła pani Vauquer, chcąc go widocznie ukłuć przypomnieniem odwiedzin porannych. Tam do licha! masz pan dobry gust, bo to wcale ładna osóbka.

— To moja córka — odrzekł Goriot z pewną dumą, którą mieszkańcy gospody wzięli za hipokryzję starca dobijającego się o pozory.

W miesiąc po tych odwiedzinach nastąpiły drugie. Ta sama córka, która pierwszym razem przyjeżdżała w stroju porannym, przybyła teraz po obiedzie w wykwintnej toalecie. Stołownicy zebrani w salonie na gawędkę poobiednią, ujrzeli piękną wysmukłą blondynkę, pełną wdzięku i zbyt dystyngowaną, ażeby mogła być córką takiego ojca Goriot.

— Oto mamy już drugą! — zawołała gruba Sylwia, nie poznając tej samej osoby.

W kilka dni potem, wysoka i kształtna brunetka, o włosach czarnych i oczach żywych, spytała o pana Goriot.

— Oto jest i trzecia! — rzekła Sylwia.

Brunetka, która pierwszym razem odwiedzała ojca przed południem, przyjechała po niejakim czasie w stroju balowym.

— Oto i czwarta! — rzekły razem pani Vauquer i gruba Sylwia, nie znajdując ani śladu podobieństwa między tą wielką panią, a skromnie ubranym dziewczęciem, które onegdaj odwiedzało starego.

Goriot płacił jeszcze tysiąc dwieście franków komornego. Pani Vauquer nie widziała w tym nic nadzwyczajnego, że człowiek majętny ma cztery lub pięć kochanek; przyznawała nawet, że dał dowód wielkiego taktu nazywając je swymi córkami. Nie obrażała się bynajmniej, że sprowadzał te osoby do jej domu; odwiedziny podobne drażniły ją tylko dlatego, że przekonywały o obojętności Goriota względem niej samej, toteż na początku drugiego roku pozwoliła już sobie nazywać go *starym mrukiem*. Goriot zeszedł wreszcie na dziewięćset franków; wtedy wdowa czekała tylko pierwszych odwiedzin, a spostrzegłszy jedną z tych pań na schodach, zapytała bez ceremonii starego, co też myśli zrobić z jej domu. Goriot odrzekł, że ta pani to jego starsza córka.

— Ileż pan masz tych córek? chyba trzydzieści sześć — rzekła pani Vauquer cierpkim tonem.

— Tylko dwie — odrzekł stary z łagodnością człowieka, którego nędza uczy znosić wszystko cierpliwie.

Ku końcowi trzeciego roku, ojciec Goriot ograniczył jeszcze swoje wydatki, przeprowadzając się na trzecie piętro i zmniejszając komorne do czterdziestu pięciu franków na miesiąc. Zaczął się obchodzić bez tabaki, odprawił fryzjera i odtąd się nie pudrował. Gdy ukazał się pierwszy raz bez pudru, gospodyni wydała okrzyk podziwu na widok jego włosów; były one brudnego szarozielonkawego koloru. Twarz, którą zgryzoty tajemne powlekały coraz to głębszym smutkiem, wydała się teraz dziwnie strapiona obok twarzy wszystkich tych, co się zgromadzili dokoła stołu. O, wówczas nikt już nie wątpił. Ojciec Goriot był starym rozpustnikiem, którego oczy tylko zręczność lekarza uchroniła od szkodliwego wpływu lekarstw, jakie musiano mu przepisywać. Wstrętny kolor włosów świadczył o nadużyciach i mnóstwie przyjętych leków.

Fizyczny i moralny stan nieboraka usprawiedliwiał poniekąd te brednie. Na miejscu pięknej bielizny ukazała się wkrótce inna z perkalu grubego, co się płaci po czternaście soldów za łokieć. Z czasem poznikały brylanty, tabakierka złota, łańcuch i wszystkie drogie kamienie. Stary porzucił dawny strój bogaty, wyrzekł się surduta koloru bławatkowego, a wdział natomiast inny z prostego sukna brązowego, do tego nosił zimą i latem tę samą kamizelkę z koziej wełny i szare spodnie z grubego sukna angielskiego. Zeszczuplał niezmiernie, nogi mu ścieniały, twarz, jaśniejąca niegdyś pełnią szczęścia mieszczańskiego, osunęła się i pomarszczyła, czoło się sfałdowało, a szczęki zarysowały się wyraźnie. Zanim upłynął czwarty rok od przeprowadzki na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève, poczciwy fabrykant makaronu niepodobny był do siebie. Ów mieszczanin sześćdziesięcioletni, pulchny i okrągły, o twarzy bezmyślnej i świeżej, który wyglądał najwięcej na lat czterdzieści i zachwycał przechodniów swą postawą pełną życia i uśmiechem młodzieńczym, dziś wydawał się siedemdziesięcioletnim starcem osłupiałym, drżącym i wybladłym. Żywe oczy niebieskie zblakły, przeszły w odcień prawie żółtoszary i zaschły, tylko spod czerwonej powieki krwawe łzy zdawały się sączyć. Na widok starca jednych przejmowała zgroza, inni odczuwali litość. Młodzi studenci medycyny nadaremnie drażnili go przez czas długi, wreszcie zauważywszy osunięcie się jego dolnej wargi i wymierzywszy kąt twarzy, zawyrokowali, że wpadł już w kretynizm. Pewnego wieczora, po skończonym obiedzie, pani Vauquer rzekła niby żartem:

— No cóż, zdaje się, że te córki już pana nie odwiedzają?

Chciała mu dać odczuć, że nie wierzy w rzeczywistość tych związków rodzinnych; ale ojciec Goriot drgnął na te słowa, jak gdyby ostrze żelaza go ukłuło.

— Przychodzą niekiedy — rzekł głosem wzruszonym.

— Ach! ach! więc je pan widujesz jeszcze! — zawołali studenci medycyny. — Brawo, ojcze Goriot!

Ale stary nie słyszał już żartów wywołanych jego odpowiedzią, pogrążył się bowiem w zamyślenie, które patrzącym z daleka wydawało się bezwładnym odrętwieniem starości. Gdyby go znali bliżej, byliby się może głęboko zastanowili nad przyczyną wywołującą taki stan moralny i fizyczny, lecz trudne to było zadanie do rozwiązania. Można było wprawdzie przekonać się, czy Goriot był rzeczywiście fabrykantem makaronu i sprawdzić,

czy kapitały jego wynosiły wiadomą cyfrę, lecz nad to nic nie wiedziano. Starzy ludzie, co go otaczali, zajmowali się żywo jego osobą, lecz żyli w swej gospodzie, jak ostrygi przyczepione do skały i nie wychylali się nigdy poza obręb dzielnicy, a młodzi lubili stroić żarty z biednego starca i pamiętali o nim, gdy byli na ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, ale po chwili wpadali w wir życia paryskiego i stary przestawał zupełnie istnieć dla nich. Zresztą starzy mieli już umysł zbyt przytępiony, młodzi zaś byli zbyt lekkomyślni, żeby przypuścić, iż osowiały Goriot, cierpiący prozaiczną nędzę, mógł posiadać niegdyś majątek lub zdolności jakiekolwiek.

Co się tyczy kobiet, które nazywał córkami, wszyscy zgadzali się z panią Vauquer; ta zaś obyczajem starych plotkarek przyzwyczajona była robić najśmielsze przypuszczenia i mówiła z logiką surową:

— Gdyby ojciec Goriot miał córki tak bogate jak wszystkie owe damy, które go odwiedzają, to z pewnością nie mieszkałby u mnie na trzecim piętrze za czterdzieści pięć franków na miesiąc i nie ubierałby się jak żebrak.

Nic nie mogło obalić tego dowodzenia. Toteż pod koniec listopada 1819 r., to jest w chwili rozpoczęcia się tego dramatu, wszyscy w gospodzie wiedzieli, co myśleć o biednym staruszku. Według ich przekonania, człowiek ten nie miał nigdy ani żony, ani córki; przez nadużycie przyjemności stał się mięczakiem, którego należało pomieścić w oddziale *Casquettiferów*, jak powiadał pewien urzędnik z Muzeum, który za biletami jadał obiady w gospodzie. Nawet taki Poiret to orzeł, to gentleman w porównaniu z Goriotem; Poiret rozprawiał, rozumował, odpowiadał, a choć rozprawiając, odpowiadając i rozumując nic właściwie nie mówił, bo miał zwyczaj powtarzać innymi słowami to, co drudzy powiedzieli; zawsze jednak podtrzymywał rozmowę, okazywał, że żyje i czuje, a ojciec Goriot, jak powiadał urzędnik z Muzeum, nie podnosił się nigdy ponad zero Reaumura.

Eugeniusz de Rastignac znajdował się w szczególnym usposobieniu umysłu. Usposobienie podobne cechuje młodzieńców wyższych zdolności lub takich, w których okoliczności zawiłe wyrabiają chwilowo przymioty ludzi wybranych. Uczęszczając rok pierwszy na uniwersytet miał tak niewiele pracy, że mógł swobodnie nasycić się rozkoszami zmysłowymi Paryża. Student będzie miał aż nadto zajęcia, skoro zechce poznać repertuar wszystkich teatrów, studiować wszystkie wyjścia labiryntu paryskiego, badać zwyczaje, nauczyć się języka stolicy, przyzwyczaić się do przyjemności jej tylko właściwych, obejrzeć wszystkie jej złe i dobre strony, wreszcie zajrzeć do bogatych muzeów i uczęszczać na kursy, które zajmują z początku. W takiej epoce student unosi się nad każdym głupstwem, biorąc je za coś wspaniałego. Stwarza sobie wielkiego człowieka podnosząc na piedestał jednego z profesorów Kolegium francuskiego, któremu się płaci za to, by się utrzymywał na odpowiedniej wysokości. Poprawia krawat i przybiera poważną minę, żeby zwrócić uwagę kobiety, którą zobaczył w Operze komicznej. Odgadując wszystko, co dotychczas było dla niego tajemnicą, rozszerza horyzont swego życia i zaczyna wreszcie pojmować, w jakim porządku następują po sobie pokłady ludzkie, z których powstał gmach społeczny. Znalazłszy się na Polach Elizejskich, student zrazu podziwia tylko powozy krążące dokoła w blasku słonecznym, ale po pewnym czasie zaczyna już ich zazdrościć. Eugeniusz przeszedł bezwiednie całą tę szkołę, a jadąc do domu na wakacje jako bakałarz wydziału literackiego i prawnego, wolny już był zupełnie od złudzeń dziecinnych i pojęć prowincjonalnych. Teraz dopiero rozpatrzył się dobrze w domu rodzicielskim i w gronie rodzinnym, do którego przybył z pojęciem zmienionym i ambicją wybujałą. Na małym kawałku ziemi, należącym do Rastignaców, mieszkała cała rodzina składająca się z ojca, matki, dwóch braci, dwóch sióstr i ciotki, która żyła ze swej pensji. Majętność ta przynosiła mniej więcej około trzech tysięcy, a choć dochód z winnicy był jak zwykle niepewny, wszelako trzeba było zaoszczędzić corocznie tysiąc dwieście franków na utrzymanie dla Eugeniusza. Teraz dopiero pojął w zupełności niedostatek, który dotychczas tak wspaniałomyślnie przed nim ukrywano. Gdy był dzieckiem, zdawało mu się, że siostry są bardzo piękne, a teraz inaczej mu się przedstawiły, gdy je porównał z kobietami paryskimi, które stały się dlań wcieleniem dawno wymarzonego ideału piękności. Dopiero teraz zastanowił się, że na nim się opierała przyszłość niepewna całej rodziny; przypatrzył się, z jak drobiazgową oszczędnością chowano wszystko, co miało wartość najmniejszą; spostrzegł, że jego rodzina zadowalała się napojem, który przyrządzano z wycisków winnych, zauważył wiele innych okoliczności, o których już tu nie wspominamy i goręcej niż przedtem

zapragnął dobić się znacznego stanowiska i wywyższyć się ponad innych. Wzorem dusz wzniosłych postanowił zawdzięczać wszystko własnej zasłudze.

Lecz umysł jego był czysto południowy; gdy przyszło do wykonania postanowień, zaczynał się chwiać jak wszyscy młodzi ludzie, którzy wypływają na pełne morze, nie wiedząc, w którą stronę skierować swe siły i pod jakim kątem rozpiąć żagle. Na razie postanowił oddać się pracy namiętnie, lecz wkrótce spostrzegł, jak wielką rolę kobiety grają w życiu towarzyskim i zapragnął wyrobić sobie potrzebne stosunki. Postanowił nagle rzucić się w świat i bądź co bądź zdobyć sobie protektorki, które by go wzięły w opiekę; czyż miałby się na nich zawieść, on, co posiadał umysł żywy i zapał niekłamany, a przy tym odznaczał się ułożeniem pełnym wdzięku i nerwową pięknością, która w oczach kobiet najwięcej ma uroku? Wszystkie te myśli zrodziły się w jego głowie, gdy błądził swobodny wśród pól razem z siostrami, które znalazły go wielce zmienionym. Ciotka Eugeniusza, pani de Marcillac, bywała niegdyś u dworu i znała sam kwiat arystokracji. Ambitny chłopak przypomniał sobie, że ciotka kołysała go nieraz opowiadaniem o czasach minionych i pomyślał, że dawne jej związki mogły mu ułatwić dokonanie kilku ważnych zwycięstw w świecie, na które rachował nie mniej jak na studia prawne. Pośpieszył więc wybadać ją, czy nie wiedziała o jakich związkach pokrewieństwa, które by się dały zadzierzgnąć na nowo. Poważna jejmość potrzęsła konary drzewa genealogicznego i zawyrokowała, że wicehrabina de Beauséant będzie najprzystępniejszą z całego grona bogatych krewnych, którzy bywają zwykle nieużyci. Napisała więc do tej młodej osoby list w stylu staroświeckim i wręczyła go Eugeniuszowi, dodając, że w razie powodzenia wicehrabina pomoże mu odnaleźć innych krewnych. W kilka dni po powrocie Rastignac posłał list swej ciotki do pani de Beauséant. Wicehrabina odpowiedziała mu zaproszeniem na bal, który miał się odbyć nazajutrz.

W takich to okolicznościach znajdowali się mieszkańcy gospody pod koniec listopada 1819 r. W kilka dni potem Eugeniusz był na balu u pani de Beauséant i powrócił do domu około drugiej po północy. W wirze tańca odważny student dał sobie słowo, że pracować będzie aż do dnia, żeby odzyskać czas stracony. Wspaniałość wielkiego świata wzbudziła w nim fałszywą energię, pod wpływem której postanowił przepędzić pierwszą noc bezsenną w cichej swej dzielnicy.

Eugeniusz nie jadł obiadu u pani Vauquer i mieszkańcy gospody sądzili, że powróci z balu dopiero nad ranem, tak jak zwykł był powracać z uroczystości w Prado lub Odeonie, nie mogąc ustrzec się od zabłocenia swych pończoch jedwabnych i wykręcając lekkie trzewiki balowe. Wieczorem przed zaryglowaniem drzwi Krzysztof wyjrzał jeszcze na ulicę. W tej chwili Eugeniusz pokazał się we drzwiach i wszedł cichutko do swego pokoju; Krzysztof udał się za nim stąpając głośno. Młody człowiek rozebrał się, włożył pantofle, naciągnął wytarty surducik, rozpalił torf w kominie i wziął się raźno do pracy. Krzysztof stukał tak głośno swymi grubymi trzewikami, że zagłuszył zupełnie szmer wywołany przygotowaniami młodego człowieka. Przed zagłębieniem się w księgi prawne, Eugeniusz wpadł w chwilową zadumę. Poznał w wicehrabinie de Beauséant jedną ze świetnych gwiazd Paryża, której dom uchodził za najprzyjemniejszy na przedmieściu Saint-Germain. Prócz tego imię i majątek stawiały ją w pierwszym rzędzie arystokracji. Dzięki pani de Marcillac, biedny student został mile przyjęty w domu wicehrabiny, nie pojmując nawet całej doniosłości podobnej laski. Być przyjętym w owych salonach złocistych znaczy to tyle, co otrzymać dyplom szlachecki; kto pokazał się wśród towarzystwa wyborowego, ten zdobył sobie prawo bywać wszędzie, gdzie tylko zapragnie. Eugeniusza olśnił blask świetnego zgromadzenia. Zamieniwszy zaledwie kilka słów z wicehrabiną, zaczął się przyglądać bożyszczom paryskim, które się tutaj zebrały na raut, i wkrótce wyróżnił w tłumie kobietę taką, jaka zazwyczaj bywa pierwszym ideałem młodzieńca.

Hrabina Anastazja de Restaud, wysoka i okazała, słynna była z nadzwyczaj kształtnej kibici. Wyobraźcie sobie duże czarne oczy, rękę prześliczną, nogę kształtną, ruchy pełne ognia, słowem wyobraźcie kobietę, którą margrabia de Ronquerolles nazywał koniem czystej krwi. Usposobienie nerwowe nie ujmowało jej bynajmniej wdzięku; figurę miała pełną, ale nie można jej było zarzucić zbytniej otyłości. Wyrażenia takie, jak: *koń czystej krwi, kobieta rasowa*, zaczynały zastępować przenośnie Osjaniczne, owe porównania z aniołami i całą mitologią miłosną, którą odrzuca dzisiejszy dandyzm. Dla Rastignaca pani Anastazja de Restaud była kobietą upragnioną. Otrzymał to, że dwa razy zapisała

jego nazwisko na wachlarzu, pomiędzy nazwiskami innych tancerzy, i zaraz w pierwszym kontredansie rozpoczął z nią rozmowę:

— Gdzie będę mógł widywać panią nadal? — zapytał nagle z tą siłą namiętną, która się tak podoba kobietom.

— Ależ wszędzie — odpowiedziała — na przechadzkach, w teatrze, w moim domu wreszcie.

I lekkomyślny południowiec przywiązał się do rozkosznej hrabiny o tyle, o ile młodzieniec może się przywiązać do kobiety przez ciąg jednego kontredansa i walca. Hrabina, która mu się wydała wielką panią, zaprosiła go do siebie, dowiedziawszy się, że jest kuzynem pani de Beauséant. Po ostatnim uśmiechu, który mu rzuciła, Eugeniusz postanowił być u niej koniecznie. Szczęście mu sprzyjało, bo tegoż wieczora spotkał człowieka, który nie wyśmiewał się wcale z jego nieświadomości, a trzeba wiedzieć, że nieświadomość podobna byłaby grzechem śmiertelnym w oczach sławnych impertynentów owego czasu, ludzi takich jak Maulincourt, Ronquerolles, Maksym de Trailles, de Marsay, Adjuda-Pinto, Vandenesse. Próżna ta młodzież otaczała grono najwykwintniejszych kobiet, z których wymieniamy lady Brandon, księżnę de Langeais, hrabinę de Kergarouet, panią de Sérizy, księżnę de Carigliano, hrabinę Eerraud, panią de Lanty, margrabinę d'Aiglemont, panią Eirmiani, margrabinę de Listomere i margrabinę d'Espard, księżnę de Maufrigneuse i panie Grandlieu. Szczęściem więc naiwny student natrafił na margrabiego Montriveau, kochanka księżnej de Langeais. Jenerał ten prostoduszny jak dziecię, objaśnił mu, że hrabina de Restaud mieszka przy ulicy du Helder. Młody, spragniony świata, tęskniący do kobiety, ujrzał na raz dwa domy otwierające się przed sobą, mógł bywać na przedmieściu Saint-Germain u wicehrabiny de Beauséant, a na Chaussée-d'Antin uklęknąć przed hrabiną de Restaud; mógł jednym spojrzeniem ogarnąć cały szereg salonów paryskich, wiedząc, że jest młodzieńcem dość pięknym, by znaleźć w sercu kobiety współczucie i opiekę; czuł w sobie dość ambicji, by wskoczyć na linę, po której trzeba iść ze śmiałością skoczka pewnego siebie, a przy tym najśliczniejsza z kobiet miała mu służyć za balans!

Któż na miejscu Eugeniusza nie zagłębiłby się myślą w przyszłość, któż nie marzyłby o powodzeniach, mając głowę pełną myśli podobnych i widząc oczyma wyobraźni obraz wspaniałej kobiety wznoszący się na tle rozżarzonego torfu, pomiędzy kodeksem z jednej, a nędzą z drugiej strony? Bujna wyobraźnia malowała mu tak żywo przyszłe rozkosze, że zaczynał prawie wierzyć, iż pani de Restaud znajduje się tuż przy nim, gdy nagle głośne westchnienie rozległo się w ciszy nocnej i ozwało się w sercu młodzieńca jak chrapliwy oddech konającego. Otworzywszy ostrożnie drzwi, wyszedł na korytarz i spostrzegł smugę światła wymykającą się spod drzwi ojca Goriot. Przyszło mu na myśl, że sąsiad mógł zachorować nagle; zbliżył się więc do drzwi, przyłożył oko do dziurki od klucza i zajrzawszy w głąb pokoju, spostrzegł starca zajętego dziwną pracą. Zajęcie jego wydało się Eugeniuszowi tak występnym, że postanowił wyświadczyć społeczeństwu przysługę, śledząc nocne sprawki mniemanego fabrykanta makaronu. Ojciec Goriot przytwierdził do listwy przewróconego stołu półmisek srebrny wyzłacany i takąż wazę, następnie wziął sznur i okręciwszy nim oba naczynia wspaniale rzeźbione, zaczął je ściskać z nadzwyczajną siłą, jak gdyby chciał zrobić z nich jednolitą bryłę metalu.

— Cóż to za człowiek, u licha! — szepnął Rastignac, spoglądając na żylaste ramiona starca, który, otoczywszy sznurem kawał srebra, gniótł je jak ciasto, nie sprawiając najmniejszego szmeru. — Może to złodziej lub spólnik złodziejski, który żyje jak żebrak, udając głupotę i niedołęstwo, aby tym bezpieczniej oddać się swemu rzemiosłu. — Student wyprostował się przy tych słowach, lecz po chwili przyłożył znów oko do dziurki od klucza. Ojciec Goriot odwinął szpagat, rozesłał na stole kołdrę i zaczął taczać bryłę srebrną robiąc z niej walec podłużny; czynność tę wykonywał z niepojętą łatwością. — Chyba ten człowiek posiada siłę Augusta, króla polskiego — szepnął Eugeniusz, widząc, że walec coraz bardziej się wydłuża. Ojciec Goriot popatrzył ze smutkiem na swe dzieło, łzy zabłysły mu w oczach i zdmuchnął stoczek, który przyświecał jego pracy, po czym nowe westchnienie obiło się o uszy Eugeniusza.

— To wariat — pomyślał student.

— Biedne dziecię! — zawołał głośno ojciec Goriot.

Na te słowa Rastignac postanowił zamilczeć o nocnej przygodzie i nie sądzić zbyt srogo swego sąsiada. Chciał już powracać do siebie, gdy posłyszał nagle szmer dziwny: zdawało się, że ktoś w skarpetkach wełnianych stąpa po schodach. Eugeniusz nadstawił ucha i rozpoznał rzeczywiście oddech miarowy dwóch ludzi. Nie słyszał ani skrzypnięcia drzwi, ani wyraźnego stąpania, tylko światełko słabe nagle zabłysło na drugim piętrze u pana Vautrin.

— Ile tu tajemnic w tej gospodzie mieszczańskiej! — powiedział student, schodząc o kilka stopni niżej. Zaczął się przysłuchiwać i po chwili dźwięk złota obił się o jego uszy. Światło zagasło wkrótce i znowu dał się słyszeć podwójny oddech, przy czym. nie można było rozróżnić ani otwierania, ani zamykania drzwi. Szmer stawał się coraz słabszy, w miarę jak się dwaj mężczyźni oddalali.

— Kto idzie? — zawołała pani Vauquer, otwierając okno.

— To ja powracam, mamo Vauquer — ozwał się gruby głos Vautrina.

— Jednak to coś dziwnego! Krzysztof pozasuwał przecie rygle — mówił Eugeniusz, wracając do swego pokoju. — W Paryżu trzeba czuwać, żeby wiedzieć wszystko, co się dzieje dokoła.

To, co słyszał, przerwało wątek miłosnych i ambitnych rozmyślań. Postanowił zająć się pracą, lecz nie mógł odegnać podejrzeń obudzonych postępkiem ojca Goriot, nie mógł zapomnieć twarzy pani de Restaud, która stawała przed nim co chwila niby wróżka świetnej przyszłości i skończył na tym, że upadłszy na łóżko zasnął snem kamiennym. Na dziesięć nocy, które młodzież obiecuje poświęcić pracy, siedem odpadnie z pewnością na sen. Trzeba mieć więcej niż dwadzieścia lat, żeby móc czuwać.

Nazajutrz rano gęsta mgła pokryła Paryż. W taką pogodę ludzie najbardziej punktualni mylą się co do czasu, spóźniają się na spotkania, które naznaczyli we własnym interesie, a o południu myślą, że to dopiero ósma rano. Było już wpół do dziesiątej, a pani Vauquer nie myślała jeszcze ruszyć się z łóżka. Krzysztof i gruba Sylwia wstali też później niż zwykle i zapijali najspokojniej kawę zabieloną wierzchnią warstwą mleka przeznaczonego dla stołowników. Zdjąwszy najgęstszą śmietankę, Sylwia gotowała mleko bardzo długo, żeby pani Vauquer nie mogła się domyśleć owej dziesięciny nieprawnie pobieranej.

— Sylwio — rzekł Krzysztof, biorąc pierwszą grzankę — pan Vautrin, który, trzeba wam wiedzieć, jest bardzo dobry, dzisiejszej nocy przyjmował znów dwie osoby. Jeżeli się pani niepokoi, to nic mówić nie trzeba.

— Czy dostaliście co od niego?

— Dał mi sto sous na miesiąc, to znaczy tyle, jakby powiedział: Trzymaj język za zębami.

— Tylko on i pani Couture nie drżą nad każdym groszem — rzekła Sylwia — zresztą wszyscy radzi by wyciągnąć nam z lewej ręki to, co w dzień nowego roku wkładają do prawej.

— Jeszcze żeby choć co dobrego dawali! — dorzucił Krzysztof — wielkie mi dziwy, jakieś nędzne sto sous. Goriot na przykład już od dwóch dni sam czyści swoje obuwie. Ten obdartus Poiret obchodzi się wcale bez szuwaksu, a gdyby go miał, to wypiłby go pewnie, nie oczyściwszy swoich pantofli. Albo ten smyk student. Cóż on mi daje? czterdzieści sous, to mnie i szczotki więcej kosztują, a stare odzienie sprzedaje i nie wie sam, co za nie wypraszać.

— Ba — odpowiedziała Sylwia, pijąc z wolna kawę — z tym wszystkim lepiej jest służyć w tym domu niż gdzie indziej w naszej dzielnicy: tu przynajmniej dobrze się żyje. Ale czekajcie no, Krzysztofie, czy nie mówił z wami ktokolwiek o grubym jegomości Vautrin?

— I owszem. Przed kilku dniami spotkał mnie na ulicy jakiś pan i zapytał: Czy to nie u was mieszka gruby jegomość, który czerni sobie faworyty? A jam odpowiedział: „Nie, proszę pana, on nie czerni faworytów. Gdzie by też taki wesoły człowiek miał czas po temu?" Otóż powtórzyłem wszystko co do joty panu Vautrinowi, a ten mi na to: „Dobrześ zrobił, mój chłopcze! Odpowiadaj zawsze tak samo. Bardzo to nieprzyjemnie, gdy ludzie poznają nasze słabości. To może przeszkodzić zawarciu małżeństwa."

— Otóż to! i mnie na rynku chciano wyciągnąć na słówko, żeby się dowiedzieć, czy nie widziałam kiedy, jak Vautrin odmieniał koszulę. Oto komedia! Masz tobie — zawołała

nagle — na Val-de-Grâce bije trzy kwadranse na dziewiątą, a nikt nie myśli ruszyć się z łóżka.

— Zachcieliście! przecie wszyscy powychodzili. Pani Couture poszła o ósmej ze swą panną spożyć Pana Boga w Saint-Etienne. Ojciec Goriot wyszedł z jakimś pakietem. Student powróci z lekcji dopiero o dziesiątej. Zamiatałem właśnie schody, gdy wszyscy wychodzili. Ojciec Goriot trącił mnie tym, co niósł w ręku, a było to coś twardego jak żelazo. Jednak to ciekawość, czym się ten nieborak zajmuje? Musi zawsze tańczyć, jak mu inni każą, pomimo to najpoczciwszy jest ze wszystkich i więcej wart od innych. Niewiele się u niego pożywić można, ale za to owe panie, do których mnie czasami posyła, postrojone są jak lalki i nie żałują dać człowiekowi na piwo.

— Jakież to? Te, które nazywa córkami? Jest ich, zdaje się, cały tuzin.

— Ja ci tam nie byłem u innych, tylko u tych dwóch, które tutaj przychodzą.

— Słyszę, że już pani zaczyna się ruszać; to dopiero zacznie sodomę wyprawiać; trzeba iść co prędzej. Pilnujcie mleka, Krzysztofie, żeby się tu kot nie zawinął.

Sylwia poszła do pokoju swej pani.

— Co to ma znaczyć, Sylwio, biło już trzy kwadranse na dziewiątą, a ja z waszej łaski spałam jak bobak. Nic podobnego jeszcze nie bywało.

— To, proszę pani, z powodu mgły dzisiejszej, którą choć nożem krajać, tak jest gęsta.

— Ale cóż będzie ze śniadaniem?

— Ba, wszyscy nasi lokatorowie mieli chyba diabła za skórą, bo wszyscy zemknęli równo z brzaskiem. Śniadanie więc może być dziś o dziesiątej. Michonnette i Poireau ani myśleli jeszcze wstawać. Tylko oni oboje są w domu i śpią jak prawdziwe bałwany.

— Ależ, Sylwio, mówisz o obojgu razem, jak gdyby...

— Jak gdyby co? — zapytała Sylwia, wybuchając głupim śmiechem. — Przecie oboje jakby dobrani do pary.

— Jednak to coś dziwnego, Sylwio, jakim sposobem pan Vautrin wrócił dziś w nocy do domu, kiedy Krzysztof pozasuwał przedtem rygle?

— Wcale nie, proszę pani, Krzysztof posłyszał, że pan Vautrin wraca i zszedł na dół, żeby mu otworzyć drzwi. A pani się zdało, że...

— Podaj mi kaftanik i ruszaj śpiesznie zająć się śniadaniem. Przybierz kartoflami pozostałą baraninę i podaj gruszki gotowane, tylko te, co kosztują po dwa liardy sztuka.

Niebawem pani Vauquer zeszła na dół i spostrzegła na wstępie kota, który rzucił łapką talerz pokrywający garnuszek z mlekiem i raczył się z największym pośpiechem.

— Mistigris! — krzyknęła wdowa. Kot zemknął, lecz po chwili powrócił, łaszcząc się do pani.

— Tak, tak, przymilaj się, stary łotrze. Sylwio, Sylwio!

— Co pani każe?

— Zobacz no, co kot zrobił!

— To wina tego bydlaka Krzysztofa, któremu poleciłam nakryć do stołu. Gdzie on się podział? Niech się pani tylko nie troszczy, to będzie porcja ojca Goriot. Doleję trochę wody, a on się na tym nie pozna, bo nie zważa na nic, nawet na to, co je.

— A ten Chińczyk gdzie poszedł? — zapytała pani Vauquer, rozstawiając talerze.

— Kto to może wiedzieć? Ten człowiek zajmuje się diablimi sprawkami.

— Zanadtom się przespała — mówiła dalej pani Vauquer.

— Ale za to świeża pani jak róża...

W tej chwili ozwał się dzwonek i pan Vautrin wszedł do salonu, śpiewając grubym głosem:

Długo błądziłem po szerokim świecie
I teraz jeszcze aż wspomnieć miło...

— Ach, ach, dzień dobry, mamo Vauquer — zawołał, zbliżając się ku gospodyni i ujmując ją czule w ramiona.

— No, no, przestań pan!

— Przestań zuchwalcze, powiedz pani. Proszę, powiedz pani: zuchwalcze. Zechciej pani powiedzieć... Proszę pozwolić, pomogę pani nakryć do stołu. Cóż, grzeczny jestem, wszak prawda?

Jakem się kochał w blondynce, brunecie
Zalecał, wzdychał...

— Widziałem przed chwilą rzecz dziwną.

. . . jak się zdarzyło.

— Cóż takiego? — zapytała wdowa.

— Ojciec Goriot był o wpół do dziewiątej na ulicy Dauphine u złotnika, który kupuje stare srebra i galony. Sprzedał mu jakiś sprzęt stołowy ze srebra wyzłacanego, ale tak nielitościwie zmiażdżony, że trudno uwierzyć, aby tego mógł dokonać człowiek nie fachowy.

— Czy być może?

— Nie inaczej. Wracałem do domu, odprowadziwszy jednego z mych przyjaciół, który odjechał dyliżansem królewskiego pocztowego zarządu. Spostrzegłszy ojca Goriot przystanąłem, żeby zobaczyć, co to będzie, i byłem świadkiem zabawnej historii. Powróciwszy do naszej dzielnicy, szedł ulicą des Gres aż wstąpił do domu lichwiarza Gobsecka. Trzeba wiedzieć, że ten Gobseck, to porządny łotr, który bez żadnego wahania robiłby tabliczki do domina z kości swego ojca, jakiś Żyd, Arab, Grek czy Cygan, którego niełatwo byłoby okraść, bo umieszcza swoje dukaty w banku.

— To jednak dziwne, co też ten Goriot robi?

— Nic nie robi, a przeciwnie przerabia to, co ma. To głupi niedołęga, co wszystko stracił przez miłość dla kobiet, które...

— Oto i on — rzekła Sylwia.

— Krzysztofie — zawołał ojciec Goriot — pójdź ze mną na górę.

Krzysztof poszedł i powrócił za chwilę.

— Dokąd idziesz? — zapytała go pani Vauquer.

— Posyła mnie ojciec Goriot.

— A to co? — zawołał Vautrin, wyrywając Krzysztofowi list zaadresowany do hrabiny Anastazji de Restaud. — Dokądże idziesz? — zapytał, oddając list Krzysztofowi.

— Na ulicę du Helder. Mam rozkaz oddać to do własnych rąk pani hrabiny.

— Cóż tam być może wewnątrz? — rzekł Vautrin, przeglądając list przed światłem — czy nie bilet bankowy? Ale nie — mówił dalej, rozwierając z lekka róg koperty. — To kwit! — zawołał. — Daj go katu! ten stary frant umie się zalecać. Idź, stary marudo — dodał, kładąc swą dłoń szeroką na głowie Krzysztofa i okręcając go w kółko jak pionek — nie pożałują dać ci na piwo.

Stół był już nakryty, Sylwia gotowała mleko. Pani Vauquer roznieciła ogień z pomocą Vautrina, który nie przestawał nucić:

Długo błądziłem po szerokim świecie
I teraz jeszcze aż wspomnieć miło...

Wszystko już było gotowe, gdy pani Couture weszła w towarzystwie panny Taillefer.

— Skądżeście to tak rano, moje piękne panie? — spytała pani Vauquer, zwracając się do wchodzących.

— Byłyśmy w Saint-Etienne-du-Mont u spowiedzi; przecie mamy dziś być u pana Taillefer. Biedna moja mała drży jak listek, — mówiła pani Couture, siadając koło pieca i wygrzewając przed ogniem trzewiki, które zaczęły parować pod wpływem ciepła.

— Ogrzej się, Wiktoryno — rzekła pani Vauquer.

— Bardzo to pięknie, że się pani modli do Boga, by raczył zmiękczyć serce jej ojca — rzekł Vautrin, podając krzesło sierocie — ale sama modlitwa tu nie wystarcza. Potrzeba pani przyjaciela, który by potrafił przemówić stosownie do tego starego bydlaka. Powiadają przecie, że dziki ten człowiek ma trzy miliony kapitału, a pani nie daje żadnego posagu. W naszych czasach najpiękniejsza panna potrzebuje posagu.

— Biedne dziecię! — rzekła pani Vauquer. — Wiesz co, moja rybko, ten potwór, którego nazywasz ojcem, ściąga dobrowolne nieszczęście na swą głowę.

Na te słowa oczy Wiktoryny zaszły łzami, a pani Couture dała znak wdowie, by nie mówiła dalej.

— Gdybyśmy tylko mogły zobaczyć go i wręczyć mu ostatni list jego żony — rzekła wdowa po wojskowym komisarzu. — Nigdy nie odważyłam się przesłać go pocztą. Taillefer zna moje pismo...

— O kobiety niewinne, nieszczęśliwe i prześladowane! — zawołał Vautrin — więc tak to rzeczy stoją? Za kilka dni ja się wmieszam w wasze sprawy i wszystko pójdzie jak z płatka.

— O, panie — zawołała Wiktoryna, a oczy jej zamglone i palące zarazem spoczęły na Vautrinie którego spojrzenie dziewczęcia nie wzruszyło wcale — jeżeli pan znajdziesz sposób zbliżenia się do mego ojca, to powiedz mu, że jego przywiązanie i dobra sława mej matki droższe mi są nad wszystkie skarby świata. Będę się modliła za pana, jeżeli pan potrafisz złagodzić jego surowość. Możesz pan być pewien wdzięczności.

— „Długo błądziłem po szerokim świecie" — zaśpiewał Vautrin głosem pełnym ironii.

W tej chwili Goriot, panna Michonueau i Poiret weszli do pokoju, zwabieni prawdopodobnie zapachem masła, na którym Sylwia podsmażała kawałki baraniny. Wszyscy obecni zajęli swoje miejsca, życząc sobie dnia dobrego; w tej chwili właśnie wybiła dziesiąta, a na ulicy dały się słyszeć kroki studenta.

— Ot i dobrze, panie Eugeniuszu — rzekła Sylwia — dziś pan zje śniadanie razem ze wszystkimi.

Student ukłonił się zgromadzonym i zajął miejsce obok ojca Goriot.

— Miałem dziś szczególną przygodę — wyrzekł, biorąc ogromną porcję baraniny i spory kawał chleba, który pani Vauquer zmierzyła kilkakrotnie okiem.

— Przygodę! — zawołał Poiret.

— Cóż stąd? czy cię to zadziwia, stara szlafmyco? — rzekł Vautrin do Poireta. — Takim ludziom jak pan Eugeniusz nie trudno o przygodę.

Panna Taillefer rzuciła nieśmiałe spojrzenie na młodego studenta.

— Opowiedz nam pan, co to była za przygoda — prosiła pani Vauquer.

— Wczoraj byłem na balu u mojej kuzynki, wicehrabiny de Beauséant, która posiada dom wspaniały i przepyszne salony obite materią jedwabną. Bal był świetny i bawiłem się jak król...

— Ik — wtrącił Vautrin, przerywając studentowi.

— Co to ma znaczyć, panie? — zawołał Eugeniusz z żywością.

— Powiedziałem *ik*, bo królik bawi się lepiej niż król.

— Wielka prawda; wolałbym być tą ptaszyną swobodna niż królem, ponieważ... — potwierdził zgadzający się na wszystko Poiret.

— Jednym słowem — przerwał student, nie dając mu dokończyć — tańczyłem z najśliczniejszą kobietą, z pewną zachwycającą hrabiną, nad którą nic piękniejszego w życiu nie widziałem. Miała we włosach kwiaty brzoskwiniowe, u boku prześliczny bukiet żywych kwiatów, które rozlewały dokoła woń cudowną; ale ba! trzeba było ją widzieć, bo któż zdoła opisać kobietę ożywioną wirem tańca. Otóż wystawcie sobie państwo, że dziś o dziewiątej rano spotkałem tę boską hrabinę, gdy szła ulicą des Gres. Ach, jak mi serce biło! zdawało mi się...

— Że ona tu zmierza — rzekł Vautrin, rzucając na studenta głębokie wejrzenie. — A ona szła pewnie do papy Gobsecka, znanego lichwiarza. Jeżeli będziesz pan kiedy badał serca kobiet paryskich, to bądź pewien, że lichwiarza znajdziesz zawsze przed kochankiem. Pańska hrabina nazywa się Anastazja de Restaud i mieszka przy ulicy du Helder.

Na to imię student wpatrzył się w Vautrina. Ojciec Goriot podniósł nagle głowę i ku ogólnemu zdziwieniu zmierzył obu mówiących wzrokiem jasnym i pełnym niepokoju.

— Pewnie Krzysztof się spóźni i ona sama tam poszła! — zawołał Goriot z boleścią.

— Cóż, czy nie zgadłem? — zapytał Vautrin, pochylając się do ucha pani Vauquer.

— Panie Vautrin — zawołał Eugeniusz — kto u licha mógł powiedzieć panu jej imię?

— Ach, ach! otóż to — odparł Vautrin. — Przecie i ojciec Goriot znał je dobrze, dlaczegóż bym ja nie miał wiedzieć?

— Panie Goriot! — zawołał student.

— Co? — spytał biedny stary. — Więc ona była wczoraj bardzo piękna?

— Kto taki?

— Pani de Restaud.

— Patrz pan, jak staremu nieborakowi oczy się zapalają — rzekła pani Vauquer do Vautrina.

— Czyżby on ją utrzymywał? — szepnęła panna Michonneau do studenta.

— O, tak, była wściekle piękna! — odparł Eugeniusz, w którego ojciec Goriot chciwie się wpatrywał. Gdyby nie było pani de Beauséant, moja boska hrabina byłaby królową balu. Młodzież ją tylko jedną widziała; byłem dwunasty na liście tancerzy, gdyż nie opuściła ani jednego kontredansa. Inne panie wściekały się, patrząc na to. Jeżeli kto był szczęśliwy wczoraj, to pewnie ona. Słusznie powiadają, że nic piękniejszego, jak statek z rozwiniętymi żaglami, koń w galopie i kobieta w tańcu.

— Wczoraj na najwyższym szczeblu, u księżnej — rzekł Vautrin — dziś na dole drabiny, u lichwiarza; takie to paryżanki. Gotowe się sprzedać, gdy mężowie nie mogą wystarczyć na ich szalone zbytki. Gdy nie umieją się sprzedać, to rade by rozedrzeć łono własnej matki, byle znaleźć to, co pozwala im błyszczeć. Na wszystko są gotowe. Znane to, znane!

Gdy student mówił, twarz ojca Goriot jaśniała, jak słońce w dzień pogodny, lecz okrutna uwaga Vautrina powlekła ją znowu chmurą smutku.

— Ależ, panie — rzekła pani Vauquer — gdzież pańska przygoda? czyś pan mówił z hrabiną? Możeś pan ją zapytał, czy nie chciałaby uczyć się prawa?

— Ona mnie nie widziała — odparł Eugeniusz. — Ale czyż to nie dosyć spotkać na ulicy des Gres, o dziewiątej rano, najpiękniejszą z kobiet paryskich, która wróciła z balu przynajmniej o drugiej po północy? Tylko w Paryżu mogą dziać się podobne rzeczy.

— Ale, ba! dzieje się wiele dziwniejszych rzeczy — zawołał Vautrin.

Panna Taillefer na pół tylko słyszała, o czym mówiono, gdyż cała zajęta była próbą, którą dziś miała przedsięwziąć. Pani Couture dała jej znak, że czas już iść się ubierać. W ślad za obiema paniami wyszedł i ojciec Goriot.

— A co, czyście państwo widzieli? — zapytała pani Vauquer, zwracając się do Vautrina i innych stołowników. — Rzecz oczywista, że on się dla tych kobiet zrujnował.

— Nikt mi nigdy nie wmówi — zawołał student — że piękna hrabina de Restaud może należeć do ojca Goriot.

— Ależ my nie staramy się bynajmniej przekonać pana — przerwał Vautrin. — Jesteś pan za młody, żeby dobrze znać Paryż, później się pan dowiesz, że są tu pewne osobistości, które my nazywamy: *hommes a passions*...

Przy tych słowach panna Michonneau spojrzała na Vautrina wzrokiem pojętnym jak rumak wojskowy, który usłyszy dźwięk trąbki.

— Ach, ach? — zawołał Vautrin, zatrzymując się i mierząc ją głębokim wejrzeniem — alboż to i my nie mieliśmy drobnych namiętności...

Stara panna spuściła oczy, jak zakonnica na widok posągów.

— Otóż tacy ludzie jak się czego uczepią, to nic nie zdoła ich odwieść od powziętej myśli. Pragną tylko pewnej wody czerpanej z pewnego źródła, jakkolwiek często woda ta bywa zepsuta, a pragną się napić za jaką bądź cenę, choćby przyszło sprzedać żonę i dzieci lub zapisać czartu duszę. Dla jednych owym źródłem upragnionym bywa gra, giełda, muzyka, zbiór obrazów lub owadów; dla innych może to być kobieta, która umie przyrządzać ulubione ich przysmaki. Ci ostatni nie dbają o żadną inną kobietę na świecie, cenią tylko tę, która umie pochlebiać ich słabostkom. Bywa często, że owa kobieta nie kocha ich wcale, obchodzi się z nimi bez ceremonii i drogo każe płacić za drobne okruchy przyjemności; a jednak dziwacy nie zrażają się wcale i radzi by zastawić ostatnią kołdrę w lombardzie, byle dukat ostatni oddać wybranej kobiecie. Ojciec Goriot należy właśnie do takich ludzi. Hrabina eksploatuje go, korzystając z jego dyskrecji. Taki to świat wyższy! Nieszczęśliwy nieborak o niej tylko myśli. Poza sferą swej namiętności staje się, jak widzicie, dzikim zwierzęciem, ale dość najlżejszej wzmianki o tem, co go obchodzi, by twarz jego zajaśniała jak brylant. Nie trudno wyjaśnić tę ostatnią tajemnicę. Dziś rano odniósł sam swe srebro złocone do przetopienia, a później widziałem go, jak wchodził do papy Gobseck na ulicy des Gres. Proszę tylko uważać. Po powrocie posłał do hrabiny tego głupca Krzysztofa, co pokazał nam adres listu, w którym znajdował się kwit. Musiała być pilna potrzeba, skoro sama hrabina szła do starego lichwiarza. Ojciec Geriot zapłacił

za nią uprzejmie. Nie trzeba być zbyt mądrym, żeby rzecz całą pojąć dokładnie. Otóż możesz się pan przekonać, młody mój studencie, że pańska hrabina śmiała się wczoraj, tańczyła, przymilała się, powiewała brzoskwiniowymi kwiatami i unosiła z wdziękiem suknię, a pomimo to była, jak to mówią, między młotem i kowadłem, myśląc o swoich zaprotestowanych wekslach lub o wekslach swego kochanka.

— Obudzasz pan we mnie wściekłą chęć zbadania prawdy. Idę jutro do pani de Restaud! — zawołał Eugeniusz.

— Tak jest — potwierdził Poiret — trzeba być jutro u pani de Restaud.

— Bardzo być może, że znajdziesz tam pan poczciwego Goriota, który pójdzie upomnieć się o zapłatę za swą uprzejmość.

— Ależ — powiedział Eugeniusz z wyrazem wstrętu — w takim razie wasz Paryż jest kałużą. Błoto

— I to dziwną kałużą — odparł Vautrin. — Ci, których powozy grzęzną w błocie, nazywają się uczciwymi ludźmi; ci, którzy brną przez nie piechotą, noszą miano łotrów. Komuś przyszła nieszczęściem pokusa skraść jakąś bagatelę i oto wszyscy zatrzymują się przed Trybunałem Sprawiedliwości, by patrzeć nań jak na dziwowisko. Inny ukradł milion i uchodzi w salonach za wzór cnoty. A żandarmeria i sprawiedliwość pobierają trzydzieści milionów za utrzymanie moralności. Doskonale!

— Jak to — zawołała pani Vauquer — czyżby Goriot dał przetopić swój serwis pozłacany?

— Czy nie było tam między innymi pokrywki z dwiema synogarlicami? — zapytał Eugeniusz.

— A tak właśnie.

— Stary musiał cenić bardzo ten serwis, gdyż zapłakał, zgniótłszy kubek i półmisek. Widziałem to przypadkiem — rzekł Eugeniusz.

— Cenił go jak własne życie — odrzekła wdowa.

— Patrzcie no państwo, jak ten nieborak namiętny — wykrzyknął Vautrin. — Widocznie kobieta owa umie pogłaskać go po sercu.

Student udał się do swego pokoju, a Vautrin wyszedł na miasto. W kilka chwil później pani Couture i Wiktoryna wsiadły do dorożki, którą im Sylwia sprowadziła. Poiret podał ramię pannie Michonneau i oboje udali się do Ogrodu Botanicznego, by przepędzić na przechadzce dwie swobodne godziny.

— A co? Toć wyglądają bez mała jak para małżonków — rzekła Sylwia. — Dotychczas nigdy jeszcze nie wychodzili razem. Oboje są tak zasuszeni, że potrąciwszy się wzajemnie mogą skrzesać ognia jak krzesiwo.

— A panna Michonneau winna strzec swego szala, by się nie zajął jak hubka — dodała pani Vauquer ze śmiechem.

O czwartej wieczorem Goriot wszedł do pokoju i spostrzegł przy świetle dwóch lamp kopcących, że oczy Wiktoryny były zaczerwienione od płaczu. Pani Vauquer słuchała opowiadania o niefortunnej wyprawie do pana Taillefer. Znudzony odwiedzinami córki i pani Couture, ojciec Wiktoryny postanowił rozmówić się z nimi i kazał dopuścić je do siebie.

— Moja droga pani — ciągnęła dalej pani Couture, zwracając się do pani Vauquer — proszę sobie wyobrazić, że Wiktoryna stała cały czas, a on nie zachęcił jej ani jednym słowem, by usiadła. Mnie zaś powiedział z zimną krwią, bez najmniejszego gniewu, że przychodzimy nadaremnie i powinnyśmy oszczędzić sobie nadal tego trudu, gdyż *panna* może pogorszyć tylko swą sprawę, gdy będzie zbyt natrętna (a toć bywamy tylko raz do roku u tego potwora, który nie nazwał nawet Wiktoryny swą córką!). Powiedział dalej, że Wiktorynie nic się nie należy, gdyż matka jej nie miała wcale posagu i dodał jeszcze tyle słów okrutnych, aż moja biedaczka we łzy się rozlała; ale później upadła mu do nóg i powiedziała z odwagą, że chodzi jej tylko o matkę, że sama bez szemrania ulegnie jego woli, byle tylko zechciał przeczytać testament nieszczęśliwej nieboszczki. Podała mu list, mówiąc przy tym rzeczy dziwnie piękne i rzewne. Nie wiem, skąd się jej zebrało na podobne wyrazy, chyba Bóg je zesłał; dziewczę bowiem było tak natchnione, że nawet ja, ja sama płakałam jak głupia, słuchając jej mowy. A wiesz pani, co robił ten przerażający człowiek? Obcinał sobie paznokcie, po czym wziął list zroszony łzami biednej pani Taillefer i rzucił go w ogień, mówiąc: O tak, to dobrze! Chciał podnieść córkę, lecz cofnął wnet

ręce, gdy spostrzegł, że biedaczka chce je ucałować. Czyż to nie łotrostwo? A synalo, bałwan, nie przywitał się nawet z siostrą, wchodząc do pokoju.

— Cóż to za potwory! — zawołał ojciec Goriot.

— A potem — ciągnęła dalej pani Couture, nie zważając na okrzyk poczciwca — ojciec i syn pożegnali mnie i odeszli, wymawiając się ważnymi sprawami. Oto i całe nasze odwiedziny. Ale widział przynajmniej swą córkę. Nie wiem, jak można się jej wypierać, gdyż podobna do niego, jak dwie krople wody.

Wszyscy stołownicy i mieszkańcy gospody zgromadzili się z wolna, życząc sobie dnia dobrego i zamieniając nic nie znaczące wyrazy, które w pewnych kółkach paryskich uchodzą za dowcip błyskotliwy, choć same przez się bywają bezmyślne, a całe znaczenie nadaje im gest i sposób, w jaki się wymawiają. Ten rodzaj żargonu zmienia się nieustannie, odnawiając się przynajmniej co miesiąc kosztem jakiegoś nowego żartu. Byle co nadaje się do podtrzymania takiej gry dowcipu, zarówno wypadek polityczny, jak i proces sądowy, piosenka uliczna lub farsa jakiego aktora; gdyż gra cała polega na tym, by chwytać myśli i wyrazy i, niby wolanta, na powrót je odrzucać. W nowszych czasach wynaleziono świeżo dioramę, wywołującą silniejsze złudzenie optyczne niż panorama; wskutek tego w niektórych malarniach przyjął się zabawny zwyczaj dodawania końcówki *rama* do wielu wyrazów. Pewien młody malarz uczęszczający do gospody Vauquer, zaprowadził między mieszkańcami zwyczaj dodawania tej końcówki do wyrazów.

— *Pannnie* Poiret, jakże tam pańskie *zdrowieczkorama*? — zapytał urzędnik z Muzeum i nie czekając odpowiedzi zwrócił się do pani Couture i Wiktoryny. — Zdaje się — rzekł — że panie mają jakieś zmartwienie.

— Czy będziemy dziś *ob-jadowali*? — zawołał jeden ze studentów medycyny, przyjaciel Rastignaca, imieniem Horacy Bianchon — moje *żołądeczko* opadło *usque ad talones*.

— Dziś wściekle *zimnowrama* — rzekł Vautrin. — Proszę się pofatygować, ojcze Goriot. Cóż u licha, pańska noga zakrywa cały otwór pieca.

— Znakomity panie Vautrin — rzekł Bianchon — dlaczego mówisz pan *zimnowrama*? To omyłka, należy mówić *zimnorama*.

— Nie — zawołał urzędnik z Muzeum — mówi się *zimnowrama* na zasadzie, że mówi się: zimno w nogi.

— Ach! ach!

— Oto i jego ekscelencja markiz de Rastignac, doktor prawa — lewego — zawołał Bianchon, schwyciwszy Eugeniusza za szyję i dusząc go w uścisku. — Oho, są już i inni, oho!

Panna Michonneau weszła z wolna, pozdrawiając obecnych milczącym ukłonem i usiadła obok trzech kobiet.

— Ta stara sowa nabawia mnie zawsze dreszczów — szepnął Bianchon do Vautrina, wskazując na pannę Michonneau. — Trzeba wiedzieć, że ja studiuję system Galla i widzę na jej głowie Judaszowe wypukłości.

— Czyś pan ją znał przedtem? — zapytał Vautrin.

— Któż jej nie spotykał! — odparł Bianchon. — Słowo daję, ta wybladła stara panna przypomina mi owe długie robaki, co zdolne są stoczyć najgrubszą belkę.

— Tak to bywa, młodzieńcze — rzekł czterdziestoletni mężczyzna, głaszcząc faworyty:

Więc róża, żyła tyle, ile żyją róże,
Poranek jeden tylko.

— Ach, ach! oto i wyborna *zuporama* — zawołał Poiret, na widok Krzysztofa wnoszącego rosół z wielką powagą.

Młodzież wybuchnęła śmiechem.

— Przepraszam — zawołała pani Vauquer — bo to kapuśniak.

— Poiret pobity!

— Poirrrrette pobity!

— Proszę zapisać dwa punkty wygrane mamie Vauquer — rzekł Vautrin.

— Czy kto zauważył, jaką mgłę mieliśmy dzisiaj rano? — zapytał urzędnik.

— Była to — rzekł Bianchon — mgła wściekła i bezprzykładna, mgła ponura, melancholijna, zielona, dusząca, mgła Goriotowska.

— Goriorama — rzekł malarz — gdyż zupełnie zasłaniała światło.

— Hej, milordzie Gâôriotte, tu się mówi o was.

Ojciec Goriot siedział na końcu stołu przy drzwiach, przez które wnoszono jedzenie; zawołany, podniósł głowę, nie przestając wąchać kawałka chleba wyjętego spod serwety było to stare przyzwyczajenie z czasów kupieckich, którego się jeszcze nie pozbył.

— Cóż to takiego? — zabrzmiał cierpko głos pani Vauquer, zagłuszając głośną rozmowę oraz brzęk łyżek i talerzy — czy się panu chleb nie podoba?

— Przeciwnie, pani — odparł — to chleb z najprzedniejszej etampskiej mąki.

— Po czym to pan poznaje? — zagadnął Eugeniusz.

— Po białości, po smaku.

— Chybaś pan nosem smakował, bo widziałam, jakeś wąchał kawałek chleba — rzekła pani Vauquer. — Stajesz się pan coraz oszczędniejszym i z czasem dojdziesz chyba do tego, że wdychanie wyziewów kuchennych będzie dla pana dostatecznym pożywieniem.

— Wtedy zastrzeż pan sobie własność wynalazku, a dorobisz się pięknego majątku — zawołał urzędnik z Muzeum.

— Dajcież państwo pokój! — rzekł malarz — ojciec Goriot chciał tylko dowieść swym postępkiem, że był w rzeczy samej fabrykantem makaronu.

— Jak widać, z pańskiego nosa mogłaby być retorta — rzekł znów urzędnik z Muzeum.

— Co? — podchwycił Bianchon — re...

— Re-zeda.

— Re-flektor.

— Re-zerwa.

— Re-duta.

— Re-netka.

— Re-zydent.

— Re-nifer.

— Re-torama.

Osiem odpowiedzi posypało się niby grad kul ze wszystkich stron sali. Wrażenie było tym śmieszniejsze, że ojciec Goriot spoglądał po zgromadzonych z głupowatą miną człowieka, który usiłuje zrozumieć cudzoziemską mowę.

— Re? — powtórzył pytająco, zwracając się do siedzącego obok Vautrina.

— Re-umatyzm, mój starowino! — zawołał Vautrin, uderzając Goriota po głowie i wtłaczając mu kapelusz aż na oczy.

Biedny staruszek tak osłupiał po tym napadzie niespodziewanym, że przez kilka minut siedział nieruchomy. Krzysztof sądził, że pan Goriot nie je już zupy i zabrał mu talerz; lecz nieborak nie spostrzegł tego i poprawiwszy kapelusz, opuścił łyżkę na stół w mniemaniu, że talerz znajduje się na swoim miejscu.

Wszyscy obecni parsknęli śmiechem.

— Mój panie — zawołał starzec — jesteś pan kiepskim trefnisiem! Nadal radzę mu powstrzymywać się od podobnych sztuczek, bo...

— Bo co, tatusiu? — przerwał Vautrin.

— Bo kiedyś zapłacisz mi pan za to sowicie...

— W piekle, nieprawdaż? — rzekł malarz — w tym ciemnym kąciku, gdzie się stawia niegrzeczne dzieci.

— Pani nic nie je — rzekł Vautrin do Wiktoryny. — Zapewne ojczulek okazał się nieprzystępnym?

— To okropny człowiek — zawołała pani Couture.

— Warto by nauczyć go rozumu — rzekł Vautrin.

— Pani mogła by wytoczyć proces o artykuły żywności, gdyż wcale nie je — odezwał się Eugeniusz, który siedział niedaleko od Bianchona. — Ach, proszę no spojrzeć, jak ojciec Goriot wpatruje się w pannę Wiktorynę.

Stary zapomniał o jedzeniu i nie spuszczał oczu z twarzy dziewczęcia, napiętnowanej boleścią prawdziwą, boleścią dziecka odtrąconego, które pomimo to nie przestało kochać swego ojca.

— Mój drogi — szepnął Eugeniusz — źleśmy osądzili ojca Goriot. To nie jest ani głupiec, ani człowiek bez czucia. Spróbuj no zastosować do niego system Galla i wtedy

powiedz mi swe zdanie. Dzisiejszej nocy sam byłem świadkiem, jak starzec ten gniótł półmisek srebrny i to z największą łatwością: rzekłbyś, że miał w ręku wosk a nie metal; w obecnej zaś chwili twarz jego zdradza uczucie niezwykłe. Mnie się zdaje, iż życie Goriota zbyt jest tajemnicze, by nie zasługiwało na głębsze zbadanie. Tak, Bianchon, nie śmiej się, bo ja nie żartuję wcale.

— Nie przeczę — rzekł Bianchon — że dla medyka człowiek ten jest ciekawym okazem. Jeżeli się zgodzi, gotowym sam dokonać na nim sekcji.

— Lepiej pomacaj mu głowę.

— A, dziękuję! Kto wie, czy jego głupota nie jest zaraźliwa?

Nazajutrz, około trzeciej po południu, Rastignac ubrany bardzo wykwintnie poszedł do pani de Restaud. W drodze oddał się cały owej nadziei lekkomyślnej, która tysiącem wzruszeń barwi młode życie. Młodzież nie rachuje przeszkód i niebezpieczeństw; gra bujnej wyobraźni idealizuje życie w ich oczach i widzą przed sobą same powodzenia; zburzenie planów, które utworzyła żądza wybujała pogrąża ich w smutku, niekiedy nawet czyni nieszczęśliwymi; gdyby byli odważniejsi i mniej nieświadomi, to budowa społeczna nie mogłaby się przy nich ostać. Eugeniusz wystrzegał się jak mógł, żeby się nie zabłocić, a obok tego układał w myśli, co powie pani de Restaud, przysposabiał zapas dowcipu, wymyślał odpowiedzi stosowne do przypuszczalnej rozmowy, przygotowywał słówka dowcipne, zdania á la Talleyrand i przypuszczał tysiączne okoliczności mogące mu ułatwić wynurzenie uczuć, na którym opierał całą swą przyszłość. I biedny student zabłocił się tak okrutnie, że w Palais Royal musiał kazać oczyścić sobie buty i spodnie. „Gdybym był bogaty, rzekł do siebie rozmieniając stusoldową monetę, w którą się zaopatrzył na wszelki wypadek, byłbym pojechał powozem i mógłbym rozmyślać swobodnie". Dostawszy się wreszcie na ulicę du Helder, zapytał o hrabinę de Restaud i spotkał pogardliwe wejrzenie służących, którzy domyślili się, że młody człowiek przyszedł piechotą, gdyż nie słyszeli turkotu przed bramą. Eugeniusz zniósł to wejrzenie z chłodną wściekłością człowieka, pewnego, że kiedyś zwycięży los przeciwny; niemniej jednak zabolało go ono dotkliwie, gdyż wchodząc na podwórze sam przekonał się o swej niższości, na widok pięknego rumaka, który się tam niecierpliwił w bogatym zaprzęgu. Kabriolet, nie mniej piękny od rumaka, świadczył o zbytkownym i swobodnym życiu właściciela, który mógł prawdopodobnie kosztować wszystkich rozkoszy paryskich. Dosyć było tej jednej okoliczności, by zupełnie zepsuć studentowi humor. Wszystkie skrytki jego mózgu, które naładował dowcipem, zamknęły się naraz i Eugeniusz stał się zupełnie głupi. Stanął na jednej nodze przed oknem przedpokojowym, oparł łokieć o zasuwkę i patrzył machinalnie na dziedziniec, czekając odpowiedzi hrabiny, której lokaj poszedł zameldować odwiedzających. Czas wydawał mu się nieznośnie długi i byłby wyszedł niezawodnie, gdyby nie posiadał tej uporczywości właściwej południowcom, która może działać cuda, jeżeli jest skierowana na drogę właściwą.

— Pani jest bardzo zajęta w swoim buduarze — rzekł kamerdyner — nie odpowiedziała mi wcale; ale może pan zechce przejść do salonu, tam czeka już ktoś inny.

Zastanawiając się nad władzą potężną tych ludzi, którzy jednym słowem obwiniają i sądzą swych panów, Eugeniusz zbliżył się do drzwi, przez które wychodził kamerdyner. Otworzył je niedbale, chcąc zapewne pokazać nadętym lokajom, że zna dobrze wewnętrzny rozkład mieszkania; ale wpadł nierozważnie do jakiegoś pokoju, w którym znajdowało się pełno lamp, bufetów i przyrząd służący do nagrzewania serwet po kąpieli; dalej widać było korytarz ciemny i schodki ukryte. Stłumiony śmiech, który posłyszał w przedpokoju, zbił go do reszty z tropu.

— Proszę pana, tędy się idzie do salonu — rzekł kamerdyner z ową fałszywą uniżonością, która zdaje się być tylko nową obelgą.

Eugeniusz zawrócił się z takim pośpiechem, że zawadził o wannę; szczęściem jednak zdążył zatrzymać wymykający się z rąk kapelusz, W tej samej chwili drzwi jakieś otworzyły się w głębi korytarza oświeconego małą lampką i Eugeniusz posłyszał głos hrabiny i ojca Goriot, po czym rozległ się odgłos pocałunku. Kamerdyner przeprowadził Eugeniusza przez pokój jadalny do pierwszego salonu, gdzie student nasz przystanął przed oknem wychodzącym na podwórze. Pragnął przekonać się, czy spotkany tu ojciec Goriot był rzeczywiście owym znanym mu Goriotem. Serce biło mu jakoś dziwnie, gdy przywodził sobie na pamięć przerażające uwagi Vautrina. Kamerdyner zatrzymał się przy drzwiach

salonu, z którego wyszedł nagle elegancki młodzieniec.

— Już ja idę, Maurycy — rzekł niecierpliwie. — Proszę powiedzieć hrabinie, że przeszło pół godziny czekałem na nią.

Po tych słowach młodzieniec, który widocznie miał prawo być niegrzeczny, zanucił jakąś śpiewkę włoską i zbliżył się do okna, przy którym stał Eugeniusz Udał, że wygląda na dziedziniec, a tymczasem rzucił na twarz studenta przelotne spojrzenie.

— Lepiej byłoby, gdyby pan hrabia zechciał zaczekać chwileczkę, bo jaśnie pani już nie jest zajęta — rzekł Maurycy zmierzając do przedpokoju.

W tej chwili ojciec Goriot zszedł z małych schodków i zatrzymał się przy bramie rozpinając parasol. Nieborak nie widział, że w otwartej bramie pokazało się właśnie tilbury, w którym siedział młody mężczyzna z orderem na piersi. Ojciec Goriot w samą porę rzucił się w tył, żeby nie być stratowanym. Koń przestraszył się rozpiętego parasola i, rzuciwszy się w bok, popędził gwałtownie ku podjazdowi. Młody człowiek obrócił się z gniewem, popatrzył na Goriota i ukłonił mu się wreszcie z przymusowym uszanowaniem, z jakim traktujemy potrzebnego nam lichwiarza lub człowieka spodlonego, dla którego musimy udawać szacunek, choć wewnętrznie rumienimy się za to sami przed sobą. Ojciec Goriot odpowiedział przyjacielskim ukłonem pełnym dobroduszności. Wszystko to stało się z szybkością błyskawicy i pochłonęło całą uwagę Eugeniusza. Nie przypuszczał nawet, że oprócz niego ktoś inny jeszcze może się znajdować w salonie, gdy wtem głos hrabiny uderzył jego ucho.

— Ach, Maksymie, jużeś chciał odchodzić! — zawołała tonem wyrzutu, w którym przebijało się lekkie rozdrażnienie.

Hrabina nie zwróciła uwagi, że tilbury zajechało przed dom. Rastignac odwrócił się nagle i ujrzał hrabinę przystrojoną zalotnie w peniuar biały, kaszmirowy, z różowymi kokardami i uczesaną niedbale, tak jak wszystkie paryżanki w godzinach porannych. Musiała wyjść świeżo z kąpieli, bo przejęta była cała jakimś balsamicznym zapachem, spojrzenie miała jakby zamglone, a piękność jej zmiękczona, jeżeli tak rzec można, zdawała się rozkoszniejsza niż zwykle. Oko młodych ludzi umie wszystkiego się dopatrzeć: dusza ich zlewa się z promiennym obrazem kobiety, tak jak roślina napawa się powietrzem, z którego przyswaja sobie część potrzebną; toteż i Eugeniusz nie dotknął się rąk hrabiny, a jednak przeczuł świeżość ich niezrównaną, odgadł przez kaszmir różową białość jej gorsu, którą zdradzał niekiedy przed jego wzrokiem peniuar trochę rozwarty. Hrabina nie potrzebowała gorsetu; przepaska tylko odznaczała gibką jej kibić, szyję miała nęcącą, a nogi jakże ślicznie wyglądały w pantofelkach! Maksym złożył na jej ręce pocałunek i wtedy dopiero Eugeniusz spostrzegł Maksyma, a hrabina Eugeniusza.

— Ach, to pan de Rastignac! Jakże mi przyjemnie widzieć pana — rzekła hrabina takim tonem, że człowiek dobrze wychowany pojąłby od razu właściwe słów tych znaczenie.

Maksym spoglądał kolejno na Eugeniusza i na hrabinę tak wyraziście, jak gdyby chciał przekonać intruza, że jest najzupełniej niepotrzebny. — Ach, moja droga, spodziewam się, że wypchniesz mi tego malca za drzwi! — Słowa te malowały się w wyzywająco dumnym wzroku młodzieńca, którego hrabina Anastazja nazwała Maksymem, patrząc mu w twarz z tym wyrazem podległości, którym kobieta zdradza bezwiednie wszystkie swe tajemnice. Rastignac uczuł ku niemu nienawiść gwałtowną. Najpierw piękne włosy Maksyma, jasne i starannie ufryzowane, dały mu poznać, że jego głowa wyglądała szkaradnie. Dalej obuwie hrabiego było delikatne i czyste, a buty studenta, pomimo największej ostrożności, pokryły się w drodze cieniuchną warstwą błota. Wreszcie tamten miał surdut, który układał mu się do stanu tak wdzięcznie, że czynił go podobnym do pięknej kobiety, a Eugeniusz o wpół do trzeciej miał na sobie czarne odzienie. Przenikliwy syn Charenty pojął od razu, jak wielką przewagę miał nad nim ten wykwintnie, starannie ubrany, szczupły i wysoki, o jasnym oku i cerze bladej. Nie czekając odpowiedzi Eugeniusza, hrabina wybiegła szybko do drugiego salonu, a peniuar rozwiany fruwał dokoła czyniąc ją podobną do motyla; Maksym poszedł za nią. Eugeniusz, zły szalenie, poszedł za Maksymem i hrabiną. Wszyscy troje znaleźli się razem na środku wielkiego salonu przed kominkiem. Student wiedział dobrze, że będzie krępować swą obecnością tego wstrętnego Maksyma, a pragnął bądź co bądź dokuczyć elegantowi, choćby nawet przyszło się narazić w oczach hrabiny. Nagle przypomniał sobie, że widział tegoż Maksy-

ma na balu u pani de Beauséant, i odgadł, czym on był dla pani de Restaud; ale zdobył się na odwagę młodzieńczą, która bywa źródłem głupstw wielkich lub wielkich powodzeń i rzekł do siebie: „Oto mój rywal, muszę go pokonać." Niebaczny! Nie wiedział, że hrabia Maksym de Trailles pozwalał się znieważać, po czym strzelał pierwszy i zabijał przeciwnika. Eugeniusz słynął jako dobry strzelec, ale na dwadzieścia dwa strzały, nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się trafić dwadzieścia razy. Młody hrabia rzucił się na fotel w rogu kominka, wziął szczypce i zaczął rozrzucać węgle tak gwałtownie i niecierpliwie, że piękna twarz Anastazji zasępiła się od razu . Młoda kobieta rzuciła na Eugeniusza spojrzenie zimne i pytające, które mówi tak wyraźnie: czemu sobie nie idziesz? że ludzie dobrze wychowani od razu pojmują znaczenie takiego zapytania, które można by nazwać zapytaniem pożegnalnym.

Eugeniusz rzekł, jak mógł najmilej:

— Pani, spieszno mi było odwiedzić panią, żeby...

I urwał.

Drzwi się otworzyły, a na progu pokazał się niespodzianie jegomość, który przyjechał w tilbury. Nie miał kapelusza i nie powitał hrabiny, tylko spojrzawszy badawczo na Eugeniusza, wyciągnął rękę do Maksyma: „Dzień dobry" — rzekł do niego z braterską poufałością, która zdziwiła wielce Eugeniusza. Młodzieńcy z prowincji nie rozumieją słodyczy życia we troje.

— Pan de Restaud — rzekła hrabina, wskazując studentowi swego męża.

Eugeniusz złożył ukłon głęboki.

— To jest pan de Rastignac — mówiła dalej, przedstawiając Eugeniusza hrabiemu de Restaud — spokrewniony przez Marcillaców z wicehrabiną de Beauséant. Miałam przyjemność poznać pana na ostatnim balu u wicehrabiny.

Spokrewniony przez Marcillaców z wicehrabiną de Beauséant! Hrabina wymówiła te słowa prawie przesadnie, z pewnym rodzajem dumy, której doznaje pani domu mogąca dowieść, że przyjmuje u siebie tylko ludzi dystyngowanych.

Pod czarodziejskim wpływem słów powyższych hrabia ożywił się i porzucił swój sposób obejścia się oziębły i ceremonialny.

— Jakżem rad poznać pana — rzekł kłaniając się studentowi.

Nawet hrabia Maksym de Trailles porzucił naraz ton wyzywająco-zuchwały i zmierzył studenta wzrokiem niespokojnym. Jedno nazwisko, potężne jak skinienie laski czarodziejskiej, otworzyło naraz owe trzydzieści skrytek w mózgu południowca i powróciło mu cały zapas przygotowanego dowcipu. Niespodziewane światło rozjaśniło przed nim ciemną dotychczas atmosferę wyższego towarzystwa paryskiego. Gospoda Vauquer z ojcem Goriot była w tej chwili daleko od jego myśli.

— A ja sądziłem, że ród Marcillaców wygasł — rzekł hrabia de Restaud do Eugeniusza.

— Tak jest, panie hrabio — odparł student. — Mój dziad stryjeczny, kawaler de Rastignac, ożenił się z dziedziczką rodziny Marcillaców i miał jedną tylko córkę, która wyszła za marszałka de Clarimbault, rodzonego dziada pani de Beauséant. My stanowimy linię młodszą, tym biedniejszą, że dziad mój stryjeczny, wiceadmirał, postradał całe mienie służąc królowi. Rząd rewolucyjny nie chciał uwzględnić naszych wierzytelności przy likwidacji kompanii indyjskiej.

— Czy czasami pański dziad stryjeczny nie dowodził „Vengeurem" przed rokiem 1789?

— Tak jest właśnie.

— W takim razie musiał znać mego dziada, który dowodził „Warwickiem".

Maksym wzruszył ramionami i spojrzał na panią de Restaud, jak gdyby chciał powiedzieć: „Zginęliśmy, bo oni myślą rozprawiać o marynarce. Anastazja pojęła spojrzenie pana de Trailles i uśmiechnąwszy się z niepojętą potęgą, właściwą kobietom, zawołała:

— Panie Maksymie, proszę ze mną, mam pana o coś poprosić. — Wam zaś, panowie, pozwalamy płynąć w jedne drogę na Warwicku i Vengeurze. — Po czym wstała i skinąwszy niby zdradziecko na Maksyma, skierowała się ku buduarowi. Zaledwie ta para morganatyczna (piękny wyraz niemiecki, który nie ma odpowiedniego we francuskim języku) zbliżyła się do drzwi, gdy hrabia przerwał rozmowę z Eugeniuszem.

— Anastazjo, zostań, proszę cię, moja droga — zawołał z niechęcią — wiesz przecie, że...

— Natychmiast, natychmiast powracam — przerwała hrabina — mam tylko poprosić o coś Maksyma.

I w istocie powróciła zaraz. Wszystkie kobiety, które stosują się do charakteru męża, żeby tym bezpieczniej dogadzać swym zachciankom, wiedzą, jak daleko zajść można, nie narażając się na utratę nieocenionego zaufania, i starają się ustępować zawsze, gdy chodzi o jaką drobnostkę. Hrabina poznała też po głosie hrabiego, że niebezpiecznie byłoby zatrzymywać się długo w buduarze. Główną przyczyną nieprzyjemności był student, toteż pani ukazała nań pogardliwym ruchem Maksymowi, który zwracając się do wszystkich trojga, rzekł bardzo epigramatycznie:

— Wiecie co, państwo? Widzę, żeście bardzo zajęci, nie będę więc przeszkadzał. Do zobaczenia. — I wyszedł.

— Zostań, panie Maksymie! — zawołał książę.

— Przyjdź pan na obiad — rzekła hrabina, idąc znów za Maksymem do pierwszego salonu, gdzie zatrzymali się oboje sądząc, że pan de Restaud pożegna tymczasem Eugeniusza.

Rastignac słyszał, jak raz wraz śmieli się, rozmawiali i znów oczekiwali w milczeniu; ale student złośliwy wyczerpywał cały dowcip, pochlebiał hrabiemu i wciągał go w dysputy, byle tylko doczekać powrotu hrabiny i zbadać, jakiego rodzaju były jej stosunki z Goriotem. Ta kobieta, zakochana w Maksymie, przewodząca nad mężem i złączona tajemnie ze starym fabrykantem makaronu, była dlań zagadką wielką. Chciał koniecznie przeniknąć tajemnicę, za pomocą której spodziewał się zapanować nad tą prawdziwą paryżanką.

— Anastazjo! — zawołał znów hrabia na żonę.

— Cóż robić, biedny mój Maksymie, trzeba zrezygnować — rzekła hrabina do młodego człowieka. — Do wieczora...

— Spodziewam się, Naściu — szepnął jej Maksym do ucha — że nadal nie będziesz przyjmować tego młodzieńca, którego oczy rozżarzały się jak węgle, gdy się twój peniuar cokolwiek rozchylał. On nie zaniedbałby oświadczyć się tobie, przez co mógłby cię narazić, a ja byłbym zmuszony go zabić.

— Czyś ty rozum stracił, Maksymie? — odparła. — Ci mali studenci są przeciwnie doskonałymi konduktorami, które strzegą nas od piorunów. Już ja nie zaniedbam podburzyć Restauda przeciw niemu.

Maksym rozśmiał się i wyszedł wraz z hrabiną, która stanęła przy oknie, chcąc widzieć go jeszcze, gdy będzie wsiadał i klaśnie z bata, by pobudzić konia do szybkiego biegu. Odeszła od okna wtedy dopiero, gdy zobaczyła, że się za nim brama zamknęła.

— Co powiesz na to, moja droga — zawołał hrabia, gdy weszła do pokoju — wszak majątek, w którym mieszka rodzina pana de Rastignac, leży niedaleko od Verteuil nad Charente. Dziad stryjeczny pana de Rastignac znał osobiście mego dziada.

— Jestem zachwycona prawdziwie, żeśmy tak blisko znajomi — rzekła hrabina z roztargnieniem.

— Bliżej niż pani sądzi — odparł Eugeniusz z cicha.

— Jak to? — zapytała żywo.

— Widziałem właśnie — odrzekł student — jak od pani wychodził ojciec Goriot, najbliższy mój sąsiad, z którym mieszkam w jednym domu.

Słysząc to nazwisko poprzedzone wyrazem ojciec, hrabia przestał rozgrzebywać węgle na kominku i rzucił szczypce w ogień z taką gwałtownością, jak gdyby poparzył sobie palce.

— Można było nazwać go panem Goriot — zawołał powstając.

Hrabina zbladła widząc niecierpliwość męża, potem zarumieniła się, nie mogąc ukryć pomieszania i rzekła niby niedbale, starając się nadać głosowi zwykłe brzmienie:

— To pewna, że nie ma na świecie drugiego człowieka, który by zasługiwał więcej na nasze przywiązanie...

Nie domówiła i spojrzała na fortepian, jak gdyby nagle zachcianka jakaś przyszła jej do głowy.

— Czy pan lubi muzykę? — spytała.

— Bardzo — odparł Eugeniusz czerwieniąc się i mieszając na myśl, że musiał popełnić potężne jakieś głupstwo.

— Czy pan śpiewa? — zapytała siadając do fortepianu i przebiegając gwałtownie po wszystkich klawiszach od basowego *c* aż do najwyższego *f* . Rrrrah!

— Nie, pani.

Hrabia de Restaud przechadzał się wzdłuż i wszerz pokoju.

— To szkoda, pozbawiłeś się pan znakomitego środka powodzenia.

Ca-a-ro, ca-a-a-ro, ca-a-a-a-ro non du-bi-ta-re, zaśpiewała hrabina.

Nazwisko ojca Goriot było znów niby skinieniem różdżki czarnoksięskiej, tylko skutek był wręcz przeciwny temu, jaki sprawiły słowa: krewny pani de Beauséant. Eugeniusz znajdował się w położeniu człowieka, którego amator osobliwości zaprosił łaskawie do swego mieszkania, a on, niebaczny, potrącił szafę z figurami rzeźbionymi i zrzucił trzy czy cztery główki niedobrze umocowane. Biedak rzuciłby się chętnie w przepaść. Twarz pani de Restaud przybrała wyraz chłodny i surowy, a oczy obojętne unikały wzroku nieszczęśliwego studenta.

— Pani życzy zapewne pomówić z panem de Restaud — wyrzekł — proszę przyjąć zapewnienie najgłębszego szacunku i pozwolić mi...

— Ilekroć tylko zechcesz pan przyjść — rzekła hrabina pośpiesznie, zatrzymując Eugeniusza skinieniem — bądź pan pewien, że zrobisz największą przyjemność i mnie i hrabiemu de Restaud.

Eugeniusz złożył głęboki ukłon przed obojgiem i wyszedł w towarzystwie pana de Restaud, który nie zważając na prośby studenta przeprowadził go aż do przedpokoju.

— Ile razy ten pan przyjdzie — rzekł hrabia do Maurycego — ani pani hrabina, ani ja nie będziemy w domu.

Wyszedłszy za drzwi, Eugeniusz spostrzegł dopiero, że deszcz pada. — Masz tobie, powiedział, przyszedłem po to, by popełnić niezręczność, której nie pojmuję przyczyny ani doniosłości, a do tego zniszczę sobie odzienie i kapelusz. Lepiej było siedzieć w kącie i ślęczeć nad prawem, myśląc o tym tylko, żeby zostać kiedyś surowym prawnikiem. Czyż ja mogę bywać w świecie, skoro, chcąc się w nim obracać swobodnie, potrzeba całej góry powozów, butów lakierowanych, drobnostek nieodzownie potrzebnych, łańcuchów złotych, zamszowych rękawiczek po sześć franków na rano, a na wieczór innych i to koniecznie żółtego koloru! Ten Goriot to stary kiep, ot co!

Miał już wyjść na ulicę, gdy spostrzegł karetę najemną, którą zapewne odjechali jacyś młodzi małżonkowie. Woźnica pragnął widocznie zrobić kilka przemycanych kursów na własną korzyść, bo skinął na Eugeniusza, który stał bez parasola w czarnym odzieniu, białej kamizelce, żółtych rękawiczkach i butach błyszczących. Eugeniusza opanował ów szał głuchy, popychający młodzież w głąb przepaści, do której się zbliżyli, z taką szybkością, jak gdyby na dnie była nadzieja szczęśliwego wyjścia. Skinął więc głową na znak zgody i wszedł do powozu, w którym leżały jeszcze szczątki pomarańczowych kwiatów i parę strzępków srebrzystej tkaniny, świadcząc o przejeździe młodej pary.

— Dokąd pan jedzie? — zapytał woźnica, który zdjął już białe rękawiczki.

— Ha! — zawołał w duchu Eugeniusz — kiedym się już raz puścił tą drogą niechże przynajmniej wiem, dlaczego! Jedź do pałacu Beauséant — rzekł głośno.

— Do którego? — zapytał woźnica.

To potężne słowo zmieszało Eugeniusza. Świeżo upieczony wykwintniś nie wiedział, że były dwa pałace Beauséant, nie przeczuwał, że miał potężny zastęp krewnych, nie dbających wcale o niego.

— Do wicehrabiego de Beauséant, ulica...

— De Grenelle — przerwał woźnica, kiwając głową. Bo to widzi pan, jest jeszcze pałac hrabiego i markiza de Beauséant na ulicy Saint-Dominique — dodał podnosząc stopień od powozu.

— Wiem o tym — odparł Eugeniusz sucho. — Dziś wszyscy chyba kpią ze mnie! — zawołał rzucając kapelusz na przednie siedzenie. — Jeszcze za to błazeństwo będę musiał po królewsku zapłacić. Ale za to odwiedzę moją mniemaną kuzynkę w sposób prawdziwie arystokratyczny. Ten stary łotr Goriot kosztuje mnie już przynajmniej dziesięć franków. Daję słowo, opowiem mą przygodę pani de Beauséant, może to ją rozśmieszy. Ona zna pewnie tajemnicę występnych stosunków między tym szczurem bez ogona, a ową piękną hrabiną. Wolę przypodobać się kuzynce, niż otrzeć się o tę kobietę niemoralną, która, o ile

mi się zdaje, musi być bardzo kosztowna. Jeżeli samo imię pięknej wicehrabiny jest tak potężne, jakiż to dopiero wpływ musi wywierać jej osoba? Spróbujmy sięgnąć jak można najwyżej. Trzeba brać samego Boga za cel, jeżeli chcemy zdobyć coś w niebie.

Te słowa są krótką formułą tysiąca i jednej myśli, które się snuły po głowie studenta. Odzyskał nieco spokoju i pewności siebie, widząc, że deszcz nie przestaje padać. Powiedział sobie, że straci wprawdzie dwie drogocenne monety stusoldowe, ale za to uchroni od zniszczenia odzienie, kapelusz i buty. Nie bez radości posłyszał wreszcie głos woźnicy, który zawołał:

— Proszę otworzyć bramę!

Szwajcar w czerwonej wygalonowanej liberii otworzył bramę pałacu, a Eugeniusz patrzył z błogim zadowoleniem, jak kareta jego okrążyła dziedziniec i zatrzymała się u podjazdu. Woźnica w grubym płaszczu niebieskim z czerwonym obszyciem przyszedł spuścić stopień karety. Wysiadając Eugeniusz posłyszał w przedsionku śmiech tłumiony. Trzech czy czterech lokai wyśmiewało się już z powozu, który najmowano na wszystkie biedniejsze śluby. Student pojął ten śmiech w chwili, gdy porównał swą karetę z innym powozem stojącym nieco dalej.

Był to jeden z najwykwintniejszych powozów paryskich, zaprzężony parą gorących rumaków, z których każdy miał róże za uszami i gryzł niecierpliwie wędzidło. Woźnica upudrowany i wystrojony trzymał je silnie, jak gdyby lada chwila gotowe były zerwać się do biegu. Na Chaussée d'Antin, przed domem pani de Restaud, Eugeniusz oglądał wykwintny kabriolecik dwudziestosześcioletniego młodzieńca, tutaj na przedmieściu Saint-Germain miał go olśnić zbytek magnata, którego powóz musiał kosztować przeszło trzydzieści sześć tysięcy franków.

— Któż tam jest znowu? — rzekł Eugeniusz do siebie — pojmując trochę za późno, że w Paryżu musi być mało kobiet niezajętych i że za cenę krwi nawet niełatwo zdobyć sobie jedną z tych królowych.

— Do licha! kuzynka musi mieć także swego Maksyma!

Wszedł na ganek ze śmiertelną trwogą w duszy. Drzwi oszklone otwarły się przed nim, a lokaje przyjęli go z poważną miną osła, którego czeszą zgrzebłem. Ów bal, na którym był Eugeniusz, odbywał się w wielkich parterowych salonach pałacu Beauséant. Rastignac nie miał czasu złożyć wizyty między zaprosinami i balem, nigdy więc jeszcze nie był w apartamentach pani de Beauséant i miał po raz pierwszy oglądać cuda tej elegancji osobistej, w której przebija się dusza i obyczaje kobiety wyższego świata. Było to studium tym ciekawsze, że salon pani de Restaud mógł służyć do porównania.

Wicehrabina przyjmowała od pół do piątej; gdyby więc Eugeniusz przybył o pięć minut wcześniej, to nie mógłby oglądać kuzynki. Poprowadzono go przez schody o złoconej poręczy, pełne kwiatów i wysłane dywanem pąsowym. Student, co nie miał pojęcia o rozlicznych subtelnościach etykiety paryskiej, nie znał również biografii pana de Beauséant, a była to jedna z owych zmiennych historii, które co wieczór opowiada się na ucho w salonach paryskich.

Od trzech lat wicehrabina utrzymywała ścisłe stosunki z margrabią d'Adjuda-Pinto, jednym z najznakomitszych i najbogatszych magnatów portugalskich. Był to jeden z tych związków niewinnych, który ma tyle uroku dla ludzi, że nie chcą dzielić się swym szczęściem z trzecią osobą. Wicehrabia de Beauséant dał dobry przykład publiczności, szanując, może wbrew swej woli, ów związek morganatyczny. W początku istnienia tej przyjaźni, wszyscy znajomi, zgromadzający się o drugiej po południu w salonie wicehrabiny, zaczęły spotykać u niej codziennie markiza d'Adjuda-Pinto. Nie mogąc zamknąć drzwi swego domu, gdyż byłoby to bardzo nieprzyzwoicie, pani de Beauséant przyjmowała odwiedzających tak ozięble i wpatrywała się tak uporczywie w gzyms u sufitu, że wreszcie pojęli, iż są natrętnymi gośćmi. Wkrótce rozpowiadano sobie w Paryżu, że wizyty między drugą a czwartą po południu krępują panią de Beauséant i od tej pory pozostawiono ją w najzupełniejszej samotności. Bywała wprawdzie na komedii lub na operze w towarzystwie pana de Beauséant i pana d'Adjuda-Pinto, ale pan de Beauséant umiał żyć na świecie, towarzyszył więc żonie aż na miejsce, a później usuwał się, zostawiając ją z Portugalczykiem. Pan d'Adjuda miał się żenić z panną de Rochefide. W całym wyższym świecie jedna tylko osoba nie wiedziała nic o małżeństwie zamierzonym, a osobą tą była pani de Beauséant.

Przyjaciółki wprawdzie nie zaniedbały nadmienić coś o tym, lecz ona się śmiała, sądząc, że ludzie zazdroszczą jej szczęścia i dlatego chcieliby je zatruć. Tymczasem nadchodził czas zapowiedzi. Piękny Portugalczyk przyszedł oznajmić wicehrabinie o swym małżeństwie, ale siedział długo nie odważając się ani słówka powiedzieć w tym przedmiocie. Dlaczego? Bo chyba nie ma nic trudniejszego, jak oznajmić kobiecie podobne ultimatum. Są ludzie, co woleliby stanąć wobec przeciwnika godzącego w nich ostrzem szpady, niż znajdować się przy kobiecie, która wywodzi elegie przez dwie godziny, a potem woła o ratunek i pada jak nieżywa. Otóż i pan d'Adjuda-Pinto siedział jak na węglach rozżarzonych i chciał już wychodzić tłumacząc sobie, że pani Beauséant dowie się tej nowiny bez niego, że wreszcie on sam napisze do niej, gdyż na piśmie łatwiej będzie popełnić to grzeczne morderstwo. Toteż markiz drgnął z radości, gdy kamerdyner hrabiny przyszedł oznajmić przybycie pana Eugeniusza de Rastignac. Trzeba wam wiedzieć, że kobieta kochana więcej jeszcze ma daru do tworzenia przypuszczeń podejrzliwych, niż do wymyślania coraz to nowych przyjemności. Gdy ma być opuszczona, to zgaduje myśl ukrytą w najlżejszym skinieniu. Pojmiecie więc, że przed okiem pani de Beauséant nie ukryło się owo drgnienie mimowolnie, lecz niemniej przerażające. Eugeniusz nie wiedział, że w Paryżu, chcąc bywać u kogoś, trzeba wpierw poprosić przyjaciół domu, by opowiedzieli historię męża, żony lub dzieci, w przeciwnym bowiem razie można popełnić jedno z tych głupstw, do których zastosowano w Polsce malownicze przysłowie: „Zaprzęgajcie woły do woza!" po to zapewne, by czym prędzej wycofać się z nieprzyjemnego położenia. We Francji taki niefortunny zwrot rozmowy nie ma jeszcze nazwy właściwej, trudno nawet przypuścić, żeby się mógł zdarzyć wobec niezmiernie rozpowszechnionej obmowy. Eugeniusz uwikłał się już w jedno głupstwo u pani Restaud, która nie pozwoliła mu nawet zaprząc wołów do woza, a tu u pani de Beauséant mógł rozpocząć na nowo zawód poganiacza. Zdarzyło się jednak, że student, który krępował tak nielitościwie panią de Restaud i pana de Trailles, wybawił pana d'Adjuda z wielkiego kłopotu.

— Żegnam panią — rzekł Portugalczyk idąc pośpiesznie ku drzwiom w chwili, gdy Eugeniusz wchodził do saloniku przystrojonego materią szarą i różową tak zalotnie, że zbytek ukrywał się pod osłoną wdzięku.

— Ale do wieczora tylko — rzekła hrabina zwracając głowę ku margrabiemu. — Przecie idziemy dziś na komedię?

— Nie mogę — odparł margrabia biorąc za klamkę.

Pani de Beauséant wstała i przywołała go ku sobie, nie zwracając wcale uwagi na Eugeniusza, który stał olśniony czarodziejskim blaskiem bogactwa, gotów uwierzyć w tej chwili w rzeczywistość bajek arabskich, i nie wiedział, gdzie się ukryć przed kobietą, która nie zwracała nań najmniejszej uwagi. Wicehrabina podniosła wskazujący palec prawej ręki i ruchem pełnym wdzięku wskazała markizowi miejsce obok siebie. W ruchu tym był tak gwałtowny despotyzm namiętności, że margrabia zdjął rękę z klamki i powrócił. Eugeniusz spojrzał nań bez zazdrości.

— Oto jest — rzekł w duchu — właściciel powozu. Trzebaż mieć konie rącze, liberie i strugi złota, żeby zasłużyć na jedno spojrzenie kobiety paryskiej?

Demon zbytku wpił mu się w serce, gorączka zysku opanowała go paląc wnętrzności pragnieniem złota. A pamiętał, że ma tylko sto trzydzieści franków na kwartał. Jego ojciec, matka, bracia, siostry i ciotka przeżywają wszyscy razem niespełna dwieście franków na miesiąc. Osłupiał do reszty porównywając położenie obecne z celem, który należało osiągnąć.

— Dlaczego nie możesz pan być w teatrze? — zapytała śmiejąc się wicehrabina.

— Różne sprawy. Mam być dziś na obiedzie u posła angielskiego.

— Porzuć pan dzisiaj wszystkie sprawy!

Kto kłamie, ten musi koniecznie dodawać kłamstwo do kłamstwa. Pan d'Adjuda zaśmiał się:

— Czy pani tego żąda? — zapytał.

— Tak jest.

— To właśnie pragnąłem usłyszeć — zawołał z wyrazistym spojrzeniem, które by uspokoiło każdą inną kobietę. Ujął rękę wicehrabiny, złożył na niej pocałunek i wyszedł.

Eugeniusz przeciągnął ręką po włosach i już miał się ukłonić sądząc, że pani de Beauséant z kolei o nim pomyśli; ale wicehrabina zerwała się nagle i pobiegła pędem ku

galerii, tam stanęła przy oknie patrząc, jak pan d'Adjuda wsiadał do powozu, po czym nadstawiła ucha i posłyszała, jak hajduk powtórzył woźnicy: Do pana de Rochefide.

Słowa te i sposób, w jaki pan d'Adjuda rzucił się w głąb powozu, raziły jak gromem wicehrabinę, która odeszła od okna przejęta trwogą śmiertelną. W wielkim świecie katastrofy najstraszliwsze powstają z takiego źródła. Pani de Beauséant weszła do swej sypialni, siadła przy stoliku i położywszy przed sobą arkusik pięknego papieru, napisała, co następuje:

„Winieneś mnie pan objaśnić, dlaczego jesteś na obiedzie u Rochefidów, a nie w ambasadzie angielskiej; oczekuję pana".

Poprawiła kilka liter, które wyszły niewyraźnie spod drżącej ręki; po czym podpisała *K*, co miało znaczyć Klara de Bourgogne, i zadzwoniła.

— Jakubie — powiedziała do wchodzącego kamerdynera, pójdziesz o wpół do ósmej do pana de Rochefide i zapytasz o markiza d'Adjuda. Jeżeli znajdziesz pana markiza, oddasz mu list i nie będziesz czekał odpowiedzi; jeżeli zaś nie, to powrócisz i odniesiesz mi list.

— W salonie ktoś czeka na jasną panią.

— Ach, prawda — powiedziała otwierając drzwi.

Eugeniusz zaczynał się już niepokoić, gdy wreszcie ujrzał wicehrabinę.

— Przepraszam — rzekła głosem wzruszonym, od którego serce mu zadrżało — musiałam napisać parę słów, ale teraz służę panu.

Nie wiedziała sama co mówi, bo cała zaprzątnięta była jedną myślą. — Więc markiz chce się ożenić z panną Rochefide? Lecz jest że on swobodny? Dziś wieczorem małżeństwo to musi się rozchwiać lub ja... Nie, jutro o tym mowy nawet nie będzie.

— Kuzynko... — wyrzekł Eugeniusz.

— Hę? — i wicehrabina zmierzyła studenta wzrokiem karcącym, od którego zimno mu się zrobiło.

Eugeniusz zrozumiał to: hę. Od trzech godzin pojął już tyle rzeczy, że miał się na baczności.

— Pani hrabino — rzekł rumieniąc się.

Zawahał się, po czym mówił dalej:

— Niech pani raczy darować; potrzeba mi tak bardzo protekcji, że najdalsze powinowactwo byłoby dla mnie rzeczą pożądaną.

Pani de Beauséant uśmiechnęła się, ale niewesoło; czuła, że już nieszczęście napełniało otaczającą ją atmosferę.

— Gdyby pani wiedziała, w jakim położeniu znajduje się moja rodzina — mówił dalej Eugeniusz — przyjemnie byłoby pani wystąpić w roli owej wróżki bajecznej, lubiącej usuwać wszelkie zawady z drogi swych chrzestniaków.

— Niechże i tak będzie! — odparła śmiejąc się — cóż mogę dla ciebie zrobić, kuzynie?

— Alboż ja wiem? Dość mi już szczęścia, żem połączony z panią węzłem pokrewieństwa, ginącym w dalekiej pomroce. Zmieszałaś mnie pani i nie wiem już sam, co miałem powiedzieć. W całym Paryżu znam jedne tylko osobę, a tą osobą ty jesteś pani. Ach! chciałem zasięgnąć rady pani i prosić, byś mnie przyjęła, jak biedne dziecię, które pragnie uczepić się twej sukni i potrafiłoby umrzeć dla ciebie, pani.

— Czy mógłbyś pan zabić kogo dla mnie?

— Zabiłbym dwóch nawet! — zawołał Eugeniusz.

— Dziecko! Tak, dziecko z pana — rzekła połykając łzy. — Widzę, że kochałbyś szczerze!

— O! — zawołał wstrząsając głową.

Ambitna odpowiedź studenta interesowała żywo wicehrabinę, ze strony południowca zaś był to pierwszy wyrachowany postępek. W buduarze niebieskim pani de Restaud i salonie różowym pani de Beauséant odbył trzyletnie studia *Prawa paryskiego*, o którym ludzie nie zwykli wiele mówić, choć jest to wysoka nauka społeczna, mogąca niezmiernie daleko zaprowadzić każdego, kto ją dobrze posiada i umie użyć stosownie.

— A, rozumiem! — rzekł Eugeniusz. — Na balu u pani, widziałem panią de Restaud i dziś z rana poszedłem do niej.

— Obecność pańska musiała okrutnie ją krępować — rzekła pani de Beauséant z uśmiechem.

— A tak, bo też ze mnie taki nieuk, że wszystkich oburzę na siebie, jeżeli pani odmówi mi swej pomocy. Zdaje mi się, że w Paryżu niezmiernie trudno znaleźć kobietę młodą, piękną, bogatą i wykwintną, która by przy tym wszystkim była niezajęta, a mnie właśnie potrzeba takiej, co by mnie nauczyła żyć, bo kobiety najlepiej umieją wykładać tę naukę. Przeczuwam jednak, że wszędzie znajdę jakiegoś pana de Trailles. Chciałem prosić panią o rozwiązanie pewnej zagadki i o wytłumaczenie, jakiego to rodzaju głupstwo zdarzyło się mi popełnić dzisiaj. Mówiłem o jakimś ojcu...

— Jaśnie oświecona księżna de Langeais — rzekł Jakub — przerywając studentowi, który zrobił ruch człowieka mocno rozdrażnionego.

— Jeżeli chcesz pan mieć powodzenie — szepnęła wicehrabina — pamiętaj, byś nie zdradzał tak łatwo swych uczuć.

— Ach, dzień dobry najdroższa — zawołała idąc na spotkanie księżnej i ściskając jej ręce z takim wylaniem serdecznym, jak gdyby witała siostrę rodzoną.

Księżna odpowiedziała wdzięcznym przymileniem.

— To dwie przyjaciółki serdeczne — rzekł Rastignac do siebie. Będę więc miał odtąd dwie protektorki, obie muszą mieć upodobania jednakie, a więc i ta zajmie się mym losem.

— Jakiejże to szczęśliwej myśli zawdzięczam twą obecność, najdroższa Antonino? — zapytała pani de Beauséant.

— Widziałam właśnie, jak pan d'Adjuda-Pinto wchodził do pana de Rochefide i sądziłam, żeś ty sama jedna.

Pani de Beauséant nie zagryzła ust ani się zarumieniła, oczy jej spoglądały tak jak i przedtem, a czoło zdawało się wyjaśniać, gdy księżna wymawiała złowrogie wyrazy.

— Gdybym wiedziała, żeś zajęta... — dodała księżna zwracając się ku Eugeniuszowi.

— To pan de Rastignac, jeden z mych kuzynów — rzekła wicehrabina. — Czy nie masz wiadomości o jenerale de Montriveau? Sérizy mówiła mi wczoraj, że go wcale nie widać, czy nie był dziś u ciebie?

Powiadano, że pan de Montriveau opuścił księżnę, która była w nim szalenie rozkochana; to też zapytanie przyjaciółki ukłuło ją w serce i odparła zarumieniona:

— Wczoraj był w pałacu Elizejskim.

— Z obowiązku służbowego — dorzuciła pani de Beauséant.

— Musisz już wiedzieć, Klaro — odparła księżna ze wzrokiem błyszczącym złośliwością — że jutro wyjdą zapowiedzi pana d'Adjuda-Pinto i panny Rochefide.

Był to cios zbyt gwałtowny, wicehrabina zbladła i zaśmiała się.

— To plotka, którą się głupcy bawią — odparła. — Czyżby pan d'Adjuda rzucił Rochefidom jedno z najpiękniejszych imion Portugalii? Przecież Rochefidowie to taka świeża szlachta!

— Ale Berta będzie miała, jak mówią, dwieście tysięcy liwrów dochodu.

— Pan d'Adjuda zbyt jest bogaty, aby się miał bawić w podobne rachuby.

— A!

— Ależ, moja droga, panna de Rochefide jest zachwycająca.

— Wreszcie markiz zaproszony dziś do nich na obiad, warunki już są ułożone. Dziwi mnie niezmiernie, że ty wiesz o tym tak mało.

— Jakież to głupstwo popełniłeś pan dzisiaj panie de Rastignac? — zapytała pani de Beauséant. — To biedne dziecko tak niedawno znalazło się na świecie, że nic a nic nie rozumie, co my mówimy, najdroższa Antonino. Odłóżmy ten przedmiot do jutra, zrób to dla niego. Jutro, widzisz, cała ta sprawa będzie już miała charakter urzędowy, i ty będziesz mogła głosić na pewno.

Księżna zwróciła na Eugeniusza wzrok wyzywający, co to ogarnia człowieka od nóg do głowy, spłaszcza go i zniża do wartości zera.

— Bezwiednie wbiłem sztylet w serce pani de Restaud. Uczyniłem to bezwiednie i w tym leży błąd mój cały — rzekł student, który miał dosyć sprytu, by odkryć krwawe przycinki obydwóch kobiet, ukryte pod zasłoną czułych słówek. — Można się nawet obawiać człowieka, który z całą świadomością ból nam zadaje, ale ten, co uderza nie wiedząc nawet, czy rani głęboko, uchodzi za głupca niezręcznego, który nie umie korzystać ze sposobności i zasługuje na pogardę.

Pani de Beauséant rzuciła na studenta spojrzenie powłóczyste, którym dusze wzniosłe umieją wyrażać wdzięczność połączoną z godnością.

W spojrzeniu tym był balsam na serce studenta, zranione wzrokiem taksatora, jakim go księżna zmierzyła.

— Proszę sobie wyobrazić — ciągnął dalej Eugeniusz — że udało mi się właśnie zdobyć przychylność hrabiego de Restaud; gdyż — rzekł, zwracając się do księżnej, a ton jego mowy był pokorny i złośliwy zarazem — trzeba pani wiedzieć, że ze mnie tylko mizerny student, opuszczony, biedny bardzo...

— Nie mów pan tego, panie de Rastignac. My kobiety nie przyjmujemy tego, czego nikt nie chce.

— Cóż robić! — zawołał Eugeniusz — liczę dopiero lat dwadzieścia dwa i muszę znosić przykrości właściwe memu wiekowi. Przy tym spowiadam się przed paniami, a przyjemnie uklęknąć przy tak pięknym konfesjonale; zgrzeszywszy przy jednym pośpieszamy do drugiego, by tam wyznać swą winę.

Księżna przybrała oziębłą powagę, słuchając tej mowy niereligijnej; chciała okazać, że znajduje ją niewłaściwą, i rzekła do wicehrabiny:

— Pan de Rastignac przybywa pewnie...

Pani de Beauséant zaczęła się śmiać szczerze i z kuzyna swego, i z księżnej.

— Przybywa, moja droga, starać się o nauczycielkę, co by się podjęła nauczyć go dobrego tonu.

— Pani — rzekł Eugeniusz do księżnej — cóż dziwnego, że chcemy zgłębić to, co was zachwyca? (Jednak — rzekł w duchu zdaje mi się, że niemądrze jakoś do nich przemawiam).

— Ależ pani de Restaud jest, zdaje mi się, uczennicą pana de Trailles — rzekła księżna.

— Jam nic o tym nie wiedział — odparł student — i dlatego nierozważnie znalazłem się między nimi. Potrafiłem jednak porozumieć się z mężem i widziałem, że żona będzie mnie znosić przez czas pewien; ale przyszło mi do głowy przyznać się, że znam pewnego jegomości, który w moich oczach wyszedł z ich domu tajemnymi schodami, ucałowawszy poprzednio hrabinę w głębi ciemnego korytarza.

— Cóż to za jeden? — zapytały obie kobiety.

— Jest to pewien starzec z przedmieścia Saint-Marceau, wydatkujący tak jak i ja, nieborak, tylko dwa luidory na miesiąc. Biedak ten, z którego wszyscy się śmieją, nazywa się ojciec Goriot.

— Ach, jakież z pana dziecko! — zawołała pani de Beauséant — wszakże Goriot— to panieńskie nazwisko hrabiny de Restaud.

— Ona jest córką fabrykanta makaronu — dorzuciła księżna. — Może pamiętasz, Klaro? wszak osóbka ta prezentowała się u dworu jednego dnia z jakąś córką pasztetnika. Król zaczął się śmiać i powiedział po łacinie jakiś dowcip o mące. Powiedział, że to są ludzie, ach, jakże on ich nazwał? ludzie...

— *Ejusdem farinae* — podchwycił Eugeniusz.

— Tak, tak — rzekła księżna.

— Ach! więc to jej ojciec — zawołał student przerażony.

— Ależ tak; nieborak ma dwie córki, które kocha nad życie, jakkolwiek obie zaparły się go prawie zupełnie.

— Wszak druga wyszła zdaje się za mąż za jakiegoś bankiera o niemieckim nazwisku, za jakiegoś barona de Nucingen? — rzekła wicehrabina, spoglądając na panią de Langeais. — Zdaje się, że się ona nazywa Delfina. Czy nie będzie to tylko ta blondynka, która ma boczną lożę w Operze i bywa w teatrze Komicznym, gdzie zawsze śmieje się bardzo głośno, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

Księżna uśmiechnęła się: — Prawdziwie podziwiam cię, najdroższa. Z jakiej przyczyny zajmujesz się tak bardzo tymi ludźmi? Tylko szalenie rozkochany Restaud odważył się opylić mąką panny Anastazji. I nic na tym nie zyskał! Anastazja wpadła w ręce pana de Trailles, który ją zgubi.

— Obie zaparły się ojca — powtarzał Eugeniusz.

— A tak, ojca, ojca własnego — odrzekła wicehrabina — dobrego ojca, który, jak mówią, wyzuł się ze wszystkiego, zachowując dla siebie tylko od ośmiu do dziesięciu tysięcy liwrów dochodu, a każdej z nich dał pięćset czy sześćset tysięcy franków, byle tylko wydać je dobrze za mąż i zapewnić im przyszłość szczęśliwą. I spodziewał się, że

obie córki pozostaną dla niego córkami; sądził, że wydawszy je za mąż, podwoi swe własne życie, że znajdzie zawsze dwa domy, gdzie uwielbiać i pieścić go będą. Po upływie dwóch lat zięciowie wygnali go ze swego towarzystwa, jak ostatniego nędzarza...

Łzy zakręciły się w oczach Eugeniusza, który tak niedawno orzeźwił się pod wpływem czystych i świętych uczuć rodzinnych i nie mógł jeszcze utracić wiary młodzieńczej, bo pierwszy dzień przepędzał na placu boju cywilizacji paryskiej. Prawdziwe uczucie udziela się z taką siłą, że przez chwil kilka wszyscy troje spoglądali na siebie w milczeniu.

— O, mój Boże! — rzekła pani de Langeais — nie przeczę, że to się wydaje okropnym; jednak rzeczy podobne dzieją się co dzień przed naszymi oczyma. Jakiż powód w tym leży? Powiedz, najdroższa, czyś ty kiedy pomyślała, co to znaczy zięć? Zięć to znaczy człowiek, dla którego ty albo ja wychowamy kiedyś miluchną istotkę, połączoną z nami tysiącem węzłów, która przez lat siedemnaście będzie szczęściem rodziny, jej duchem białym, rzekłby Lamartine, a w końcu stanie się jej zakałą. Człowiek, który zabierze nam tę istotę, pochwyci wnet jej miłość niby topór ostry i zada ból sercu naszego anioła, wycinając wszystkie uczucia, które go z rodziną łączyły. Córka, która wczoraj wszystkim dla nas była i dla której my wszystkim byliśmy, stanie się jutro nieprzyjaciółką naszą. Czyż nie patrzymy co dzień na tę tragedię? Tu synowa dokucza jak może teściowi, który wszystko poświęca dla syna, tam zięć wygania świekrę za drzwi. I pytają, co dziś jest tragicznego w naszym społeczeństwie? Ależ sam dramat zięcia jest przerażający, że już nie wspomnę o małżeństwach naszych, które stały się czymś bardzo niezabawnym. Pojmuję doskonale, co się przytrafiło owemu staremu fabrykantowi makaronu. Przypominam coś sobie, że ten Foriot...

— Goriot — proszę pani.

— Tak jest, ten Moriot był podczas rewolucji naczelnikiem sekcji. Umiał on skorzystać ze sławnego głodu i zrobił początek majątku, biorąc za mąkę dziesięć razy drożej, niż sam zapłacił. Miał jej, ile tylko zapragnął. Rządca mej babki sprzedał mu niezmierną ilość mąki. Ten Goriot musiał, jak wszyscy owi ludzie, dzielić się z Komitetem dobra publicznego. Pamiętam, iż rządca zaręczał mej babce, że może przebywać bezpiecznie w Grandvilliers, gdyż posiadany zapas zboża był dla niej doskonałą kartą ochronną. Otóż ten Loriot, który sprzedawał zboże ścinaczom głów, podlega jednej tylko namiętności. Powiadają, że ubóstwia swe córki. Dla starszej usłał gniazdo wysoko w domu de Restaud, a drugą połączył z baronem de Nucingen, bogatym bankierem, który uchodzi za rojalistę. Pojmiecie państwo, że za czasów cesarstwa obaj zięciowie znosili u siebie starego przedstawiciela dziewięćdziesiątego trzeciego roku, uchodziło to jakoś przy Bonapartem. Ale po powrocie Burbonów poczciwiec nasz zaczął krępować bardzo pana de Restaud, a bardziej jeszcze pana barona. Być może, że córki nie przestały kochać ojca, toteż chciały tak zrobić, żeby i wilk był syty i koza cała; chciały dogodzić i ojcu i mężom; przyjmowały Goriota, gdy nie było nikogo więcej, i składały to na karb czułości. „Przychodź, ojczulku, najlepiej nam będzie, gdy będziemy sami" itd. Co do mnie, moja droga, zdaje mi się, że prawdziwe uczucie umie widzieć i pojmować: musiało więc krwawić serce biednego przedstawiciela dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Widział, że się córki rumienią za niego, że one kochają mężów, a on zięciom zawadza. Trzeba się było poświęcić. I nieborak poświęcił się, gdyż był ojcem; skazał się na dobrowolne wygnanie. Widząc zadowolenie córek, pojął, że dobrze zrobił. I ojciec i dzieci byli wspólnikami tej małej zbrodni. Wszędzie się to spotyka. Czyż taki ojciec Doriot nie wyglądałby jak plama dziegciowa w salonach swych córek? Nudziłby się i czułby, że nie jest na właściwym miejscu. To co spotkało owego ojca, może też spotkać każdą piękną kobietę ze strony najukochańszego człowieka; niech tylko znudzi go swą miłością, a porzuci ją natychmiast i gotów będzie popełnić czyn nikczemny, byle tylko uciec od niej. Wszystkie uczucia podlegają temu prawu. Serce nasze to skarbnica, wypróżnijmy je od razu i otośmy zrujnowani. Nie przebaczamy uczuciu, co się od razu wylało, jak nie przebaczamy również człowiekowi, który ani grosza nie posiada. Ojciec ów nie miał już nic do dania. Przez lat dwadzieścia nie żałował uczucia, miłości, a z majątku wyzuł się od razu . Cytryna była dostatecznie wyciśnięta i córki wyrzuciły szczątki na ulicę.

— Świat jest nikczemny — rzekła wicehrabina. Skubała szal ze spuszczonymi oczyma, gdyż była do żywego dotknięta słowami, które pani de Langeais do niej zastosowała,

opowiadając historię Goriota.

— Nikczemny? Nie — odparła księżna — idzie tylko zwykłym trybem. Mówię ci o nim w ten sposób, bo chcę przekonać, że znam go doskonale. Zresztą myślę tak jak ty — rzekła, ściskając ręce wicehrabiny. — Świat kałużą, starajmy się więc trzymać na miejscu najbardziej wyniosłym. — Wstała i złożyła pocałunek na czole pani de Beauséant: — Dziwnie piękną jesteś w tej chwili, najdroższa — wyrzekła. — Masz niewypowiedzianie piękne rumieńce.

Po czym spojrzała na kuzyna wicehrabiny, skinęła z lekka głowa i wyszła.

— Ojciec Goriot jest wzniosły! — zawołał Eugeniusz, przypominając sobie w tej chwili, jak starzec gniótł wśród nocy półmisek srebrny.

Pani de Beauséant wpadła w zadumę i nie słyszała słów jego.

Chwil kilka upłynęło w milczeniu, biedny student wpadł w dziwne jakieś odrętwienie i nie śmiał ani odejść, ani pozostać, ani przemówić.

— Świat jest nikczemny i zły — rzekła wreszcie wicehrabina. — Niech tylko nieszczęście jakie spadnie na nas, oto wnet znajdzie się przyjaciel, który pośpiesza oznajmić o tym i rozrywa serce ostrzem sztyletu, każąc tymczasem podziwiać rękojeść. I tu już jest sarkazm, pośmiewisko. Ach! ja bronić się będę. Podniosła głowę, jak prawdziwie wielka pani, a dumne jej oczy rzucały błyskawice. Ach! — zawołała, spostrzegłszy Eugeniusza — pan tu jesteś!

— Jeszcze — rzekł student żałośnie.

— A więc, panie de Rastignac, postępuj pan ze światem tak, jak na to zasługuje. Chcesz pan dorobić się przyszłości — ja ci dopomogę. Przekonasz się pan, jak głęboko sięga zepsucie kobiety i zmierzysz cały ogrom nędznej próżności ludzkiej. Jam tak pilnie czytała w tej księdze świata, a jednak znalazły się stronice, których nie znałam jeszcze. Teraz wiem już wszystko. Im chłodniej będziesz pan rachował, tym dalej zajdziesz. Kto bije bez litości, tego wszyscy się boją. Niech mężczyźni i kobiety będą w oczach pana końmi pocztowymi, które mogą sobie padać na każdej stacji, byle byś pan doścignął szczytu swych pragnień. Pojmujesz pan sam, że nie będziesz tu nic znaczył, jeżeli nie zasłużysz sobie na współczucie kobiety młodej, bogatej i wykwintnej. Jeżeli zaś obudzi się w panu uczucie prawdziwe, to ukrywaj je jak skarb jaki, żeby nikt się go nie domyślił, inaczej byłbyś zgubiony. Nie mógłbyś być katem i zostałbyś sam ofiarą. Jeżeli pokochasz pan kiedy, strzeż dobrze swej tajemnicy! Nie zdradzaj jej, zanim nie będziesz dobrze wiedział, przed kim otworzyć masz serce. Ucz się pan nie ufać światu, bo tylko takim sposobem zabezpieczysz ową nie istniejącą jeszcze miłość. Posłuchaj mię, Miguel... (Nie uważała, że tak naiwnie zamienia imię). Jest coś okropniejszego jeszcze, niż opuszczenie ojca przez obie córki, które życzą mu śmierci; to współzawodnictwo dwóch sióstr. Restaud pochodzi z dobrej rodziny, więc i żona jego została przyjęta do towarzystwa i przedstawiła się u dworu; ale jej siostra, bogata i piękna pani Delfina de Nucingen żona kapitalisty, umiera z żalu. Zazdrość ją pożera i nieprzebytą zaporą oddziela ją od siostry; Anastazja przestaje być siostrą dla niej i obie kobiety wyrzekają się jedna drugiej tak samo, jak wyrzekły się ojca. O! Pani de Nucingen wypiłaby wszystko błoto, jakie się znajduje od ulicy Saint-Lazare aż do ulicy Grenelle, byle za tę cenę wejść do mego salonu. Zdawało się jej, że de Marsay doprowadzi ją do celu, stała się więc jego niewolnicą i nudzi go i dręczy nieustannie. Ale de Marsay nie dba o nią. Otóż pan możesz ją wprowadzić do mego domu, a ręczę, że będzie cię ubóstwiała, że staniesz się odtąd jej Benjaminem. Pokochaj ją pan, jeżeli będziesz mógł, jeżeli zaś nie, to posługuj się przynajmniej jej osobą. Może być u mnie raz lub dwa razy na wielkim zebraniu wieczornym, gdy będzie tłum gości, ale z rana nigdy jej nie przyjmę. Przywitam ją, to jej wystarczy. Pan zamknąłeś sobie dom hrabiny, wymówiwszy imię ojca Goriot. Tak, mój drogi, nigdy już nie zastaniesz pan hrabiny de Restaud, choćbyś dwadzieścia razy chodził do niej. Raz na zawsze zakazano tam wpuszczać pana. Niechże teraz ojciec Goriot wprowadzi pana do Delfiny de Nucingen. Piękna baronowa będzie dla pana dobrym szyldem. Dosyć, byś został wybranym przez nią, to i inne będą przepadać za panem. I rywalki, i przyjaciółki najserdeczniejsze zechcą odbić jej zdobycz. Niektóre kobiety przywiązują się do człowieka wybranego już przez inną, tak jak biedne mieszczki ubierają się w nasze kapelusze w mniemaniu, że z nimi przyswoją sobie nasze maniery. Zdobędziesz pan sobie powodzenie, a w Paryżu

powodzenie wszystko znaczy, to klucz potęgi. Jeżeli kobiety osądzą, żeś pan wykształcony i utalentowany, to i mężczyźni podzielą ich zdanie, a od pana zależeć będzie, żeby się to przekonanie utrzymało. Potem możesz pan żądać wszystkiego, każda droga dla niego otwarta. I wtedy to poznasz pan, że świat jest gromadą głupców i oszustów, ale sam nie wchodź ani pomiędzy tych ani pomiędzy owych. Ja daję panu swoje imię jako nić Ariadny, która poprowadzi cię przez ten labirynt. Nie narażaj pan mego imienia — rzekła, wyciągając szyję i rzucając na studenta wejrzenie królowej — i oddaj mi je nieskalane. Teraz idź pan i zostaw mnie samą. I my kobiety musimy też czasem staczać bitwy.

— Może będziesz pani potrzebowała człowieka dobrej woli, który bez wahania przyłożyłby lont do miny prochowej? — przerwał Eugeniusz.

— A gdyby? — spytała wicehrabina.

Eugeniusz uderzył się w piersi, odpowiedział uśmiechem na uśmiech kuzynki i wyszedł.

Była piąta po południu; Eugeniusz był głodny i niepokoił się myślą, że może spóźnić się na obiad. Dzięki tej obawie ocenił, co to za szczęście przebywać szybko w powozie ulice Paryża. Pod wpływem tego czysto machinalnego zadowolenia, oddał się cały prądowi swych myśli. Młodzieniec w jego wieku, dotknięty pogardą, unosi się, szaleje, wygraża pięścią całemu społeczeństwu i chciałby się zemścić i wątpi o sobie. Rastignaca przytłaczał w tej chwili ciężar słów okrutnych: „Zamknąłeś przed sobą dom hrabiny".

— Pójdę! — zawołał — a jeżeli pani de Beauséant prawdę powiedziała, jeżeli tam zakazano mnie wpuszczać... to ja... Pani de Restaud spotka mnie na wszystkich znanych jej salonach. Wyuczę się robić bronią, strzelać z pistoletu i zabiję jej Maksyma!

A pieniądze! wołało sumienie, skąd weźmiesz pieniędzy? I oto przepych roztoczony w domu hrabiny błysnął mu nagle przed oczyma. Panna Goriot z domu musiała się kochać w zbytku, w pozłocie, w kosztownych przedmiotach rzucających się w oczy w niesmacznym przepychu dorobkiewicza, w rozrzutności otaczającej kobietę lekkich obyczajów. Zjawisko to było olśniewające, a jednak rozprysło się bez śladu przed wspaniałym pałacem pani de Beauséant. Wyobraźnia Eugeniusza uniesiona w wysokie sfery towarzystwa paryskiego, rzuciła mu w serce posiew złych myśli, rozszerzyła głowę i sumienie. I spojrzał na świat trzeźwym okiem: zobaczył, że prawo i moralność bezsilne są wobec bogaczy, że bogactwo stanowi *ultima ratio mundi* . Vautrin ma słuszność, powiedział, bogactwo jest cnotą.

Znalazłszy się na ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, pobiegł szybko do swego mieszkania i wyniósł woźnicy dziesięć franków. W obmierzłej sali jadalnej znalazł już wszystkich osiemnastu stołowników zajadających jak zwierzęta przy drabinie stajennej. Obraz tej nędzy i widok brudnej sali wydały mu się teraz czymś niewypowiedzianie wstrętnym. Przeskok z jednej krańcowości do drugiej był tak gwałtowny, że w sercu studenta uczucie ambicji zaczęło się rozrastać nad miarę. Z jednej strony jaśniały świeże i wdzięczne obrazy towarzystwa najwykwintniejszego, oprawne w cuda sztuki i zbytku, o postaciach młodych i żywych, o głowach tchnących namiętnością i poezją: z drugiej były płótna złowrogie i poszarpane, wystawiające twarze, na których pozostał już tylko nagi mechanizm namiętności. Rastignac przywiódł sobie na myśl ponętne obietnice pani de Beauséant i wskazówki, których mu udzieliła, uniesiona gniewem kobiety opuszczonej; teraz wobec nędzy lepiej zrozumiał jej słowa. Postanowił sobie otworzyć dwie równoległe drogi do szczęścia wiodące, oprzeć się zarazem na nauce i miłości, stać się doktorem uczonym i modnym salonowcem. O jakże był jeszcze dziecinny! Nie wiedział, że to są właśnie dwie linie, które nigdy zejść się nie mogą.

— Cóżeś to tak posępny, panie markizie? — zapytał Vautrin, rzucając na niego owo spojrzenie, którym zdawał się przenikać najskrytsze tajemnice serca ludzkiego.

— Nie jestem usposobiony znosić żartów tych, którzy nazywają mnie panem markizem — odparł Eugeniusz. — Chcąc tu być rzeczywistym markizem, trzeba mieć sto tysięcy liwrów dochodu, a my mieszkańcy gospody Vauquer nie liczymy się wcale do ulubieńców fortuny.

Vautrin rzucił na Rastignaca spojrzenie ojcowskie i lekceważące zarazem, które zdawało się mówić: Bębnie jakiś! nie wystarczyłbyś mi nawet na jeden kąsek! Po czym dodał głośno: — Jesteś pan w złym humorze dlatego, że może ci się nie powiodło z piękną hrabiną de Restaud?

— Ona zamknęła przede mną drzwi za to, żem powiedział, iż ojciec jej zasiada z nami do jednego stołu — zawołał Rastignac.

Wszyscy goście spojrzeli po sobie. Ojciec Goriot spuścił oczy i odwrócił głowę ocierając łzy.

— Zaprószyłeś mi pan oko tabaką — rzekł do sąsiada.

— Kto spróbuje dokuczać ojcu Goriot, ten od dzisiejszego dnia będzie miał ze mną do czynienia — wyrzekł Eugeniusz, zwracając się do sąsiada starego fabrykanta makaronu. Ojciec Goriot wart więcej od nas wszystkich. Nie mówię tego do pań — dodał zwracając się ku pannie Taillefer. — Zdanie to było stanowcze, Eugeniusz wyrzekł je takim głosem, że wszyscy obecni zamilkli. Vautrin tylko rzekł drwiąco: — Kto bierze ojca Goriot na swój rachunek i chce zostać jego redaktorem odpowiedzialnym, ten powinien umieć dobrze się obchodzić ze szpadą i z pistoletem.

— Ja też postaram się o to — rzekł Eugeniusz.

— Czyś pan rozpoczął dziś kampanię?

— Być może — odparł Eugeniusz. — Lecz nie jestem obowiązany zdawać nikomu sprawy z mych czynności, bo sam nie staram się zbadać, co inni robią po nocy.

Vautrin spojrzał na niego z ukosa:

— Mój mały, jeżeli chcesz ocenić marionetki należycie, to wejdź zupełnie do budy, a nie poprzestawaj na zaglądaniu przez dziury pokrycia. Dość tej gawędy — dodał — widząc, że się Eugeniusz burzyć zaczyna. Pogadamy jeszcze z sobą, jeżeli tylko pan zechcesz.

Obiad przechodził w milczeniu ponurym. Usłyszawszy słowa studenta, ojciec Goriot, pogrążył się cały w boleści i nie pojmował nawet tego, że usposobienie ogólne zmieniło się na jego korzyść, gdyż młodzieniec zdolny odeprzeć prześladowanie wystąpił w jego obronie.

— Czyżby pan Goriot był rzeczywiście ojcem jakiejś hrabiny? — spytała z cicha pani Vauquer.

— I hrabiny, i baronowej — odrzekł Rastignac.

— To nic dziwnego — rzekł Bianchon do Rastignaca — ja macałem już jego głowę i znalazłem na niej jedną tylko wyniosłość: guz ojcostwa; z niego będzie ojciec *wiekuisty*.

Eugeniusz nie zaśmiał się z żartu Bianchona, był dzisiaj w zbyt poważnym usposobieniu. Chciał korzystać z rad pani de Beauseant, a nie wiedział, gdzie i jak miał dostać pieniędzy. Zaniepokoił się patrząc na stepy i lasy tego świata, co rozściełały się przed jego okiem, takie puste, a jednak takie pełne zarazem. Po obiedzie wszyscy się rozeszli, zostawiając go w sali jadalnej.

— Więc pan widziałeś mą córkę? — spytał Goriot głosem wzruszonym.

Eugeniusz obudził się z zadumy i pochwycił rękę poczciwca, patrząc nań z nieokreślonym jakimś rozczuleniem.

— Godny i uczciwy człowiek z pana — zawołał. — Pomówimy później o pańskich córkach.

Wstał, nie chcąc słuchać ojca Goriot i odszedł do swego pokoju, gdzie napisał do matki list następującej treści:

„Matko moja kochana! Czy nie posiadasz jeszcze trzeciej piersi, żeby mnie zasilić? Jestem w takim położeniu, że mogę prędko dorobić się funduszu. Potrzeba mi tysiąc dwieście franków i muszę je mieć za jaką bądź cenę. Nie mów ojcu o mojej prośbie; on by się sprzeciwiał, a mnie pozostawałoby chyba zastrzelić się z rozpaczy, gdybym nie dostał tych pieniędzy. Bliższe szczegóły opowiem przy widzeniu się, bo trzeba by zapisać całe tomy, chcąc ci wyjaśnić obecne moje położenie. Nie przegrałem nic, dobra moja matko, nic nie winienem, ale musisz mi dostać tę sumę, jeżeli dbasz o zachowanie życia, któreś mi dała. Powiem ci tylko, że bywam u wicehrabiny de Beauseant, która przyrzekła mi swą opiekę. Muszę bywać w świecie, a nie mam za co kupić czystych rękawiczek. Potrafię żyć o chlebie i wodzie, będę pościł w potrzebie, ale nie mogę obejść się bez narzędzi, którymi uprawia się tutejsza winnica. Chwila obecna rozstrzyga, czy mam pójść drogą obraną, czy pozostać w błocie.

Nie obce mi są nadzieje, któreście we mnie położyli i pragnę ziścić je jak najprędzej. Dobra mateczko, sprzedaj jeden z swych dawnych klejnotów, ja ci go wkrótce odkupię. Znam dobrze położenie rodziny naszej i umiem ocenić całą doniosłość podobnej ofiary;

powinnaś mi też wierzyć, że nie wymagam jej bez potrzeby, bo chyba byłbym potworem. Chciej widzieć w mej prośbie krzyk nieprzepartej konieczności. Cała nasza przyszłość zależy od tej zapomogi, bez której nie mogę rozpocząć kampanii, a życie w Paryżu jest walką wiekuistą. Gdyby nie było innego sposobu dostania pieniędzy, to powiedz ciotce, niech sprzeda swe koronki, a ja przyślę jej później jeszcze piękniejsze" itd.

Napisał do obydwóch sióstr prosząc, by mu ofiarowały zaoszczędzone pieniądze. Przekonany był, że siostry poniosą tę ofiarę z radością, lecz nie chciał, by inni członkowie rodziny wiedzieli coś o tym; odwołał się więc do ich delikatności, potrącając przy tym struny honoru, które w młodym sercu najmocniej są napięte i dźwięczą najsilniej. Po napisaniu tych listów ogarnęło go jednak wzruszenie mimowolne: zawahał się i zadrżał. Młody zapaleniec znał szlachetność niepokalaną tych dusz zagrzebanych w samotności, wiedział, że prośbą swą przyczyni siostrom niemało troski i niemało radości; przeczuwał, że w swej ustroni obie będą rozmawiały z niewysłowioną przyjemnością o bracie ukochanym.

Sumienie Eugeniusza powstało promienne i ukazało mu obie siostry rachujące w tajemnicy skarb swój drobny; widział je, jak powodowane geniuszem przebiegłym młodych dziewcząt, posyłały pieniądze *incognito*, dopuszczając się raz pierwszy kłamstwa, które miało w sobie coś wzniosłego.

— Serce siostry, to diament najczystszy, to otchłań czułości — rzekł Eugeniusz i zawstydził się tego, co napisał. — Jakaż to potęga leży w ich modłach, jak czystym lotem dusze ich wznoszą się ku niebu! Czyliż siostry takie nie poświęciłyby się same z rozkoszą? Ach! jakaż boleść napełniłaby serce matki, gdyby nie mogła wysłać żądanej sumy! I takie to uczucia czyste, takie ofiary straszliwe miały mu służyć za stopnie, po których zamierzał dojść do Delfiny de Nucingen...

Kilka łez wymknęło mu się spod powiek, niby ostatnia szczypta kadzidła, rzucona na święty ołtarz rodzinny. Zaczął chodzić po pokoju miotany wzruszeniem rozpaczliwym. Ojciec Goriot zobaczył go w tym stanie przeze drzwi na wpół otwarte.

— Co to panu? — zapytał wchodząc do niego.

— Ach, dobry mój sąsiedzie! jam nie przestał być synem i bratem, tak jak pan nie przestałeś być ojcem. Słusznie drżysz pan o hrabinę Anastazję; oddała się ona jakiemuś Maksymowi de Trailles, który przywiedzie ją do zguby.

Ojciec Goriot wyszedł jąkając jakieś słowa, których Eugeniusz nie mógł zrozumieć. Nazajutrz Rastignac poniósł listy na pocztę. Wahał się do ostatniej chwili, aż wreszcie cisnął je do skrzynki mówiąc. „Uda się niezawodnie!" Słowo to fatalne, słowo gracza lub wodza wielkiego, słowo, które więcej ludzi gubi, niż zbawia.

Poczekawszy dni kilka, Eugeniusz poszedł do pani de Restaud i nie został przyjęty. Trzy razy powracał i trzy razy znajdował drzwi zamknięte, chociaż wybierał godziny, w których nie mógł się spotkać z hrabią de Trailles. A więc słuszność była po stronie wicehrabiny. Student nasz przestał studiować prawo. Chodził na kursy po to tylko, by odpowiedzieć na apel, lecz pokazawszy się na chwilę znikał natychmiast. Trzymał się zasady przyjętej przez większość studentów i odkładał naukę do chwili, gdy się egzaminy zbliżać będą. Postanowił zbierać notatki z drugiego i trzeciego kursu, a potem, w ostatniej chwili, wyuczyć się prawa gruntownie. Tymczasem przez piętnaście swobodnych miesięcy mógł pływać po oceanie Paryża, bawić się w miłość lub zajmować się połowem bogactwa. W ciągu tego tygodnia dwa razy widział panią de Beauséant, do której szedł w chwili, gdy powóz markiza d'Adjuda wyjeżdżał za bramę. Sławna ta piękność, znana jako najpoetyczniejsza postać na przedmieściu Saint-Germain, odniosła jeszcze kilkudniowe zwycięstwo i powstrzymała na czas jakiś małżeństwo panny de Rochefide i markiza d'Adjuda-Pinto. Lecz zagrożona utratą szczęścia była ostatnimi czasy bardziej namiętna niż zwykle i przyśpieszyła znowu ostateczną katastrofę.

Markiz d'Adjuda i Rochefidowie uważali tę sprzeczkę i zgodę jako okoliczność bardzo pomyślną, spodziewali się bowiem, że pani de Beauséant oswoi się tymczasem z myślą o małżeństwie i wyrzecze się dni szczęśliwych, poświęcając je przyszłości przewidzianej w życiu mężczyzny. Pomimo najuroczystszych obietnic, ponawianych codziennie, pan d'Adjuda grał komedię a wicehrabina chętnie pozwalała się oszukiwać. „Woli staczać się po schodach, niż odważnie oknem wyskoczyć," powiadała o niej najlepsza przyjaciółka, księżna Langeais.

Pomimo to wszystko ostatnie połyski jaśniały dość długo i wicehrabina bawiła w Paryżu, otaczając opieką młodego krewniaka, ku któremu powzięła zabobonne jakieś przywiązanie. Eugeniusz okazał jej przyjaźń i uczucie w takiej chwili, kiedy kobieta w nikim nie widzi litości szczerej, współczucia prawdziwego. Jeżeli słyszy słówko miodowe, to przekonana jest, że zawdzięcza je tylko wyrachowaniu.

Eugeniusz chciał dobrze poznać grunt, nim się zdecydował wylądować w domu de Nucingen, zaczął więc badać przeszłość ojca Goriot i zebrał wskazówki, które mniej więcej w ten sposób streścić się dadzą. Jan Joachim Goriot był przed rewolucją prostym robotnikiem w fabryce makaronu. Zręczny, oszczędny i przedsiębiorczy, został następcą swego pana, który padł ofiarą pierwszego rozruchu w roku 1789. Goriot założył swą fabrykę przy ulicy de la Jussienne, w bliskości rynku zbożowego i miał tyle zdrowego rozumu, że przyjął urząd naczelnika sekcji, przez co zyskał dla swego handlu protekcję osób najbardziej wpływowych w groźnym owym czasie.

Źródłem bogactwa stał się dla niego ów głód prawdziwy czy zmyślony, wskutek którego cena zboża podniosła się okrutnie w Paryżu. Naród zabijał się u drzwi piekarzy, a wybrani szli sobie swobodnie kupować makaron włoski u kupców korzennych. W owym roku obywatel Goriot zebrał kapitały i mógł później prowadzić handel z wyższością człowieka posiadającego niezmierną moc pieniędzy. Stało się z nim to, co się dziać zwykło z ludźmi nie posiadającymi żadnych szczególnych zdolności: mierność go zbawiła. Przy tym nie wiedziano nic o jego funduszach,aż dopóki nie minął czas groźny dla bogaczy i nikt mu nie zazdrościł, sądząc, że handel zbożowy pochłonął wszystkie jego myśli. Bo też Goriot nie miał równego sobie znawcy, gdy trzeba było ocenić gatunek i pochodzenie ziarna, mąki lub otrąb, gdy trzeba było przechować zboże przez czas długi, przewidzieć cenę, przepowiedzieć zbiór obfity lub nieurodzaj albo wreszcie zakupić zboże za bezcen raz w Sycylii to znów aż na Ukrainie. Można go było prawie wziąć za ministra stanu, widząc jak śmiało prowadził swe sprawy, jak jasno tłumaczył prawa przywozu i wywozu zboża, jak dalece zgłębiał ducha tych praw i pojął ich wady. Cierpliwy, czynny i energiczny, wytrwały a skory w działaniu, posiadał wzrok orli, uprzedzał i przewidywał wszystko, wszystko wiedział i wszystko ukryć potrafił: jednym słowem z pojęcia był dyplomatą, a z wykonania żołnierzem. Takim to był Goriot w głębi ciemnego swojego sklepiku, w którym przepędzał nawet chwile swobodne, stojąc w progu z ramieniem wspartym o uszak; lecz wyszedłszy za próg ulubiony, wychyliwszy się za obręb swojej specjalności, człowiek ten stawał się znowu niepojętnym i gburowatym wyrobnikiem, który nie może zrozumieć najprostszego dowodzenia, nie pojmuje żadnych rozkoszy duchowych i zasypia w teatrze; słowem przetwarzał się w jednego z owych Dolibanów paryskich, znanych ze swej głupoty. Ludzie tacy jak Goriot wszyscy są podobni do siebie. Wszyscy prawie kryją w piersi wzniosłe jakieś uczucie. W sercu naszego fabrykanta rozrosły się wyłącznie dwa uczucia, które go całkowicie pochłonęły tak, jak handel zbożowy wyczerpał całą pojętność jego mózgu. Pojąwszy za żonę jedyną córkę bogatego farmera z okolic Brie, otoczył ją poszanowaniem religijnym i miłością bez granic. Ukochał w niej istotę słabą, a jednak potężną, piękną a wrażliwą, która była zupełnym przeciwieństwem jego samego. Jeżeli w sercu ludzkim jest jakie uczucie wrodzone, to niezawodnie musi w nim być owa duma, którą odczuwamy biorąc w opiekę słabszą istotę. Postawmy obok miłość, to jest ową wdzięczność, którą czyste dusze płacą za swoje szczęście, a zrozumiemy niejedną anomalię moralną.

Po siedmiu latach szczęścia niezamąconego, Goriot stracił żonę, która zaczynała panować nad nim wszechwładnie poza sferą uczucia. Kto wie, może pod jej wpływem obudziłaby się natura leniwa, może by w niej rozwinęło się jaśniejsze pojęcie o świecie i życiu? Po stracie żony, miłość ojcowska rozrosła się nad miarę w sercu Goriota. Uczucie, któremu śmierć weszła w drogę, zwróciło się ku dwóm córkom i na razie zdawało się, że obie w zupełności na nie zasługują. Goriot pozostał wdowcem i odrzucił najświetniejsze propozycje wszystkich kupców i fermerów, którzy pragnęli mieć go za zięcia. Teść Goriota, który sam jeden mógł się poszczycić jego zaufaniem, twierdził, że wdowiec postanowił dochować zmarłej żonie wierności małżeńskiej.

Handlarze zboża, niezdolni pojąć tak wzniosłego szaleństwa, nadali Goriotowi jakiś ośmieszający przydomek. Zdarzyło się raz, że zapijano jakąś ugodę i jeden z handlarzy

ośmielił się wymówić ów przydomek w obecności Goriota, za co tenże wyciął go pięścią po ramieniu z taką siłą, że nieborak wyleciał na złamanie karku na róg ulicy Oblin. Goriot otaczał swe córki przywiązaniem bez granic, miłością jakąś smętną i tkliwą. Wiedziano o tym powszechnie; raz nawet jakiś konkurent Goriota pragnący oddalić go z rynku, bo sam chciał zostać panem kursu, powiedział mu, że Delfina wypadła przed chwilą z powozu. Ojciec blady i drżący opuścił wnet bazar i chorował kilka dni po tym fałszywym alarmie wskutek reakcji uczuć przeciwnych. Nie dotknął wprawdzie współzawodnika swą pięścią morderczą, lecz wygnał go z bazaru, zmuszając go, aby w krytycznych okolicznościach ogłosił się bankrutem. Rozumie się, że Goriot wychowywał swe córki nierozsądnie. Bogaty był, gdyż dochód jego wynosił przeszło sześćdziesiąt tysięcy liwrów, pomimo to na własne potrzeby nigdy nie wydawał więcej nad tysiąc dwieście franków, a resztę poświęcał z radością na dogodzenie rozmaitym zachciankom córek. Najpierwsi mistrze udzielali im talentów, które cechują świetne wychowanie, dano im pannę do towarzystwa, która na szczęście miała wiele rozsądku i dobrego gustu. Panny jeździły konno, miały swój powóz, jednym słowem żyły tak, jak gdyby były kochankami starego jakiego bogacza; nie było tak wygórowanego żądania, którego by ojciec nie spełnił z całą gotowością, a jedna pieszczota wynagradzała go sowicie za wszystkie ofiary. Biedny człowiek! Uważał siebie za tak maluczką istotę wobec córek, które aniołami były w jego oczach! Wszystko przyjmował od nich z wdzięcznością, nawet ból, który mu zadawały. Gdy dorosły, mogły wybierać sobie mężów wedle upodobania, gdyż każda dostała w posagu połowę majątku ojcowskiego. Piękna Anastazja zwabiła ku sobie hrabiego de Restaud i porzuciwszy dom ojcowski, dała się unieść skłonnościom arystokratycznym, które ją popchnęły w wysokie sfery społeczne. Delfina lubiła pieniądze, poślubiła więc bankiera Nucingena, który pochodził z niemieckiej rodziny i nosił tytuł barona św. Państwa Rzymskiego. Goriot pozostał nadal fabrykantem włoskiego makaronu i prowadził handel, do którego przyrósł już całą istotą, choć zajęcie jego nie podobało się bardzo córkom i zięciom. Przez pięć lat opierał się ich naleganiom, aż wreszcie zgodził się wycofać z handlu kapitał powiększony dochodem z lat ostatnich. Pani Vauquer, do której przeniósł się w tym czasie, rachowała mu mniej więcej dziesięć tysięcy liwrów dochodu. Rozpacz popchnęła biedaka do znanej nam gospody, gdyż przekonał się, że obaj zięciowie wzbraniają swym żonom wziąć ojca do siebie a nawet, co gorsza, przyjmować otwarcie jego odwiedziny.

Oto wszystko, co mógł powiedzieć o ojcu Goriot niejaki pan Muret, który nabył po nim handel. Rastignac przekonał się więc, że przypuszczenia księżny de Langeais były sprawiedliwe. W tym miejscu kończy się wstęp do tej głuchej, lecz przerażającej tragedii paryskiej.

W pierwszych dniach grudnia Rastignac otrzymał dwa listy: od matki i od starszej siostry. Spostrzegłszy to pismo tak dobrze znane, zadrżał z radości i trwogi. Dwie cieniuchne ćwiartki papieru miały skazać na śmierć lub życie wszystkie jego nadzieje. Trwoga przejmowała go na myśl, że rodzice żyli w niedostatku i obawiał się, czy nie zażądał od nich ostatniej kropli krwi, której nie odmówiono by ukochanemu dziecięciu. List matki był następującej treści:

„Drogie dziecię, posyłam ci to, czego żądasz. Zrób dobry użytek z tych pieniędzy, bo drugi raz nie byłabym w stanie zebrać tak wielkiej sumy bez wiedzy ojca, nawet gdyby szło o zachowanie ci życia; zresztą kto wie, czy by to nie zakłóciło harmonii naszych stosunków rodzinnych? Chcąc jeszcze raz dostać tyle pieniędzy, musielibyśmy obciążyć majątek długami. Trudno mi wyrokować o twych projektach, bo ich nie znam, zastanawia mnie tylko to, że obawiasz się powierzyć je matce. Nie trzeba było pisać całych tomów, dla matki dość jednego słowa, a słowo to wybawiłoby mnie z trwożliwej niepewności. Nie chcę taić, że list twój sprawił na mnie bolesne wrażenie. Synu drogi! co mogło cię skłonić, byś obudził tak wielki niepokój w sercu moim? Pisząc to do mnie, musiałeś cierpieć wiele, bo jam też wiele cierpiała czytając wyrazy skreślone twą ręką. Zastanów się, na jaką to wchodzisz drogę? Czyliż życie i szczęście twoje zasadzać się ma na tym, byś wydawał się innym, niż jesteś w rzeczy samej; czyż potrzeba ci bywać w świecie, skoro to pociąga za sobą wydatki pieniężne, których nie możesz ponosić i stratę czasu, który z korzyścią poświęcić możesz nauce? Zawierz sercu matki, dobry mój Eugeniuszu i bądź przekonany, że drogi kręte nie wiodą do wielkiego celu. Młody człowiek w twoim położeniu powinien

się starać o dwie cnoty: o cierpliwość i rezygnację. Nie robię ci wymówek, nie chciałabym najmniejszą goryczą zaprawiać naszej ofiary. Słowa moje to są słowa matki ufnej, lecz przewidującej. Ty wiesz, jakie są twe obowiązki, ja zaś wiem, że serce twe jest czyste i zamiary dobre. Bez obawy więc mogę ci powiedzieć: Idź, mój jedyny, idź dalej! Drżę o ciebie, bo matka jestem, lecz każdemu z twych kroków towarzyszyć będą nasze modły i błogosławieństwa. Bądź ostrożny, drogie dziecię. Musisz być rozważnym, jak mąż dojrzały, bo los pięciu istot ukochanych przez ciebie spoczywa na twej głowie. Tak jest, przyszłość nasza na tobie się opiera, a szczęście twoje jest i naszym szczęściem. Wszyscy błagamy Boga, by cię wspierał w każdym twym przedsięwzięciu. Ciotka Marcillac okazała w tym zdarzeniu dobroć niesłychaną i pojęła nawet od razu to, coś pisał o rękawiczkach. Przyznała się potem z uśmiechem, że ma słabość dla najstarszego z mych dzieci. Kochaj ją, kochaj, Eugeniuszu! nie chcę mówić co zrobiła dla ciebie, zanim nie dopniesz swych zamiarów; gdybyś się teraz dowiedział, to pieniądze ofiarowane przez nią paliłyby ci ręce. Czy wy pojmujecie, dzieci, co to znaczy zrobić dla kogo ofiarę ze swych pamiątek? Lecz czy jest ofiara taka, której by dla was żal było? Ciotka poleciła ucałować cię w czoło i powiedzieć, że chciałaby przesłać ci w tym pocałunku zadatek szczęścia całego. Dobra, poczciwa ciotka napisałaby sama do ciebie, gdyby nie to, że cierpi na reumatyzm w palcach. Ojciec twój ma się dobrze. Urodzaj 1819 roku przechodzi wszelkie oczekiwania. Bywaj mi zdrów, synu drogi, nie wspominam nic o twych siostrach, gdyż Laura pisze do ciebie. Niech dla niej zostanie przyjemność doniesienia ci o wszystkich drobnych przygodach życia rodzinnego. Oby Bóg dał ci powodzenie we wszystkim! O tak! powinno ci się powieść, mój Eugeniuszu, gdyż zadałeś mi boleść tak wielką, że nie miałabym siły przenieść jej powtórnie. Poznałam dopiero teraz, co to znaczy być biedną, i zapragnęłam bogactwa, żeby móc oddać je dziecku. Dosyć już, żegnaj mi synu. Nie zostawiaj nas długo bez wiadomości o sobie i przyjm pocałunek, który ci matka posyła."

Eugeniusz tonął we łzach, czytając list matki. Myślał o ojcu Goriot, który zgniótł srebrny półmisek i sprzedał go, by mieć za co wykupić weksel swej córki.

— A twoja matka czyż nie poświęciła również swych klejnotów! mówił sam do siebie. Ciotka twa płakała pewnie sprzedając jedną ze swych relikwii. Jakimże prawem śmiałbyś przeklinać Anastazję? Zrobiłeś dla egoizmu przyszłości to, co ona dla ukochanego człowieka zrobiła! Któż wart więcej: ty czy ona? — Coś mu szarpało wnętrzności i paliło uczuciem nieznośnego gorąca. Chciał się wyrzec świata, postanawiał nie tknąć tych pieniędzy. Uczuł wzniosłe i piękne wyrzuty sumienia, wyrzuty, które ludzie sądzący swych bliźnich tak rzadko biorą w rachubę, a mocą których aniołowie niebiescy rozgrzeszają przestępcę potępionego sądem ziemskim. Rastignac otworzył list siostry tchnący wdziękiem niewinnym i serce jego oświeżyło się trochę:

„List twój przybył w samą porę, drogi bracie. Agata i ja chciałyśmy tyle rozmaitych użytków zrobić z naszych pieniędzy, że w końcu sameśmy nie wiedziały, od czego rozpocząć. Tyś postąpił jak ów służący króla hiszpańskiego, który pobił zegarki swego pana: przywiodłeś nas do zgody. Prawdziwie, ciągleśmy się spierały o to, które z naszych życzeń powinno być najpierwej zaspokojone, a nie wpadłyśmy na myśl, że można zrobić z pieniędzy taki użytek, który zaspokoi od razu wszystkie nasze życzenia. Wiesz co, drogi Eugeniuszu, Agata skakała z radości. Jednym słowem byłyśmy jak dwie wariatki przez caluteńki dzień *à telles enseignes* (to styl ciotki), że mateczka zapytała nas surowo: Co wam dziś jest, moje panny? Zdaje mi się, że byłybyśmy jeszcze bardziej zadowolone, gdyby nas troszeczkę połajano. Kobieta musi być bardzo szczęśliwa, gdy cierpi za tego, kogo kocha. Ja tylko pomimo całej radości wpadałam chwilami w smutek i zadumę. Nigdy chyba nie potrafię być dobrą żoną, bo jestem zbyt rozrzutna. Kupiłam sobie przedtem dwa paski, piękną igiełkę do przekłuwania dziurek w gorsecie i masę fraszek podobnych, dosyć, że miałam mniej pieniędzy niż ta wielka Agata, co umie być oszczędna i zbiera dukaty jak sroka jaka. Wyobraź sobie, że miała dwieście franków! A ja, mój drogi, zebrałam tylko pięćdziesiąt talarów. Ale jestem aż nadto ukarana i chciałabym wrzucić swój pasek do studni, bo odtąd nie będę mogła nosić go bez przykrości. Jam cię okradła! Nieoceniona Agata powiedziała mi: Poślijmy mu trzysta pięćdziesiąt franków od obydwóch

razem. Lecz nie mogłam wytrzymać, żeby ci prawdy nie powiedzieć. Wiesz, w jaki sposób wypełniłyśmy twoje polecenia? wzięłyśmy nasze sławne pieniądze i wybrałyśmy się sobie na przechadzkę. Dostawszy się na gościniec, pobiegłyśmy bez namysłu do Ruffec, gdzieśmy po prostu oddały całą sumę panu Grimbertowi, który zawiaduje biurem pocztowym. Wracałyśmy lekkie i swobodne niby dwie jaskółki. Czy to szczęście nas tak unosi? pytała Agata. Powiedziałyśmy sobie tysiąc rzeczy, których ci nie powtórzę, panie Paryżaninie, bo dotyczy ciebie zbyt ściśle. O! drogi bracie, jak my cię kochamy! oto masz w paru słowach to samo, o czym myśmy tak długo mówiły. Tajemnicy nie zdradzimy, bo według słów ciotki, takie małe straszydełka jak my potrafią wszystko zrobić, nawet milczeć w potrzebie. Mateczka i ciotka jeździły potajemnie do Angoulême i żadna me zdradziła wysokiej polityki, która kierowała ich wyprawą. Nie obeszło się przedtem bez długich konferencyj, od których i pan baron i my obie zostaliśmy usunięci. W państwie Rastignacow wszystkie głowy pełne są ważnych domysłów. Robota około sukni muślinowej w kwiaty a jour, którą infantki haftują dla Jej Królewskiej Mości, postępuje dalej w największej tajemnicy. Pozostają już tylko dwa bryty do wyhaftowania. Postanowiono ostatecznie, że zamiast muru będzie płot od strony Verteuil. Naród prosty straci na tym, gdyż będzie mniej owoców i szpalerów, ale za to przybysze z obcych stron będą się mogli cieszyć pięknym widokiem. Na wypadek gdyby domniemany spadkobierca potrzebował chustek do nosa, zawiadamiamy go, że wdowa po Marcillac'u zrobiła pewne odkrycie: kopiąc się w swych skarbach i skrzyniach, znanych pod imieniem Herkulanum i Pompei, wygrzebała nieznaną dotąd sztukę płótna holenderskiego; księżniczki Agata i Laura stają na jego rozkazy z igłami i rękami, które są zwykle trochę za czerwone. Młodzi książęta don Henryk i don Gabriel nie pozbyli się zgubnych swoich nałogów: przeładowują zawsze żołądek winogronowymi powidłami, przyprowadzają siostry do rozpaczy, nie chcą się wcale uczyć, wykręcają gniazda ptasie dla zabawy, sprawiają hałas nieznośny i wbrew prawom krajowym wycinają gałązki łozy, z których robią sobie laseczki. Nuncjusz papieski, zwany pospolicie księdzem proboszczem, grozi im klątwą, jeżeli dłużej będą zapominać o świętych kanonach gramatyki, a troszczyć się wyłącznie o prawa bzu wojowniczego. Bywaj mi zdrów, bracie kochany! Nie uwierzysz, ile modlitw za twe szczęście towarzyszy temu listowi, wiele się w nim ukrywa miłości zadowolonej. Ach, jakże wiele, wiele rzeczy będziesz miał do opowiadania, skoro znów do nas przybędziesz. Mnie powiesz wszystko: jam przecie najstarsza. Ciotka dała nam do zrozumienia, że ty masz powodzenie w świecie.

»Mówią o jakiejś kobiecie i nie chcą dodać nic więcej«.

Ma się rozumieć, że to tylko w naszej obecności. Powiedz jednak, Eugeniuszu, gdybyś chciał, my byśmy mogły obejść się bez chustek, a natomiast poszyć dla ciebie koszule z tego płótna. Odpowiedz mi zaraz na to pytanie. Gdybyś potrzebował prędko koszul pięknych i dobrze poszytych, to byśmy się wzięły niezwłocznie do roboty. Jeżeli w Paryżu noszą koszule nowego kroju, którego my nie znamy, to przyślij nam jedną na wzór; mianowicie potrzebowałybyśmy formy mankietów. Bądź zdrów raz jeszcze! Całuję cię w czoło z lewej strony, w skroń, która do mnie wyłącznie należy. Zostawiam drugi arkusik dla Agaty, która obiecała, że mego listu czytać nie będzie. Dla większej pewności jednak nie odejdę od niej, póki będzie pisała. Kochająca cię siostra

Laura de Rastignac."

— O tak! — zawołał Eugeniusz — tak! muszę zostać bogatym za jaką bądź cenę. Czyż są skarby, co by opłaciły takie przywiązanie? Jakżebym pragnął ofiarować im szczęście całego świata! Tysiąc pięćset pięćdziesiąt franków! — rzekł po chwili. — Trzeba, żeby żaden pieniążek nie poszedł na marne. Laura ma słuszność. To prawda! Wszak ja mam tylko grube koszule. Gdy chodzi o szczęście czyje, dziewczę młodziuchne staje się przebiegłem jak złodziej. Jaka ona niewinna, a jak troskliwa o mnie! To anioł z nieba przebaczający błędy ziemskie, których nawet zrozumieć nie może.

Eugeniuszowi zdawało się, że posiadł świat cały. Przywołał krawca, wypróbował go i zdobył dla siebie. Zobaczywszy pana de Trailles, student zrozumiał dopiero, jaki —

to wpływ krawcy wywierają na życie młodzieży. W tym razie, niestety, nie ma średniej miary: krawiec bywa albo nieprzyjacielem śmiertelnym albo przyjacielem, którego nam daje faktura. Eugeniusz spotkał w swym krawcu człowieka, który pojął ojcostwo swego rzemiosła i uważał siebie za łącznik między teraźniejszością a przeszłością młodzieży. Nawzajem student wdzięczny zapewnił mu stałe powodzenie jednym z owych dowcipów, z których miał kiedyś zasłynąć. — Wiadomo mi —- mówił — że człowiek ten uszył dwie pary spodni, które przyczyniły się niemało, że posiadacze ich wzięli w posagu kapitał przynoszący dwadzieścia tysięcy liwrów dochodu. Cóż to za szczęście posiadać tysiąc pięćset franków i mieć odzieży tyle, ile się zapragnie. Biedny Południowiec nie wątpił w tej chwili o niczym i szedł na śniadanie z tym nieokreślonym wyrazem twarzy, który cechuje młodzieńca posiadającego choćby maluczki kapitalik. Poczuwszy pieniądze w kieszeni, student wznosi we wnętrzu swej istoty jakiś filar idealny i silnie opiera się na nim. Od tej chwili zaczyna chodzić pewniej niż przedtem, znajduje punkt oporu dla swej dźwigni, spogląda śmiało i prosto, we wszystkich jego poruszeniach zręczność się przebija; wczoraj pokorny i nieśmiały byłby się pozwolił potrącać każdemu; dziś sam gotów potrącić pierwszego ministra. Dzieją się z nim rzeczy niesłychane: wszystkiego chce i wszystko posiąść może, przychodzą mu naraz najrozmaitsze zachcenia, jest nadzwyczaj wesoły, wspaniałomyślny, wylany. To ptak, co dawniej niezdolny do lotu, dziś może szeroko skrzydła roztoczyć. Biedny student porywa okruchy przyjemności, jak pies, który zdobywa sobie kość wśród tysiącznych niebezpieczeństw, rozgryza ją uciekając i w biegu szpik z niej wysysa; lecz młodzieniec, u którego kilka „sztuk złota pobrząkuje w kieszonce od kamizelki, dobiera sobie przyjemności wedle upodobania, rozgatunkowuje je, lubuje się nimi, buja po niebie i nie pojmuje już, co znaczy wyraz *nędza*. Cały Paryż do niego należy. Wieku młody, w którym wszystko wydaje się tak świetne, w którym się wszystko iskrzy i goreje! Wieku sił młodzieńczych, z których nikt nie korzysta ani mężczyzna, ani kobieta! Wieku długów i ciągłej obawy, która potęguje wartość każdej przyjemności! Kto nie poznał lewego brzegu Sekwany, między ulicą Saint-Jacques a ulicą Saints-Pères, ten nie poznał wcale wartości życia ludzkiego! — Ach gdyby paryżanki wiedziały! — myślał Eugeniusz, pożerając gruszki smażone, które pani Vauquer ceniła po groszu sztukę — pewnie przyszłyby tutaj szukać miłości.

W tej chwili dzwonek dał się słyszeć przy drzwiach z kratą i posłaniec pocztowy wszedł do sali jadalnej. Zapytawszy o pana Eugeniusza de Rastignac, podał mu dwa worki i książkę, w której trzeba się było rozpisać. W tej chwili głębokie spojrzenie Vautrina padło na Rastignaca niby uderzenie bicza.

— Będziesz pan miał czym zapłacić za lekcje fechtunku i strzelania — powiedział.

— Zamorskie okręty przybyły — rzekła pani Vauquer, spoglądając na worki.

Panna Michonneau obawiała się spojrzeć na pieniądze, aby nie zdradzić swej chciwości.

— Masz pan dobrą matkę — rzekła pani Couture.

— Pan ma dobrą matkę — powtórzył Poiret.

— Tak, mamunia ze wszystkiego się wyzuła — rzekł Vautrin. — Teraz będziesz pan mógł dogadzać swym zachciankom, bywać w świecie, zajmować się połowem posagów i tańczyć z hrabinami, które stroją się w wieńce kwiatów brzoskwiniowych. — Ale słuchaj, młodzieńcze, z tym wszystkim ucz się strzelać.

Vautrin zrobił ruch, jak gdyby brał na cel przeciwnika. Rastignac chciał dać posłańcowi na piwo, lecz nie znalazł drobnych. Vautrin poszukał w kieszeni i rzucił dwadzieścia soldów posłańcowi.

— Masz pan kredyt — rzekł spoglądając na studenta.

Rastignac musiał podziękować sąsiadowi, chociaż nie cierpiał go od owych kilku słów cierpkich zamienionych po powrocie od pani de Beauséant. W ciągu ostatniego tygodnia Eugeniusz i Vautrin nie przemówili do siebie, tylko w milczeniu badali jeden drugiego. Na próżno student pytał siebie, dlaczego tak było. Zapewne myśli udzielają się w prostym kierunku z taką mocą, z jaką powstają i uderzają tam, gdzie je umysł posyła, na zasadzie matematycznej, jaka kieruje pędem kuli wylatującej z moździerza. Skutki bywają rozmaite. Bywają natury czułe, których myśli cudza czepia się z łatwością, wywołując w nich przewrót zupełny; bywają też natury dziwnie tęgie, bywają czaszki opatrzone wałem spiżowym, o który wola innych ludzi rozbija się i odskakuje jak kula od ściany; bywają

wreszcie natury miękkie i strzępiaste, w których myśl przyczepiona traci moc, tak jak kula traci siłę pędu w miękkiej ziemi reduty. Rastignac posiadał jedną z owych głów pełnych prochu, co to gotowe wybuchnąć przy lada wstrząśnieniu. Był jeszcze tak młody, że musiał koniecznie ulec takiemu udzielaniu się pojęć, takiej zaraźliwości uczuć, której dziwaczne zjawiska zastanawiają nas nieraz. Wzrok jego moralny był równie przenikliwy, jak oczy odznaczające się prawdziwie rysią bystrością. Każdy zmysł był u niego, rzec można, podwójny i posiadał tę niepojętą giętkość i przenikliwość, którą podziwiać musimy u ludzi wyższych, u tych rębaczy, co to od razu trafiają w słabą stronę każdego pancerza. Zresztą, w ciągu ostatniego miesiąca w Eugeniuszu rozwinęło się dużo przymiotów i wad dużo. Wady rozbudzał wpływ świata i zadowolenie żądz, które coraz bardziej się rozrastały. W rzędzie jego przymiotów znajdowała się owa zapalczywość południowa, która każe iść na spotkanie trudności i pokonać ją od razu , zapalczywość, która nie dozwala człowiekowi z poza Loary znieść niepewności najmniejszej. W oczach mieszkańców północy przymiot ten staje się wadą; uważają bowiem, że taż sama zapalczywość, co była źródłem powodzenia Murata, stała się później przyczyną jego śmierci: Stąd wniosek oczywisty, że Południowiec, który łączy w sobie przebiegłość północną z nadloarską odwagą, jest człowiekiem doskonałym i może zostać królem Szwecji.

Rastignac nie mógł być dłużej wystawionym na ogień baterii Vautrina, nie wiedząc, czy tenże jest jego przyjacielem, czy wrogiem. Chwilami zdawało mu się, że szczególny ten człowiek odgaduje wszystkie jego namiętności i przenika najgłębsze tajniki jego serca; na próżno jednak starał się odgadnąć go nawzajem. Vautrin zamknięty był w sobie i osłaniał się głęboką tajemniczością sfinksa, który wszystko wie, widzi wszystko, ale nic nie mówi. Dziś Eugeniusz poczuł pieniądze w kieszeni i postanowił stawić opór.

— Bądź pan łaskaw zaczekać — zawołał na Vautrina, który zabierał się do wyjścia, wychyliwszy ostatnią kroplę kawy.

— Po co? — zapytał czterdziestoletni mężczyzna, wkładając kapelusz o szerokich skrzydłach, przy czym sięgnął po laskę żelazną, którą umiał wywijać takiego młynka, że pewnie sam dałby sobie radę, gdyby go naraz opadło czterech rabusiów.

— Chcę panu oddać, com winien — odparł Rastignac, rozwiązując pośpiesznie worek, z którego wyjął sto czterdzieści franków. — Przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem — rzekł podając pieniądze pani Vauquer. — Teraz rachunki nasze załatwione aż do świętego Sylwestra. Proszę mi rozmienić sto sous.

— Przyjaźń interesem, a interes przyjaźnią — powtórzył Poiret, spoglądając na Vautrina.

— Proszę dwadzieścia su — powiedział Rastignac, podając pieniądze sfinksowi w peruce.

— To coś tak wygląda, jak gdybyś pan obawiał się być mi dłużnym? — zawołał Vautrin, zapuszczając badawcze wejrzenie w duszę młodzieńca, przy czym na ustach jego pojawił się ów uśmiech drwiący i cyniczny, za który Eugeniusz ze sto razy już omal się nie rozgniewał.

— A... tak — powiedział student, który wstał już od stołu i zabrał obydwa worki z pieniędzmi, chcąc je odnieść do swego mieszkania.

Vautrin stał na progu, a student skierował się ku drzwiom wiodącym na schody.

— Wiesz co, panie margrabio de Rastignacorama? odpowiedź twa nie zupełnie jest grzeczna — zawołał Vautrin uderzając laską we drzwi salonu i podchodząc do studenta, który go zmierzył zimnym wejrzeniem.

Rastignac zamknął drzwi i zszedł z Vautrinem aż na platformę, oddzielającą kuchnię od sali jadalnej. Stamtąd prowadziły do ogrodu drzwi, nad którymi znajdowała się wielka szyba opatrzona kratą żelazną. Student zatrzymał się na platformie i powiedział wobec Sylwii, która wychyliła się z kuchni:

— *Panie* Vautrin, jam nie margrabia i nie nazywam się Rastignacorama.

— Pewnie bić się będą — rzekła panna Michonneau obojętnym głosem.

— Bić się! — powtórzył Poiret.

— Ale gdzie tam — odparła pani Vauquer głaszcząc swe talary.

— Ach! Idą już pod lipy — zawołała panna Wiktoryna, która wstała, by zobaczyć, co się dzieje w ogrodzie. — A jednak słuszność jest po stronie tego biednego młodzieńca.

— Chodźmy na górę, kochanie — rzekła pani Couture — takie sprawy wcale do nas nie należą.

Pani Couture i Wiktoryna zbliżyły się do drzwi, lecz gruba Sylwia zastąpiła im drogę.

— Co to się stało? — zawołała. — Pan Vautrin powiedział do pana Eugeniusza: „Musimy z sobą pogadać!" i wziął go pod rękę, i teraz idą obydwaj hen, tam przez karczochy.

W tej chwili Vautrin zjawił się we drzwiach.

— Pani Vauquer — rzekł z uśmiechem — niech się pani nie przerazi: chciałbym spróbować pistoletów tam pod lipami.

— Ach, panie! — zawołała Wiktoryna składając ręce — za co chcesz pan zabić pana Eugeniusza?

Vautrin odstąpił parę kroków i spojrzał uważnie na Wiktorynę.

— A, to co innego! — zawołał żartobliwie, spoglądając na biedną dziewczynę, której twarz oblała się rumieńcem. — To bardzo miły młodzieniec, wszak prawda? Naprowadzasz mnie pani na dobrą myśl. Postaram się uszczęśliwić was oboje, moja piękna panienko.

Pani Couture wzięła wychowankę pod ramię i pociągnęła ją za sobą.

— Ależ, Wiktoryno — szepnęła jej do ucha — nie pojmuję, co się dziś z tobą dzieje.

— Ja nie chcę, żeby strzelano z pistoletów koło mego domu — rzekła pani Vanquer. — Chcesz pan powystraszać sąsiadów i sprowadzić mi na kark całą policję?

— Z wolna tylko, mamo Vauquer — odparł Vautrin. — No, no, dobrze, pójdziemy strzelać na właściwsze miejsce.

Powrócił do Rastignaca i wziął go poufale pad ramię:

— Czy nie straciłbyś pan odwagi, gdybym cię przekonał, że o trzydzieści pięć kroków trafiam w asa pikowego. Pan wydajesz mi się jakoś zbyt gorący i jestem pewien, że dałbyś się zastrzelić jak kiep jaki.

— Pan się cofasz? — rzekł Eugeniusz.

— Nie burz mi pan żółci — odparł Vautrin. — I bez tego aż nadto dziś ciepło. Chodźmy tam usiąść — rzekł, wskazując na ławki zielone. — Nikt nas nie usłyszy, a ja potrzebuję rozmówić się z panem. Jesteś pan sobie dobry chłopak i ja nie mam powodu źle ci życzyć. Kocham cię, jakem Tromp... (do pioruna!) jakem Vautrin. Za co cię kocham? dowiesz się. Tymczasem dowiodę, że cię znam tak, jak gdybyś był dziełem rąk moich. Połóż pan tutaj swoje worki — rzekł, wskazując na stół okrągły.

Rastignac położył pieniądze na stół i usiadł powodowany ciekawością, jaką w nim obudziła raptowna zmiana w obejściu się Vautrina. Ten sam człowiek, który przed chwilą groził mu śmiercią, występował teraz w roli opiekuna.

— Chciałbyś pan bardzo wiedzieć, kto ja jestem, czym się zajmuję obecnie i czym się dotąd trudniłem? — ciągnął daléj Vautrin. — Zanadtoś ciekawy, kochanie. Czekaj no, spokojnie tylko. Niejedno jeszcze usłyszysz. Doznałem ja wielu nieszczęść... Słuchaj mnie pan tylko, później będziesz mi odpowiadał. Oto w trzech słowach całe moje życie dotychczasowe. Kto jestem? Vautrin. Czym się zajmuję? Czym mi się podoba. I basta! Chcesz poznać mój charakter? Jestem dobry dlatego, kto dla mnie jest dobry i umie sercem przemówić do mego serca. Takiemu wszystko wolno; wolno mu nawet kopać mnie nogami, a ja nie powiem: *strzeż się*. Ale, klnę się na mą fajkę! Zły jestem jak szatan dla tego, kto mnie zaczepi, albo mi się nie podoba. A trzeba panu wiedzieć, że dla mnie zabić człowieka, to ot tyle znaczy! — przy tych słowach plunął na ziemię. — Staram się tylko prędko śmierć zadać, gdy już koniecznie zabić potrzeba. Jestem artystą co się zowie. Jak mnie pan widzisz, czytałem pamiętniki Benvenuta Celliniego i to jeszcze po włosku! Był to zuch prawdziwy! On mnie nauczył kochać piękno pod każdą postacią i naśladować Opatrzność, która, nie przebierając, zabija nas po kolei. Przy tym, czyż to nie piękna gra, wystąpić samemu przeciw wszystkim ludziom i być zawsze pewnym wygranej? Jużem ja długo rozmyślał o dzisiejszym ustroju waszego nieładu społecznego. Pojedynek, kochanie, to gra dziecinna, to głupstwo. Chyba głupiec może się spuszczać na los szczęścia, kiedy trzeba, żeby jeden z dwojga żyjących ludzi poległ z ręki drugiego. Pojedynek! Ależ to gra w cetno czy licho! Ja trafiam pięć razy z rzędu w asa pikowego i wpędzam jedną kulę na drugą z odległości trzydziestu pięciu kroków! Posiadając taki talencik, można, zdaje się, być pewnym, że się powali przeciwnika. Niekoniecznie! Jam o dwadzieścia kroków strzelał do człowieka i spudłowałem. Tamten frant nie umiał trzymać pistoleta w ręku, a jednak, patrz pan! — mówił dziwny ten człowiek rozpinając kamizelkę, spod której

ukazała się pierś obrośnięta ryżym włosem i kudłata, jak grzbiet niedźwiedzia; był to widok wywołujący uczucie wstrętu i przestrachu. — Patrz pan! Ten młokos podkurzył mi sierść — ciągnął dalej, ująwszy palec Eugeniusza i przykładając go do głębokiej blizny, którą miał na piersiach. — Ale w owych czasach jam był dzieckiem jeszcze, miałem rok dwudziesty pierwszy, tak jak pan teraz. Wierzyłem jeszcze w cośkolwiek, wierzyłem w miłość kobiety i w całą kupę głupstw, na które pan złapiesz się również. I teraz mieliśmy się bić, wszak prawda? Pan mógłbyś mnie zabić. Przypuśćmy, że ja leżałbym w ziemi, a gdzieżbyś się pan obrócił? Trzeba by zmykać do Szwajcarii i żyć tam kosztem tatusia, który nie ma wcale pieniędzy. Objaśnię panu, w jakim położeniu znajdujesz się obecnie, a objaśnię ze stanowiska człowieka, który zbadał dobrze rzeczy ziemskie i przekonał się, że tylko dwie są drogi do wyboru: głupia uległość albo bunt. Ja nie ulegam niczemu, czy to jasne? Wiesz, mój panie, czego ci potrzeba, by iść dalej tak, jakeś zaczął? Potrzeba miliona i to niezwłocznie; inaczej moglibyśmy, z naszą główką, oprzeć się w Saint-Cloud dla przekonania się o istnieniu Najwyższej Istoty. A ten milion ja dam panu. Zatrzymał się i popatrzył na Eugeniusza. — Ach, ach, zaczynasz pan milej jakoś spoglądać na tatusia Vautrina. Wyglądasz jak dziewczę, któremu mówią: do zobaczenia wieczorem! i które stroi się, oblizując się jak kot po mleku. Wyśmienicie! Oto jak rzeczy stoją. Mamy sobie tatę, mamę, babkę cioteczną, dwie siostry (jednej osiemnaście, drugiej siedemnaście lat), dwóch braciszków (jednemu lat piętnaście, drugiemu dziesięć) oto spis całej załogi. Ciotka wychowuje pańskie siostry. Proboszcz wykłada łacinę obu braciom. Cała rodzina żywi się częściej kasztanami niż bułką, tatuś oszczędza spodni, mama sprawia tylko jedną suknię na zimę i jedną na lato, siostrzyczki radzą sobie, jak mogą. Wiem ja wszystko, bo bywałem tam w południowej Francji. Inaczej być nie może, skoro pan potrzebujesz tysiąca dwustu franków na rok, a cały wasz mająteczek przynosi tylko trzy tysiące rocznego dochodu. A jak to się obejść bez kucharki i służącego, jak nie dbać o decorum, gdy tatko jest baronem? Co się zaś tyczy naszej osoby, mamy sobie dość ambicji, jesteśmy spokrewnieni z Beauséantami, a musimy chodzić piechotą, pragniemy bogactwa, a nie mamy złamanego szeląga, jadamy bigosik Vauquer, a smakują nam bardzo pyszne obiady na przedmieściu Saint-Germain, sypiamy na barłogu, a marzymy o pałacu. Nie ganię wcale takich upodobań. Nie każdemu to, duszeczko, dano mieć ambicję. Proszę spytać, jakich to mężczyzn lubią kobiety? Ambitnych. Ambitny człowiek bywa zawsze bogatszy od innych, we krwi ma więcej żelaza, a w sercu więcej zapału. Kobieta zaś wtedy jest najszczęśliwsza i najpiękniejsza, gdy czuje się silna; dlatego też przekłada zawsze nad innych człowieka potężnej siły, choćby ta siła ją samą zgnieść miała.

Wyliczyłem wszystkie pańskie żądze po to, by na końcu postawić pytanie. Pytanie to jest następującej treści: — Mamy wilczy apetyt, ząbki nasze są ostre, ale co też włożymy do garnka? Najpierw musimy zjeść kodeks; rzecz to nie zabawna i nie bardzo korzystna, ale cóż robić! Niech i tak będzie. Kierujemy się na prawnika, zostajemy prezesem sądu kryminalnego i wysyłamy biedaków, którzy więcej warci są od nas, z literami T. F. na ramieniu, by przekonać bogaczy, że mogą spać spokojnie. To nie zabawne, a przy tym tak powoli się zdobywa. Najpierw trzeba męczyć się dwa lata w Paryżu, patrząc na smaczne łakotki, których tknąć nam nie wolno. Nie bardzo to przyjemnie łaknąć zawsze i nie móc się nasycić. Nie byłoby się czego obawiać, gdybyśmy byli wybladli i należeli do gatunku mięczaków; lecz w naszych żyłach krąży gorąca krew lwia, a przy dobrej ochocie zdolniśmy popełnić dwadzieścia głupstw na dzień. Jakże tu wytrzymać okrutną męczarnię, jedną z najstraszliwszych, jakie widziano w piekle bożym? Przypuśćmy jednak, że pan będziesz rozsądny, że mlekiem żywić się będziesz pisząc smętne elegie, potem zniósłszy niedostatek i troski, które by psa o wściekłość przyprowadziły, osiągniesz pan przy całym zaparciu, że cię zrobią pomocnikiem jakiegoś kpa i zapakują do nędznej mieściny, gdzie rząd raczy rzucić tysiąc franków na twe utrzymanie, jak się rzuca ochłapy kundlowi rzeźnika. Szczekaj za to na złodziei, broń bogaczy, skazuj na gilotynę ludzi wielkiego serca. Ślicznie dziękuję! Zabraknie panu protekcji, to zgnijesz w pierwszym lepszym trybunale na prowincji. Jeżeli do trzydziestu lat nie pluniesz pan na całą tę sprawę, to może zostaniesz sędzią i będziesz pobierał tysiąc dwieście franków rocznie. Skończywszy czwarty krzyżyk ożenisz się z jaką młynarzówną, której posag zapewni ci sześć tysięcy stałego dochodu. Dziękuję! Przy protekcji, zostaniesz pan prokuratorem królewskim, będziesz

pobierał tysiąc talarów pensji i zaślubisz córkę jakiego mera. Jeżeli odważysz się popełnić jaką podłostkę polityczną, tak na przykład przeczytać w jakim biuletynie Villèle zamiast Manuel (to rymuje tak dobrze, że powinno uspokoić sumienie); to w czterdziestym roku będziesz prokuratorem generalnym, a z czasem zostaniesz i delegatem. Lecz miejmy na względzie, drogie dziecię, że przedtem będziemy musieli zadrasnąć nieraz czułe sumienie, przeżyć lat dwadzieścia w ciągłej trosce i nędzy ukrywanej, że siostry nasze postarzeją tymczasem w stanie panieńskim. Dalej, mam honor przypomnieć, że w całej Francji jest tylko dwudziestu prokuratorów generalnych a przynajmniej dwadzieścia tysięcy kandydatów na tę posadę, w liczbie których znajdą się i tacy jegomoście, co gotowi sprzedać własną rodzinę, byle postąpić o jeden stopień wyżej. Jeżeli zawód taki nie przypada panu do smaku, to zobaczymy co innego. Może pan baron de Rastignac życzy sobie zostać adwokatem? Bardzo pięknie! Tylko trzeba dręczyć się przez lat dziesięć, przeżywać tysiąc franków na miesiąc, mieć bibliotekę, gabinet, bywać w świecie, zamiatać podniebienie językiem, wreszcie całować poły jakiegoś mecenasa, by dostać sprawę do obrony. Zgodziłbym się jeszcze z tym wszystkim, gdyby sam zawód był korzystny; ale pokaż mi pan w Paryżu pięciu adwokatów, którzy by przeżywszy lat pięćdziesiąt, zarabiali więcej jak pięćdziesiąt tysięcy franków rocznie. Ha! wolałbym zostać korsarzem niż spodlić tak swą duszę. Zresztą, skądże dostać złota? Wszystko to niezbyt wesołe. Pozostaje jedno źródło — posag żony. Chcesz się pan ożenić, ależ to znaczy tyle, co uwiązać sobie kamień, do szyi: przy tym, jak się pan dla pieniędzy ożenisz, to cóż się stanie z uczuciem honoru i szlachetności? Lepiej już od razu podnieść rokosz przeciw ustawom ludzkim. Pojmuję wreszcie, że mógłbyś się pan czołgać jak wąż u stóp żony, przypochlebiać się matce, popełniając tysiące podłości, na które świnia by się wzdrygnęła, tfu! Gdybyś tym wszystkim szczęście miał okupić. Ale wziąwszy żonę dla pieniędzy, byłbyś pan z nią nieszczęśliwy, jak ten kamień, co leży pod rynną. Bo lepiej walczyć z całym światem niż z własną żoną wojnę prowadzić. Takie to są, młodzieńcze, drogi rozstajne naszego żywota: wybieraj z nich jedną. Jużeś wybrał, poszedłeś do kuzynki de Beauséant, gdzieś powąchał zbytku i do pani de Restaud, córki ojca Goriot, gdzieś poznał paryżankę. Gdyś potem powrócił do nas, jam od razu wyczytał na twym czole słowo: *wynieść się nad innych*. Tak, wynieść się, chociażby nie wiedzieć jakim kosztem. — Brawo — pomyślałem — takiego zucha to lubię. Potrzebowałeś pan pieniędzy. Skąd ich dostać? Trzeba było obedrzeć siostry. Wszyscy bracia wyzyskują po trosze dobroć sióstr swoich. Lecz owe tysiąc pięćset franków, któreś pan, i tak Bóg wie, jakim sposobem wydarł z kraju, gdzie więcej bywa kasztanów niż pieniążków, wymkną się jeden za drugim jak żołnierze na rabunek. A potem co będzie? będziesz pan pracował? Praca w tym znaczeniu, jak pan ją teraz pojmujesz, zapewnia drągalom, w rodzaju Poireta, lokal u mamy Vauquer na resztki żywota. W tej chwili może pięćdziesiąt tysięcy młodych ludzi, co się znajdują w takich jak pan okolicznościach, postanawia dorobić się prędko fortuny. Pan jesteś tylko jednostką tej liczby. Osądź pan teraz, ile tu potrzeba trudów, ile zajadłości w walce! Musicie się zjadać wzajemnie jak pająki w garnku, skądże bowiem wziąć pięćdziesiąt tysięcy miejsc korzystnych? Wiesz pan, jakim sposobem można się wynieść na świecie? Tylko za pomocą świetnego geniuszu lub zręczności, którą zepsucie wyrabia w człowieku. Trzeba wpaść w tłum ludzi jak kula armatnia lub wśliznąć się cicho jak zaraza. Uczciwość do niczego nie prowadzi. Ludzie nienawidzą geniuszu, lecz uginają się przed jego potęgą, starają się go spotwarzyć za to, że bierze wszystko bez podziału, lecz skłaniają się przed nim, jeżeli jest wytrwały; jednym słowem czczą go na kolanach, jeżeli nie zdołają w błocie zagrzebać. Zepsucie przeważa, a talent rzadko się spotyka. Toteż zepsucie jest bronią mierności, której tak wiele na świecie — wszędzie czujemy ostrze jego. Spotkasz pan jeszcze kobiety, które wydają na stroje przeszło dziesięć tysięcy, gdy dochód ich mężów wynosi wszystkiego sześć tysięcy franków na rok. Spotkasz pan urzędników, co będą kupowali dobra ziemskie, choć pensja ich ogranicza się do tysiąca dwustu franków. Spotkasz kobiety, co się powalały, byle tylko przejechać się z synem para Francji, którego powóz może się toczyć po środkowej alei w Longchamp. Widziałeś pan, jak biedny niedołęga Goriot musiał zapłacić rewers podpisany przez córkę, której małżonek ma pięćdziesiąt tysięcy liwrów rocznego dochodu. Założę się z panem, że nie postąpisz w Paryżu dwóch kroków, żebyś się nie natknął na matactwo piekielne. Dałbym głowę za łodygę tej sałaty, że odkryłbyś pan gniazdo os w domu pierwszej lepszej kobiety, która ci się podoba, choćby kobieta

owa była bogata, piękna i młoda. Wszystkie one wyłamują się spod prawa i żyją w ciągłej wojnie z swymi mężami. Nie skończyłbym nigdy, gdybym chciał opowiadać panu, do jakiego przemysłu uciekają się one dla kochanków, dla dzieci, dla bytu, dla próżności, a rzadko z cnotliwych pobudek, bądź pan pewien. Dlatego to człowiek uczciwy jest nieprzyjacielem powszechnym. Ale co to jest, według pańskich pojęć, człowiek poczciwy? W Paryżu uczciwy jest ten, kto milczy i nie chce się dzielić z nikim. Nie mówię bowiem o tych biednych niewolnikach, co to zawsze pracują i nie widzą nagrody za swe trudy, tych nazywam bractwem pieszych posłańców Pana Boga. Prawda, że tu jest cnota w pełnym rozkwicie swej głupoty, lecz i nędza jest tu również. Zdaje się, że widzę, jaką to długą minę zrobiliby ci poczciwcy, gdyby Pan Bóg zażartował z nas i nie ukazał się wcale w dzień sądu ostatecznego. Otóż, jeżeli pan pragniesz zdobyć sobie prędko pozycję w świecie, to musisz być bogatym lub przynajmniej takim się wydawać. Chcąc się wzbogacić, trzeba ryzykować grubo, gdyż inaczej gra się nie opłaci i bywaj zdrów! Masz pan sto zawodów do wyboru, ale czy wiesz, że z grona ludzi, którzy się tym zawodom poświęcili, wybierze się może dziesięciu takich, co się prędko wzbogacili, za to wszystkich dziesięciu okrzyczano za złodziei. Teraz wyprowadzaj pan wnioski z tego, coś słyszał. Pokazałem ci wierny obraz życia. Widok to niezbyt piękny, przypomina bowiem kuchnię smrodliwą, a każdy kto chce biesiadować, musi tu poprzednio ręce powalać; chodzi tylko o to, by później wymyć je dobrze: na tym zasadza się cała moralność naszego wieku. Mam prawo mówić tak o świecie, bo znam go dobrze. Sądzisz pan może, że ja świat potępiam? Bynajmniej. Był on zawsze jednaki. Moraliści nigdy zmienić go nie zdołają. Każdy człowiek jest ułomny, tylko jeden może być mniej fałszywy niż drugi, a głupcy zarzucają pierwszemu brak moralności. Nie myślę wynosić prostego ludu ponad klasę bogaczy; człowiek jest wszędzie jednaki, ten sam na wierzchu, w środku i na spodzie. Na każdy milion tego bydła wyborowego, znajdzie się dziesięciu zuchów, co się wybijają na wierzch nie dbając o nic, nawet o prawo; ja do takich należę. Co się tyczy pana, jeżeliś człowiek wyższy, to podnieś głowę i idź prostą drogą. Lecz pamiętaj, że trzeba będzie walczyć z zawiścią, potwarzą i miernością, że z całym światem przyjdzie stanąć do boju. Napoleon spotkał ministra wojny, imieniem Aubry, który o mało nie wysłał go na wygnanie. Porachuj się pan z siłami! Przekonaj się, czy potrafisz wstawać co dzień z nowym i to coraz nowym zasobem silnej woli. Po tym wszystkim, chcę zrobić panu propozycję, której by nikt nie odrzucił. Proszę dobrze słuchać! Mam ja, widzisz pan, myśl pewną. Marzę zawsze o tym, żeby nabyć z jakie tysiąc włók ziemi gdzieś na południu Stanów Zjednoczonych i wieść życie patriarchalne w swej ogromnej posiadłości. Chciałbym zostać plantatorem, mieć niewolników, handlować wołami, tytoniem, drzewem i zebrać kilka milioników, dogadzając przy tym wszystkim swym zachciankom i wiodąc życie iście królewskie, o jakim nie mamy nawet pojęcia tutaj, gdzie się trzeba gnieździć jak w jamie do wypalania gipsu. Jam wielki poeta. Nie piszę poematów, gdyż składają się one z czynów i uczuć. W chwili obecnej posiadam pięćdziesiąt tysięcy franków, za które mógłbym kupić zaledwie czterdziestu negrów. Potrzeba mi zaś dwieście tysięcy franków, gdyż chcę mieć dwustu negrów, aby zadowolić moje zamiłowanie do życia patriarchalnego. Negry, widzisz pan, to dobre dzieci, z którymi można robić, co się podoba, nie zdając sprawy przed ciekawym prokuratorem królewskim. Mając ten czarny kapitał w ręku, zrobię w dziesięć lat od trzech do czterech milionów. Jeżeli mi się powiedzie, to z pewnością nikt mnie nie zapyta: „Coś ty za jeden?" Będę sobie pan Cztery-Miliony, obywatel Stanów Zjednoczonych. Będę miał wówczas lat pięćdziesiąt, a w tym wieku nie będę jeszcze strupieszały i zabawię się wedle upodobania. Jednym słowem, czy dasz mi pan dwieście tysięcy franków za to, że ci nastręczę milion posagu? Dwadzieścia od sta za nastręczenie, cóż czy to za drogo? Trzeba będzie, żebyś pan zasłużył na miłość swej żoneczki. Ożeniwszy się, zaczniesz zdradzać niepokój wewnętrzny, zgryzotę, jednym słowem będziesz udawał smutnego przez dni piętnaście, aż wreszcie jednej nocy nazwiesz żonę pieszczotliwie: moje kochanie! i wyznasz między dwoma pocałunkami, że masz dwieście tysięcy długu. Młodzi małżonkowie najbardziej dystyngowani grają co dzień tę komedię. Młoda żona nie zamyka worka przed tym który zdobył jej serce. Może pan myślisz, że stracisz na tym wiele? Bynajmniej. Nastręczy się panu jaki korzystny interes i odzyskasz od razu swoje dwieście tysięcy. Z milionem kapitału i z taką główką, jaką pan posiadasz, można dorobić się znakomitej fortuny. *Ergo* w sześć miesięcy możesz pan uszczęśliwić siebie, ukochaną kobietę i tatusia Vautrina, że

już nie wspomnę o całej rodzinie pańskiej, która dmucha zimową porą w palce, nie mając drzewa na opał. Nie dziw się pan temu, co ci proponuję, ani temu, o co cię proszę! Na sześćdziesiąt świetnych małżeństw, które się zawiera w Paryżu, przynajmniej czterdzieści siedem na podobnym targu się opiera. Izba notariuszów zmusiła niejakiego pana...

— Cóż mam czynić? — zapytał chciwie Rastignac, przerywając Vautrinowi.

— Prawie nic — odparł tamten, nie mogąc powstrzymać poruszenia radości, jak rybak nie może zapanować nad zadowoleniem wewnętrznym, gdy czuje, że ryba bierze za wędkę. — Uważaj pan dobrze. Serce dziewczyny biednej i nieszczęśliwej pragnie miłości jak gąbka sucha i rozszerza się od każdej kropli uczucia, która na nie spada. Zalecać się młodej osobie, co widzi przed sobą tylko osamotnienie, rozpacz i nędzę i nie przeczuwa nawet, że może być bogata. Zaiste! To znaczy tyle, co mieć w ręku same asy i króle, to znaczy brać bilet na loterię, wiedząc, jakie numery będą wygrywały lub grać na giełdzie, posiadając najświeższe wiadomości. Wznosisz pan na silnych podstawach małżeństwo nierozerwane. Niechże dziewczyna owa posiądzie naraz miliony, a rzuci je panu pod nogi, jak garść nędznego piasku: „Bierz, mój luby! Bierz Adolfie! Alfredzie! Bierz, Eugeniuszu!" zawoła dziewczę, jeżeli Adolf, Alfred lub Eugeniusz byli tak mądrzy, że się przedtem poświęcali dla niej. A cóż to było za poświęcenie? Oto sprzedało się starą odzież, aby pojechać do Cadran-Bleu na pasztet z grzybami, a wieczór przepędzić w Ambigu--Comique; oto zastawiło się zegarek w lombardzie, żeby za otrzymane pieniądze kupić szal dla ukochanej. Nie wspominam o tych głupstwach i dzieciństwach, o które kobiety dbają tak bardzo; nie mówię o skrapianiu listów wodą, która uchodzi za łzy oddalonego kochanka, zdaje mi się bowiem, że pan znasz bardzo dobrze mowę serca. Paryż, mój panie, to las dziewiczy, po którym krąży dwadzieścia dzikich plemion; są tu Indianie Illinois, są Huroni, a każde plemię żyje z łupu, jaki zdobędzie na łowach społecznych; pan jesteś łowiec milionów. Chcesz je pan schwytać, więc robisz zasadzki, zastawiasz sieci, nęcisz na wabika. Różne są sposoby polowania. Jedni polują na posag, inni na likwidację; ci biorą na przynętę sumienia, owi sprzedają swych abonentów, skrępowawszy im poprzednio ręce i nogi. Gdy łowca wraca z torbą pełną zwierzyny, to mu się kłaniają, ujmują go i wprowadzają do najlepszego towarzystwa. Oddajmy sprawiedliwość tej ziemi gościnnej i przyznajmy, żeś pan trafił do miasta najwyrozumialszego na całym świecie. Dumni arystokraci innych stolic europejskich nie chcą przyjąć do swego koła milionera zniesławionego, lecz Paryż wyciąga ku niemu ramiona, śpieszy na jego biesiady, jada u jego stołu i trąca się kieliszkiem z jego nikczemnością.

— Ale gdzież szukać takiej dziewczyny, o jakiej pan mówisz? — zapytał Eugeniusz.

— Jest przed panem, na pańskie usługi!

— Panna Wiktoryna?

— Ona sama!

— Jakim sposobem?

— Ona cię kocha, mój panie, twoja mała baronowa de Rastignac!

— Ależ ona nie ma złamanego szeląga — odparł Eugeniusz zdumiony.

— A, jesteśmy w domu! Jeszcze dwa słowa — rzekł Vautrin — a wszystko się wyjaśni. Ojciec Taillefer — to stary łotr, o którym powiadają, że zamordował jednego z swych przyjaciół podczas rewolucji. To jeden z owych zuchów, o których ja powiadam, że mają niezawisłe przekonania. Jest on bankierem i głównym wspólnikiem domu Fryderyk Taillefer i spółka. Ma syna jedynaka, któremu chce zostawić całe mienie ze szkodą Wiktoryny. Ale ja nie ścierpię takiej niesprawiedliwości. Podobny jestem do don Kijote'a, lubię występować w obronie słabego przeciw silnym. Gdyby Bóg zechciał powołać do siebie tego syna, to Taillefer przyjąłby córkę; chciałby mieć jakiegokolwiek spadkobiercę, bo to jest słabość natury ludzkiej, a ja jestem przekonany, że się już więcej dzieci nie doczeka. Wiktoryna jest łagodna i miła, potrafi w krótkim czasie opanować ojca. Zrobi z uczucia bicz i będzie poganiać starego, wodząc go za nos wedle upodobania. Wtedy będziesz ją pan mógł zaślubić, bo ona nie zapomni z pewnością pańskiego przywiązania. Ja podejmę się roli Opatrzności i zrobię to, że Pan Bóg zechce powołać do siebie młodego Taillefera. Mam jednego przyjaciela, dla któregom się kiedyś poświęcił: jest to pułkownik armii loarskiej, który przeszedł niedawno do gwardii królewskiej. Człowiek ten polega zawsze na moim zdaniu i teraz stał się ultrarojalistą, nie należy on do tych głupców, co to nie chcą za nic zmienić swych przekonań. Słuchaj, mój aniołku, udzie-

lę ci tu dobrej rady, nie dbaj o przekonania więcej, jak się dba o wyrazy. Sprzedawaj je, gdy ich od ciebie zażądają. Człowiek, który się przechwala, że nigdy nie zmienia raz powziętych przekonań, to ni mniej ni więcej tylko głupiec, który zamierza iść zawsze w prostym kierunku i wierzy w swą nieomylność. Nie ma na świecie zasad, są tylko wypadki, nie ma praw, są tylko okoliczności. Człowiek wyższy umie korzystać z trafu i z okoliczności. Gdyby były zasady i prawa stałe, to narody nie zmieniałyby ich tak, jak się zmienia koszulę. Pojedynczy człowiek nie jest obowiązany być mędrszym od całego narodu. Człowiek, który najmniej zasług położył dla Francji wart jest, by go w najlepszym razie umieścić na wystawie machin z podpisem La Fayette, czczony jest jak fetysz jakiś to, że wszystko widział w czerwonym świetle, gdy przeciwnie książę, na którego każdy rzuca kamieniem, a który tak nienawidzi ludzkości całej, że ciska jej w twarz gradem przekleństw zasłużonych; książę ów, powiadam, oparł się podziałowi Francji na kongresie Wiedeńskim, a ludzkość obrzuca błotem tego, który zasłużył na koronę. O, znam ja takie sprawy! Zbadałem tajemnice niejednego człowieka! Dosyć tego! Wtedy powiem, że mam przekonanie niezachwiane, gdy znajdę trzy głowy zgadzające się na użycie jednego środka, ale długo chyba na to czekać będę! W trybunale trudno znaleźć trzech sędziów, którzy by zgodnie pojmowali jeden artykuł prawa. Ale powracam do mego człowieka. Ten gotów by na nowo ukrzyżować Chrystusa, gdybym ja tego zażądał. Dosyć, by tatuś Vautrin szepnął jedno słówko, a przyjaciel jego poszuka zwady z tym kpem, który nie dał nigdy sto sous swojej biednej siostrze, i...

Tu Vautrin podniósł się, stanął niby na stanowisku i zrobił ruch fechmistrza, który naciera na przeciwnika.

— I to w cieniu — dodał.

— Ależ to zgroza! — zawołał Eugeniusz. — Pan pewnie żartujesz, panie Vautrin?

— No, no — spokojnie dodał tamten. — Nie udawaj pan dziecka; a wreszcie gniewaj się, unoś ile się podoba, jeżeli ci to sprawia ulgę! Powiedz, żem nikczemnik, żem niegodziwiec, tylko nie nazywaj mnie złodziejem i szpiegiem! Dalejże, mów pan, wylej żółć całą! Przebaczam ci, młodzieńcze, to tak właściwe twemu wiekowi! I ja byłem nie lepszy. Radzę tylko dobrze rozważyć. Przyjdzie czas, że się nie cofniesz przed gorszym postępkiem. Zaczniesz się przymilać jakiej pięknej kobiecie i będziesz brał od niej pieniądze. Jużeś pan o tym myślał — ciągnął Vautrin — bo jakże byś sobie radę dał, gdybyś nie zamierzał ciągnąć zysków ze swej miłości. Cnota, mój panie studencie, nie daje się rozdzielać na części; jest cała lub zupełnie jej nie ma. Każą nam pokutować za winy nasze. To znów piękny system, mocą którego przez skruchę oczyszczamy się ze zbrodni. Uwieść kobietę, żeby się wznieść na wyższy szczebel drabiny społecznej, rzucić kość niezgody pomiędzy członków jednej rodziny, wreszcie jawnie lub skrycie popełnić tysiąc podłości dla zadowolenia swych zachcianek lub w widokach osobistych: czy pan sądzisz, że to są uczynki wiary, miłości i nadziei? Czemuż taki frant, który przez jedną noc wydziera dziecku połowę majętności, odsiaduje tylko dwa miesiące więzienia, a nieborak jakiś, co skradł bilet stufrankowy wśród potępiających go okoliczności, musi iść za to na galery?... To próbka naszych praw. Wszystkie są niedorzeczne. Elegant w rękawiczkach popełnił zbrodnię bez przelewu krwi, a zbrodniarz otworzył drzwi wytrychem: oto dwie sprawki nocne! Między tym, co ja dziś proponuję, a tym, co pan spełnisz kiedyś, jest tylko jedna różnica: tam się obejdzie bez przelewu krwi, a tu się bez niego obejść nie może. I pan wierzysz, że jest coś stałego na tym świecie! Pogardzaj pan ludźmi i szukaj w sieci kodeksu oczek, przez które wymknąć się można. Pod wielką fortuną, która powstała z niewiadomego źródła, ukrywa się zawsze zbrodnia; zapomniano o niej tylko dlatego, że była szybko spełniona.

— Przestań pan, nie chcę już dłużej słuchać, bo mógłbym zwątpić o sobie. Dotychczas uczucie jest jedyną moją mądrością.

— Jak sobie chcesz, piękne dziecię. Sądziłem, żeś silniejszy — rzekł Vautrin — teraz nie powiem już nic więcej. Ale jeszcze ostatnie słowo. — Spojrzał w oczy studentowi: — Posiadasz pan moją tajemnicę — powiedział.

— Człowiek, który odmawia panu, potrafi pewnie zapomnieć o pańskiej tajemnicy.

— Dobrześ pan powiedział, to mi się podoba. Inny, widzisz pan, może nie być tak skrupulatnym. Proszę pamiętać o tym, co ja chcę zrobić dla pana. Daję jeszcze panu piętnaście dni. Możesz przyjąć lub odrzucić.

— Cóż to za żelazna głowa u tego człowieka? — szepnął Rastignac, patrząc na Vautrina, który oddalał się spokojnie, założywszy laskę pod ramię. Powtórzył mi bez ogródki to, co pani de Beauséant powiedziała w sposób przyzwoitszy. Szarpał mi serce żelaznymi szponami. Dlaczegóż ja chcę być u pani de Nucingen? On przeniknął od razu pobudki, jakie mnie do tego skłaniają. Rozbójnik ten powiedział mi o cnocie więcej, niż wszyscy ludzie i wszystkie książki, którem przeczytał. Jeżeli to prawda, że z cnotą nie można wchodzić w żadne układy, to ja po prostu okradłem swe siostry! — zawołał Eugeniusz, rzucając worek na stół. Usiadł na ławce i pogrążył się w bezwładnym jakimś rozmyślaniu. — Być wiernym cnocie, o jakież to wzniosłe męczeństwo! Tak! Wszyscy wierzą w cnotę; lecz któż jest cnotliwy? Narody ubóstwiają swobodę; a gdzież jest naród swobodny na ziemi? Dziś moja młodość jasna jak niebo bez chmur, ale zapragnę być wielkim lub bogatym i będę zmuszony kłamać, płaszczyć się, czołgać i podnieść się z ziemi, i znowu schlebiać i udawać, i będę musiał zostać lokajem tych, co przede mną kłamali, płaszczyli się i czołgali. Trzeba bowiem służyć tym ludziom, zanim się ich wspólnikiem zostanie. O, nie! Ja pragnę pracy szlachetnej, świętej; pragnę dzień i noc pracować, byle tylko własnym trudem przyszłość sobie wywalczyć. Mozolnie zdobywać ją będę, ale za to bez żadnej złej myśli złożę co dzień głowę do snu. Cóż piękniejszego, jak spojrzeć na swe życie i przekonać się, że ono czyste jak lilia? Ja staję wobec życia jak młodzieniec wobec swej narzeczonej. Vautrin pokazał mi, jak to bywa po dziesięcioletnim pożyciu. Do licha! Ja głowę tracę. Nie chce myśleć o niczym... serce jest najlepszym przewodnikiem.

Tu gruby głos Sylwii obudził go z marzenia. Kucharka oznajmiała o przybyciu krawca. Eugeniusz rad był z tej okoliczności i stanął przed nim, trzymając w ręku oba worki z pieniędzmi. Przymierzył strój balowy i przebrał się w kostium poranny, który przeistaczał go zupełnie.

— Śmiało mogę się mierzyć z panem de Trailles — rzekł do siebie. Trzeba przyznać, że mam teraz szlachetną postawę.

— Pytałeś mnie pan — rzekł ojciec Goriot, wchodząc do Eugeniusza — czy nie znam jakiego domu, w którym bywa pani de Nucingen?

— A tak.

— Otóż w przyszły poniedziałek pani de Nucingen będzie na balu u marszałka Carigliano. Gdybyś pan mógł tam być, to byś mi potem powiedział, czy moje córki dobrze się bawiły, jak były ubrane; wszystko musiałbyś mi powiedzieć.

— Jakżeś się pan o tym dowiedział, dobry ojcze Goriot? — rzekł Eugeniusz, sadzając go przy ognisku.

— Panna służąca mej córki powiedziała mi o tym. Wiem ja o wszystkim, co one robią przez Teresę i Konstancję — dodał wesoło.

Staruszek podobny był w tej chwili do młodzieńca rozkochanego, który z radością knuje podstęp mający go zbliżyć do narzeczonej.

— Pan zobaczysz obydwie! — zawołał, zdradzając naiwnie zazdrość, która mu serce ściskała.

— Nie wiem jeszcze — odparł Eugeniusz. — Udam się do pani de Beauséant i zapytam, czy nie może mnie przedstawić pani marszałkowej.

Eugeniusz pomyślał nie bez pewnej radości, że ukaże się wicehrabinie w nowym stroju. Moraliści nazywają otchłanią serca ludzkiego to, co się składa po prostu z takich myśli łudzących, z takich mimowolnych poruszeń miłości własnej. Owe nagłe zmiany, o których tak wiele rozprawiają, owe przewroty gwałtowne, wszystko to są ustępstwa, jakie robimy dla własnej przyjemności. Eugeniusz zobaczył na sobie wykwintne odzienie, eleganckie rękawiczki i obuwie i wnet zapomniał o wszystkich postanowieniach cnotliwych.

Młodzieniec, co się przychyla ku złemu, nie śmie przejrzeć się w zwierciadle sumienia, a człowiek dojrzały nieraz już odważył się w nie spojrzeć; na tym zasadza się cała różnica między tymi dwiema fazami życia naszego. Od kilku dni dwaj sąsiedzi, Eugeniusz i ojciec Goriot, stali się szczerymi przyjaciółmi. Przyjaźń mimowolna powstała z tych samych pobudek psychicznych, które wytworzyły uczucie wręcz przeciwne między Vautrinem i studentem. Śmiały filozof, który zechce wykazać wpływ uczuć naszych na świat fizyczny, znajdzie dowód ich materialności w stosunkach, jakie się wytwarzają między ludźmi i zwierzętami. Żaden fizjonomista nie odgadnie na pierwszy rzut oka charakteru człowie-

ka, a pies przeczuje od razu , czy obcy przybysz lubi go, czy nie lubi. *Atomy haczykowate*, wyraz przysłowiowy, jest jednym z owych faktów, które pozostają w mowie naszej, by zadawać kłam bredniom filozoficznym tych ludzi, którzy lubują się w oczyszczaniu słów pierwotnych od późniejszych naleciałości. Przeczuwamy, gdy nas ktoś kocha. Uczucie odbija się na wszystkim i przenika przestrzeń najdalszą. List może zawierać w sobie duszę całą; jest on tak wiernym echem głosu znajomego, że dusze wrażliwe uważają list za jeden z najcenniejszych skarbów miłości. Ojciec Goriot, którego uczucie ślepe dorosło do zenitu psiej natury, przewąchał współczucie, dobroć i sympatię młodzieńczą, z jaką serce studenta zwracało się ku niemu. Jednak skłonność wzajemna, co się niedawno obudziła, nie doprowadziła ich jeszcze do żadnych zwierzeń. Eugeniusz zdradził się z chęcią poznania pani de Nucingen, nie dlatego, żeby miał rachować na pomoc Goriota, ale sądził, że stary z kolei powie o tym córce. Goriot raz tylko mówił z nim o swych córkach po tym, co Eugeniusz pozwolił sobie powiedzieć publicznie, gdy powrócił z pierwszej wizyty.

— Łaskawy panie — powiedział mu nazajutrz — jak pan mogłeś uwierzyć, że pani de Restaud obraziła się na pana za to, żeś wymówił moje imię? Obydwie moje córki bardzo mnie kochają. Jestem najszczęśliwszym ojcem. Tylko zięciowie źle się ze mną obeszli. Nie chciałem, żeby drogie te istotki cierpiały w skutek moich nieporozumień z ich mężami, dlategom postanowił widywać się z nimi potajemnie. Sama tajemniczość odwiedzin daje mi tysiące uciech, których nie pojmują inni ojcowie, co mogą widywać swe córki, kiedy im się podoba. A ja nie zawsze mogę je widywać; czy pan to pojmujesz? Za to, gdy piękna pogoda, idę na Pola Elizejskie, dowiedziawszy się poprzednio od służących, że córki moje tam będą. Oczekuję ich na przesmyku; serce mi bije, gdy powozy się zbliżają; podziwiam ich piękność podniesioną strojem wykwintnym, a one rzucają mi w przelocie miły uśmieszek, co niby blask słońca rozpromienia mi świat cały. I stoję znów, czekając, aż będą wracały. I spostrzegam je raz jeszcze! Powietrze je odświeżyło, zarumieniło im twarze. Słyszę, jak wszyscy mówią dokoła: „Jaka to piękna kobieta!" Serce mi się raduje, boć to przecie krew moja! Kocham rumaki, co je unoszą i chciałbym być pieskiem, którego one trzymają na kolanach. Ich uciecha, to życie moje. Każdy kocha po swojemu; moje przywiązanie nie szkodzi nikomu, pocóż więc ludzie mną się zajmują? Jam tak szczęśliwy w swoim przekonaniu! Czyliż się to prawu sprzeciwia, że ja idę popatrzeć na córki w chwili, gdy się one na bal wybierają? Jakżem zmartwiony, gdy się spóźnię, i służący mówi mi: „Pani już nie ma". Raz czekałem aż do trzeciej po północy, żeby spojrzeć na Naścię, której przez dwa dni nie widziałem. Za to ledwiem nie skonał z radości. O mnie nie mów pan, proszę, chyba po to, by ocenić dobroć mych córek. One chciałyby obsypać mnie rozlicznymi darami, ale ja nie dopuszczam do tego: Bierzcież swoje pieniądze, powiadam. Cóż chcecie, żebym z nimi robił? Mnie nic nie trzeba. W samej rzeczy, łaskawy panie, cóż ja jestem? Nędzny trup, którego dusza przebywa zawsze z córkami. Gdy pan zobaczysz baronową de Nucingen, to powiesz mi, która ci się lepiej podoba — dodał poczciwiec po chwili, widząc, że Eugeniusz wybiera się do Tuilleries, by tam oczekiwać chwili, w której można będzie udać się do pani de Beauséant.

Przechadzka ta miała wielki wpływ na los studenta. Kilka kobiet zwróciło nań uwagę. Bo też był tak piękny, tak młody, tak elegancki we wszystkich swych ruchach! Widząc, że jest przedmiotem powszechnej uwagi i podziwu, zapomniał zupełnie o siostrach, o ciotce zubożałej i o wszystkich zasadach cnotliwych; nad głową jego przeleciał ów demon, którego tak łatwo wziąć za anioła, ów szatan o skrzydłach tęczowych, co rozsiewa rubiny, wypuszcza swe strzały złociste na szczyty pałaców, oblewa rumieńcem twarze kobiece, przyodziewa próżnym blaskiem trony wątpliwego pochodzenia; usłuchał głosu ducha próżności, której blichtr bierzemy nieraz za godło potęgi. Słowa Vautrina, pomimo całego cynizmu, utkwiły mu w sercu tak głęboko, jak się wrażają w pamięć dziewicy wstrętne rysy starej faktorki, która jej szepce do ucha: „Złoto i miłość popłyną ci strumieniem!" Po bezcelowej przechadzce, Eugeniusz udał się koło godziny piątej do pani de Beauséant, gdzie został rażony jednym z tych pocisków okrutnych, przeciw którym serca młode bywają zawsze bezbronne. Dotychczas wicehrabina przyjmowała go zwykle z uprzejmością serdeczną i z owym wdziękiem pełnym słodyczy, który się nabywa przez wychowanie arystokratyczne, ale wtedy tylko jest prawdziwym, gdy z serca pochodzi. Dziś pani de Beauséant powitała go oziębłym skinieniem głowy i rzekła krótko:

— Panie de Rastignac, nie mogę przyjąć pana w tej chwili! jestem zajęta...

Dla Rastignaca, który nauczył się już patrzeć na wszystko okiem badawczym, słowa te, ruch, spojrzenie, dźwięk głosu, były historią charakteru i obyczajów całej kasty. Ujrzał żelazną rękę pod rękawiczką jedwabną, prywatę i egoizm pod wdziękiem udanym, drzewo pod lakierem. Usłyszał na koniec to wszechwładne *Ja*, które się odzywa i pod pióropuszem królewskim i pod hełmem ostatniego rycerza. Eugeniusz zawierzył nazbyt łatwo jej słowu i zaufał szlachetności kobiety. Jak wszyscy nieszczęśliwi, zawarł chętnie przymierze rozkoszne, które łączy dobroczyńcę z obdarowanym. Pierwszy paragraf tego przymierza uświęca zupełną równość serc szlachetnych. Dobroczynność łączy najściślej dwie istoty , jest to uczucie niebiańskie, uczucie niepojęte i rzadkie, jak miłość prawdziwa. I dobroczynność i miłość jest udziałem dusz wzniosłych. Rastignac pragnął być na balu u księżnej Carigliano, zniósł zatem ten objaw złego humoru wicehrabiny.

— Pani — wyrzekł głosem wzruszonym — nie śmiałbym pani utrudzać, gdyby tu nie szło o rzecz ważną; pozwól mi pani zaczekać trochę, może później znajdziesz chwilę swobodną, którą mi zechcesz poświęcić.

— Dobrze więc, zapraszam dziś pana na obiad — odrzekła zawstydzona trochę szorstkością słów swoich; w gruncie bowiem była to kobieta dobra i szlachetna.

Eugeniusza wzruszyła taka zmiana raptowna, pomimo to jednak, odchodząc rzekł do siebie: Czołgaj się, znoś wszystko! Jakież to muszą być inne kobiety, skoro najlepsza z nich, w chwili złego humoru, zapomina o obietnicy i obchodzi się z tobą, jak z trzewikiem zużytym? A więc każdy dba tylko o siebie! Wprawdzie dom jej nie jest sklepem i moja to wina, że potrzebuję jej pomocy. Dobrze mówi Vautrin, trzeba stać się kulą armatnią.

Gorzkie rozmyślania studenta rozwiały się bez śladu, gdy przypomniał sobie, że czeka go przyjemny obiad u wicehrabiny. Dziwna fatalność kierowała najdrobniejszymi wypadkami jego życia, usiłując popchnąć go na drogę, na której, według słów strasznego sfinksa z gospody Vauquer, trzeba było, jak na polu bitwy, zabijać, żeby nie być zabitym, oszukiwać, żeby nie być oszukanym. Wchodząc na tę drogę, trzeba było odrzucić sumienie i serce, a wdziać maskę i okpiwać ludzi bez litości, trzeba było, jak w Lacedemonii, uchwycić szczęście pokryjomu, żeby zasłużyć sobie na wieniec.

Gdy Eugeniusz przyszedł na obiad, wicehrabina spotkała go ze zwykłą sobie dobrocią. Oboje udali się do sali jadalnej, gdzie już wicehrabia oczekiwał żony. Trzeba było podziwiać przepych stołu, który, jak wiadomo, podczas Restauracji posunięty był do najwyższego stopnia. Pan de Beauséant, jak wszyscy ludzie przesyceni, znajdował jedyną przyjemność w dobrym jedzeniu; można go było zaliczyć do smakoszów szkoły Ludwika XVIII i księcia Escars; toteż stół jego odznaczał się zastawą zbytkowną i wytwornymi potrawami. Był to widok nieznany dla Eugeniusza, który nigdy jeszcze nie był w takim domu, gdzie wytworność i zbytek przechodzą z pokolenia na pokolenie. Wyszły już były z mody kolacje dawane na zakończenie balów za czasów Cesarstwa, na których wojskowi nabierali sił, ażeby być w przygotowaniu na wszelkie potyczki, które musieli staczać w kraju i za jego obrębem.

Eugeniusz zaczynał już nabierać tej pewności siebie, która miała być w późniejszym czasie jedną z cech jego charakteru, i to powstrzymało go od okazania głupowatego zachwytu. Po raz pierwszy oglądał tu srebra rzeźbione i tysiączne wymysły zbytkowego stołu, pierwszy raz w życiu widział służbę krzątającą się bez najmniejszego hałasu, a żywa wyobraźnia przedstawiała mu całą wyższość tego życia wykwintnego wobec niedostatku, na który chciał się skazać rano. Przeniósł się myślą na chwilę do swej gospody mieszczańskiej i uczuł tak silny wstręt, że przysiągł sobie opuścić ją w styczniu i przeprowadzić się do schludniejszego mieszkania, a zarazem uwolnić się od Vautrina, którego dłoń szeroką czuł na swym ramieniu.

Wziąwszy pod uwagę zepsucie ukryte i jawne, które ukazuje się w Paryżu pod tysiącznymi postaciami, rozsądny człowiek zadaje sobie pytanie, jak rząd mógł zgromadzić tu młodzież zakładając szkoły; jakim cudem piękne kobiety mogą tu być szanowane i jakim sposobem złoto wystawione u wekslarzy nie znika czarodziejskim sposobem z ich szkatułek? Lecz, z drugiej strony, kto się zastanowi nad tym, że w Paryżu młodzież popełnia tak niewiele zbrodni, że nawet nie jest zbyt pochopną do występku, ten musi skłonić głowę z szacunkiem przed wytrwałymi Tantalami, którzy walczą z sobą niezmordowanie i najczęściej zwycięstwo odnoszą! Chcąc pokazać najdramatyczniejszą stronę dzisiejszej naszej cywilizacji, trzeba by odmalować dobrze walkę, jaką biedny student musi staczać

z Paryżem.

Pani de Beauséant spoglądała ciągle na Eugeniusza, spodziewając się, że powie, po co dziś przyszedł do niej, lecz młody człowiek nie chciał dotykać tego przedmiotu w obecności wicehrabiego.

— Czy jedziemy dziś razem na operę? — zapytała wicehrabina zwracając się do męża.

— Nie możesz wątpić, że całym sercem chciałbym ci być posłusznym — odrzekł wicehrabia z udaną zalotnością, którą student wziął za dobrą monetę, — ale dziś muszę być koniecznie w Teatrze Rozmaitości, bo potrzebuję się widzieć z pewną osobą.

— Z kochanką — pomyślała wicehrabina.

— Alboż d'Adjuda dziś nie będzie? — zapytał małżonek.

— Nie — odparła żona z niechęcią.

— Ha! Jeżeli ci koniecznie potrzeba towarzysza, to wesprzyj się na ramieniu pana de Rastignac.

Wicehrabina spojrzała na Eugeniusza z uśmiechem.

— To mogłoby pana bardzo narazić — powiedziała.

— *Francuz kocha się w niebezpieczeństwie, bo wśród niebezpieczeństw sława się zdobywa*, tak mówi pan de Chateaubriand — odparł Eugeniusz z ukłonem.

Po chwili rącze konie niosły go wraz z panią de Beauséant do modnego teatru. Weszli do jednej z łóż położonych naprzeciw sceny i Eugeniusz sądził, że się znalazł w jakimś czarodziejskim świecie, bo wszystkie lornetki zwróciły się na niego i na panią de Beauséant, która miała na sobie strój przepyszny. Z zachwytu w zachwyt przechodził.

— Chciałeś pan ze mną pomówić — rzekła pani de Beauséant. — Ach! patrz pan, oto pani Nucingen znajduje się w trzeciej loży za nami. Siostra jej i pan de Trailles są po drugiej stronie.

Mówiąc to wicehrabina spoglądała na lożę Bochefidów. Przekonała się, że markiza tam nie ma i twarz jej zajaśniała wyrazem zadowolenia.

— Jaka ona prześliczna! — powiedział Eugeniusz, przyglądając się pani Nucingen.

— Ma takie jasne rzęsy.

— Tak, ale co to za kibić wysmukła!

— Ręce jej są zbyt duże.

— Ale jakie piękne oczy!

— Twarz ma za długą.

— Pociągłe rysy nadają jej jakiś wyraz szlachetny.

— To całe jej szczęście. Patrz pan tylko, jak ona podnosi i opuszcza lornetkę! Goriot przebija się we wszystkich jej poruszeniach — mówiła dalej wicehrabina ku wielkiemu zdziwieniu Eugeniusza.

Pani de Beauséant patrzyła na salę i zdawała się nie zwracać wcale uwagi na panią de Nucingen, a jednak widziała najlżejsze jej poruszenie. Wśród publiczności było bardzo wiele pięknych kobiet; ale Delfina de Nucingen spostrzegła od razu , że młody kuzynek pani de Beauséant zajęty był wyłącznie jej osobą i tryumfowała na myśl, że piękny i wytworny młodzieniec nikogo nad nią nie widzi.

— Panie de Rastignac, jeżeli pan nie przestaniesz wpatrywać się w nią tak uporczywie, to możesz jaki skandal wywołać. Nic pan nie zrobisz, jeżeli tak od razu będziesz się rzucał ludziom na szyję.

— Droga kuzynko — rzekł Eugeniusz — opieka twoja nieraz już mi się przydała; jeżeli zechcesz dokończyć dzieła, to będę cię prosił tylko o jedną łaskę; z twej strony, pani, nie wielka to ofiara, a dla mnie rzecz niezmiernej wagi. Muszę wyznać, żem zakochany.

— Już?

— Tak jest.

— I to w tej kobiecie?

— Czyżby moje uczucie nie zostało odtrącone gdzie indziej? — zapytał Eugeniusz, zatrzymując na kuzynce wzrok przenikliwy. Księżna de Carigliano żyje w przyjaźni z księżną de Berry, pani musisz znać ją dobrze, otóż chcę prosić, byś raczyła przedstawić mnie księżnej i zabrała mnie z sobą na bal, który ma być u niej w poniedziałek. Spotkałbym tam panią de Nucingen i mógłbym przystąpić do pierwszego ataku.

— Z największą chęcią — odparła wicehrabina. — Jeżeli to prawda, żeś pan ją od razu sobie upodobał, to jestem pewna, że twe sprawy sercowe pójdą doskonale. Widzisz pan de

Marsay'a w loży księżnej Galathionne? Pani de Nucingen jest w rozpaczy, dla niej to męka prawdziwa. W takiej chwili najlepiej jest właśnie zbliżyć się do kobiety, a mianowicie do takiej żony bankiera. Wszystkie te panie z Chaussée d'Antin lubią bardzo zemstę.

— A pani cóż byś robiła w takim razie?

— Ja cierpiałabym w milczeniu.

W tej chwili margrabia d'Adjuda ukazał się w loży pani de Beauséant.

— Śpieszno mi było przyjść tutaj i dlatego byle jak pokończyłem dziś wszystkie sprawy — rzekł markiz. — Wyznaję to przed panią, żeby postępek mój stracił charakter ofiary.

Oblicze wicehrabiny jaśniało dziwnym blaskiem. Eugeniusz pojął dopiero, jak to się przejawia miłość prawdziwa, która w niczym nie jest podobna do przesadnej kokieterii paryskiej.

Popatrzył na kuzynkę z niemym uwielbieniem, po czym westchnął i ustąpił swe miejsce panu d'Adjuda. „Jakże szlachetną, jak wzniosłą istotą jest kobieta, która umie kochać duszą całą! rzekł do siebie. Czyliż ten człowiek miałby ją zdradzić dla jakiej lalki bezdusznej! Czyż podobna ją zdradzić?" Wściekłość bezsilna zawrzała mu w sercu. Chciałby rzucić się do nóg pani de Beauséant, chciałby mocą piekielną przenieść ją do swego serca, jak orzeł porywa białe jagniątko, co spoczywało u boku swej matki, i unosi je z doliny w górę, do gniazda swojego. Był smutny i upokorzony, bo nie miął jeszcze kochanki, nie posiadał własnego obrazu w tym olbrzymim Muzeum piękności. „Mieć kochankę, myślał sobie, i zajmować w świecie stanowisko prawie królewskie, to jest prawdziwy dowód potęgi!" I spojrzał na panią de Nucingen, jak człowiek znieważony spogląda na swego przeciwnika. Wicehrabina zwróciła się ku niemu i wynurzyła mu w jednym mgnieniu oka serdeczną wdzięczność za jego dyskrecję. Akt pierwszy skończył się właśnie.

— Czy znasz pan dostatecznie panią de Nucingen, żeby przedstawić jej pana de Rastignac? — zapytała wicehrabina margrabiego d'Adjuda.

— Pani de Nucingen będzie bardzo rada poznać pana — rzekł markiz.

Piękny Portugalczyk powstał i ujął studenta pod ramię. Za chwilę obaj stanęli przed panią de Nucingen.

— Mam honor przedstawić pani kawalera Eugeniusza de Rastignac, kuzyna wicehrabiny de Beauséant. Osoba pani sprawia na nim niezmierne wrażenie. Chcąc go uszczęśliwić, postanowiłem ułatwić mu zbliżenie się do ubóstwianego ideału.

Markiz wymówił te słowa tonem żartobliwym, przez co złagodziła się myśl trochę gburowata, która nie razi wcale kobiety, gdy jest dobrze wypowiedziana.

Pani de Nucingen uśmiechnęła się i wskazała Eugeniuszowi miejsce swego męża, który wyszedł przed chwilą.

— Nie śmiem zachęcać pana, byś został ze mną — wyrzekła. — Kto ma szczęście znajdować się przy pani de Beauséant, ten nie opuszcza swego stanowiska.

— Zdaje mi się — rzekł Eugeniusz po cichu — że kuzynka będzie mi wdzięczna, gdy pozostanę przy pani. Przed przybyciem pana markiza — dodał głośno — mówiliśmy właśnie o pani i zastanawialiśmy się nad dystynkcją, która panią cechuje.

Pan d'Adjuda wyszedł.

— Więc pan na prawdę pozostajesz ze mną? — rzekła baronowa. — Poznamy się bliżej, a pani de Restaud obudziła we mnie wielką chęć poznania pana.

— Widzę, że pani de Restaud jest bardzo przewrotna, bo przecie zakazała wpuszczać mnie do swego domu.

— Jak to?

— Wyznam sumiennie, w jaki sposób przyszło do tego, lecz powierzając pani tajemnicę, błagam o jak największą pobłażliwość. Sąsiaduję od dawna z ojcem pani. Nie wiedziałem, że pani de Restaud jest jego córką i byłem tak nieostrożny, żem najniewinniej w świecie wspomniał o panu Goriot przed siostrą pani, przez co obraziłem na siebie i ją i jej męża. Nie umiem pani opowiedzieć, jak surowo księżna de Langeais i moja kuzynka potępiały tę apostazję córki. Opowiadałem im całą scenę, a one śmiały się do upadłego. Pani de Beauséant porównywała ciebie, pani, z twą siostrą, odzywała się bardzo przychylnie o pani i opowiadała mi, żeś nieskończenie dobra dla mego sąsiada, pana Goriot. Bo i jakże mogłabyś pani nie kochać tego człowieka? On ubóstwia panią tak namiętnie, że

ja zaczynam być zazdrosny o to. I dzisiaj przez dwie godziny mówiliśmy z nim o pani. Byłem przejęty słowami pana Goriot i powiedziałem dziś przy obiedzie kuzynce mojej, że niepodobieństwem jest, abyś pani była również piękna, jak jesteś kochająca. Gorące moje uwielbienie podobało się pani de Beauséant, która zabrała mnie na operę, mówiąc ze zwykłym swym wdziękiem, że będę mógł sam zobaczyć panią.

— Jak to — rzekła bankierowa — jużeś pan zasłużył na mą wdzięczność? Jeżeli tak pójdzie, to będziemy wkrótce dobrymi przyjaciółmi.

— Wierzę, że przyjaźń dla ciebie, pani, nie byłaby uczuciem pospolitym, pomimo to, przyjacielem twym nie chcę być nigdy.

Kobietom podobają się takie głupstwa stereotypowe, do których uciekają się zwykle debiutanci. Wydają się one bezmyślne, gdy je na zimno czytamy, lecz ruch, wyraz głosu i spojrzenie młodzieńca nadają im wartość nieocenioną. Pani de Nucingen zauważyła, że Rastignac jest nadzwyczaj miłym chłopakiem. Nie mogąc odpowiedzieć na śmiałą jego mowę, uciekła się do zwykłej taktyki kobiecej i zaczęła mówić o czym innym.

— Tak jest, siostra moja krzywdzi siebie, postępując w ten sposób z biednym naszym ojcem, który był dla nas istną Opatrznością. Co do mnie, to uległam wtedy dopiero, gdy pan de Nucingen rozkazał mi wyraźnie, bym przyjmowała ojca tylko o rannych godzinach. Ale płakałam z tej przyczyny i byłam długo bardzo nieszczęśliwa. To okrucieństwo mego męża, który i przedtem już zdradzał charakter brutalski, przyczyniło się najwięcej do zakłócenia harmonii naszego pożycia. Ludzie myślą pewnie, żem ja najszczęśliwsza ze wszystkich kobiet w Paryżu, a w rzeczy samej, jam bardzo nieszczęśliwa. Mogę się wydać nierozsądną, że się tak zwierzam przed panem. Lecz pan znasz mego ojca, a z tego tytułu i dla mnie obcym nie jesteś.

— Pani nie spotkasz w życiu drugiego człowieka, co by tak szczerze jak ja pragnął należeć do pani — rzekł Eugeniusz. — Czegóż panie wszystkie szukacie? Szczęścia — ciągnął dalej głosem przenikającym do głębi duszy. — A na czymże zasadza się szczęście kobiety? Na tym, żeby być kochaną, ubóstwianą, żeby mieć przyjaciela, któremu można powierzyć wszystkie pragnienia i zachcianki, każde strapienie i radość każdą; przed którym można otworzyć duszę do dna, nie obawiając się zdrady, i ukazać wszystkie jej wady miluchne i wszystkie piękne przymioty. Wierz mi pani, takie serce oddane i namiętne może uderzać tylko w piersi młodzieńca, co się jeszcze nie pozbył swych złudzeń i gotów umrzeć na skinienie kobiety, co nie zna świata i nie pragnie go poznać, bo kochanka jest mu światem całym. Ja, widzi pani, przybywam z głębi prowincji — proszę się nie śmiać z mej naiwności — jam tak niedoświadczony, bo dotychczas tylko piękne dusze spotykałem na świecie. Sądziłem, że się obejdę bez miłości, lecz spotkałem kuzynkę, która pokazała mi z bliska swoje serce i pozwoliła się domyślić niezmierzonych skarbów namiętności. Teraz jestem, jak Cherubin, kochankiem wszystkich kobiet, aż dopóki nie przyjdzie czas, że jednej z nich oddam całą duszę. Przyszedłszy tu, zobaczyłem cię, pani, i zdało mi się, że prąd jakiś popycha mnie ku tobie. Jam tyle już myślał przedtem o tobie, pani! Lecz nawet w marzeniu nie mogłem cię wyobrazić tak piękną, jak jesteś na jawie. Pani de Beauséant zabroniła mi patrzeć na panią bez przerwy. O, bo ona nie pojmuje, jak to miło patrzeć na takie usteczka różane, na taką płeć białą i takie oczy łagodne. Teraz i ja mówię nierozsądnie, lecz pozwól mi pani tak mówić.

Kobiety lubią niezmiernie, gdy im kto prawi słodkie słówka, Najsurowsza skromnisia słucha ich chętnie, wtedy nawet, gdy nie może na nie odpowiedzieć. Po takim wstępie, Eugeniusz plótł zalotnie stłumionym głosem wszystko, co tylko na myśl mu przyszło. Pani de Nucingen zachęcała go uśmiechem, pomimo to jednak spoglądała od czasu do czasu na de Marsay'a, który nie opuszczał loży księżnej Galathionne. Rastignac pozostał przy pani de Nucingen, aż dopóki mąż po nią nie przyszedł.

— Będę bardzo szczęśliwy — rzekł Eugeniusz — jeżeli pani pozwoli, żebym złożył jej swoje uszanowanie przed balem księżnej de Carigliano.

— *Jeszeli baronofa saprasza pana* — rzekł sam baron, tłusty Alzatczyk, o twarzy okrągłej, która zdradzała niebezpieczną przenikliwość — *to upefniam, że bandziesz pan u nas gościem poszządanym*.

— Poszło mi wcale nieźle, bo ona nie bardzo się przestraszyła, gdym zapytał: Czy będziesz mnie kochała? Bydlę moje już okiełznane, wskoczmy teraz na nie i kierujmy nim wedle upodobania.

Tak myślał Eugeniusz, idąc pożegnać panią de Beauséant, która powstała, i zabierała się do wyjścia wraz z panem d'Adjuda, Biedny student nie wiedział, że baronowa była dziś roztargniona, gdyż oczekiwała od de Marsay'a jednego z tych listów, od których się serce krwawi... Eugeniusz, szczęśliwy z mniemanego powodzenia, towarzyszył wicehrabinie aż do przedsionka, gdzie trzeba było zaczekać na powóz.

— Kuzynek pani niepodobny do siebie samego — zaśmiał się markiz po odejściu Eugeniusza. — On gotów bank rozbić. Zwinny jest jak węgorz, i zdaje mi się, że daleko zajdzie. Toteż pani tylko mogłaś mu dobrać taką kobietę, która potrzebowała, by ją ktoś pocieszył.

— To tylko pytanie — rzekła pani de Beauséant — czy ona nie kocha jeszcze tego, który ją porzucił.

Student szedł piechotą z Teatru Włoskiego na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève, tworząc sobie w myśli najpiękniejsze plany na przyszłość. Widział on dobrze, że pani de Restaud przyglądała mu się z wielką uwagą, najpierw gdy się znajdował w loży wicehrabiny, a później gdy siedział obok pani de Nucingen; to mu dało nadzieję, że dom hrabiny otworzy się przed nim na nowo. Mógł już rachować na cztery ważne stosunki w samym sercu arystokracji paryskiej, bo nie wątpił, że potrafi się również podobać pani marszałkowej. Nie zastanawiając się zbytecznie nad środkami, odgadł zawczasu, że w zawiłej grze spraw tego świata, trzeba uczepić się za system kół, żeby się dostać na wierzch machiny, a czuł w sobie dość siły, żeby je zahamować.

„Jeżeli pani de Nucingen zajmie się mą osobą, to ja nauczę ją panować nad mężem. Mąż ten robi interesy pieniężne, więc i ja z jego pomocą będę mógł prędko dorobić się fortuny." Nie sformułował tego tak jasno; nie był jeszcze dość dobrym politykiem, by pojąć dokładnie swe położenie, ocenić je i obrachować, jakie korzyści mogą z niego wypłynąć; myśli jego unosiły się na widnokręgu w kształcie lekkich obłoczków; nie było w nich jeszcze cierpkości właściwej rozumowaniom Vautrina, a jednak ogniowa próba sumienia odkryłaby w nich wiele złego. Takie to transakcje doprowadzają z wolna do tej łatwej moralności, którą wyznaje pokolenie współczesne. Dziś trudniej niż kiedy spotkać człowieka prawego, o woli silnej, co się nigdy nie nagnie ku złemu; człowieka, dla którego najmniejsze zboczenie z prostej drogi jest zbrodnią niedarowaną; trudniej dziś o wspaniałe wzory uczciwości, którym zawdzięczamy dwa arcydzieła, najpierw Alcesta Moliera, później Jenny Deans i jej ojca w dziele Walter-Scotta. Kto wie, może nie mniej piękny, nie mniej dramatyczny byłby obraz przedstawiający drogi wykrętne, na które człowiek ambitny popycha swe sumienie, idąc do celu obok z występkiem i starając się o zachowanie pozorów.

Wracając do swej gospody, Rastignac rozkochał się na dobre w pani de Nucingen, która wydała mu się teraz lekka i wysmukła jak jaskółka. Wyobraźnia malowała mu żywo upajającą słodycz jej oczu oraz płeć białą i przejrzystą, przez którą widać było, jak krew przebiegała falą różową; przypomniał sobie połysk włosów jasnych i czarowny dźwięk jej głosu. Być może, że chód prędki, co krew jego wprawiał w szybszy obieg, potęgował jeszcze tę grę wyobraźni. Student zapukał silnie do drzwi ojca Goriot.

— Sąsiedzie — zawołał — widziałem panią Delfinę.

— Gdzie?

— W Teatrze Włoskim.

— Jakże się ona bawiła? Ale proszę wejść...

Mówiąc to, stary wstał w jednej koszuli, otworzył drzwi, po czym prędko powrócił do łóżka.

— O, mówże mi pan o niej — powiedział.

Eugeniusz znalazł się po raz pierwszy w mieszkaniu Goriota i osłupiał na widok nory, w której żył ojciec, bo w tej chwili przyszła mu na myśl świetna tualeta córki. W oknie nie było firanek; obicia poodskakiwały od ścian w skutek wilgoci i poskręcały się, ukazując w kilku miejscach tynk zakopcony. Nieborak Goriot leżał w ubogim łóżeczku, pod kołdrą cienką i wyszarzaną; na nogach miał watowaną przykrywkę, na którą pani Vauquer ofiarowała rozmaite kawałki, wybrane ze starych sukien. Podłoga była wilgotna i zapylona. Naprzeciw okna stała komoda staroświecka z drzewa różanego, dziwnie pękata i ozdobiona rączkami brązowymi, które naśladowały winną latorośl owiniętą liśćmi i kwiatami; nieco dalej widać było stary zydel, na którym znajdował się dzban z wodą,

miska i wszystkie przybory do golenia. W kącie stały trzewiki; w głowach, przy łóżku, mała szafka pozbawiona drzwiczek i płyty marmurowej; dalej, w rogu komina, na którym nie było najmniejszego śladu ognia, widać było stół czworogranny z drzewa orzechowego, na którym Goriot pogniótł niedawno srebrną wazę. Biurko, na którym leżał kapelusz starego, fotel wyplatany i dwa krzesła dopełniały nędznego umeblowania. Nad łóżkiem żerdź przywiązana szmatą do stołowania, podtrzymywała kotarę z nędznej jakiejś tkaniny w kraty czerwone i białe. Najbiedniejszy tragarz, co mieszka gdzieś na poddaszu, posiada bez wątpienia sprzęty porządniejsze od tych, którymi pani Vauquer zapełniła mieszkanie Goriota. Serce się ściskało i chłód przejmował na widok tej izdebki przypominającej najsmutniejszą celę więzienną. Eugeniusz postawił świecę na szafce przy łóżku; szczęściem Godot nie zwrócił uwagi na twarz jego, która zdradzała uczucia wewnętrzne. Stary zwrócił się ku niemu, otulając się kołdrą aż po samą brodę.

— No, którąż pan wolisz? Panią de Restaud, czy panią de Nucingen?

— Wolę panią Delfinę, bo ona szczerzej kocha pana — rzekł student.

Na te słowa serdeczne stary wyciągnął rękę spod kołdry i ścisnął dłoń Eugeniusza.

— Dziękuję, dziękuję — rzekł głosem wzruszonym. — Cóż ona mówiła o mnie?

Student powtórzył wyrazy baronowej, upiększając je po swojemu, a stary słuchał tego jak słów bożych.

— Drogie dziecię! o tak, tak, ona mnie szczerze kocha. Lecz nie wierz pan temu, co mówiła o Anastazji. Widzisz pan, one zazdroszczą jedna drugiej; lecz to dowodzi tylko ich przywiązania. I pani de Restaud kocha mnie również; wiem to dobrze. Ojciec pojmuje swe dzieci, tak jak Bóg ludzi pojmuje; ojciec widzi głąb ich serca i przenika ich zamiary. Córki moje kochają mnie jednakowo. O jakżebym ja był szczęśliwy, gdyby los zdarzył mi był lepszych zięciów. Ale nie ma widocznie zupełnego szczęścia na ziemi. Czemuż nie mieszkam u nich! Nie pragnąłbym nic więcej, tylko słyszeć ich głosy, wiedzieć, że są niedaleko, widzieć je, gdy przychodzą i wychodzą znowu, tak jak za owych czasów, gdy jeszcze u mnie mieszkały; o czuję, jak serce skakałoby mi z radości. Czy one były dziś pięknie ubrane?

— Tak — odparł Eugeniusz. — Ale, panie Goriot, powiedz mi pan, jak możesz mieszkać w takiej dziurze, kiedyś tak bogato powydawał córki za mąż?

— A co by mnie z tego przyszło, gdybym miał lepsze mieszkanie? — rzekł na pozór niedbale. — Już to ja nie potrafię tego wytłumaczyć, bo nie umiem dwóch słów zwięźle powiedzieć. Cała moja istota tu się mieści — dodał, przyciskając rękę do serca. — Żyję tylko życiem mych córek. Jeżeli one się bawią; jeżeli są szczęśliwe i postrojone; jeżeli stąpają po miękkich kobiercach: to cóż mnie obchodzi, z jakiego sukna zrobione moje odzienie i jak wygląda kąt, w którym mam noc przepędzić?... Ja zimna nie czuję, gdy wiem, że im ciepło, i nudów nie znam, gdy wiem, że one się śmieją. Nic mnie w świecie nie smuci oprócz ich zmartwienia. Gdy pan zostaniesz ojcem, gdy posłyszysz szczebiot swych dzieci i powiesz sobie: „To cząstka mojej istoty!" Gdy poczujesz, że te maleństwa, które są kwiatem krwi twojej, każdą jej kropelką połączone są z tobą: to będzie ci się zdawało, żeś zrośnięty z nimi, że odczuwasz krok ich każdy. Ja słyszę wszędzie głos moich córek, jedno smutne spojrzenie ich oczu krew we mnie ścina. Kiedyś i pan się przekonasz, że szczęście dzieci naszych stokroć nam droższe od szczęścia własnego. Nie potrafię panu tego wytłumaczyć: są to jakieś wzruszenia wewnętrzne, od których błogo się człowiekowi robi. Jednym słowem, ja żyję życiem potrójnym. Chcesz pan, to ci powiem coś zabawnego. Wiesz, kiedym ja pojął Boga? Wtedy, gdy ojcem zostałem. Bóg jest całą swą Istotą obecny na każdym miejscu, bo stworzenie całe wyszło z Niego. Otóż taki sam stosunek łączy mnie z mymi córkami. Tylko jam córki ukochał mocniej, niż Bóg świat kocha, bo świat nie jest tak piękny jak Bóg, a córki moje piękniejsze są ode mnie. Dusza moja tak ściśle z nimi połączona, że dziś na przykład miałem przeczucie, że pan je zobaczysz. Mój Boże! Gdyby się znalazł człowiek, co by mojej Delfince dał zakosztować takiego szczęścia, jakiego doznaje kobieta szczerze kochana, to ja bym mu buty czyścił, wszystkie jego rozkazy spełniałbym najskwapliwiej. Dowiedziałem się od pokojówki Delfiny, że ten mały de Marsay jest psem niegodziwym. O, świerzbiałyż mi ręce, żeby mu kości pogruchotać. Bo jak to można nie kochać tego klejnotu, tej kobiety, co ma głos słowiczy, a piękna jest jak posąg jaki! Gdzież ona miała oczy, kiedy szła za tego bałwana Alzatczyka! O, im obydwom należało wybrać sobie pięknych młodzieńców. Ale cóż, zrobiły, jak chciały!

Ojciec Goriot wzniosły był w tej chwili. Nigdy dotąd Eugeniusz nie widział go w całym blasku miłości ojcowskiej. Zaiste, jest to rzecz godna uwagi, jaką siłę porywającą posiadają uczucia prawdziwe. Najpospolitsze stworzenie przemienia się pod wpływem szczerego i potężnego uczucia; z serca jego wypływa prąd jakiś niepojęty, który odmienia wyraz fizjonomii, ożywia ruchy, głosowi nadaje dźwięk nowy. Często istota tępa i nierozwinięta może, pod wpływem namiętności, zadziwić wielką wymową myśli, jeżeli nie słowa; rzekłbyś, że w takiej chwili przenosi się w jakieś sfery promienne. I z naszym poczciwcem stało się to samo: głos i ruchy jego nabrały tej siły udzielającej się, jaka cechuje zwykle znakomitego aktora. Ale, czyż najpiękniejsze uczucia człowieka nie są poezją jego pragnień?

— To pan dowiesz się z przyjemnością, że pani Delfina zerwie prawdopodobnie z tym de Marsay'em. Gagatek ten porzucił ją dla księżnej Galathionne. Co do mnie, muszę wyznać, żem się zakochał w pani Delfinie.

— Czy być może? — zawołał ojciec Goriot.

— Tak jest; i jam się jej dosyć podobał. Przez całą godzinę mówiliśmy o miłości, a po jutrze, to jest w sobotę, zamierzam być u niej.

— O, mój drogi panie! Jakże ja cię kochać będę, jeżeli potrafisz jej się podobać. Pan jesteś dobry; nie dręczyłbyś jej pewnie. A gdybyś ją zdradził, to trzeba wiedzieć, że ja bym cię zabił. Bo to, widzisz, kobieta nie kocha dwa razy. Ale, Boże mój, co ja plotę! Panie Eugeniuszu, tu za zimno dla pana. Mój Boże więc pan z nią mówiłeś? Co mi kazała powiedzieć?

— Nic — rzekł Eugeniusz w duchu. — Kazała powiedzieć — dodał głośno — ze przysyła panu serdeczny pocałunek córki.

— Bądź zdrów, sąsiedzie; śpij dobrze. Obyś miał sny przyjemne; ja będę marzyć błogo o tym jednym wyrazie, któryś mi przyniósł od niej. Niech Bóg spełni wszystkie twe życzenia! Byłeś dziś dla mnie dobrym aniołem, przyniosłeś mi tchnienie mej córki.

— Biedaczysko — myślał Eugeniusz, kładąc się do łóżka — los jego może wzruszyć najtwardsze serce. A córka tyle o nim myślała, co o Wielkim Mogole.

Od tej chwili Goriot widział w swym sąsiedzie przyjaciela i powiernika, którego los zdarzył mu niespodzianie. Zawiązały się między nimi stosunki takie, jakie jedynie mogły zbliżyć starego Goriota do zupełnie obcego człowieka. Namiętność nie myli się nigdy w rachubie. Goriot przeczuwał, że sam zbliży się więcej do Delfiny, że będzie nawet milej widziany, jeżeli Eugeniusz potrafi się jej podobać. Przy tym powierzył studentowi najcięższą z swych boleści. Delfina nie zaznała jeszcze rozkoszy miłości, ta sama Delfina, o której szczęściu ojciec marzył przynajmniej tysiąc razy na dzień. Eugeniusz zaś był, według jego zdania, najmilszym w świecie młodzieńcem i mógł obudzić w sercu Delfiny uczucie, którego dotąd nie znała. Nadzieja ta stała się pobudką przyjaźni dla młodego sąsiada, która się co dzień zwiększała, a bez której nie znalibyśmy zapewne rozwiązania niniejszej powieści.

Następnego poranku, przy śniadaniu, wszyscy stołownicy dziwili się bardzo niezwykłemu zachowaniu się Goriota. Stary spoglądał na Eugeniusza z wyraźną czułością; przy stole zajął miejsce obok niego i kilkakrotnie wszczynał z nim rozmowę. Twarz Goriota, podobna zwykle do maski gipsowej, wyglądała dziś zupełnie inaczej. Vautrin nie widział studenta od czasu owej długiej konferencji; dziś spotkał go po raz pierwszy i usiłował wyczytać, co się w jego duszy dzieje. Eugeniusz rozmyślał przeszłej nocy o szerokiej drodze życia, co się przed nim otwierała, przy czym nie zapomniał oczywiście o posagu panny Taillefer; teraz zaś spoglądał na nią mimowolnie takim wzrokiem, jakim najcnotliwszy młodzieniec patrzy na bogatą dziedziczkę. Oczy ich spotkały się przypadkiem. Biedne dziewczę pomyślało, że Eugeniusz prześlicznie wygląda w nowym stroju. Spojrzenie, które zamienili, było tak znaczące, iż Rastignac pojął od razu , że stał się dla niej przedmiotem tych żądz niejasnych, które dziewczę nosi zwykle w sercu, aż dopóki nie spotka istoty ponętnej, dla której to serce uderzy. Nad uchem Eugeniusza głos jakiś wołał natrętnie: „Osiemset tysięcy franków!" Lecz jednocześnie stanęło przed nim wspomnienie dnia, wczorajszego, i pomyślał sobie, że uczucie wyrachowane dla pani de Nucingen mogło się stać skuteczną prezerwatywą od tych myśli niedobrych, które mimo woli go prześladowały.

— Dawano wczoraj Cyrulika Sewilskiego — rzekł student. — Jaka to rozkoszna ta muzyka Rossiniego; nigdym jeszcze nic podobnego nie słyszał. Mój Boże! co to za szczęście mieć własną lożę w Operze Włoskiej!

Ojciec Goriot pochwycił w lot wyrazy studenta, tak jak pies zda się chwytać skinienie swego pana.

— Dobrze to być mężczyzną — rzekła pani Vauquer — opływacie panowie jak pączki w maśle i robicie wszystko, co się wam podoba.

— Jak pan wróciłeś do domu? — zapytał Vautrin.

— Piechotą — odparł Eugeniusz.

— Co do mnie — rzekł kusiciel — nie zadowalałbym się półprzyjemnościami; chciałbym pojechać powozem, przepędzić wieczór we własnej loży i wygodnie powrócić do domu. Wszystko lub nic, to moja zasada.

— Bardzo chwalebna — rzekła pani Vauquer.

— Czy nie pójdziesz pan do pani de Nucingen? — rzekł Eugeniusz z cicha do Goriota. — Jestem pewien, że przyjmie dziś pana z otwartymi rękoma, bo zechce dowiedzieć się tysiąca drobnych szczegółów dotyczących mojej osoby. Wiadomo mi, że pani Delfina oddałaby wszystko w świecie, żeby tylko być w domu kuzynki mojej, wicehrabiny de Beauséant. Otóż nie zapomnij pan powiedzieć baronowej, że ja zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby spełnić jej życzenie.

Rastignac odszedł pośpiesznie do Szkoły Prawa, pragnął bowiem jak najmniej czasu spędzać w tym wstrętnym domu. Cały dzień prawie błąkał się bez celu, dręczony tą gorączką głowy, której doznaje młodzież oddająca się zbyt wybujałej nadziei. Przechadzał się właśnie po ogrodzie Luksemburskim, zatopiony w głębokich rozmyślaniach o życiu społecznym, na które naprowadziło go rozumowanie Vautrina, gdy spotkał się oko w oko z Bianchonem.

— Skądżeś to wziął tę minę poważną? — zapytał student medycyny, biorąc go pod ramię i idąc z nim w stronę pałacu.

— Dręczą mnie myśli niedobre.

— Jakie? W każdym razie nie trudno się z nich wyleczyć.

— Jakimże to sposobem?

— Jedyny sposób: ulegać im bez oporu.

— Kpisz sobie, nie wiedząc, o co chodzi. Czytałeś Roussa?

— Czytałem.

— Czy przypominasz sobie ten ustęp, gdzie autor zapytuje, co by czytelnik zrobił, gdyby mógł, nie ruszając się z Paryża, siłą woli tylko zabić jakiegoś mandaryna w Chinach?

— Przypominam.

— I cóż ty na to?

— Zachciałeś! Ja myślę już o trzydziestym trzecim mandarynie.

— Nie żartuj. Słuchaj, gdybyś wiedział, że to rzecz prawdopodobna, że chodzi tylko o twe skinienie, powiedz, jakbyś postąpił?

— A czy ten mandaryn bardzo stary? Wreszcie, młody czy stary, sparaliżowany czy zdrów, co mi tam! Słowo daję, że... Do licha! Nie, ja bym się nie zgodził.

— Dzielny z ciebie chłopak, Bianchon! Ale, słuchaj jeszcze, gdybyś kochał kobietę tak, że gotów byś duszę za nią oddać i gdybyś potrzebował pieniędzy, masę pieniędzy, na stroje dla niej, na powóz, wreszcie na wszystkie jej zachcianki?

— Ależ ty mi rozum odbierasz i chcesz, żebym rozumował.

— Słuchaj, Bianchon, wylecz mię, jam wariat. Mam dwie siostry, dwóch aniołów czystości i wdzięku, i pragnę, żeby obie były szczęśliwe. Jak zdobyć przez pięć lat dwieście tysięcy franków na posag dla nich? Bywają, widzisz, takie okoliczności w życiu, że trzeba grać w grę hazardowną, bo szkoda marnować szczęście na groszową wygraną.

— Ależ ty stawiasz pytanie, które spotyka każdego człowieka na progu życia, i chcesz mieczem przeciąć węzeł gordyjski. Na to, mój kochany, trzeba być Aleksandrem, inaczej za taki postępek można się oprzeć na galerach. Co do mnie, zadowalam się skromną egzystencją, która mnie czeka na prowincji, gdzie zajmę po prostu miejsce mego ojca. Pragnienia ludzkie zadowalają się równie dobrze w najciaśniejszym kółku, jak i w najszerszej przestrzeni. Napoleon nie jadał dwóch obiadów dziennie, a kochanek nie mógł mieć więcej od pierwszego lepszego studenta. Szczęście ludzkie, mój drogi, musi się zawsze

pomieścić między podeszwą a wierzchołkiem głowy; raz płaci się za nie milion, drugi raz sto luidorów, ale wartość jego wewnętrzna jest zawsze jednaka. Moim więc zdaniem nie warto godzić na życie twego Chińczyka.

— Dziękuję ci, Bianchon! Słowa twe przyniosły mi ulgę. Będziemy zawsze przyjaciółmi.

— Wiesz co? — rzekł student medycyny — byłem na lekcji Cuviera i wracając przez Ogród Botaniczny widziałem, jak panna Michonneau i Poiret rozmawiali przed chwilą z pewnym jegomościem, który w czasie zeszłorocznych zamieszek krążył zawsze w pobliżu Izby Deputowanych. Coś mi się widzi, że to jest agent policyjny, który przybrał pozór uczciwego mieszczanina. Zwróćmy baczną uwagę na tę parę: powiem ci później dlaczego. Bywaj zdrów; o czwartej muszę odpowiedzieć na apel.

Po powrocie do domu Eugeniusz znalazł Goriota, który nań oczekiwał.

— Patrz pan — rzekł stary — oto list od niej. Cóż, czy nie ładne pismo?

Eugeniusz rozpieczętował list i przeczytał:

„Dowiedziałam się od ojca, że pan jesteś zwolennikiem muzyki włoskiej. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybyś zechciał przyjąć miejsce w mojej loży. W sobotę ma być Fodor i Pellegrini, spodziewam się więc, że mi pan nie odmówisz. Pan de Nucingen prosi wraz ze mną, żebyś pan zechciał być u nas na obiedzie. Obecność pańska będzie dla niego niezmiernie pożądana, bo uwolni go od pełnienia pańszczyzny małżeńskiej, to jest od towarzyszenia mi do teatru. Nie odpowiadaj pan, tylko przybądź osobiście przyjąć me podziękowanie.

D. de N."

— Pokaż mi pan list — rzekł stary, widząc, że Eugeniusz skończył czytać. Pan nie odmówisz, nieprawdaż? — dodał wąchając papier. — Jak to pachnie! Wszak to jej palce dotknęły się do tego!

— Kobieta nie rzuca się tak pierwszemu lepszemu mężczyźnie na szyję — myślał student. — Jam potrzebny jej, jako przynęta na de Marsay'a. Chyba żal wielki mógł skłonić ją do takiego postępku.

— No, o czymże pan myślisz? — zapytał ojciec Goriot.

Eugeniusz nie wiedział, że niektóre kobiety owej epoki opanowane były szałem próżności; nie wiedział, że taka bankierowa gotowa była ponieść największą ofiarę, byle tylko ułatwić sobie przystęp do jakiego z domów na przedmieściu Saint-Germain. Moda ówczesna kazała przenosić nad wszystkie kobiety te, które miały przystęp do wybranego kółka z przedmieścia Saint-Germain; nazywano je paniami z Petit-Château, a pani de Beauséant, przyjaciółka jej księżna de Langeais i księżna de Maufrigneuse zajmowały najpierwsze miejsce w ich gronie. Rastignac nie miał pojęcia o tym, jak namiętnie kobiety z Chaussée d'Antin pragnęły się dostać do wyższej sfery, w której jaśniały konstelacje przynoszące chlubę płci pięknej. Wszelako nieufność Eugeniusza nie przyniosła mu szkody; przeciwnie, oziębiła go bardzo, a przez to pozwoliła mu postawić własne warunki, zamiast przyjmować je od innych.

— Tak jest, pójdę — powiedział.

Teraz ciekawość tylko wiodła go do pani de Nucingen, ale kto wie, czy namiętność nie popchnęłaby go ku tej kobiecie, gdyby ona wzgardziła nim na razie. Nie można wszakże powiedzieć, żeby obojętnie oczekiwał dnia jutrzejszego i godziny, w której miał ujrzeć baronową.

Pierwsza intryga jest dla młodzieńca prawie tak ponętna, jak pierwsza miłość. Pewność powodzenia wyrządza tysiąc błogich uczuć, do których się mężczyźni nie przyznają, a które stanowią cały powab niejednej kobiety. Zbytnia łatwość powodzenia tak samo jak opór przyczynia się do podniecenia żądzy. To pewna, że wszystkie namiętności ludzkie powstają pod wpływem jednej z tych dwóch przyczyn, które rozdzielają świat uczucia na

dwa obozy. Być może, że rozdział taki jest wynikiem ważnej kwestii o znaczeniu temperamentu, która bez zaprzeczenia rządzi społeczeństwem ludzkim. Prawda, że melancholicy potrzebują pobudzającego wpływu kokieterii, lecz i to być może, że ludzie nerwowi lub sangwinicy cofają się, gdy opór trwa zbyt długo. Innymi słowy, o ile elegia jest limfatyczna, o tyle znów dytyramb jest wyłącznie żółciowy. Eugeniusz ubierał się starannie i napawał się tym uczuciem zadowolenia ze swej osoby, którego młodzi ludzie nie śmieją zdradzić z obawy śmieszności, a które jednak pochlebia bardzo ich miłości własnej. Zaczesując włosy myślał sobie, że spojrzenie pięknej kobiety prześlicznie się po kruczych jego puklach. Mizdrzył się po dziecinnemu, jak młode dziewczę, co się na bal stroi; przyglądał się z przyjemnością wysmukłej swej figurze i wygładzał starannie fałdki surduta. To pewne, myślał, że można znaleźć niezgrabniejszych ode mnie! Zszedł na dół w chwili, gdy wszyscy stołownicy byli już zebrani do stołu i wysłuchał z uśmiechem głośnej salwy wykrzykników, którymi przyjęto strój jego wykwintny.

Jest to rys charakterystyczny właściwy obyczajom gospody mieszczańskiej, że strój wytworny zwykł obudzać między mieszkańcami niezmierne zdumienie. Na widok nowej sukni każdy sąd swój wydać musi.

— Kt, kt, kt, kt — ozwał się Bianchon klaskając językiem jak gdyby zachęcał konia do biegu.

— Postawa księcia lub para — rzekła pani Vauquer.

— Może się pan wybiera na podboje? — zagadnęła panna Michonneau.

— Kukuryku! — krzyknął malarz.

— Proszę oświadczyć moje uszanowanie szanownej małżonce pańskiej — rzekł urzędnik z Muzeum.

— Czy pan masz żonę? — zapytał Poiret.

— Żonę i to jaką jeszcze! Kolor trwały, cena od dwudziestu pięciu do czterdziestu, deseń w kraty, według najświeższej mody, daje się prać, nosi się doskonale, pół niciana, pół bawełniana, pół wełniana, leczy od bólu zębów i innych chorób uznanych przez Akademię Medyczną! Wyborna przy tym dla dzieci i jeszcze skuteczniejsza od bólu głowy, od zbytku soków jako też od cierpień przełyku, oczu i uszu — wywoływał Vautrin z komiczną płynnością i z wyrazem iście szarlatańskim. „A ileż ta osobliwość kosztuje?", zapytacie państwo. Dwa sous. Nic. Ani złamanego szeląga. Jest to resztka zapasów przygotowanych dla Wielkiego Mogoła. Wszyscy monarchowie europejscy nie wyłączając grrrrrubego księcia Badeńskiego pragnęli oglądać tę osobliwość. Proszę iść na wprost! Proszę wstąpić do kasy. Dalejże muzyka! Bruum, la, la, trin! la, la, bum, bum! Panie klarnecisto! — zawołał ochrypłym głosem — waćpan grasz fałszywie, ja ci palce poodbijam!

— Mój Boże, co to za miły człowiek — rzekła pani Vauquer do pani Couture — ja bym się nigdy nie znudziła w jego towarzystwie.

Wśród śmiechów i żartów, które nastąpiły po komicznej przemowie Vautrina, Eugeniusz pochwycił przelotne spojrzenie panny Taillefer, która zaraz potem pochyliła się ku pani Couture i szepnęła jej kilka słów do ucha.

— Kabriolet czeka — rzekła Sylwia.

— Gdzież on będzie na obiedzie? — zapytał Bianchon.

— U pani baronowej de Nucingen.

— U córki pana Goriot — dorzucił student.

Przy tych słowach oczy wszystkich zwróciły się na exfabrykanta, który spoglądał na Eugeniusza z pewnym rodzajem zazdrości.

Rastignac zatrzymał się na ulicy Saint-Lazare, przed jednym z tych domów o wysmukłych kolumnach i lekkich portykach, które uchodzą za wzór piękna w Paryżu. Był to dom prawdziwie bankierski, pełen wymysłów kosztownych, strojny w sztukaterie i mozaiki marmurowe. Znalazł panią de Nucingen w małym saloniku, obwieszonym malowidłami włoskimi, którego ozdoby przypominały kawiarnię. Baronowa była smutna. Usiłowała szczerze ukryć swe zmartwienie i przez to właśnie obudziła ciekawość Eugeniusza, który spodziewał się, że jego obecność uszczęśliwi tę kobietę, a tymczasem znalazł ją zrozpaczoną. Zawód ten podrażnił jego miłość własną.

— Bardzo niewiele jeszcze mam prawa do zaufania pani — rzekł Eugeniusz, który usiłował nadaremnie zbadać przyczynę jej zakłopotania, spodziewam się jednak, że pani

powiedziałaby mi z całą otwartością, gdybym jej zawadzał.

— Zostań pan — rzekła baronowa — bez pana byłabym zupełnie samotna. Nucingen nie będzie na obiedzie, a ja nie chciałabym zostać sama jedna, potrzebuję dziś rozrywki.

— Cóż to pani?

— O! Panu tego nie powiem — zawołała. — Prędzej każdemu innemu.

— A ja chcę wiedzieć. Bo widocznie tajemnica pani ma jakiś związek z moją osobą.

— Być może! Ale nie — poprawiła się — to po prostu sprzeczki małżeńskie, które trzeba pogrzebać na dnie serca. Czyż nie mówiłam panu onegdaj? ja nie jestem bynajmniej szczęśliwa. Złote łańcuchy ciężą bardziej niż wszelkie inne.

Gdy kobieta wyznaje, że jest nieszczęśliwa, a wyznaje to przed młodzieńcem, któremu nie zbywa na dowcipie, który wie, że jest wykwintnie ubrany i ma w kieszeni tysiąc pięćset franków do wyrzucenia; to młodzieniec taki musi stracić głowę, musi pomyśleć to, co Eugeniusz powiedział.

— Czegóż pani możesz żądać? — zapytał student. — Jesteś piękna, młoda, kochana, bogata.

— Nie mówmy o mnie — zawołała ze złowrogim jakimś wstrząśnieniem głowy. — Zjemy obiad sam na sam, a później będziemy słuchali rozkosznej muzyki. Jakże mnie pan znajdujesz? — zagadnęła znów powstając, żeby lepiej pokazać przepyszną swą suknię z kaszmiru białego w perskie desenie.

— Pragnąłbym, żebyś pani była moja — rzekł Eugeniusz. — Jakżeś pani prześliczna!

— Smutną miałbyś pan własność — odpowiedziała z uśmiechem pełnym goryczy. — Nic tu nie zapowiada nieszczęścia, ale pozory kłamią, bo ja jestem w rozpaczy. Troski sen mi odbierają i czuję, że zbrzydnę niezadługo.

— O, to niepodobna! — zawołał student. — Ale ciekaw jestem, co to są za troski, których miłość szczera nie zdołałaby rozpędzić?

— Ach! Gdybym powierzyła panu swoje zmartwienia, to zacząłbyś mnie pan pewnie unikać. Dotychczas uczucie pańskie dla mnie jest tylko galanterią, na którą tak nietrudno zdobyć się mężczyźnie, lecz gdybyś mnie kochał szczerze, to musiałbyś rozpaczać wraz ze mną. Widzisz pan, że nie mogę nic więcej powiedzieć. Przez litość — poczęła po chwili — mówmy o czym innym. Chodź pan zobaczyć moje apartamenty.

— Przeciwnie, zostańmy tutaj — odparł Eugeniusz — siadając na kanapce przed kominkiem obok pani de Nucingen, którą wziął za rękę.

Ona nie broniła mu ręki, nawet oparła się na dłoni młodego człowieka ruchem, w którym czuć było siłę skoncentrowaną, zdradzającą głębokie wzruszenie.

— Posłuchaj mnie pani — rzekł Rastignac — błagam cię, powiedz mi swoje zmartwienie. Chcę dać dowód, że kocham cię tylko dla ciebie samej. Albo powierzysz mi swe troski, które ja rozproszę, choćbym miał sześciu ludzi zabić dla ciebie, albo pójdę stąd i nie wrócę więcej.

— Dobrze więc! — zawołała z myślą rozpaczliwą i uderzyła się w czoło. — Za chwilę wystawię pana na próbę. Tak — rzekła do siebie. — Nie ma już innego środka!

Zadzwoniła.

— Czy powóz pana barona zaprzężony? — zapytała kamerdynera.

— Tak jest.

— Ja go biorę, panu baronowi dacie mój powoź i moje konie. Obiad będzie dopiero o siódmej.

— Chodźże pan, proszę — rzekła do Eugeniusza, który me rozumiał sam, czy we śnie, czy na jawie, jedzie z baronową powozem pana de Nucingen.

— Do Palais-Royal — zawołała na woźnicę — koło Teatru Francuskiego.

W drodze zdawała się wzburzona i nie chciała odpowiadać na zapytania Eugeniusza, który nie mógł pojąć, co znaczy ten opór niemy, zacięty i nieczuły.

— Ona wymknie mi się za chwilę — mówił do siebie.

Powóz się zatrzymał; baronowa powstrzymała jednym spojrzeniem nierozważne słowa studenta, który zaczynał się unosić.

— Czy pan mnie szczerze kochasz? — zapytała.

— Szczerze — odpowiedział, starając się ukryć ogarniający go niepokój.

— Nie pomyślisz o mnie nic złego, o cokolwiek bądź będę cię prosiła?

— Nie.

— Gotów żeś być mi posłusznym?

— Bez wahania.

— Czyś pan był kiedy w domu gry? — spytała drżącym głosem.

— Nigdy.

— Ach! oddycham. Szczęście panu posłuży. Oto moja kieska — mówiła baronowa. — Weź ją pan, proszę! jest w niej sto franków, to jest całe mienie kobiety, której ludzie szczęścia zazdroszczą. Idź pan z tym do domu gry. Nie umiem wskazać drogi, wiem tylko, że gdzieś w Palais-Royal. Spróbuj pan gry, zwanej ruletą, ryzykuj te sto franków i przegraj wszystko lub przynieś mi sześć tysięcy franków. Za powrotem opowiem przyczynę mego zmartwienia.

— Niech mnie diabli porwą, jeżeli rozumiem, co mam zrobić; ale będę posłusznym — powiedział Eugeniusz; a jednocześnie pomyślał z sobie z radością: Ona się kompromituje ze mną; nie będzie mi więc mogła nic odmówić.

Eugeniusz zabiera ładną sakiewkę i podąża z nią do najbliższego domu gry, pod numerem dziewiątym, który mu wskazał jakiś handlarz odzienia. Stanąwszy u celu, wchodzi na schody, pozwala sobie zabrać kapelusz i zapytuje, gdzie jest ruleta. Ku wielkiemu zdziwieniu obecnych posługacz miejscowy podprowadza go do długiego stołu. Cała publiczność spogląda na Eugeniusza, który pyta bez zawstydzenia, gdzie ma położyć swą stawkę.

— Połóż pan luidora na jednym z tych trzydziestu sześciu numerów; jeżeli numer wyjdzie, będziesz pan miał trzydzieści sześć luidorów — mówi mu szanowny jakiś starzec o białych włosach.

Eugeniusz rzuca sto franków na numer dwudziesty pierwszy odpowiadający liczbie lat jego. Nie zdołał się jeszcze opamiętać, gdy krzyk podziwu obił się o jego uszy. Wygrał, nie wiedząc jak i kiedy.

— Proszęż wziąć pieniądze — mówi znów poważny jegomość — w tym systemie nie wygrywa się dwa razy.

Eugeniusz bierze z rąk jego łopatkę, zgarnia trzy tysiące sześćset franków i kładzie je na czerwone, choć jeszcze nic a nic gry nie rozumie. Widzowie spoglądają nań z radością widząc, że dalej grać zamierza. Koło obraca się, Eugeniusz wygrywa powtórnie i bankier rzuca mu znowu trzy tysiące sześćset franków.

— Teraz masz pan siedem tysięcy dwieście franków — mówi mu stary jegomość do ucha. Jeżeli pan zechcesz posłuchać mojej rady, to przestań grać, bo czerwone już przeszło osiem razy. Jeżeliś miłosierny, to wywdzięczysz się za dobrą radę, wspomagając dawnego prefekta napoleońskiego, który znajduje się w bardzo krytycznym położeniu.

Rastignac odurzony patrzy obojętnie, jak siwowłosy jegomość zabiera mu z rąk dziesięć luidorów. Unosząc swoje siedem tysięcy franków, student nie pojmuje wcale, jakim sposobem je wygrał, tylko dziwi się szczęściu własnemu.

— No cóż? Dokądże mnie pani teraz zawieziesz? — zapytał Delfiny, pokazując jej siedem tysięcy, skoro tylko drzwiczki od powozu zostały zamknięte. Delfina pochwyciła go w uścisk gwałtowny i ucałowała żywo, ale nie namiętnie.

— Wybawiłeś mnie! — i łzy radości spływały obficie po jej twarzy. — Wszystko ci powiem, mój przyjacielu. Będziesz mi pan przyjacielem, nieprawdaż? Jam bogata, opływam w dostatki, na niczym mi pozornie nie zbywa. A jednak, któż uwierzy, że pan de Nucingen nie daje mi do rąk ani grosza: sam utrzymuje dom, powozy, sam płaci za moje loże w teatrze, a na stroje przeznacza mi sumę nie wystarczającą; człowiek ten każe mi przez wyrachowanie znosić nędzę tajemną. Ja znów jestem zbyt dumna, abym go prosić miała. Byłabym najnędzniejszą istotą, gdybym kupowała jego pieniądze za taką cenę, za jaką chce mi je sprzedawać! Dlaczego ja, com mu wniosła siedemset tysięcy franków posagu, pozwoliłam się tak wyzuć ze wszystkiego? Przez dumę, przez pogardę. Wychodzimy za mąż tak młode jeszcze, tak naiwne! Prośba o pieniądze, z którą trzeba się było zwrócić do męża, nie chciała mi przejść przez usta, nie śmiałam jej wymówić i przeżywałam własne zaoszczędzone pieniądze lub to, co mi dawał biedny mój ojciec; później musiałam się zadłużyć. Małżeństwo stało się dla mnie najokrutniejszym zawodem; ja nawet mówić o nim nie mogę; dość panu wiedzieć, że wyskoczyłabym oknem, gdybym zmuszona była żyć z Nucingenem i nie miała osobnych apartamentów. Trzeba było przyznać się przed nim, że miałam długi, że, jak każda młoda kobieta, wydawałam na klejnoty, na rozmaite zachcianki (biedny ojczysko tak nas przyzwyczaił, żeśmy sobie niczego odmawiać

nie umiały); cierpiałam mękę prawdziwą, lecz w końcu znalazłam odwagę wyznać mu wszystko. Alboż nie miałam własnego funduszu? Nucingen uniósł się, powiedział, że go rujnuję, coś okropnego! Wolałabym wtedy być o sto stóp pod ziemią. Zapłacił wprawdzie, bo miał cały mój posag, ale odtąd przeznaczył mi na osobiste wydatki pensyjkę, którą przyjęłam dla świętego spokoju. Później chciałam odpowiedzieć miłości własnej pewnego człowieka, którego i pan znasz także. Zawiodłam się na nim, to prawda, lecz byłabym niesprawiedliwa, gdybym nie uznała szlachetności jego charakteru. A jednak człowiek ten porzucił mnie niegodnie! *Nie należało by* opuszczać kobiety, której rzuciło się w potrzebie garść złota. *Trzeba by* kochać ją wiecznie! Ty, duszo dwudziestoletnia, piękna, młoda i nieskalana, ty mnie spytasz, jak kobieta może przyjmować złoto od mężczyzny? Mój Boże! Czyż to nie jest rzecz naturalna, że się wszystkim dzielimy z istotą, której zawdzięczamy szczęście nasze? Czyliż dając wszystko, można się troszczyć o jakąś drobną cząsteczkę całości? Pieniądze zaczynają nabierać wagi wtedy dopiero, gdy uczucie znika. Czyż dwie kochające się istoty nie są złączone na całe życie? Czyż która z nich myśli o rozdziale, gdy sądzi, że jest szczerze kochaną? Przysięgacie nam miłość wieczną, i jakże chcecie później, żeby interesy nasze nie były wspólne? O, pan nie wiesz, com ja dziś wycierpiała, gdy Nucingen odmówił mi sześciu tysięcy franków, on, co pewnie nie mniej daje miesięcznie kochance swojej, jakiejś dziewczynie z opery. Chciałam się zabić. Szalone myśli przychodziły mi do głowy. Były chwile, żem zazdrościła losu prostej służącej. Czyż mogłam się udać do ojca? Ależ to byłoby szaleństwo! Anastazja i ja zrujnowałyśmy go już do szczętu: biedny mój ojciec sprzedałby siebie samego, gdyby mógł wziąć sześć tysięcy franków za swą osobę. Po cóż było przywodzić go na próżno do rozpaczy? Pan wybawiłeś mnie od wstydu i śmierci, bo pijana byłam boleścią. Ach! Winnam była panu to objaśnienie: dziwnie nierozważnie postąpiłam dziś z panem. Gdyś pan stąd odszedł, gdym cię straciła z oczu, chciałam uciec piechotą... Dokąd? Nie wiem sama. Oto życie większej części kobiet paryskich: na zewnątrz zbytek, a w duszy troski okrutne. Znam biedne istoty jeszcze nieszczęśliwsze ode mnie. Są przecie kobiety, które muszą prosić swych dostawców o przedstawianie fałszywych rachunków. Inne zmuszone są okradać własnych mężów: jedni sądzą, że kaszmir kupiony za sto luidorów kosztuje pięćset franków, drudzy, że kaszmir wartujący pięćset franków płaci się po sto luidorów. Są nawet takie biedne istoty, które muszą głodzić swe dzieci i szachrować w najrozmaitszy sposób, żeby zarobić sobie na suknię. Ja przynajmniej nie splamiłam się żadnym nędznym oszustwem. To była moja ostatnia troska. Niektóre kobiety sprzedają się swym mężom, żeby później panować nad nimi, a ja jestem przynajmniej swobodna! Gdybym chciała, to Nucingen zasypałby mnie złotem, lecz wolę płakać, wsparłszy głowę na sercu człowieka, o którym wiem, że wart jest mego szacunku! Ach, dziś wieczorem de Marsay nie będzie miał prawa patrzeć na mnie, jak na kobietę zapłaconą przez niego!

Ukryła twarz w obu dłoniach, nie chcąc pokazać, że płacze; lecz Eugeniusz odsunął z lekka jej ręce. Jakże wspaniale wyglądała w tej chwili!

— Ach, to coś okropnego mieszać tak pieniądze z uczuciem! Pan nie będziesz mógł mnie kochać! — zawołała.

Eugeniusz wzburzony był tą mieszaniną dobrych uczuć, które tak wysoko mogą podnieść kobietę, z występkami, do których popycha ją dzisiejszy ustrój społeczny. Przemawiał łagodnie i pocieszająco, podziwiając tę piękną istotę, która wydała naiwnie nierozważny krzyk boleści.

— Przyrzecz mi pan, że nie użyjesz tego za broń przeciw mnie samej.

— Ach, pani, nie byłbym zdolny do czegoś podobnego — odparł student.

Pochwyciła jego rękę i przycisnęła ją sobie do piersi ruchem zdradzającym żywą wdzięczność.

— Otom, dzięki panu, swobodna i wesoła. Żyłam pod naciskiem ręki żelaznej. Teraz wieść będę życie skromne, nic nie będę wydawała. Pan przyjmiesz mnie taką, jaką będę, nieprawdaż, przyjacielu drogi? Weź pan to — mówiła dalej — zatrzymując dla siebie tylko sześć biletów bankowych. Sumiennie winnam panu tysiąc talarów, bo wyobrażałam sobie, że gram z panem na spółkę.

Eugeniusz wzbraniał się jak dziewczyna, lecz w końcu musiał przyjąć pieniądze, gdyż baronowa powiedziała:

— Będziesz pan moim wrogiem, jeżeli nie zechcesz być wspólnikiem.

— Zachowam więc te pieniądze, żeby mieć o czym spróbować znów szczęścia w razie potrzeby — rzekł Eugeniusz.

— Obawiałam się tych słów — zawołała Delfina, blednąc. — Jeżeli chcesz pan, żebym była czymkolwiek dla ciebie, to musisz mi przysiąc, że nigdy do gry nie wrócisz. Mój Boże! Jażbym miała cię zgorszyć! Wolałabym raczej umrzeć z boleści.

Zatrzymali się właśnie przed domem baronowej. Rażące to przeciwieństwo nędzy i dostatku zdumiewało studenta, któremu mimowolnie przychodziły na myśl złowrogie słowa Vautrina.

— Spocznij pan tam — rzekła baronowa, wchodząc do swego pokoju i wskazując mu kanapkę stojącą przed kominkiem — ja będę pisała list niezmiernie trudny! Poradź mi pan.

— Nie pisz pani nic — rzekł Eugeniusz — włóż bilety bankowe w kopertę, zaadresuj i odeślij je przez swoją pannę służącą.

— Nieoceniony z pana człowiek! — zawołała. — Oto co znaczy mieć dobre wychowanie. To tchnie prawdziwym Beauséantem — dodała z uśmiechem.

— Jaka ona śliczna! — mówił sobie w duchu Eugeniusz, który czuł się coraz bardziej zakochanym. Zaczął oglądać pokój tchnący rozkoszną elegancją bogatej kurtyzany.

— Jakże się panu podoba? — zapytała baronowa, dzwoniąc na pannę służącą.

— Tereso, zanieś to sama do pana de Marsay i oddaj mu do rąk. Jeżeli go nie zastaniesz, to odniesiesz mi list.

Przed odejściem Teresa nie omieszkała zmierzyć Eugeniusza złośliwym spojrzeniem. Poproszono na obiad. Rastignac podał ramię pani de Nucingen, która powiodła go do rozkosznej sali jadalnej, gdzie czekał ich stół zbytkowny, podobny do tego, który student podziwiał niedawno u swej kuzynki.

— Przychodź pan do mnie na obiad za każdym razem, gdy mamy operę włoską. Po obiedzie będziesz mi towarzyszył do teatru.

— Przyzwyczaiłbym się chętnie do tego słodkiego życia, gdyby ono mogło potrwać długo; lecz jam biedny student, który musi jeszcze zdobyć sobie przyszłość na świecie.

— Przyszłość się zdobędzie! — zaśmiała się baronowa. Widzisz pan wszystko jakoś daje się zrobić na świecie: i ja nie spodziewałam się już być tak szczęśliwa.

Leży to w naturze kobiet, że chcą dowieść niepodobieństwa na podstawie rzeczy możliwych, a fakty zastępują przeczuciem. Gdy nam de Nucingen weszła tegoż wieczora do loży swojej w towarzystwie Rastignaca, twarz jej jaśniała wyrazem zadowolenia, który czynił ją tak piękną, że każdy, kto na nią spojrzał, nie mógł się powstrzymać od potwarczych domysłów, przeciw którym kobiety są bezbronne, choć często bywa, że jedynie na mocy takich domysłów ludzie wierzą w występek nieistniejący. Znając Paryż, nie wierzy się temu, co tam mówią, a nie mówi się tego, co tam robią. Eugeniusz trzymał w swej dłoni rękę baronowej, a uścisk mniej lub więcej żywy starczył im za rozmowę, w której wypowiadali wrażenia wywołane muzyką. Był to dla nich wieczór uroczy. Wyszli razem i pani de Nucingen postanowiła odwieźć Eugeniusza swoim powozem aż do Pont-Neuf. Przez całą drogę Rastignac błagał na próżno o jeden z tych pocałunków, których nie skąpiła mu wcale w Palais-Royal i wyrzucał jej taką niekonsekwencję.

— Pierwej — odparła baronowa — był to objaw wdzięczności za poświęcenie się niespodziewane, a teraz byłaby to już obietnica.

— A pani nie chcesz mi żadnej obietnicy uczynić, niewdzięczna? — zawołał Rastignac nadąsany.

Baronowa podała mu wreszcie rękę do pocałowania, ale uczyniła przedtem ruch niecierpliwy, który tak bardzo podoba się zakochanym, a on przyjął dłoń podaną z dąsem, który znowu ją zachwycił.

— Do zobaczenia w poniedziałek na balu — powiedziała Delfina.

Noc była jasna, księżycowa. Wracając piechotą do domu, Eugeniusz zagłębił się w poważne rozmyślania. Był zarazem szczęśliwy i niezadowolony: uszczęśliwiała go dzisiejsza przygoda, wskutek której miał się prawdopodobnie zbliżyć do przedmiotu swych pragnień, do jednej z najpiękniejszych i najbardziej wykwintnych kobiet w Paryżu; smucił się zaś tym, że cały plan, jaki sobie na przyszłość ułożył, musiał ulec zmianie. Teraz dopiero pojął te myśli niejasne, które niedawno snuły mu się po głowie. Niepowodzenie daje nam zazwyczaj poznać siłę naszych pragnień. Im bardziej Eugeniusz poznawał życie paryskie,

tym mniej życzył sobie zostać biednym i nieznanym. Gniótł bilet tysiącfrankowy, który miał w kieszeni i próbował przekonać siebie wykrętnym rozumowaniem, że pieniądze te są jego własnością. Tak przybył na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève. Wchodząc na schody, zobaczył światło w mieszkaniu Goriota. Stary zostawił drzwi przymknięte i zapalił świecę z obawy, żeby student nie zapomniał przyjść *opowiedzieć mu jego córkę*, tak się bowiem wyrażał. Eugeniusz nic przed nim nie ukrywał.

— Ależ — zawołał Goriot uniesiony rozpaczą i zazdrością — im się zdaje, żem ja zrujnowany, a ja mam jeszcze tysiąc trzysta liwrów dochodu. Mój Boże! biedna mała, czemuż nie przyszła do mnie? byłbym sprzedał dochody, byłbym kapitał naruszył, a pozostała suma wystarczyłaby mi na dożywocie. Dlaczegóż, dobry sąsiedzie, nie przyszedłeś powiedzieć mi o swym kłopocie? Jak miałeś serce stawić na kartę owe nędzne sto franków? Na myśl o tym serce mi pęka. Oto jacy bywają zięciowie! O! Zdusiłbym ich, gdyby wpadli teraz w moje ręce. Mój Boże, trzebaż to było płakać! Czyż ona płakała!

— Wsparłszy głowę na mojej kamizelce — powiedział Eugeniusz.

— O, dajże mi ją pan! — zawołał ojciec Goriot. — Jak to! więc tu spływały łzy mojej córki, drogiej mojej Delfiny, która nie płakała nigdy będąc mała! O, ja kupię panu drugą kamizelkę, tej nie noś więcej, zostaw mi ją! Według kontraktu Delfina powinna korzystać ze swego majątku. Ach, jutro zaraz pójdę do adwokata Derville'a. Wyrobię to, że kapitał jej zostanie oddany na procent. Znam się ja na prawie; stary ze mnie wilk — potrafię jeszcze zęby pokazać.

— Patrz, ojcze, oto tysiąc franków, które ona chciała mi dać jako pieniądze wygrane na spółkę. Zachowaj ten bilet dla niej w tej oto kamizelce.

Goriot popatrzył na Eugeniusza, pochwycił dłoń jego, a łza stoczyła mu się po twarzy i spadła na rękę młodzieńca.

— Będziesz szczęśliwy w życiu — powiedział starzec. — Bo, widzisz, Bóg jest sprawiedliwy. Znam się ja na uczciwości i mogę zapewnić, że mało jest ludzi podobnych do ciebie. Chcesz więc być także ukochanym moim dziecięciem? No, dosyć, pora spać. Możesz spać spokojnie, bo jeszcze ojcem nie jesteś. Ona płakała i ja się o tym dowiaduję, ja, com zajadał spokojnie jak głupiec, podczas gdy ona tam cierpiała; ja, co zaprzedałbym Ojca, Syna i Ducha Św., żeby im obydwom łzy jednej oszczędzić!

— Daję słowo — myślał Eugeniusz, kładąc się do łóżka — zdaje mi się, że całe życie będę uczciwym człowiekiem. Jak to słodko iść za natchnieniem sumienia!

Zdaje się, że tylko ci, co wierzą w Boga, zdolni są robić dobro w tajemnicy, a Eugeniusz wierzył w Boga. Nazajutrz, przed balem, Rastignac poszedł do pani de Beauséant, która zabrała go z sobą, obiecując przedstawić księżnej de Carigliano. Marszałkowa przyjęła go niezmiernie uprzejmie, a w gronie gości była już pani de Nucingen. Delfina wystroiła się, żeby podobać się wszystkim, a tym samym jeszcze bardziej zachwycić Eugeniusza, na którego spojrzenie czekała niecierpliwie, chociaż zdawało się jej, że swą niecierpliwość doskonale ukrywa. Dla tego, kto umie odgadywać wzruszenia kobiety, chwila taka pełna jest uroku. Któż z nas nie lubi drożyć się z uznaniem, ukrywać zalotnie swe zadowolenie, czytać mimowolne wyznanie w niepokoju, który wywołujemy, wreszcie igrać z obawą, którą możemy rozproszyć jednym uśmiechem? Tego wieczora student nasz zmierzył całą doniosłość swego położenia i pojął, że miano kuzyna pani de Beauséant dawało mu już pewne stanowisko w świecie. Przypisywano mu już wielkie powodzenie u pani de Nucingen, co dodawało mu tyle wagi, że młodzież ścigała go zazdrosnym spojrzeniem; Eugeniusz pojął, że wzbudza zazdrość i pierwszy raz doznał rozkoszy zadowolonej próżności. Przechodząc z salonu do salonu, od jednego kółka gości do drugiego, słyszał, jak wszyscy unosili się nad jego szczęściem. Wszystkie kobiety przepowiadały mu świetne powodzenie. Delfina, przejęta obawą na myśl, że może go utracić, obiecała dać mu wieczorem pocałunek, od którego tak stanowczo wzbraniała się przed paru dniami. Podczas balu Rastignac otrzymał kilka zaproszeń. Kuzynka zaprezentowała go niektórym paniom mającym pretensję do elegancji, których domy uchodziły za najbardziej przyjemne. Ujrzał się naraz rzucony w sfery najpiękniejszego i najbardziej arystokratycznego świata paryskiego, i wieczór ów miał dla niego urok świetnego debiutu, o którym pamięta się do późnej starości, jak dziewczę pamięta o balu, na którym miało wielkie powodzenie. Nazajutrz wobec wszystkich stołowników Eugeniusz opowia-

dał Goriotowi przy śniadaniu o swych tryumfach. Słuchając go Vautrin uśmiechał się w sposób szatański.

— I pan sądzisz — zawołał ten logik okrutny — że modny młodzieniec może mieszkać przy ulicy Neuve-Sainte-Genevieve, w domu Vauquer, w tej gospodzie, która, choć wielce szanowna pod każdym względem, nie jest jednak wcale modnym hotelem? Jest to gospoda zamożna, piękna w swym dostatku, a nawet dumna z tego, że stała się chwilowym schronieniem jednego z Rastignaców; lecz z tym wszystkim znajduje się przy ulicy Neuve-Sainte-Genevieve i nie wie nic o zbytku, bo jest na wskroś *patriarchalnorama*. Młody mój przyjacielu — ciągnął dalej Vautrin tonem na wpół ojcowskim, a na wpół żartobliwym — chcąc znaczyć cośkolwiek w Paryżu, potrzeba mieć trójkę koni, tilbury na rano, a karetę na wieczór, to jest trzeba wydać przynajmniej dziewięć tysięcy franków na powozy. Przy tym, byłbyś pan niegodny swego losu, gdyby krawiec kosztował cię tylko trzy tysiące, a perfumy tylko sześćset franków, gdybyś na szewca i na kapelusznika wydawał tylko po sto talarów rocznie. Oprócz tego i praczka kosztuje przynajmniej tysiąc franków. Modni młodzieńcy muszą dbać bardzo o piękność bielizny, boć przecie na to najwięcej zwraca się uwagi. Miłość i świątynia wymagają pięknych obrusów na swe ołtarze. Narachowaliśmy już tedy czternaście tysięcy. Nie wyliczam tego, co się przegra w karty, co się straci na zakłady i na podarunki; wiem tylko, że na te drobne wydatki nie podobna rachować mniej, jak dwa tysiące franków rocznie. Wiodłem ja życie tego rodzaju i wiem, co to kosztuje. Proszę teraz dodać, do tych wydatków nieodbicie potrzebnych, trzysta luidorów na delikatesy, a tysiąc franków na różne swawole. Cóż, synku, musimy mieć dwadzieścia pięć tysiączków rocznie, lub wpadamy w błoto, wystawiamy się na pośmiewisko i jesteśmy pozbawieni przyszłości, powodzenia, kochanek! Ale, zapomniałem jeszcze o kamerdynerze i groomie! Czy to Krzysztof będzie roznosił pańskie liściki miłosne? Może będziesz je pan pisywał na takim papierze, na jakim obecnie pisujesz? Ależ to byłoby samobójstwo rozmyślne. Chciej pan wierzyć człowiekowi staremu i doświadczonemu! — ciągnął mówca dalej, a gruby głos jego brzmiał *rinforzando*. Pozostaje panu jedno z dwojga: wygnać się na cnotliwe poddasze i poślubić pracę nieustanną lub obrać sobie inną drogę.

I Vautrin mrugnął, spoglądając na pannę Taillefer, jak gdyby chciał przypomnieć i streścić w tym jednym spojrzeniu wszystkie zasady gorszące, które zasiał w sercu studenta po to, by je zepsuły.

Minęło znów dni kilka, a Rastignac pędził życie niezmiernie lekkomyślne. Obiadował prawie zawsze z panią de Nucingen, a później wszędzie jej towarzyszył. Powracał do siebie o trzeciej lub czwartej po północy, wstawał o południu, ubierał się, po czym jechał znów z Delfiną, jeżeli pogoda sprzyjała. Marnował czas nieoględnie, nie znając jego wartości; a każdą lekcję zbytku, każdą jego ponętę przyjmował z takim upragnieniem, z jakim kielich palmy daktylowej pochłania pyłek zapładniający. Grał ryzykownie, przegrywał i wygrywał wiele, aż w końcu przyzwyczaił się do nieumiarkowanego życia młodzieży paryskiej. Z pierwszych wygranych pieniędzy odesłał tysiąc pięćset franków matce i siostrom, dołączając do tego piękne podarunki dla wszystkich. Zapowiedział był wprawdzie, że opuści dom Vauquer, lecz styczeń dobiegał już do końca, a Eugeniusz nie ruszył się jeszcze z dawnego mieszkania i nie wiedział, jak się z niego wydostanie. Wszyscy prawie młodzieńcy podlegają jednemu prawu, które na pozór zdaje się niewytłumaczone, ale przy bliższym zbadaniu objaśnia się młodością samą i tym szałem, z jakim młodzież rzuca się ku przyjemnościom. Bogaty czy ubogi, młodzieniec nie ma wcale pieniędzy na potrzeby codzienne, ale na zachcianki nigdy mu ich nie zabraknie. Marnotrawi nieoględnie to, co może dostać na kredyt, ale oszczędza skwapliwie wszystkiego, co się kupuje za grosz gotowy; rzekłbyś, że się mści za to, czego nie ma, rozpraszając to wszystko, czego dostać może. Chcąc jasno tę rzecz wyrazić, powiedzmy, że student troszczy się daleko więcej o zaoszczędzenie kapelusza, niż o zachowanie całego odzienia w dobrym stanie. Wielkość zarobku usposabia naturalnie krawca do chętnego poczekania, gdy przeciwnie skromność sumy żądanej sprawia, że kapelusznik jest najbardziej nieprzystępnym ze wszystkich istot, z którymi student musi wchodzić w układy. Gdy w teatrze młodzieniec przyciąga lornetki pięknych pań widokiem prześlicznej kamizelki, to można przypuszczać, że nogi jego obchodzą się bez skarpetek; pończosznik bowiem należy też do molów toczących sakiewkę młodzieży. Rastignac nie stanowił wyjątku. Worek jego, zawsze próżny dla pani Vauquer,

zawsze pełny, gdy chodziło o zadowolenie wymagań próżności, doświadczał przeciwności i powodzeń nieprzewidzianych, które rozmijały się zawsze z terminem wypłaty. Chcąc opuścić smrodliwą i nędzną gospodę, w której czuł się ciągle upokorzonym, musiałby zapłacić gospodyni za cały miesiąc i kupić meble do swych apartamentów kawalerskich, a to było dotąd rzeczą niemożliwą. Gdy nie było czym gry rozpocząć, Rastignac zabierał zegarki i łańcuchy złote, które ponabywał przedtem za pieniądze wygrane w karty, i umiał zanieść je do lombardu, do tego smutnego i dyskretnego przyjaciela młodzieży; lecz brakło mu pomysłu i odwagi, gdy potrzebował pieniędzy na stół i mieszkanie lub na kupno narzędzi, bez których nie można się było obejść przy eksploatowaniu życia wykwintnego. Bezsilnym był wobec konieczności powszedniej, wobec długów, które zaciągał dla zaspokojenia potrzeb najpierwszych. Postępował jak większa część ludzi, którzy wiodą takie nierozsądne życie: odwlekał do ostatniej chwili zaspokojenie należności, które w oczach mieszczan uchodzą za dług święty. Czynił tak jak Mirabeau, który nie zwykł był płacić za chleb, aż dopóki tenże nie przedstawił mu się pod groźną postacią wekslu. Około tego czasu Rastignac przegrał dużo i musiał się zadłużyć. Zaczynał pojmować, że niepodobna było żyć dłużej w ten sposób, nie mając stałych dochodów. Jęczał pod dotkliwymi ciosami chwiejnego położenia, lecz nie miał siły wyrzec się rozkoszy takiego życia i pragnął wieść je nadal za jaką bądź cenę. Traf pomyślny, co miał dopomóc mu do zrobienia majątku, stał się prostą mrzonką, a przeszkody rzeczywiste wzrastały z dniem każdym.

Patrząc z bliska naszycie domowe pana i pani de Nucingen, przekonał się, że kto chce zmienić miłość w narzędzie powodzenia, ten musi napić się rozmaitych upokorzeń i zaprzeć się szlachetnych idei, które odkupują błędy miłości. Eugeniusz poślubił to życie świetne na zewnątrz lecz toczone wewnętrznie przez wszystkie *taeniae* zgryzoty, przeplatane uciechami ulotnymi, za które trzeba drogo płacić ciągłą troską i niepokojem; upodobał je i tarzał się w nim jak Roztrzepaniec La Bruyere'a w brudzie rynsztoka, lecz dotychczas, jak Roztrzepaniec odzienie tylko powalał.

— Czy nie zabiliśmy tylko mandaryna? — zapytał go raz Bianchon, wstając od stołu.

— Nie umarł dotychczas, ale już charczy — odparł Eugeniusz.

Student medycyny wziął te słowa za żart, ale Eugeniusz nie myślał żartować. Po długiej przerwie jadł dziś znowu w gospodzie, ale w czasie obiadu dziwnie jakoś był zamyślony Po deserze nie wyszedł jak zwykle, lecz pozostał w sali jadalnej obok panny Taillefer, na którą rzucał od czasu do czasu wyraziste spojrzenia. Niektórzy goście jedli jeszcze orzechy przy stole, inni przechadzali się kończąc rozpoczętą rozmowę. Według przyjętego zwyczaju, każdy odchodził, kiedy mu się podobało, przeciągając pobyt w miarę zajęcia jakie obudzał przedmiot rozmowy, albo stosownie do stopnia ociężałości, jakiej doznawał przy trawieniu. W zimie rzadko się zdarzało, żeby sala jadalna została opróżniona przed ósmą, ale w późniejszych godzinach zostawały zwykle tylko cztery kobiety, wynagradzając sobie przymusowe milczenie, które musiały zachowywać w tym zgromadzeniu męskim. Vautrin spostrzegł zamyślenie Eugeniusza i pozostał w sali jadalnej, choć na razie udawał, że zabiera się do prędkiego wyjścia. Unikał później wzroku Eugeniusza, który musiał sądzić, że go nie ma w sali. Widział, jak wszyscy mieszkańcy gospody porozchodzili się z wolna do swych mieszkań, lecz sam pozostał skrycie na swym stanowisku. Wyczytał, co się działo w duszy studenta, i przeczuwał, że musi już nastąpić jakiś objaw stanowczy. Rastignac ujrzał się rzeczywiście w trudnym położeniu, w jakim znajdował się pewnie niejeden młody człowiek. Pani de Nucingen zakochana, a może zalotna tylko, dała mu poznać wszystkie wzruszenia namiętności prawdziwej, posiłkując się dyplomacją niewieścią, w której paryżanki zwykły celować. Naraziła się na obmowę, byle tylko zatrzymać przy sobie kuzyna pani de Beauséant, a teraz wahała się, czy należało nadać mu rzeczywiście takie prawa, jakie mu powszechnie przypisywano. Drażniąc przez cały miesiąc zmysły Eugeniusza, potrafiła w końcu poruszyć jego serce. W pierwszych dniach zdawało się studentowi, że on będzie rozkazywał; lecz wkrótce pani de Nucingen otrzymała przewagę za pomocą tej taktyki, która obudziła w sercu Eugeniusza wszystkie złe i dobre uczucia dwóch lub trzech ludzi, które śpią w piersi młodego paryżanina. Czy to było wyrachowanie ze strony Delfiny? Nie, kobiety zawsze są prawdziwe, nawet wtedy, gdy postępują najfałszywiej, bo zawsze ulegają jakiemuś uczuciu przyrodzonemu. Być może, że Delfina, która poddała się na razie Eugeniuszowi i pokazała mu zbyt wielką przychylność, ulegała teraz uczuciu godności, które kazało jej cofnąć swe obietnice lub zawiesić

je przynajmniej. Paryżanka, którą namiętność unosi, zwykła się wahać w chwili upadku, zwykła wystawiać na próby serce tego, komu ma oddać przyszłość całą. Za pierwszym razem pani de Nucingen zawiodła się we wszystkich nadziejach, a wierność jej dla młodego samoluba została nieuznana. Miała więc prawo być teraz nieufna. Może też raziło ją postępowanie Eugeniusza, który stał się zarozumiały dzięki łatwemu powodzeniu i zdradzał pewne lekceważenie wynikające z dziwnych stosunków, jakie się między nimi zawiązały. Chciała zapewne wydać się wspaniała, imponująca i wielka w oczach młodego człowieka; ona, co tak długo była mała wobec tego, który ją opuścił. Nie chciała uchodzić za łatwą zdobycz w przekonaniu Eugeniusza, a to dlatego właśnie, że on wiedział, iż przedtem należała do de Marsay'a. Wreszcie miłość owego młodzieńca zepsutego, który był istnym potworem, miała w sobie coś tak poniżającego, że Delfina z rozkoszą zagłębiała się teraz w kwiecistą krainę prawdziwej miłości, przyglądała się z zachwytem widokom nieznanym, wsłuchiwała się długo w szmer wietrzyka, który pieścił ją swym nieskalanym powiewem. Prawdziwa miłość wynagradzała za kłamaną. Będzie się to niestety powtarzało zbyt często, dopóki mężczyźni nie pojmą, jak wiele kwiatów łamie się w duszy młodej kobiety pod ciosami pierwszego zawodu. Mniejsza wreszcie o pobudki, dosyć że Delfina igrała sobie z Rastignac'iem i znajdowała w tym przyjemność, może dlatego, że czuła się kochana i wiedziała, iż wszystkie zgryzoty Eugeniusza pierzchną, gdy ona tego najmiłościwiej zachcieć raczy. Eugeniusz zaś nie chciał przez szacunek dla siebie samego, żeby pierwsza walka zakończyła się jego porażką i postanowił wytrwać w pogoni, jak myśliwy, który chce koniecznie zastrzelić kuropatwę na pierwszej uroczystości św. Huberta. Ciągły niepokój, niezadowolenie miłości własnej, napady rozpaczy zmyślonej lub prawdziwej, wszystko to przywiązywało go coraz bardziej do Delfiny. Cały Paryż dawał mu panią de Nucingen, a on nie zbliżył się do niej ani na jotę więcej, jak w pierwszym dniu znajomości. Wpadał w bezsilną wściekłość, bo nie wiedział jeszcze, że kokieteria kobiety zapewnia czasami korzyści, które więcej są warte od całej przyjemności, jaką mogłaby dać jej miłość. Epoka, w której kobieta walczy jeszcze z miłością, przyniosła już Rastignacowi plon najpierwszych swych owoców; miały one smak wyborny, choć były jeszcze zielone i nieco kwaskowate, tylko trzeba było płacić za nie niezmiernie drogo.

Zdarzało się niekiedy, że student nie miał grosza przy duszy i nie widział przed sobą żadnej przyszłości; wtedy starał się stłumić głos sumienia i myślał o ponętnej drodze do fortuny, którą Vautrin ukazał mu w małżeństwie z panną Taillefer. Owóż i teraz była to jedna z takich chwil, w których nędza przemawiała do niego tak natrętnie, że prawie mimowolnie dał się wplątać w intrygę straszliwego sfinksa, którego wzrok trzymał go nieraz pod czarodziejskim zaklęciem. Po odejściu Poireta i panny Michonneau, którzy zabawili najdłużej w sali jadalnej, Rastignac mniemał, że jest sam tylko z panią Vauquer i z panią Couture i spojrzał na pannę Taillefer tak wyraziście, że dziewczę oczy spuściło.

— Czy masz pan jakie zmartwienie, panie Eugeniuszu? — zapytała Wiktoryna po chwilowym milczeniu.

— Któż nie ma zmartwień! — odparł Eugeniusz. — My, młodzi, nie mielibyśmy może trosk żadnych, gdybyśmy wiedzieli, że jest ktoś, co nas kocha szczerze i poświęceniem swoim może zapłacić nam za wszystkie ofiary, któreśmy zawsze ponieść gotowi.

Za całą odpowiedź panna Taillefer rzuciła mu wejrzenie, które nie było wcale dwuznaczne.

— Dziś pani jesteś pewna swego serca; ale czy możesz ręczyć, że się ono nigdy nie zmieni?

Na ustach młodej dziewczyny zaigrał uśmiech, który, niby promień wytryskający z duszy, oblał twarz jej takim blaskiem, że się Eugeniusz przestraszył gwałtownego wybuchu uczucia.

— Jak to! A gdybyś pani miała być jutro bogata i szczęśliwa, gdyby majątek olbrzymi spadł ci z nieba, czyż pomimo to nie przestałabyś kochać biednego młodzieńca, który ci się podobał w dniach niedoli?

Skłoniła wdzięcznie głową.

— Nawet gdyby młodzieniec ten był bardzo nieszczęśliwy?

Nowe skinienie.

— Co to znów za brednie? — zapytała pani Vauquer.

— Proszę nam nie przerywać — rzekł Eugeniusz — my się porozumiewamy.

— Chyba kawaler Eugeniusz de Rastignac zamierza wejść w związki małżeńskie z panną Wiktoryną Taillefer? — ozwał się gruby głos Vautrina, który ukazał się niespodzianie we drzwiach sali jadalnej.

— Ach! Jakżeś mnie pan przestraszył! — zawołały jednocześnie pani Couture i pani Vauquer.

— Mógłbym zrobić gorszy wybór — zaśmiał się Eugeniusz, który nigdy jeszcze nie doznał tak silnego wzruszenia, jak teraz na głos Vautrina.

— Dosyć tych niestosownych żartów, panowie! — zawołała pani Couture. — Pójdźmy stąd, drogie dziecię.

Pani Vauquer poszła za swymi lokatorkami, żeby przepędzić u nich wieczór i zaoszczędzić sobie kawałek świecy i trochę paliwa. Eugeniusz został sam na sam z Vautrinem.

— Wiedziałem dobrze, że pan dojdziesz do tego — rzekł Vautrin z zimną krwią. — Ale słuchaj pan, ja umiem też być delikatnym. Nic pan teraz nie postanawiaj, bo w tej chwili nie jesteś w normalnym usposobieniu. Pan masz długi; chciałbym, żeby nie namiętność, nie rozpacz, lecz zimny rozum przywiódł pana do mnie. Może potrzebujesz kilku tysięcy dukatów? Proszę, weźmiesz pan?

Tu szatan sięgnął do kieszeni i wyjąwszy z pugilaresu trzy bilety bankowe, rozpostarł je przed oczyma studenta. Eugeniusz był w najokropniejszym położeniu. Przegrał markizowi d'Adjuda i hrabiemu de Trailles sto luidorów na słowo. Nie miał pieniędzy i nie śmiał iść wieczorem do pani de Restaud, która zaprosiła go na jeden z tych skromnych wieczorków, na których pije się herbatę z ciastkami i przegrywa się po sześć tysięcy franków w wista.

— Mój panie — rzekł Eugeniusz, powstrzymując z trudnością drżenie konwulsyjne — chciej pan zrozumieć, że po tym, coś mi powierzył, ja nie mogę zaciągać żadnych zobowiązań względem pana.

— A tak! Przykro by mi było, gdybyś pan mówił inaczej — zawołał kusiciel. — Piękny z pana młodzieniec, delikatny, dumny jak lew, a łagodny jak dziewczątko. Diabeł miałby piękną zdobycz z pana. Podoba mi się bardzo taki gatunek młodzieży. Jeszcze dwie lub trzy chwile głębokiego zastanowienia, a ujrzysz pan świat takim, jakim jest rzeczywiście. Przekonasz się, że człowiek wyższy dogadza wszystkim swym zachciankom, a niekiedy tylko odgrywa sceny cnoty ku wielkiemu zadowoleniu głupców, którzy mu się przyglądają z parteru. Niezadługo będziesz pan do nas należał. Ach! Mógłbyś wszystko osiągnąć przy mojej pomocy. Nie miałbyś jednego pragnienia, które by nie zostało zaraz spełnione; mógłbyś żądać wszystkiego: dostojeństw, majątku, kobiet. Cała cywilizacja zmieniłaby się dla pana w ambrozję. Byłbyś naszym pieszczoszkiem, naszym Beniaminem, za którego pozwolilibyśmy się wytępić wszyscy. Spłaszczylibyśmy wszystko, co by ci stawało na zawadzie. Chyba masz mnie pan za łotra, jeżeli po tym wszystkim nie możesz się jeszcze pozbyć swych skrupułów. Ale wiedz pan, że de Turenne był to człowiek takiej uczciwości, jaką pan posiadasz jeszcze w swoim przekonaniu, a jednak obrabiał on pewne sprawki z łotrami i nie widział w tym nic uwłaczającego dla siebie. Cóż, nie chcesz mi pan nic zawdzięczać? Niech i tak będzie — począł znów Vautrin z uśmiechem. — Weź pan te papierki i napisz na tym — mówił, dostając z pugilaresu papier stemplowy — ot tu w poprzek: Przyjęto za sumę trzy tysiące pięćset franków, wypłacalną za rok. A teraz postaw pan datę! Procent jest dość wielki, żeby uwolnić pana od wszelkich skrupułów; możesz nazwać mnie żydem i nie czuć się obowiązanym do żadnej wdzięczności. Dziś jeszcze wolno panu mną pogardzać, bom przekonany, że jutro kochać mnie będziesz. Znajdziesz we mnie te otchłanie niezgłębione, te niezmierne uczucia spotęgowane, które głupcy nazywają występkami; lecz nigdy nie ujrzysz mnie podłym i niewdzięcznym. Jednym słowem, synku, nie jestem ja ani pionkiem, ani słoniem tylko wieżą.

— Któż pan jesteś? — zawołał Eugeniusz. — Stworzonyś chyba po to, by mnie dręczyć.

— Ależ nie, jam dobry człowiek, bo chcę się sam zabłocić, byle pana raz na zawsze uchronić od błota. Pytasz pan siebie, skąd się wzięło takie poświęcenie? Dobrze! Powiem ci to kiedyś cichutko do ucha. Zdumiałeś się pan, gdym ci pokazał rozstrój ustroju społecznego i ruch machiny, lecz pierwszy przestrach przeminie i pogodzisz się z myślą, że na ludzi trzeba patrzeć jak na żołnierzy, co postanowili polec w służbie tych, którzy sami namaszczają się na królów. Czasy zmieniły się bardzo. Dawniej mówiono do śmiałka: Oto sto dukatów, zabij mi takiego to jegomościa i zasiadano najspokojniej do wieczerzy,

kazawszy sprzątnąć człowieka za jedno tak lub jedno nie. Dziś ja ofiarowuję panu piękną fortunę za jedno skinienie głowy, które pana w niczym nie naraża, a pan się wahasz. Taki to już wiek zniewieściały.

Eugeniusz podpisał weksel i zamienił go na bilety bankowe.

— Słuchaj no pan, pomówmy rozsądnie — zaczął Vautrin znowu. — Chcę pojechać za kilka miesięcy do Ameryki i zająć się uprawą tytoniu. Będę przysyłał panu cygara w dowód przyjaźni. Jeżeli zdołam się wzbogacić, to będę ci pomagał. A jeżeli pozostanę bezdzietnym (co jest rzeczą możliwą, bo nie mam wielkiej ochoty odradzać się w ablegrach), no! to zapiszę ci wszystko. Czy to się nazywa być przyjacielem? Ależ ja cię kocham, panie Eugeniuszu. Mam tę słabość, że lubię namiętnie poświęcać się dla innych i poświęcałem się już w swoim życiu. Widzisz, synku, sfera, w której ja żyję, jest wyższa niż sfera innych ludzi. Ja patrzę zawsze na cel, a czyny uważam za środki. A wiesz czym jest dla mnie człowiek? Ot, czym! — i klasnął paznokciem wielkiego palca, zasunąwszy go między zęby. — Człowiek jest wszystkim lub niczym. Jest mniej niż niczym, gdy się nazywa Poiret; można go rozetrzeć jak pluskwę, płaski jest i śmierdzi. Ale człowiek podobny do pana jest bogiem: to już nie machina powleczona skórą, lecz teatr, w którym poruszają się najpiękniejsze uczucia. Ja żyję uczuciami. Uczucie — czyż to nie świat cały w jednej myśli? Spójrz pan na ojca Goriot: córki stały się dla niego wszechświatem, nicią, którą kieruje się wśród całego stworzenia. Otóż, dla mnie, com zbadał życie do gruntu, istnieje jedno tylko uczucie prawdziwe: przyjaźń dwóch mężczyzn. Piotr i Jaffier, to mój ideał. Umiem VENISE SAUVÉE na pamięć. Czyś pan spotkał takiego chwata co by wysłuchał przyjaciela, który mówi: „Pomóż mi zakopać trupa!" i poszedł z nim w milczeniu, nie nudząc go morałami? A jam to zrobił. Nie wyznałbym tego przed kim innym; lecz pan jesteś człowiek wyższy, panu można wszystko powiedzieć, bo wszystko pojąć potrafisz. Nie będziesz długo brodził po tych bagniskach, w których mieszkają otaczające nas karzełki. No, rzecz skończona. Pan się ożenisz. A teraz do ataku! Moja broń żelazna i nigdy nie mięknie, cha, cha!

Vautrin wyszedł, żeby nie krępować studenta i nie doczekać się przeczącej odpowiedzi. Rzekłbyś, że wiedział o tym słabym oporze, o tej walce, którą ludzie toczą z sobą i za pomocą której usprawiedliwiają później swoje czynności naganne.

— Niech sobie robi co chce, a ja nie myślę żenić się z panną Taillefer! — rzekł Eugeniusz do siebie.

Na razie opanowała go wewnętrzna gorączka na myśl, że zawarł przymierze z człowiekiem, który w nim wstręt wzbudzał, a jednocześnie rósł w jego oczach przez sam cynizm swych zasad i przez odwagę, z jaką deptał społeczność całą; niebawem jednak ochłonął, ubrał się i, zażądawszy fiakra, pojechał do pani de Restaud. Od kilku dni hrabina okazywała szczególne względy młodzieńcowi, którego powodzenie w wyborowym kółku wielkiego świata zapowiadało, że wpływ jego stanie się kiedyś bardzo potężny. Eugeniusz oddał, co był winien panom de Trailles i d'Adjuda, a przepędziwszy część nocy przy wiście, odzyskał wszystko, co stracił był poprzednio. Przesądny, jak większa część ludzi, których przyszłość nie jest jeszcze zapewniona i z których każdy jest mniej więcej fatalistą, widział w swym szczęściu nagrodę nieba za to, że postanowił wytrwać na dobrej drodze.

Następnego poranku pilno mu było zapytać, czy Vautrin ma jeszcze jego weksel. Odebrawszy odpowiedź twierdzącą, oddał mu trzy tysiące franków, zdradzając przy tym dosyć naturalne zadowolenie.

— Wszystko idzie dobrze — powiedział mu Vautrin.

— Lecz ja nie jestem pańskim wspólnikiem — rzekł Eugeniusz.

— Wiem, wiem — przerwał Vautrin. — Dziecinnisz się pan jeszcze. Zatrzymują cię na wstępie rzeczy małej wagi.

W dwa dni później Poiret i panna Michonneau siedzieli wśród ustronnej alei Ogrodu Botanicznego, na ławce oblanej promieniami słońca i prowadzili rozmowę z jegomościem, którego Bianchon nazwał słusznie podejrzaną figurą.

— Nie pojmuję — mówił pan Gondureau — skąd się biorą skrupuły pani. Jego ekscelencja minister policji generalnej państwa...

— Ach, jego ekscelencja minister policji generalnej państwa... — powtórzył Poiret.

— Tak, jego ekscelencja zajmuje się tą sprawą, — rzekł Gondureau.

Komuż nie wyda się nieprawdopodobne, że Poiret, dawny urzędnik, człowiek pozbawiony zdolności myślenia, lecz zbrojny prawdopodobnie we wszystkie cnoty mieszczańskie, nie przestał słuchać mniemanego kapitalisty z ulicy Buffon, w chwili gdy tenże wymówił słowo policja, ukazując spod maski poczciwca fizjonomią agenta z ulicy de Jerusalem? A jednak to rzecz najnaturalniejsza w świecie. Wielu obserwatorów zrobiło spostrzeżenie, którego jeszcze nie rozpowszechniono, lecz które objaśni lepiej, jakie miejsce Poiret zajmował w wielkiej familii głupców. Jest pewien naród pierzasty, zamknięty w budżecie między pierwszym stopniem szerokości północnej, pod którym leży niby Grenlandia administracyjna, kraj honorariów wynoszących tysiąc dwieście franków, a stopniem trzecim, pod którym zaczyna się strefa cieplejszych honorariów wynoszących od trzech do sześciu tysięcy, strefa umiarkowana, w której gratyfikacja przyjmuje się i kwitnie, pomimo trudności uprawy. Rysem charakterystycznym, który zdradza najlepiej niedołęstwo i tępość umysłu tej rasy służalczej, jest szacunek jakiś mimowolny, machinalny, instynktowy dla tego Dalajlamy wszelkiej władzy, którego urzędnik zna tylko z nieczytelnego podpisu i nazywa jego ekscelencja ministrem. Te trzy słowa znaczą tyle, co *Il Bondo Cani* kalifa bagdadzkiego i wyobrażają w oczach tej rasy znędzniałej władzę uświęconą, nieodwołalną. Jak papież dla chrześcijan, tak minister w oczach urzędnika jest administracyjnie nieomylny; świetność jego osoby odbija się na jego czynach i słowach oraz na słowach wymówionych w jego imieniu; haft jego munduru okrywa wszystko i uprawnia każdy czyn spełniony z jego rozkazu; tytuł ekscelencja świadczący o czystości jego zamiarów i świątobliwości jego chęci, służy za paszport najdzikszym ideom. Na samo wspomnienie jego ekscelencji, nieboracy owi podejmują się najskwapliwiej tego, czego nie zrobiliby we własnym interesie. Biura mają, tak jak armia, swoje bierne posłuszeństwo: za pomocą tego systematu zagłusza się sumienie, unicestwia człowieka i zmienia go w końcu w śrubę lub muterkę połączoną z machiną rządową.

Pan Gondureau, który musiał znać się na ludziach, pojął od razu, że Poiret jest jednym z takich głupców biurokratycznych. Potrzebował właśnie odsłonić swe baterie i wymówił czarodziejskie słowo jego ekscelencja, by za pomocą tego *Deux ex machina* olśnić Poiret'a, który zdawał się stworzony dla panny Michonneau, tak jak panna Michoenneau zdawała się stworzoną dla Poireta.

— Skoro tylko jego ekscelencja minister, skoro jego ekscelencja we własnej osobie... A, to zupełnie co innego! — rzekł Poiret.

— Słyszy pani, co mówi jej towarzysz? Pani zdaje się polegać na jego zdaniu — począł znów pseudokapitalista, zwracając się do panny Michonneau. — Otóż, jego ekscelencja minister jest teraz najmocniej przekonany, że tak zwany Vautrin, mieszkający w domu Vauquer, jest zbrodniarzem zbiegłym z galer tulońskich, gdzie go znano pod imieniem *Trompe-la-Mort*.

— A! Trompe-la Mort! — rzekł Poiret — musi być bardzo szczęśliwym, kiedy zasłużył na takie imię.

— A tak — odparł agent. — Zawdzięcza on swe przezwisko dziwnemu szczęściu, które zasłaniało go przed śmiercią we wszystkich jego zuchwałych przedsięwzięciach. Jest on niebezpieczny, trzeba państwu wiedzieć. Posiada przymioty, które czynią zeń niezwykłego człowieka. Nawet sam wyrok potępiający przyniósł mu w rodzinnych stronach honor niezmierny...

— Więc to jest człowiek honoru? — zapytał Poiret.

— Na swój sposób. Zgodził się on przyjąć na siebie fałszerstwo popełnione przez pewnego młodzieńca, którego kochał niezmiernie. Był to prześliczny Włoch, trochę szuler, który wstąpił później do wojska, gdzie zresztą sprawował się bardzo chwalebnie.

— Jeżeli jego ekscelencja minister policji wie dobrze, że pan Vautrin jest owym Trompe-la-Mort, to do czegóż może mnie potrzebować? — zagadnęła panna Michonneau.

— Ach! tak — rzekł Poiret — jeżeli jego ekscelencja minister, jak oto mieliśmy honor słyszeć od pana, ma w rzeczy samej pewność jakąkolwiek...

— Nie ma tu mowy o pewności, przypuszcza się tylko. Zrozumiecie państwo zaraz, o co idzie. Jakub Collin, przezwany Trompe-la-Mort, posiada zaufanie trzech galer, które zrobiły go swym agentem i bankierem. Zyskuje on wiele na prowadzeniu takich spraw,

do których potrzeba człowieka znacznego.

— Ach! ach! Czy pani rozumie ten dwuznacznik? — zapytał Poiret. — Pan Gondureau nazywa go człowiekiem znacznym, dlatego, że go naznaczono.

— Mniemany Vautrin — ciągnął agent dalej — przyjmuje kapitały panów galerników, umieszcza je, przechowuje i oddaje do rozporządzenia zbiegłym więźniom, rodzinom pozostałym po tych, którzy zrobili testament lub kochankom galerników, którzy przekazali im weksle.

— Kochankom galerników! Chcesz pan powiedzieć żonom — zauważył Poiret.

— Nie, panie, galernik miewa zwykle tylko nieprawe małżonki.

— Wszyscy więc oni żyją w związkach nieprawych?

— Oczywiście.

— Ależ — mówił Poiret — to zgroza, której jego ekscelencja minister nie powinien by cierpieć. Pan masz szczęście widywać jego ekscelencję, wypadałoby więc panu, którego zasady są, o ile mogę wnosić, bardzo filantropijne, zwrócić uwagę ministra na niemoralne prowadzenie się tych ludzi, którzy dają bardzo zły przykład całemu społeczeństwu.

— Ależ, mój panie, rząd nie po to ich tam umieszcza, żeby służyli za wzór cnót.

— To prawda. Pozwól pan jednakże...

— Ależ, kochaneczku, nie przerywaj panu — rzekła panna Michonneau.

— Pojmuje pani — począł Gondureau — iż rządowi wiele na tym zależy, żeby odkryć tę kasę nieprawną, która ma być dobrze zaopatrzoną. Trompe-la-Mort obraca znacznym kapitałem; przechowuje bowiem nie tylko pieniądze swych towarzyszy, lecz i fundusze należące do Towarzystwa Dziesięciu tysięcy.

— Dziesięciu tysięcy złodziei! — zawołał Poiret przerażony.

— Nie, do Towarzystwa Dziesięciu tysięcy i jednej spółki złodziei wyższego rzędu, którzy działają na wielką skalę i podejmują się tylko takich spraw, w których można zyskać przynajmniej dziesięć tysięcy franków. W skład tego towarzystwa wchodzą najbardziej dystyngowani ze wszystkich tych ichmościów, którzy idą wprost na ławę sądu kryminalnego. Znają oni kodeks i postępują tak przezornie, że wpadłszy nawet w ręce sprawiedliwości nie mogą być nigdy na śmierć skazani. Collin jest ich powiernikiem, ich doradcą. Dzięki olbrzymim środkom, człowiek ten stworzył całą policję na swe usługi i ponawiązywał rozległe stosunki, które okrywa nieprzeniknioną tajemnicą. Rok mija, jakeśmy go otoczyli szpiegami, a dotychczas jeszcze nie możemy zbadać jego sprawek. Talentami swymi i kasą Collin podsyca ciągle występek, wspomaga zbrodnię i utrzymuje całą armią łotrów, którzy toczą nieustanną wojnę ze społeczeństwem. Ująć Trompe-la-Mort i skonfiskować jego kasę będzie to znaczyło podciąć zło przy samym korzeniu. Sprawa ta stała się ważnym zadaniem państwowym i przyniesie zaszczyt tym, którzy zechcą swoim współdziałaniem przyczynić się do pomyślnego jej ukończenia. Pan sam, na przykład, mógłbyś zostać znów urzędnikiem w administracji, mógłbyś spełniać obowiązek komisarza policyjnego, co bynajmniej nie pozbawiłoby pana emerytury.

— Ale dlaczegóż Trompe-la-Mort nie zemknie wraz ze swą kasą? — zapytała panna Michonneau.

— Och! — odparł agent. — Gdyby okradał kasę galerników, to nie miałby się gdzie podziać, bo w ślad za nim posłano by wszędzie człowieka, co by go zabił. Przy tym okraść kasę to nie tak łatwo, jak wykraść pannę z dobrej familii. A wreszcie Collin to łotr niezdolny do takich czynów, on widziałby w tym ujmę dla swej sławy.

— Masz pan słuszność — rzekł Poiret — byłaby to wielka ujma dla jego sławy.

— Wszystko to nie objaśnia, dlaczego panowie nie chcecie ująć go otwarcie? — rzekła panna Michonneau.

— Otóż, objaśnię pani... Ale — szepnął z cicha — powstrzymaj pani swego jegomości, żeby mi nie przerywał, bo nigdy nie dojdziemy do końca. Nie wiem, z jakiego tytułu ten stary każe siebie słuchać. Przybywszy do naszego miasta Trompe-la-Mort wdział skórę poczciwca, przybrał minę porządnego mieszczanina paryskiego i zamieszkał w niepozornej gospodzie. O! Przebiegła to sztuka! Nie da on się złapać na plewy. Tak więc pan Vautrin jest człowiekiem poważnym, zajmującym się ważnymi interesami.

— To się rozumie — rzekł Poiret do siebie.

— Minister nie chce go aresztować z obawy, że to może być jakiś rzeczywisty Vautrin, a w takim razie ujęcie jego oburzyłoby na nas opinią publiczną i cały stan kupiecki. Prefekt

policji ma nieprzyjaciół i wisi na włosku. W razie pomyłki, ci, co mu zazdroszczą, nie omieszkaliby skorzystać z powszechnych krzyków liberalnych i wysadziliby go z miejsca. Chodzi o to, żeby działać tak, jak w sprawie Cogniarda, mniemanego hrabiego de Sainte-Hélene; gdyby to był prawdziwy hrabia de Sainte-Hélene, to wina byłaby po naszej stronie. Dlatego to sprawdzić potrzeba!

— I w tym celu potrzebujecie państwo pięknej kobiety? — zagadnęła panna Michonneau z żywością.

— Żadna kobieta nie potrafiłaby zbliżyć się do Trompe-la-Mort — rzekł agent. — Trzeba pani wiedzieć, że on kobiet nie lubi.

— W takim razie nie pojmuję, w jaki sposób mogę się przyczynić do odkrycia prawdy, gdybym nawet zgodziła się podjąć tej sprawy za dwa tysiące franków.

— Nic łatwiejszego — odparł nieznajomy. — Dam pani flakon pewnego płynu, który sprawia uderzenie krwi do głowy. Po przyjęciu pewnej dozy, następuje niby atak apoplektyczny, nie grożący wszelako żadnym niebezpieczeństwem. Płyn ten wlewa się do wina lub do kawy. Gdy atak nastąpi, przenosi się pacjenta na łóżko i zdejmuje się z niego odzienie, żeby się przekonać czy nie umiera. W takiej chwili trzeba, żebyś pani została sama i uderzyła go ręką po ramieniu, paf! A litery wnet wystąpią.

— Ależ to jedno nic — rzekł Poiret.

— No, jakże? Zgadzasz się pani? — zapytał Gondureau zwracając się do starej panny.

— Ale, łaskawy panie, przypuśćmy, że się litery nie pokażą, czy dacie mi pomimo to dwa tysiące franków?

— Nie.

— Jakież więc będzie wynagrodzenie?

— Pięćset franków.

— Czyż to się opłaci popełnić taki czyn za tak małe wynagrodzenie? Wobec sumienia zło jest jednakowe, a ja, proszę pana, mam też sumienie, które trzeba będzie ułagodzić.

— Mogę upewnić pana, że ta pani jest bardzo sumienną, a przy tym bardzo miłą i rozsądną osobą — rzekł Poiret.

— Wiesz pan co? — poczęła znów panna Michonneau — dacie mi trzy tysiące franków, jeżeli to jest Trompe-la-Mort, a nie dacie nic, jeżeli to sobie zwyczajny mieszczanin.

— Idzie — rzekł Gondureau — ale pod tym warunkiem, że cała ta sprawa jutro się załatwi.

— Jeszcze nie, łaskawy panie, ja potrzebuję zasięgnąć rady spowiednika.

— Przebiegła! — rzekł agent powstając. — A więc do jutra. Gdybyś pani uważała za potrzebne rozmówić się ze mną wcześniej, to proszę przyjść na uliczkę Sainte-Anne. Tam, przy końcu podwórza de la Sainte-Chapelle są jedne tylko drzwi pod sklepieniem. Przyszedłszy na miejsce, proszę zapytać o pana Gondureau.

Bianchon przechodził właśnie koło nich, wracając z wykładu Cuviera; do uszu jego doleciało dziwaczne nazwisko Trompe-la-Mort, które tknęło go nie mniej, jak wyraz „idzie" używany przez sławnego szefa policji bezpieczeństwa.

— Czemu pani nie kończysz od razu? Miałabyś trzysta franków dożywotniego dochodu — rzekł Poiret do panny Michonneau.

— Czemu? — powtórzyła. — Ależ trzeba się nad tym zastanowić. A jeżeli pan Vautrin jest rzeczywiście owym Trompe-la-Mort? Kto wie, czy nie korzystniej byłoby wejść z nim w układy. Ale cóż? Chcąc od niego dostać pieniędzy, trzeba by go ostrzec, a on mógłby zemknąć sobie *gratis*. To dopiero byłby *puff* szkaradny.

— Cóż mu po tym, gdybyś go pani nawet uprzedziła? Przecie jegomość ów powiedział, że mają go na oku. A pani wszystko byś wówczas straciła.

— Zresztą — pomyślała panna Michonneau — nie lubię ja wcale tego człowieka. Musi zawsze powiedzieć mi coś nieprzyjemnego.

— Ale możesz pani lepiej zrobić — począł znów Poiret. — Przecie i ten jegomość, który jest bardzo przyzwoity, powiedział, że kto uwalnia społeczność od zbrodniarza, choćby zresztą najcnotliwszego, ten wykonuje akt posłuszeństwa dla prawa. Bo kto pił, ten pić będzie. A gdyby mu przyszło do głowy pozabijać nas wszystkich? Toć, u licha, my byśmy byli winni tej zbrodni, pomijając już to, że pierwsi padlibyśmy ofiarą.

Panna Michonneau była tak zajęta, że nie słuchała wcale zdań wypadających z ust Poireta, jak krople wody wymykające się z wodozbioru przez kran źle zakręcony. Zacząwszy

raz serię zdań swoich, starzec nie powstrzymywany przez pannę Michonneau, gadał jak maszynka nakręcona. Mówił o czymś, a nawiasem potrącał o przedmioty wręcz przeciwne i plątał je, nie mogąc przyjść do żadnego wniosku. Zbliżając się do domu Vauquer, zaplątał się był w sieć zdań nawiasowych i cytatów przygodnych, z których przeszedł nieznacznie do opowiadania o sprawie jakiegoś pana Ragoulleau i jakiejś pani Morin, w której on, Poiret, występował jako świadek. Wchodząc do mieszkania panna Michonneau spostrzegła Rastignaca i pannę Taillefer, którzy rozmawiali z sobą poufnie. Młoda para tak była zajęta rozmową, że nie zwróciła uwagi na dwoje starych, którzy przeszli przez salę jadalną.

— To się nie mogło skończyć inaczej — rzekła panna Michonneau do Poireta. — Od tygodnia już rzucali na siebie strzeliste wejrzenia.

— Tak — odparł Poiret. — To też sąd ją potępił.

— Kogo?

— Panią Morin.

— Ja mówię o pannie Wiktorynie — rzekła Michonneau — a pan mi prawisz o pani Morin. Cóż to za jedna?

— Ale czymże mogła zawinić panna Wiktoryna? — zapytał Poiret.

— Zawiniła tym, że kocha pana Eugeniusza de Rastignac i idzie ku niemu nie wiedząc, dokąd to ją zaprowadzi — biedne niewiniątko!

Z rana dnia tego pani de Nucingen przywiodła Eugeniusza do rozpaczy. Student czuł w sumieniu, że się już zupełnie oddał Vautrinowi nie chcąc badać pobudek, z których wypływała przyjaźń tego dziwnego człowieka, ani zastanawiać się nad przyszłością podobnego związku. Od godziny już zamieniał z panną Taillefer najsłodsze obietnice i cudem chyba mógł być wybawiony z przepaści, w której stał już jedną nogą. Wiktorynie zdawało się, że słyszy głos anioła, że się niebiosa dla niej otwierają, że dom Vauquer stroi się w barwy tęczowe, którymi dekoratorzy pokrywają pałace teatralne: ona kochała, ona była kochaną, a przynajmniej wierzyła, że nią jest! A jakaż kobieta nie uwierzyłaby tak jak ona, patrząc na Rastignaca i słuchając go przez całą godzinę skradzioną wszystkim Argusom domowym? Eugeniusz walczył z sumieniem, wiedział, że źle czyni i ma świadomość złego, lecz mówił sobie, że szczęściem kobiety okupi ten grzech powszedni i wypiękniał swą rozpaczą, i jaśniał całym blaskiem ognia piekielnego, co w sercu mu rozgorzał. Szczęściem dla niego spełnił się cud pożądany: Vautrin wszedł wesoło i wyczytał, co się działo w duszy młodych ludzi, których połączyły już kombinacje jego szatańskiego geniuszu. Radość młodej pary rozwiała się na dźwięk grubego głosu, który zaśpiewał ironicznie:

Moja Franusia dziwnie jest miła
W swojej prostocie...

Wiktoryna wymknęła się, unosząc z sobą tyle radości, ile dotychczas było niedoli w jej życiu. Biedne dziewczę! Jedno uściśnienie ręki, lekkie dotknięcie włosów Rastignaca, które musnęły ją po twarzy, słowo wymówione tak blisko, że poczuła gorące tchnienie mówiącego, uścisk drżącego ramienia, pocałunek złożony na jej szyi, oto i wszystkie zadatki uczucia, które, dzięki sąsiedztwu grubej Sylwii mogącej wejść lada chwila do salonu, stały się gorętsze, żywsze i bardziej ponętne od najpiękniejszych dowodów przywiązania, o których czytamy w sławnych romansach. Te *drobne hołdy*, jak je dawniej pięknie nazywano, były występkiem w oczach pobożnego dziewczęcia, które się co dwa tygodnie spowiadało. W tej jednej godzinie wylała się z jej duszy taka moc skarbów, że już w późniejszym życiu nie znalazłaby ich tyle, gdyby nawet, bogata i szczęśliwa, chciała się oddać komuś niepodzielnie.

— Sprawa załatwiona — rzekł Vautrin do Eugeniusza. — Nasi chłopcy już się poczubili. Wszystko odbyło się przyzwoicie. Wynikła sprzeczka. Gołąbek nasz obraził mego sokoła. A zatem do jutra w reducie de Clignancourt. Jutro o pół do dziewiątej panna Taillefer odziedziczy miłość i mienie swego ojca, w chwili gdy nie wiedząc o niczym będzie sobie maczała kromkę chleba w kawie. Czyż to nie śmieszne? Ten mały Taillefer umie dobrze obejść się ze szpadą, a zarozumiały jest jak prawdziwy gracz: ale z tym wszystkim przeciwnik upuści mu krwi za pomocą pewnego cięcia mojego pomysłu, które na

tym polega, żeby zręcznie podnieść szpadę i pchnąć w samo czoło. Nauczę pana tego pchnięcia, które może być niezmiernie przydatne.

Rastignac słuchał go osłupiały, niezdolny słowa wymówić. W tej chwili ojciec Goriot, Bianchon i kilku innych stołowników weszło do sali.

— Otoś pan wreszcie taki, jakim cię widzieć pragnąłem — mówił Vautrin do Eugeniusza. — Świadomy jesteś tego, co robisz. Dobrze, młode moje orlę! Będziesz rządził ludźmi; jesteś silny, barczysty, obrośnięty; zasługujesz na mój szacunek.

Chciał ująć go za rękę; Rastignac cofnął żywo dłoń swoje i zbladłszy nagle, upadł na krzesło; wydało mu się w tej chwili, że widzi kałużę krwi przed sobą.

— Ach! Jeszcze nie opadły z nas wszystkie poplamione pieluszki cnoty — rzekł Vautrin z cicha. — Papa d'Oliban ma trzy miliony, znam ja jego fortunę. Posag uczyni cię nawet we własnych oczach białym, jak szata panny młodej.

Rastignac już się nie wahał. Postanowił uprzedzić wieczorem panów Taillefer ojca i syna. Vautrin oddalił się, a w tejże chwili Goriot szepnął studentowi do ucha:

— Smutny jesteś, moje dziecię! Ale ja cię rozweselę. Pójdź ze mną!

Mówiąc to stary fabrykant zapalał swój stoczek koło jednej z lamp. Eugeniusz poszedł za nim, przejęty ciekawością.

— Wejdźmy do pana — rzekł stary, który wziął od Sylwii klucz studenta. — Myślałeś pan rano, że ona cię nie kocha, co? — począł po chwili. — Odprawiła cię przemocą i wyszedłeś od niej zagniewany, zrozpaczony. Niewiniątko! Ona czekała na mnie. Pojmujesz pan? Mieliśmy pójść razem zająć się ostatecznym przygotowaniem mieszkanka, do którego pan się przeprowadzisz za trzy dni. Tylko nie wydaj mnie, proszę. Ona chce, żeby to była niespodzianka, ale ja nie mogę dłużej dochować tajemnicy. Będziesz pan mieszkał po książęcemu na ulicy d'Artois, o dwa kroki od ulicy Saint-Lazare. Wybieraliśmy meble jak dla panny młodej. Od miesiąca zrobiliśmy wiele rzeczy w tajemnicy przed panem. Adwokat mój wziął się już do dzieła; Delfina będzie miała trzydzieści sześć tysięcy franków rocznie, jako procent od swego posagu.

Eugeniusz milczący przechadzał się z założonymi rękoma po biednej swej izdebce, w której nieład panował. Ojciec Goriot dobrał chwilę, w której student zwrócony był do niego plecami i położył na kominku czerwone safianowe pudełko, na którym wyzłocony był herb Rastignaca.

— Drogie moje dziecię — mówił biedny starowina — nie wyobrazisz sobie, com się ja przy tym wszystkim napracował. Bo to widzisz, egoizm mną powodował, twoje przenosiny dotyczą mnie osobiście. Będę cię o coś prosił, nie odmówisz mi, wszak prawda?

— Czegóż pan żądasz?

— Do twego mieszkania należy pokoik położony wyżej, na piątym piętrze. Ja w nim zamieszkam, nieprawdaż? Starzeję się już; zdaje mi się, żem zanadto oddalony od mych córek. Nie będę ci w niczym przeszkadzał. Będę sobie siedział spokojnie. Co wieczór przyjdziesz pomówić ze mną o niej; powiedz, wszak ci to nie sprawi przykrości? Gdy będziesz powracał do domu, ja posłyszę twe kroki i pomyślę sobie, leżąc w łóżku: „On widział moją Delfinkę, był z nią na balu, ona mu szczęście zawdzięcza. Gdybym był chory, to bym znajdował balsam na swe cierpienia słuchając, jak ty powracasz do domu, jak przechadzasz się po swoim mieszkaniu. W twej obecności będę czuł jakby obecność mej córki. Dosyć mi będzie zrobić dwa kroki, żeby się znaleźć na Polach Elizejskich, gdzie one dni całe spędzają, i będę mógł ciągle je widzieć; a teraz często się zdarza, że już za późno przychodzę. A przy tym, może i ona przyjdzie do ciebie! Ja posłyszę jej głos, zobaczę ją, gdy owinięta w watowy szlafroczek, będzie się przechadzała zręcznie jak koteczka. Od miesiąca widzę ją znów wesołą i strojną, jak za dawnych panieńskich czasów. Dusza jej odzyskuje zdrowie, a ty jesteś tego szczęścia przyczyną. O! Nie ma tego, czego bym ja dla ciebie nie zrobił. Przed chwilą powiedziała mi wracając do domu: „Tatku, ja jestem bardzo szczęśliwa". Zimno mi się robi, gdy córki mówią do mnie ceremonialnie: *mój ojcze*, lecz gdy nazwą mnie *tatkiem*, to zdaje mi się, że widzę je znowu małymi dzieweczkami i wszystkie wspomnienia budzą się w mym sercu. Czuję wówczas lepiej, że jestem ich ojcem i zdaje mi się, że one do nikogo jeszcze nie należą.

Stary ocierał oczy zapłakane.

— Tak dawno już nie słyszałem tego wyrazu, tak dawno ona nie chodziła wsparta na mym ramieniu. O, tak! Pewnie już ze sześć lat nie chodziłem obok żadnej z mych córek. Jak to choć ocierać się o jej suknię, stosować się do jej kroku, jej ciepłem się rozgrzewać! Jednym słowem, jam dziś wszędzie towarzyszył Delfinie. Wchodziłem z nią do wszystkich sklepów i odprowadziłem ją do domu. O, pozwól mi pozostać przy sobie! Czasem będziesz potrzebował jakiej usługi, to ja będę na zawołanie. O! Gdyby ten bałwan Alzatczyk umarł, gdyby podagra jego miała rozum i przeszła mu do żołądka, toż dopiero córka moja byłaby szczęśliwa! Ty byłbyś mym zięciem, zostałbyś otwarcie jej mężem. Ona biedna tak mało zaznała rozkoszy tego świata, że ja jej wszystko przebaczam. Pan Bóg musi być po stronie ojców, którzy kochają gorąco.

— Jak ona cię kocha! — rzekł podnosząc głowę po chwilowym milczeniu. — W drodze ciągle mówiła o tobie: „Jaki on ładny! nieprawdaż, ojcze? A jakie dobre ma serce! Czy on często mówi o mnie?" Ba, można by całe tomy zapisać tym, co ona mówiła o tobie, idąc z ulicy d'Artois, aż do pasażu des Panoramas! W końcu wylała całe swe serce przede mną. Dzisiejszego poranku zapomniałem o starości, zdawało mi się, żem lekki jak piórko. Powiedziałem jej, żeś mi oddał owe tysiąc franków. O, pieszczotka droga! Do łez była wzruszona tym postępkiem! — Ale cóż to masz na kominku? — zagadnął wreszcie ojciec Goriot, który umierał z niecierpliwości, widząc, że Rastignac nie myśli ruszyć się z miejsca.

Student odurzony patrzył bezmyślnie na sąsiada. Pojedynek, zapowiedziany na jutro przez Vautrina, stanowił tak rażącą sprzeczność ze spełnieniem najdroższych jego nadziei, że zaczynał prawie wierzyć, iż jest pod wrażeniem snu strasznego. Zbliżył się do kominka, a spostrzegłszy pudełeczko kwadratowe, wziął je w ręce i otworzył. Wewnątrz znajdował się zegarek Bregueta przykryty ćwiartką papieru, na której były słowa:

„Chcę, żebyś pan myślał o mnie w każdej chwili, — *ponieważ...*

Delfina."

Ostatni ten wyraz miał zapewne przypomnieć jakąś scenę, która zaszła między nimi. Eugeniusz uczuł się wzruszony. Wewnętrzną stronę złotej koperty pokrywał emaliowany herb Rastignaców. Od dawna już marzył o takim cacku. Łańcuszek, kluczyk, kształt i deseń, wszystko niezmiernie mu się podobało. Ojciec Goriot był rozpromieniony. Obiecał zapewne córce, że opowie jej wszystkie szczegóły wrażenia, jakiego Eugeniusz dozna na widok jej daru, bo podzielał całym sercem młodzieńcze wzruszenie i wydawał się nie mniej zadowolony od Rastignaca, którego kochał już i za córkę, i za siebie samego.

— Pójdź do niej wieczorem, ona czekać cię będzie. Ten bałwan Alzatczyk ma być na wieczerzy u swojej tancerki. Aha! Zgłupiał jegomość, gdy adwokat mój wypowiedział mu całą prawdę bez ogródek. On twierdzi, że ubóstwia mą córkę! Niech no spróbuje dotknąć się do niej, to go zabiję. Na samą myśl, że moja Delfina... — westchnął — byłbym zdolny zbrodnię popełnić; nie byłoby to nawet mężobójstwem zabić tę istotę, co ma głowę wołu, a kadłub wieprza. Zabierzesz mnie z sobą, nieprawdaż?

— Dobrze, kochany ojcze Goriot, wiesz przecie, że cię kocham.

— O, ja widzę dobrze, że ty się mnie nie wstydzisz! Pozwól, niechże cię uściskam.

I pochwycił go w ramiona.

— Przyrzecz mi, że ją uczynisz szczęśliwą! Pójdziesz dziś do niej, nieprawdaż?

— O, tak! Muszę wyjść dla ważnych spraw, których odłożyć niepodobna.

— Może bym mógł w czym dopomóc?

— A, w rzeczy samej! Ja pójdę do pani de Nucingen, a pan idź do pana Taillefer ojca i poproś go, by mi udzielił wieczorem godzinę posłuchania w sprawie niezmiernej wagi.

— Czyżby to była prawda, młodzieńcze? — zapytał ojciec Goriot, mieniąc się na twarzy; — miałżebyś starać się o jego córkę, jak twierdzą ci głupcy z dołu? Niech cię Bóg strzeże! Nie próbowałeś ręki Goriota. A gdybyś nas oszukiwał, toby się ta sprawa pięścią zakończyła. Och! To być nie może!

— Przysięgam panu, że jedną tylko kobietę kocham na świecie — rzekł student — przekonałem się o tym dopiero przed chwilą.

— Ach! Co za szczęście! — zawołał ojciec Goriot.

— Ale — począł znów student — syn Taillefer'a ma się bić jutro, a ja słyszałem, że go mają zabić.

— Cóż to ciebie obchodzi? — rzekł Goriot.

— Ależ trzeba go uprzedzić, żeby nie pozwolił synowi... — zawołał Eugeniusz.

W tej chwili mowę jego przerwał głos Vautrina, który zaśpiewał tuż koło drzwi:

O Ryszardzie, królu mój!
Cały świat opuszcza cię...
Brum! brum! brum! brum! brum!

Długo błądziłem po szerokim świecie,
I teraz jeszcze aż...
Tra, la, la, la, la...

— Proszę panów — zawołał Krzysztof — zupa podana, wszyscy już siedli do stołu.

— Słuchaj — rzekł Vautrin — pójdź przynieś ode mnie butelkę Bordeaux.

— Jakże ci się zegarek podoba? — mówił Goriot. — Dobry ma gust, prawda?

Vautrin, ojciec Goriot i Rastignac zeszli razem i musieli, wskutek opóźnienia, zasiąść rzędem obok siebie. Podczas obiadu Eugeniusz okazywał wielką oziębłość Vautrinowi. Człowiek ten, uznany już przez panią Vauquer za najmilszego na całym świecie, rozwijał dzisiaj niezwykły zasób dowcipu. Strzelał wciąż świetnymi słówkami i rozruszał wszystkich współbiesiadników. Eugeniusza zdumiewała ta krew zimna, ta niezachwiana pewność siebie.

— Którą nogą wstałeś pan dzisiaj z łóżka? — zapytała go pani Vauquer. — Jesteś wesół, jak zięba.

— Jam zawsze wesół, gdy robię dobre interesy.

— Interesy? — zagadnął Eugeniusz.

— A no, tak! dostawiłem transport towarów, za co dostanę dobre porękawiczne. — Panno Michonneau — zawołał, widząc, że stara panna przygląda mu się z uwagą — czy w mej twarzy jest jaki rys, co się pani me podoba, że spoglądasz pani na mnie takim *amerykańskim okiem*. Proszę powiedzieć! Ja się odmienię, byle tylko przypodobać się pani.

— A co na to powie Poiret? Cóż, nie będziemy się gniewali? — dodał, mrugając na starego urzędnika.

— Słowo daję, pan powinien byś pozować na Herkulesa-Trefnisia! — rzekł malarz do Vautrina.

— Czemu nie? zgoda, jeżeli panna Michonneau zechce pozować na Wenerę z Pere-Lachaise — odparł Vautrin.

— A Poiret? — zagadnął Bianchon.

— O, Poiret będzie pozował na Poireta. To będzie bóg ogrodów! — zawołał Vautrin. — On pochodzi od gruszki...

— Miękkiej! — podchwycił Bianchon. — W takim razie pan będziesz pomiędzy gruszką a serem.

— Wszystko to są brednie — rzekła pani Vauquer. — Ot, wolałbyś pan potraktować nas winem Bordeaux, bo widzę właśnie butelkę, która wysadza swą główkę. Wino będzie nas utrzymywało w dobrym humorze, a przy tym to tak zdrowo na *żołondek*.

— Panowie — rzekł Vautrin — prezes przywołuje nas do porządku. Pani Couture i panna Wiktoryna nie zgorszą się waszymi swobodnymi żarcikami; ale umiejcież uszanować niewinność ojca Goriot. Proponuję państwu buteleczkoramę wina Bordeaux, któremu imię Lafitte dodaje jeszcze więcej sławy (mówię to bez żadnej aluzji politycznej). — Słuchaj, Chińczyku! — zawołał zwracając się do Krzysztofa, który nie ruszył się z miejsca. — Pójdźże, Krzysztofie! Cóż to, nie słyszałeś swego imienia? Chińczyku, sprowadź trunki!

— Proszę — powiedział Krzysztof, podając mu butelkę.

Vautrin napełnił szklankę Eugeniusza i ojca Goriot, a sobie nalał z wolna kilka kropel i zaczął je kosztować, podczas gdy obaj sąsiedzi wychylali swe szklanki. Skosztowawszy, skrzywił się nagle.

— Tam do licha! wino trąci korkiem. Weź to dla siebie, Krzysztofie, a dla nas pójdź przynieś więcej; znajdziesz tam na prawo, wiesz? Jest nas osób szesnaście, sprowadź więc osiem butelek.

— Skoro pan tak się wysadzasz, to i ja płacę sto kasztanów — rzekł malarz.

— Oho!

— Buuuuh!

— Prrrr!

Wykrzykniki wylatywały ze wszystkich stron niby rakiety.

— Wiecie co, mamo Vauquer? żebyście dali tak ze dwie butelki szampana — zawołał Vautrin.

— A to trafił! Czemu nie zażądać już lepiej całego domu? Dwie butelki szampana! Ależ to kosztuje dwanaście franków! Ja tyle nie zarabiam, nie! Jeżeli pan Eugeniusz zapłaci, to mogę dać nalewki porzeczkowej.

— Ta jej nalewka przeczyszcza żołądek jak manna — rzekł z cicha student medycyny.

— Zmiłuj się, nie gadaj, Bianchon — zawołał Rastignac. — Na samo wspomnienie o mannie serce mi... Dobrze, zgoda na szampana, ja płacę — dodał student.

— Sylwio — rzekła pani Vauquer — podaj sucharki i małe ciastka.

— Te małe ciastka są za wielkie. Na sucharki to zgoda.

W jednej chwili obniesiono dokoła butelki Bordeaux, goście ożywili się i wesołość się podwoiła. Wśród szalonego śmiechu wyrywały się głosy naśladujące krzyk rozmaitych zwierząt. Urzędnikowi z Muzeum przyszło do głowy odtworzyć krzyk Paryża, który miał przypominać miauczenie kota zakochanego i wnet osiem głosów ryknęło osiem zdań następujących:

— Ostrzyć noże!

— Siemię dla ptasząt!

— Sztuki, patrzcie panie, sztuki!

— Drutować porcelanę!

— Proszę do łodzi! proszę do łodzi!

— Bić żony, trzepać odzież!

— Stare odzienie, stare galony, stare kapelusze do sprzedania!

— Wiśnie, wiśnie słodkie!

Palmę pierwszeństwa otrzymał Bianchon za akcent nosowy z jakim wywoływał:

— Handlarz parasoli!

Po chwili hałas stał się nieznośny, rozmowa zmieniła się w jakieś brednie bezmyślne, a Vautrin dowodził tym wszystkim, niby dyrygujący operą, przy czym spoglądał niekiedy na Eugeniusza i ojca Goriot, którzy zdawali się już upojeni. Obaj siedzieli wsparci plecami o poręcz krzesła i pili niewiele, patrząc z powagą na nieład panujący dokoła; obaj myśleli o tym, co mieli spełnić wieczorem, lecz żaden nie miał siły powstać z swego miejsca. Vautrin śledził ukradkiem zmianę ich fizjonomii, aż spostrzegł, że błędne oczy zaczynają się przymykać; wtedy pochylił się ku Rastignacowi i szepnął mu do ucha:

— Synku kochany, jeszcześ nie dość przebiegły, by walczyć z tatusiem Vautrinem, który zanadto cię kocha, by pozwolił ci robić głupstwa. Gdy ja postanowię coś zrobić, to tylko Bóg jeden może mi przeszkodzić. Ach! Chcieliśmy ostrzegać ojca Taillefer, chcieliśmy popełniać błazeństwa! Piec gorący, ciasto rozczynione, chleb siedzi już na łopacie; jutro będziemy zajadali z takim apetytem, aż okruchy wyżej głowy wyskakiwać nam będą, a dziś chcieliśmy nie dopuścić, by go w piec wsadzono?... Nie, nie, wszystko się upiecze! Pozostanie nam może trochę zgryzoty, lecz i to się razem przetrawi. Chrapniemy sobie troszeczkę, a tymczasem hrabia Franchessini otworzy nam końcem szpady spadek po Michale Taillefer. Wiktoryna odziedziczy wszystko po bracie i będzie miała piętnaście tysiączków dochodu. Dowiedziałem się również, że spadek po matce dochodzi do trzechkroć tysięcy...

Eugeniusz słuchał i nie mógł nic odpowiedzieć: czuł, że mu język przylega do podniebienia, że ogarnia go senność nieprzezwyciężona; przed oczyma rozścielała mu się jakaś mgła świecąca, przez którą widział niewyraźnie stół i twarze biesiadników. Gwar ucichał

z wolna i goście rozchodzili się po jednym. Za stołem pozostała już tylko pani Vauquer, pani Couture z panną Wiktoryna, Vautrin i ojciec Goriot. Rastignac rozmarzony widział jeszcze, jak pani Vauquer zlewała pozostałe wino do jednej butelki.

— A, jacy oni szaleni, jacy młodzi! — mówiła wdowa.

Było to ostatnie zdanie, które Eugeniusz mógł jeszcze zrozumieć.

— Tylko pan Vautrin potrafi wyprawiać takie sztuki — rzekła Sylwia. — Patrzcie państwo, toć to Krzysztof chrapie jak bączek.

— Do widzenia, mamuniu — rzekł Vautrin. — Idę na bulwar podziwiać pana Marty w *Mont-Sauvage*. Jest to wielka sztuka przerobiona z *Pustelnika*. Jeżelibyś pani życzyła, tobyśmy poszli razem z tymi paniami.

— Ja dziękuję — rzekła pani Couture.

— Jak to, sąsiadko! — zawołała pani Vauquer — nie chcesz widzieć sztuki osnutej na *Pustelniku*? Wszakże do dzieło Atali de Chateaubriand, któreśmy czytały w przeszłym roku pod lipami, płacząc niby jakie Magdaleny; przy tym jest to utwór moralny, z którego i panna Wiktoryna może skorzystać.

— Nam nie wolno bywać na komedii — odparła Wiktoryna.

— Patrzcie państwo! Ci już zupełnie gotowi — rzekł Vautrin, poruszając w sposób komiczny głowę ojca Goriot i Eugeniusza.

Złożył głowę studenta na krześle, żeby mu było wygodniej i pocałował go serdecznie w czoło śpiewając:

Śpijcie, pieszczotki kochane!
Ja czuwać przy was zostanę.

— Boję się, żeby on nie zachorował — rzekła Wiktoryna.

— W takim razie, niechże go pani pielęgnuje — począł znów Vautrin. — Jest to — szepnął jej do ucha — obowiązek żony uległej...

— Młodzieniec ten ubóstwia panią, a ja przepowiadam, że pani zostaniesz jego żoneczką. — A w końcu — dodał głośno — *poważano ich powszechnie, żyli szczęśliwie i mieli dużo dzieci*. Oto zakończenie wszystkich historii miłosnych. — Dalejże, mamuniu — zawołał zwracając się do pani Vauquer i chwytając ją w objęcia — proszę włożyć kapelusz, piękną suknię w kwiaty i przepaskę hrabiny. Ja sam pójdę sprowadzić fiakra.

I oddalił się śpiewając:

O słońce, słońce, boskie słońce,
Pod którym tykwy dojrzewają...

— Mój Boże! Wiesz co, pani Couture? Ja zgodziłabym się choć na dachu żyć z takim człowiekiem. — No — rzekła zwracając się do starego fabrykanta — ojciec Goriot już gotów. Temu staremu sknerze nigdy nie przyszło na myśl, żeby mnie gdziekolwiek zaprowadzić. Ale, mój Boże! On spadnie na ziemię. Jak to nieprzyzwoicie, kiedy człowiek niemłody upije się i rozum utraci! Powiecie mi, że trudno stracić to, czego się nie ma. Sylwio, zaciągnijże go na górę.

Sylwia wzięła starego pod ramiona, poprowadziła go popychając przed sobą i rzuciła jak tłumok jakiś w poprzek łóżka.

— Biedny młodzieniec — mówiła pani Couture, odgarniając Eugeniuszowi włosy, które mu aż na oczy opadły — on tak jak dzieweczka nie zna jeszcze, co to jest nadużycie.

— A — rzekła pani Vauquer — mogę śmiało powiedzieć, że od lat trzydziestu, to jest od czasu jak utrzymuję mą gospodę, wielu młodych ludzi przeszło, jak to mówią, przez moje ręce; ale żaden jeszcze nie był tak miły i tak dystyngowany, jak pan Eugeniusz. Jaki on piękny we śnie! Pani Couture! Niechże pani oprze jego głowę na swym ramieniu. Ba! Ona już spadła na ramię panny Wiktoryny: Bóg czuwa nad dziećmi. Jeszcze chwila, a byłby roztrzaskał głowę o poręcz krzesła. Ale z nich obojga byłaby bardzo ładna para.

— Dajcież pokój, sąsiadko, mówicie takie rzeczy...

— To cóż, przecie on nie słyszy — odparła pani Vauquer.

— No, Sylwio, chodźże mnie ubrać. Włożę wysoki gorset.

— A tak! Wysoki gorset po obiedzie — zawołała Sylwia. — Niechże pani szuka sobie kogo innego do sznurowania, ja nie chcę być zabójczynią. Pani może życiem przypłacić taką nierozwagę.

— Mniejsza o to, trzeba wystąpić tak, żeby się pan Vautrin nie powstydził.

— To pani musi bardzo kochać swoich spadkobierców?

— No, Sylwio, dość już tego gadania — zawołała wdowa odchodząc.

— I to w takim wieku! — rzekła kucharka do Wiktoryny, wskazując na oddalającą się panią.

W sali jadalnej została tylko pani Couture i wychowanka jej, podtrzymująca na swym ramieniu głowę śpiącego Eugeniusza. Chrapanie Krzysztofa rozlegało się wśród cichego domu, przez co sen Eugeniusza, który spał cicho jak dziecię, nabierał jeszcze więcej wdzięku. Wiktoryna uszczęśliwiona była, że może spełnić jeden z tych aktów miłości bliźniego, w których wylewają się wszystkie uczucia kobiety, że może bez grzechu czuć przy swym sercu uderzenie serca młodzieńczego. Na twarzy jej rozlał się jakiś wyraz macierzyńsko-opiekuńczy, który czynił ją dumną prawie. Wśród tysiącznych myśli, powstających w jej głowie, budziło się natrętne uczucie rozkoszy, wywołane zamianą czystego, młodzieńczego ciepła.

— Biedne, drogie dziecię! — rzekła pani Couture, ściskając jej rękę.

Stara kobieta wpatrywała się z zachwytem w tę twarz nieskalaną i smętną, którą otoczyła w tej chwili aureola szczęścia. Wiktoryna przypomniała jedno z tych naiwnych średniowiecznych malowideł, na których artysta odrabiał wszystkie akcesoria niedbale, ale za to całą potęgę spokojnego i silnego pędzla skupiał na twarzy o żółtym odcieniu, w której niebo zdawało się odbijać z całym bogactwem złotych swoich blasków.

— Jednak, mateczko, on wypił nie więcej jak dwie szklanki — mówiła Wiktoryna, zatapiając palce we włosach Eugeniusza.

— Ależ, drogie dziecię, nie szkodziłoby mu wino, gdyby przyzwyczajony był do nadużycia. Właśnie chwali mu się to, że się upił.

Turkot powozu dał się słyszeć na ulicy.

— Mateczko — rzekło dziewczę — pan Vautrin przyjechał. Proszę wziąć ode mnie pana Eugeniusza. Nie chciałabym, żeby widział go przy mnie; umie on niekiedy przemawiać w taki sposób, że wyrazy jego kalają jego duszę, a gdy spojrzy przy tym, to kobiecie robi się tak przykro, jak gdyby z niej suknię zdzierano.

— Nie — rzekła pani Couture — ty się mylisz! Pan Vautrin, to człowiek uczciwy, trochę niby w rodzaju nieboszczyka pana Couture; prawda, że raptus, ale dobry; jednym słowem jest to gbur dobroduszny.

W tej chwili Vautrin wszedł po cichu i spojrzał na obraz ułożony z tych dwojga dzieci, których światło lampy zdawało się głaskać pieszczotliwie.

— Oto scena — rzekł, zakładając ręce — z której poczciwy Bernardin de Saint-Pierre, autor *Pawła i Wirginii*, mógłby zaczerpnąć natchnienie do niejednej pięknej stronicy. Jaka to młodość piękna, pani Couture! Śpij, biedne dziecię — mówił, wpatrując się w Eugeniusza — czasami szczęście spływa na nas we śnie. Wiem — ciągnął dalej, zwracając się do wdowy — że piękność duszy tego chłopaka odpowiada piękności jego twarzy, a ta harmonia wzrusza mnie i przywiązuje do niego. Patrz pani, czyż to nie jest cherubin spoczywający na ramieniu anioła? O, takiego warto kochać! Gdybym był kobietą, chciałbym umrzeć (nie, nie głupim!), chciałbym żyć dla niego. Gdy patrzę tak na oboje, szepnął pochylając się do ucha wdowy, to nie mogę powstrzymać się od myśli, że Bóg stworzył ich po to, żeby wzajemnie do siebie należeli. Opatrzność przenika serca ludzkie, a drogi jej są dla nas zakryte — zawołał głośno. — Widząc was, dzieci moje, w tej chwili, gdyście złączeni z sobą nieskazitelnością dusz waszych i wszystkimi uczuciami ludzkimi, myślę sobie, że niepodobna jest, abyście kiedyś w przyszłości mieli być rozłączeni. Bóg jest sprawiedliwy. Zdaje mi się — rzekł do Wiktoryny — że widziałem na ręku pani linie zapowiadające przyszłość szczęśliwą. Proszę mi pokazać rękę, panno Wiktoryn, znam się ja na chiromancji i nieraz już wróżyłem. No, nie bójże się pani. Oho, cóż — to ja widzę! Ręczę pani słowem uczciwego człowieka, że zostaniesz wkrótce jedną z najbogatszych dzieweczek w Paryżu i uszczęśliwisz tego, który cię kocha. Ojciec weźmie panią do siebie. Poślubisz człowieka z tytułem, młodego i pięknego, który już teraz cię ubóstwia.

W tej chwili ciężkie stąpanie zalotnej wdowy przerwało wróżby Vautrina.

— Oto mamma Vauquerrr, piękna jak gwiazzzda, wysznurowana jak marrrchew. Czy nie dusimy się troszeczkę, mammuniu? — zapytał, przykładając rękę do brykli od gorsetu. — Jeżeli się rozpłaczemy, to może być eksplozja; ale ja pozbieram szczątki z troskliwością antykwariusza.

— Ten człowiek zna mowę galanterii francuskiej — szepnęła wdowa, pochylając się do ucha pani Couture.

— Do widzenia, dzieci — rzekł Vautrin do Eugeniusza i Wiktoryny. — Błogosławię was — dodał, wyciągając ręce nad ich głowami. — Wierz mi pani, życzenia uczciwego człowieka mają swoje wartość, bo idą do Boga i muszą szczęście sprowadzić.

— Do zobaczenia, przyjaciółko droga — rzekła pani Vauquer do swej lokatorki. — Jak sądzicie —- dodała po cichu — czy pan Vautrin ma jakie plany dotyczące mojej osoby?

— Hm! hm!

— A, matko droga — zawołała Wiktoryna, zostawszy sam na sam z panią Couture — gdyby to mogło być prawdą, co mówił dobry pan Vautrin! — i popatrzyła z westchnieniem na swe ręce.

— Nie trzeba nic więcej, tylko żeby ten potwór, brat twój, zleciał z konia — rzekła stara kobieta.

— Ach, mateczko!

— Mój Boże, może to i grzech życzyć źle nieprzyjacielowi — poczęła znów wdowa. — W takim razie gotowam za to odpokutować. Ale prawdziwie, bardzo by mi było przyjemnie zanieść kwiaty na grób jego. Niedobry! Nie ma odwagi przemówić za swą matką, a spadek po niej zabrał wykrętnie i używa go z twoją krzywdą. Kuzynka moja miała piękną fortunę, tylko, nieszczęściem dla ciebie, w intercyzie nie było mowy o jej wniosku.

— Szczęście byłoby mi ciężkie do zniesienia, gdyby ktoś musiał je życiem okupić — rzekła Wiktoryna. — A gdybym miała być szczęśliwa pod tym warunkiem, że brat mój zginie; to wolałabym na zawsze pozostać tu, gdzie jestem.

— Mój Boże — poczęła znowu pani Couture — dobrze mówi pan Vautrin, widzisz, jaki on religijny; przekonałam się teraz z radością, że nie jest pozbawiony wiary, jak inni, co to mówią o Bogu z mniejszym szacunkiem niż sam diabeł. Nikt z nas nie może wiedzieć, jakimi drogami Opatrzność raczy nas prowadzić.

Obie kobiety wezwały wreszcie Sylwię do pomocy i przeniosły Eugeniusza do jego pokoju. Złożywszy go na łóżku, kucharka porozpinała na nim odzienie, żeby mógł spać wygodniej. Przed odejściem, Wiktoryna skorzystała z tego, że opiekunka zwróciła się do niej plecami i złożyła pocałunek na czole Eugeniusza. A jakże była szczęśliwa, popełniając tę kradzież występną! Rozejrzała się jeszcze po jego pokoju, zebrała, że tak powiem, w jedną myśl wszystkie błogie wypadki dnia tego, usnuła z nich obraz, w który wpatrywała się długo i zasnęła jako najszczęśliwsza w całym Paryżu istota.

Bankiet, przy którym Vautrin upoił Eugeniusza i Goriota winem usypiającym, stał się hasłem własnej jego zguby. Bianchon, wpół pijany, zapomniał spytać panny Michonneau, co miał znaczyć dziwny wyraz *Trompe-la-Mort*. Imię to byłoby pewnie obudziło ostrożność Vautrina, czyli (nazwijmy go właściwym imieniem) Jakuba Collin, jednego z najsławniejszych galerników. Wreszcie panna Michonneau, obrażona przezwiskiem Wenery z Pere-Lachaise, postanowiła wydać Collina w takiej chwili właśnie, kiedy, znęcona jego wspaniałomyślnością, wahała się, czy nie lepiej byłoby przestrzec go, żeby mógł zemknąć w nocy.

Po obiedzie udała się w towarzystwie Poireta na uliczkę Sainte-Anne dla widzenia się ze sławnym szefem policji bezpieczeństwa, którego znała pod nazwiskiem wyższego urzędnika Gondureau. Dyrektor policji sądowej przyjął ją bardzo uprzejmie. Ułożono wszystkie warunki, po czym panna Michonneau zażądała napoju, za pomocą którego miała się przekonać o istnieniu piętna. Wielki człowiek z małej uliczki Sainte-Anne otworzył szufladę od biurka i zaczął szukać flakonika, zdradzając przy tym tak żywe zadowolenie, że panna Michonneau wpadła na myśl, iż tu musi chodzie o coś więcej, jak o ujęcie prostego galernika. Zaczęła łamać sobie głowę aż doszła do przekonania, że policja ma pewne wskazówki od zdrajców z galer i spodziewa się znaleźć w tym czasie znaczne kapitały u Collina. Wyjawiła swe domysły, ale słuchający jej lis zaczął się uśmiechać, usiłując

odwrócić podejrzenia starej panny.

— Mylisz się pani — powiedział. — Collin, to taka niebezpieczna *sorbona*, jaka nigdy jeszcze nie znajdowała się po stronie złoczyńców. Oto i wszystko. Łotry umieją go cenić; on jest ich sztandarem, ich podporą, ich Bonapartym wreszcie, a oni go za to kochają. Niegodziwiec ten nie zostawi nam nigdy swego *kloca* na placu de Greve.

Panna Michonneau nie zrozumiała i Gondureau musiał objaśnić znaczenie słów wymówionych przed chwilą.

Sorbona i *kloc* są to dwa wyrazy wzięte z żargonu złodziei, którzy najpierwsi uznali potrzebę zapatrywania się na głowę ludzką z dwóch punktów odrębnych. *Sorbona* — to głowa człowieka żyjącego, to doradca i źródło myśli. *Kloc* — to wyraz pogardliwy, określający całą nicość głowy odciętej od ciała.

— Collin kpi z nas — ciągnął Gondureau dalej. — Spotkawszy takich ludzi, twardych jak sztaba hartownej stali, zabijamy ich, korzystając z najmniejszej chęci oporu, jaką okazują przy aresztowaniu. Spodziewamy się, że Collin będzie też stawiał opór jutro rano i że będziemy mogli go zabić. W takim razie unika się procesu, kosztów na utrzymanie, na pokarm i wyświadcza się przysługę społeczności. Procedura sądowa, wezwanie świadków do sądu, wynagrodzenie ich, egzekucja, jednym słowem wszystko, przez co legalnie pozbywamy się takich łotrów, kosztuje więcej niż tysiąc talarów, które pani masz dostać. Przy tym i czas się oszczędza. Zadając silne pchnięcie bagnetem w brzuch Trompe-la-Mort, powstrzymamy sto zbrodni i unikniemy zepsucia pięćdziesięciu łotrów, którzy będą ostrożnie postępować w pobliżu policji poprawczej. Oto jest policja dobrze urządzona. Według zdania prawdziwych filantropów, postępując w taki sposób, zapobiega się spełnieniu zbrodni.

— I wyświadcza się usługę krajowi — dorzucił Poiret.

— A tak! — odparł szef — pan mówisz dzisiaj bardzo rozsądnie. Tak, zapewne, my służymy krajowi. Z tym wszystkim świat jest względem nas bardzo niesprawiedliwy. Wyświadczamy społeczeństwu wielkie, choć nieuznane posługi. Ale człowiek wyższy powinien wznieść się ponad przesądy, a chrześcijanin powinien przyjąć nieszczęścia, które nawet dobro pociąga za sobą, jeżeli nie jest spełnione według przyjętych powszechnie wyobrażeń. Paryż jest Paryżem, widzicie państwo. Słowo to objaśnia moje życie. Żegnam panią. Będę jutro z mymi ludźmi w Jardin du Roi. Proszę przysłać Krzysztofa na ulicę Buffona, do pana Gondureau, do domu, w którym byłem poprzednio. Sługa uniżony pana dobrodzieja. Gdyby pana kiedykolwiek okradziono, to proszę wezwać mojej pomocy, jam zawsze gotów na usługi.

— Bywają jednak głupcy — mówił Poiret do panny Michonneau — którzy z siebie wychodzą na samo wspomnienie policji. A przecie ten pan taki miły, a to, czego żąda od pani, jest proste jak dzień dobry.

Następny dzień miał się zapisać jako jedna z najdonioślejszych dat w domu Vauquer. Dotychczas, na tle spokojnego życia, najwybitniejszym wypadkiem było przelotne pojawienie się mniemanej hrabiny de l'Ambermesnil. Ale wszystko miało zblednąć wobec gwałtownych wypadków dnia tego, o którym pani Vauquer miała wspominać w rozmowie do końca swego życia. Najpierw Goriot i Eugeniusz de Rastignac spali aż do jedenastej. Pani Vauquer wróciła z teatru około północy i przeleżała w łóżku do pół do jedenastej z rana. Długi sen Krzysztofa, który wypił wino ofiarowane przez Vautrina, sprawił, że cały porządek domowy został opóźniony. Poiret i panna Michonneau nie narzekali, że śniadania nie podano o zwyczajnej porze. I Wiktoryna z panią Couture zaspały dnia tego bardzo długo. Vautrin wyszedł przed ósmą, a powrócił w chwili, kiedy właśnie podawano śniadanie. Nikt więc nie protestował, gdy po jedenastej już Sylwia i Krzysztof poszli stukać do wszystkich drzwi, donosząc, że śniadanie gotowe. Panna Michonneau zeszła najpierwsza i skorzystała z nieobecności Sylwii i służącego, żeby wlać płyn z flakonu do srebrnego kubka Vautrina. Kubek ten, napełniony śmietanką, wstawiano zawsze do wanienki z gorącą wodą, razem ze wszystkimi garnuszkami, w których grzała się śmietanka do kawy. Panna Michonneau wiedziała o tym zwyczaju i rachowała, że on jej dopomoże do spełnienia zamierzonego czynu. Nie bez trudności udało się wreszcie zgromadzić wszystkich siedmiu lokatorów.

W chwili gdy Eugeniusz schodził ostatni, przeciągając się leniwie, posłaniec wręczył mu list od pani de Nucingen. List ten zawierał, co następuje:

„Wobec ciebie, przyjacielu, nie znam ani fałszywej próżności, ani gniewu. Czekałam cię aż do drugiej po północy. Z czymże porównać oczekiwanie ukochanej istoty? Kto sam poznał tę mękę, ten nikogo na nią nie skaże. Teraz widzę dobrze, że kochasz po raz pierwszy. Co ci się stać mogło? Niepokój mnie ogarnął. Gdyby nie obawa, że zdradzę tajemnicę mego serca, to byłabym sama poszła przekonać się, jakie to szczęście lub jakie nieszczęście ciebie spotkało. Ale naraziłabym się na zgubę niezawodną, gdybym o takiej porze wyjechała z domu powozem lub wyszła piechotą. Poznałam, jakie to nieszczęście być kobietą. Uspokój mnie, wytłumacz, dlaczegoś nie przyszedł potem, co ci mój ojciec powiedział. Będę się gniewała, ale przebaczę. Możeś chory? Poco było najmować tak odległe mieszkanie? Jedno słowo przez litość! Do prędkiego zobaczenia, nieprawdaż? Jedno słowo wystarczy mi, jeżeliś zajęty. Powiedz: »Biegnę« lub »Cierpię«. Ale gdybyś był cierpiący, to przecie ojciec mógłby mnie zawiadomić. Więc cóż się stało?..."

— Tak, co się to stało? — zawołał Eugeniusz i wpadł do sali jadalnej, mnąc w ręku list niedokończony. — Która teraz godzina?

— Pół do dwunastej — odparł Vautrin wrzucając cukier do kawy.

Zbiegły galernik zmierzył Eugeniusza wzrokiem zimnym a obezwładniającym, wzrokiem, który spotyka się tylko u ludzi obdarzonych wielką siłą magnetyczną, a który, jak mówią, poskramia obłęd szaleńców zamkniętych w szpitalu. Eugeniusz zadrżał na całym ciele. Turkot powozu dał się słyszeć na ulicy, po czym do sali jadalnej wpadł służący w liberii pana Taillefer. Couture poznała go natychmiast, choć na twarzy jego malował się wyraz przerażenia.

— Jaśnie wielmożny pan wzywa panienkę do siebie — zawołał. — Stało się wielkie nieszczęście. Pan Fryderyk pojedynkował się i został pchnięty szpadą w czoło; doktorzy nie robią nadziei; pani zaledwie zdąży go pożegnać, bo już utracił przytomność.

— Biedny młodzieniec! — zawołał Vautrin. — Jak to można kłócić się mając trzydzieści tysięcy liwrów dochodu? To fakt, że młodzież nie umie postępować rozsądnie.

— Panie! — krzyknął Eugeniusz.

— No, cóż? Wielkie dziecko! — zagadnął Vautrin, wypijając najspokojniej resztki swej kawy. — Czyż pojedynki nie są w Paryżu rzeczą powszednią?

Panna Michonneau śledziła z takim zajęciem najmniejszy ruch Vautrina, że nie wzruszyła się wcale wieścią o wypadku, który wszystkich przeraził.

— Ja jadę z tobą Wiktoryno — mówiła pani Couture.

I obie kobiety wybiegły bez okryć i bez kapeluszy. Przed wyjściem Wiktoryna zalana łzami rzuciła na Eugeniusza wejrzenie, które zdawało się mówić: Nie sądziłam, że szczęście nasze tylu łzami okupić będę musiała!

— Ależ pan jesteś prorokiem, panie Vautrin! — rzekła pani Vauquer.

— Ja wszystkim jestem — odparł Jakub Collin.

— To jednak dziwne! — ciągnęła dalej pani Vauquer, wysnuwając z tego wypadku cały szereg zdań nieznaczących. — Śmierć zabiera nas bez pytania. Młodzi poprzedzają nieraz starych. My, kobiety, szczęśliweśmy z tego względu, że nie podlegamy pojedynkowi; ale za to podlegamy innym chorobom, których nie znają mężczyźni. Musimy wydawać dzieci na świat i przebywać długie słabości. Co to za los dla Wiktoryny! Teraz ojciec musi ją przyznać.

— To dopiero! — rzekł Vautrin patrząc na Eugeniusza — wczoraj nie miała złamanego szeląga, a dziś ma kilka milionów.

— No, panie Eugeniuszu, wiedziałeś pan, gdzie raki zimują — zawołała pani Vauquer.

Przy tych słowach Goriot podniósł oczy na studenta i spostrzegł w jego ręku list zgnieciony.

— Nie skończyłeś pan listu! — zawołał — Cóż to znaczy? Czyż byłbyś nie lepszy od innych?

— Ja nie ożenię się nigdy z panną Wiktoryna — powiedział Eugeniusz do pani Vauquer, a w głosie jego było tyle zgrozy i wstrętu, że się wszyscy obecni zdumieli.

Ojciec Goriot uścisnął rękę studenta. Zdawało się, że chcę ją ucałować.

— Och, och! — zawołał Vautrin. — Dobrze mówią Włosi: *col tempo!*

— Czekam na odpowiedź — rzekł do Rastignaca posłaniec pani de Nucingen.

— Powiedzcie, że przyjdę.

Posłaniec wyszedł. Eugeniusz znajdował się w stanie okrutnego rozdrażnienia, który pozbawiał go zimnej rozwagi.

— Co robić? — pytał siebie głośno. — Dowodów nie ma!

Vautrin uśmiechnął się. W tej chwili płyn połknięty z kawą zaczął wywierać swe działanie. Galernik był jednak tak silny, że wstał jeszcze z miejsca, popatrzył na Eugeniusza i rzekł głucho:

— Młodzieńcze, szczęście spływa na nas we śnie.

I upadł bez życia.

— Jest więc sprawiedliwość boska! — zawołał Eugeniusz.

— Ach! Cóż mu się stało, temu biednemu, kochanemu panu Vautrin?

— To apopleksja — krzyknęła panna Michonneau.

— Sylwio, śpiesz, najdroższa, sprowadź doktora — mówiła wdowa. — Ach! panie Rastignac, biegnijże pan prędko do pana Bianchon; może Sylwia nie znajdzie naszego lekarza pana Grimprel.

Rastignac wybiegł pośpiesznie, szczęśliwy, że może pod jakimkolwiek pozorem wyrwać się z tej okropnej jaskini.

— Dalejże, Krzysztofie, skocz do apteki i poproś, żeby dali cokolwiek od apopleksji.

Krzysztof wyszedł.

— Ojcze Goriot, pomóżcie przenieść go na górę, do jego mieszkania.

Pochwycono wnet Vautrina na ręce, przeniesiono go przez schody i położono na łóżko.

— Ja się państwu na nic nie przydam — rzekł Goriot — pójdę do mojej córki.

— Stary samolub! — zawołała pani Vauquer. — Idź, życzę ci, żebyś zdechł jak pies.

— Niechże pani zobaczy, czy nie ma gdzie eteru — rzekła panna Michonneau, która rozpinała z Poiretem odzienie Vautrina.

Pani Vauquer zeszła na dół i panna Michonneau została wreszcie panią placu.

— Dalejże, zdejm mu pan koszulę i przewróć go prędko. Róbże pan coś przecie, oszczędź mi przynajmniej widoku nagości, a to stoisz jak pień — mówiła panna Michonneau do Poireta.

Poiret przewrócił chorego, a panna Michonneau uderzyła go silnie po ramieniu i wnet dwie złowrogie białe litery wystąpiły na tle czerwonym.

— No, zarobiłaś pani łatwo trzy tysiące franków — zawołał Poiret podtrzymując Vautrina, któremu panna Michonneau wkładała koszulę. — Och! jaki on ciężki — powiedział kładąc go na łóżko.

— Cicho. A gdyby tu była kasa? — mówiła żywo stara panna, której oczy badały z chciwością każdy sprzęt w pokoju i zdawały się mury przenikać. — Gdyby to można pod jakimkolwiek pozorem otworzyć to biurko.

— Może by to źle było — zarzucił Poiret.

— Nie, pieniądze skradzione należały do wszystkich, a tym samym nie należą wyłącznie do nikogo — odparła panna Michonneau. — Ale czasu już za mało. Słyszę, że Vauquerowa nadchodzi.

— Oto eter — rzekła pani Vauquer. — Toż dopiero dzisiaj dzień feralny. Boże! Człowiek ten nie może być chory, bo jest biały jak kurczak.

— Jak kurczak? — powtórzył Poiret.

— Serce bije mu równo — mówiła wdowa, przykładając rękę do piersi chorego.

— Równo? — zawołał Poiret ze zdziwieniem.

— On zdrów zupełnie.

— Pani sądzi? — zapytał Poiret.

— Naprawdę! On tak wygląda, jak gdyby spał. Sylwia poszła po doktora. Uważasz pani — sapie, gdy mu eter podaję. Ach to *se-passe* (spazm). Puls jest dobry. Ależ bo on silny jak Turek. Patrz pani tylko, jaki u niego znak na żołądku; o! człowiek ten sto lat żyć będzie! Jednak peruka jego dobrze się trzyma. Cóż to, przyklejona? To on dlatego nosi fałszywe włosy, że jest ryży. Powiadają, że wszyscy ludzie z rudymi włosami muszą być albo dobrzy, albo źli. To on jest chyba dobry?

— Tak dobry, że dawno już powinien by wisieć — rzekł Poiret.

— U szyi pięknej kobiety, chciałeś pan powiedzieć — dorzuciła żywo panna Michonneau. — Idź już pan sobie, panie Poiret. Nasza to rzecz pielęgnować was, gdyście chorzy. Pan powinien byś pójść teraz na przechadzkę — dodała. — Pani Vauquer i ja dopilnujemy dobrze kochanego pana Vautrin.

Poiret wyszedł pokornie i bez szemrania jak pies, którego pan kopnął nogą.

Rastignac potrzebował przejść się, odetchnąć świeżym powietrzem, bo zdawało mu się, że się zadusi. Poprzedniego dnia chciał przeszkodzić spełnieniu morderstwa, którego miano dokonać o naznaczonej godzinie. Co się z nim później stało? Drżał z obawy, czy nie jest wspólnikiem zbrodni. W tej chwili jeszcze przerażało go wspomnienie zimnej krwi Vautrina.

— A jeżeli Vautrin umrze, nie powiedziawszy nic przed śmiercią? — myślał Rastignac i szedł po alei ogrodu Luksemburskiego, jak gdyby sfora psów gnała się za nim, jak gdyby słyszał zajadłe ich szczekanie.

— Słuchaj — zawołał na niego Bianchon — czytałeś »Pilota«?

»Pilot«, była to gazeta radykalna wydawana pod kierownictwem Tissota. Wychodziła ona w kilka godzin po gazetach porannych i zawierała najświeższe wiadomości, które dochodziły na prowincję o dwadzieścia cztery godziny wcześniej niż wiadomości podawane w innych pismach.

— Jest tam sławna historia —- mówił asystent przy szpitalu Cochin. — Młody Taillefer pojedynkował się z niejakim hrabią Franchessinim ze starej gwardii, który wpakował mu w czoło dwa cale żelaza. Wskutek tego Wiktoryna jest jedną z najbogatszych partii w Paryżu. Ha! Gdyby to można było przewidzieć! Śmierć to istna gra w trente-et-quarante. Czy to prawda, że Wiktoryna nieobojętnie na ciebie spogląda?

— Przestań, Bianchon, ja się z nią żenić nie myślę. Kocham prześliczną kobietę, która odpłaca mi wzajemnością, i...

— Mówisz to w taki sposób, jak gdyby dochowanie wierności wiele cię kosztowało. Pokaż mi kobietę, dla której warto byłoby poświęcić fortunę pana Taillefer.

— Czyż wszyscy diabli uwzięli się mnie prześladować? — zawołał Rastignac.

— Czyś ty zwariował? Daj no mi rękę. — rzekł Bianchon, ja ci puls pomacam. Masz gorączkę.

— Idź tylko do matki Vauquer — odparł Eugeniusz. — Ten łotr Vautrin padł przed chwilą jak nieżywy.

— A! — zawołał Bianchon odchodząc. — To potwierdza moje podejrzenia, o słuszności których muszę się teraz przekonać.

Długa przechadzka Eugeniusza miała w sobie coś uroczystego. Student prawa robił rachunek swego sumienia. Badał siebie, zgłębiał, wahał się, aż po skończeniu tego surowego i ścisłego przeglądu, uczciwość jego wyszła wypróbowana, jak sztaba żelazna, która się już pod żadnym ciosem nie zegnie. Przypomniał sobie wczorajsze zwierzenia Goriota; przyszło mu na myśl, że Delfina wybrała dla niego mieszkanie przy ulicy d'Artois; wyjął jej list z kieszeni i, odczytawszy go na nowo, złożył na nim pocałunek.

— Taka miłość jest dla mnie kotwicą zbawienia — powiedział. — Biedny Goriot zniósł tyle cierpień serdecznych! Nie mówi nic o swych zgryzotach, lecz któż by ich nie odgadł! Teraz ja pielęgnować go będę jak własnego ojca, ja mu dam tysiąc pociech. Jeżeli ona mnie kocha, to nieraz przyjdzie do mnie i przepędzi z nim dzień cały. Ta wielka hrabina de Restaud jest niegodziwa; gdyby mogła, to zrobiłaby ojca odźwiernym w swym domu. Droga Delfina! ona jest lepsza dla staruszka i zasługuje na to, żeby być kochaną! Ach! dziś wieczorem będę szczęśliwy!

Wyjął zegarek i zaczął mu się przyglądać.

— Wszystko mi się udało! Kochając się szczerze, można sobie dopomagać: czemuż więc nie miałbym przyjąć tego od niej? Zresztą jam przekonany, że się dorobię fortuny i będę mógł kiedyś oddać stokroć więcej, niż biorę. W związku tym nie ma zbrodni, ani nic takiego, coby mogło oburzyć najsurowszą cnotę. Iluż to ludzi uczciwych wchodzi w związki podobne? Nie okłamujemy nikogo, a tylko kłamstwo poniża. Kłamać to znaczy zrzekać się swej godności. Ona rozłączyła się już dawno z mężem. Zresztą powiem temu Alzatczykowi, żeby mi odstąpił kobietę, której nie umie uszczęśliwić.

Walka Rastignaca trwała długo. Zwycięstwo miało pozostać po stronie cnót młodzieńczych, a jednak o wpół do piątej, kiedy zmrok poczynał zapadać, nieprzezwyciężona ciekawość popchnęła go do domu Vauquer, który poprzysiągł sobie opuścić na zawsze. Chciał się przekonać, czy Vautrin nie żyje. Bianchon wpadł był na myśl, żeby dać choremu na wymioty, po czym substancje wyrzucone kazał odnieść do szpitala, gdzie miano je poddać analizie chemicznej. Panna Michonneau odradzała tak usilnie, żeby tego nie czynić, że podejrzenia Bianchona jeszcze bardziej się wzmocniły. Vautrin wrócił nadzwyczaj prędko do stanu normalnego, co również kazało się domyślać jakiegoś spisku przeciw wesołemu trefnisiowi gospody. W chwili gdy Rastignac powrócił, Vautrin stał już przy piecu w sali jadalnej. Wszyscy stołownicy z wyjątkiem ojca Goriot zebrali się dziś wcześniej niż zwykle, zwabieni wieścią o pojedynku młodego Taillefera. Wszyscy ciekawi byli szczegółów wypadku oraz pragnęli dowiedzieć się, jaki wpływ pojedynek ten wywrze na los Wiktoryny. Przy wejściu oczy Eugeniusza spotkały wzrok Vautrina, który tak głęboko wniknął mu do serca i tak silnie poruszył w nim jakieś struny niedobre, że młodzieniec zadrżał mimowolnie.

— No cóż, drogie dziecię — rzekł zbiegły galernik — zdaje się, że płaskonosa jejmość nie prędko sobie ze mną poradzi. Panie tu powiadają, żem zniósł bez szwanku takie uderzenie krwi, które by mogło byka zabić.

— A! Mógłbyś pan powiedzieć bawoła — zawołała wdowa Vauquer.

— Czybyś pan nierad był, że ja żyję? — szepnął Vautrin pochylając się ku Rastignacowi, którego myśli zdawał się przenikać. — To by zakrawało na diable silnego człowieka.

— Ach, prawda! — zawołał Bianchon, panna Michonneau mówiła onegdaj o jakimś panu przezwanym *Trompe-la-Mort*; dla pana to imię byłoby bardzo stosowne.

Wyraz ten uderzył niby grom w Vautrina. Biedny galernik zbladł i zachwiał się, a magnetyczne jego spojrzenie padło jak promień słońca na pannę Michonneau, której kolana ugięły się pod tym prądem silnej woli. Stara panna osunęła się bezwładnie na krzesło, a Poiret stanął spiesznie pomiędzy nią a Vautrinem, pojmując, że jej niebezpieczeństwo zagraża. Galernik zrzucił maskę dobroduszności, pod którą ukrywał prawdziwą swą naturę, a twarz jego stała się naraz dziko wyrazista. Obecni patrzyli ze zdumieniem na niepojęty dla nich dramat. W tej chwili dało się słyszeć stąpanie kilku ludzi i szczęk karabinów, które żołnierze na bruk opuścili. Collin zaczął machinalnie szukać wyjścia, mierząc spojrzeniem okna i ściany, gdy wtem czterech ludzi ukazało się we drzwiach salonu. Był to szef policji w towarzystwie trzech oficerów bezpieczeństwa.

— W imię prawa i króla — zaczął jeden z oficerów; ale mowę jego zagłuszył szmer podziwu.

Po chwili milczenie zapanowało w sali jadalnej, obecni rozstąpili się przed trzema oficerami, którzy zbliżali się z ręką w bocznej kieszeni, gdzie każdy z nich miał pistolet nabity. Dwaj żandarmi weszli w ślad za agentami i stanęli we drzwiach salonu, a dwaj inni ukazali się jednocześnie we drzwiach prowadzących na schody. Szczęk broni i kroki kilku żołnierzy dały się słyszeć na bruku przed fasadą domu. Wszelka nadzieja ucieczki zgasła dla Collina, na którym zatrzymało się spojrzenie wszystkich obecnych. Szef podszedł wprost ku niemu i wymierzył mu tak silne uderzenie w głowę, że peruka zleciała, ukazując fizjonomię Collina w całej okropności. Rzekłbyś, że wszystkie ognie piekielne oświeciły swym blaskiem tę twarz i głowę pokrytą krótkimi, ceglastoczerwonymi włosami, które nadawały jej przerażający wyraz siły zmieszanej z przebiegłością. Głowa taka odpowiadała biustowi; patrząc na nią każdy pojął dopiero całego Vautrina, jego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, jego zasady niewzruszone, jego wyznanie woli absolutnej, władzę, jaką mu nadawał cynizm myśli i czynów oraz siła organizacji mogącej wszystko znieść. Krew uderzyła mu do twarzy, oczy zaiskrzyły się jak u dzikiego kota. Podskoczył na miejscu z dziką energią i zaryczał tak, że wszyscy stołownicy wydali okrzyk przerażenia. Na ten lwi podskok agenci, poparci ogólnym okrzykiem, wyciągnęli pistolety z kieszeni. Widząc błyszczące kurki u pistoletów, Collin pojął grożące mu niebezpieczeństwo i w jednej chwili dał dowód najwyższej potęgi ludzkiej.

Był to obraz straszliwy i wspaniały! na twarzy jego ukazało się zjawisko przypominające proces, jaki się odbywa w kotle przepełnionym parą, która by góry mogła rozsadzić, a którą rozprasza w oka mgnieniu kropla zimnej wody. Chwila rozwagi, szybka jak błyskawica, była kroplą wody, co ochłodziła wściekłość galernika. Spojrzał na swą perukę

i począł się uśmiechać.

— Nie bardzoś dziś grzeczny — powiedział do szefa policji i wyciągnął ręce, wzywając żandarmów skinieniem głowy. — Panowie żandarmi, proszę mi włożyć kajdany na ręce lub na palce. Biorę wszystkich obecnych za świadków, że się nie opieram.

W sali rozległ się szmer podziwu, wywołany szybkością, z jaką ogień i lawa wybuchły z tego wulkanu człowieczego i na powrót się w nim ukryły.

— To ci się nie podoba, panie gwałtowniku — dodał galernik spoglądając na sławnego dyrektora policji sądowej.

— Prędzej, rozbierać się! — powiedział pogardliwie jegomość z uliczki Sainte-Anne.

— Po co? — odparł Collin — tu są damy. Ja się bynajmniej nie zapieram i oddaję się dobrowolnie.

Zatrzymał się i powiódł okiem po zgromadzeniu, jak mówca, który ma powiedzieć coś zadziwiającego.

— Piszcie, ojcze Lachapelle — powiedział do małego, siwiuteńkiego staruszka, który usiadł na rogu stołu i wyjął z teki protokół. — Przyznaję, że jestem Jakub Collin, zwany Trompe-la-Mort, którego skazano na dwadzieścia lat więzienia. Przed chwilą dowiodłem, żem nie skradł mego przydomka — mówił do mieszkańców gospody — bo dość mi było podnieść rękę, żeby te szpiegi rozleli wszystek mój *sok* na domowy *deptak* mamy Vauquer. Te szelmy umieją przygotowywać zasadzki!

Pani Vauquer omal nie zemdlała słysząc te słowa.

— Mój Boże! — rzekła do Sylwii — wszak to można się rozchorować. Trzebaż mi było jeszcze iść z nim wczoraj do teatru!

— Trochę filozofii, mamuniu — zawołał Collin. — Alboż to takie nieszczęście, żeście byli wczoraj w mojej loży w teatrze? Albożeście to lepsi od nas? Na naszym ramieniu mniej jest hańby, niż w waszym sercu, niedołężne członki zgangrenowanego towarzystwa: najlepszy z was nie mógł mi się oprzeć.

Spojrzał na Rastignaca z wdzięcznym uśmiechem, który dziwnie odbijał przy surowym wyrazie twarzy.

— Nasza umowa nie zerwana, aniołku, ma się rozumieć jeżeli ty zechcesz! Wiesz? I zaśpiewał:

Moja Franusia dziwnie jest miła
W swojej prostocie...

— Nie masz się o co troszczyć — począł znowu — ja umiem odbierać to, co mi się należy. Ludzie zanadto mnie się obawiają, żeby ktokolwiek śmiał mnie *okpiwać*!

W słowach tego człowieka malowały się całe galery, z właściwymi sobie obyczajami i językiem, z gwałtownymi przeskokami od śmieszności do zgrozy, z przerażającą wielkością, z całą rubasznością i całym upodleniem. Nie był to już człowiek zwyczajny, ale typ całego narodu wyrodnego, całego ludu dzikiego a logicznego, nieokrzesanego, a giętkiego. W jednej chwili Collin stał się poematem piekielnym, w którym malowały się wszystkie uczucia ludzkie, z wyjątkiem jednej tylko skruchy. Spojrzenie jego było spojrzeniem upadłego archanioła, który wiecznie wojny pragnie. Rastignac spuścił oczy, przyjmując to zbrodnicze kuzynostwo, jako karę należną za wszystkie złe myśli, którym się oddawał.

— Kto mnie zdradził? — zapytał Collin, wodząc straszliwym swym wzrokiem po całym zgromadzeniu. To ty, stara świętoszko — powiedział wpatrując się w pannę Michonneau — tyś wywołała moją fałszywą apopleksję, ciekawe! Gdybym chciał powiedzieć dwa słowa, to by ci za tydzień głowę ścięto. Lecz przebaczam ci, jam chrześcijanin. Zresztą, to nie ty mnie zaprzedałaś. Ale kto mógł to zrobić? Ach! ach! Szukacie tam na górze — zawołał, słysząc, że agenci policji sądowej otwierają jego szafy i przetrząsają odzienie. — Nie ma ptaków w gnieździe, wczoraj już odleciały i nic się nie dowiecie. Moje księgi handlowe są tutaj — mówił uderzając się w czoło. — Teraz już wiem, kto mnie zaprzedał. Z pewnością nie kto inny, tylko ten podły Fil-de-Soie. Wszak prawda, ojcze łapaczu? — rzekł zwracając się do szefa policji. — Zgadza się to jakoś bardzo z pobytem naszych biletów bankowych tam na górze. Więcej nic nie ma, kochane szpiegi. Fil-de-Soie zniknie z oblicza ziemi w przeciągu dwóch tygodni, choćby go strzegła cała wasza żandarmeria.

Coście wy dali tej Michonnecie? — zapytał policjantów. — Jakieś kilka tysięcy talarów! Jam wart był więcej, ty Ninon zgniła, ty Pompadour w łachmanach, ty Wenero z Pere-Lachaise! Trzeba było mnie przestrzec, to bym ci dał sześć tysięcy franków. A! Nie spodziewałaś się tego, stara nikczemnico; gdybyś mogła przewidzieć, to pewnie wolałabyś mieć ze mną do czynienia. Tak jest, byłbym dał sześć tysięcy, żeby uniknąć podróży, która wypada mi nie pomyśli i naraża mnie na stratę pieniężną — mówił Collin, podczas gdy mu kajdany wkładano. — Ci ludzie będą umyślnie wlec się ze mną całe wieki. Gdyby mnie zaraz posłali na galery, to bym niebawem powrócił do swych zajęć na złość wszystkim gawronom z nadbrzeża des Orfevres. Tam, na galerach, wszyscy wyłazić będą ze skóry, żeby oswobodzić jak najprędzej dobrego swego generała Trompe-la-Mort. Czyż jest między wami choć jeden, co by mógł, tak jak ja, poszczycić się dziesięciotysięcznym zastępem braci, którzy wszystko dla mnie zrobić gotowi? — zapytał z dumą. Jest tu nie mało dobrego — mówił uderzając się w piersi; jam nigdy nikogo nie zdradził! Spójrz na tych ludzi, świętoszko — mówił do starej panny. — Na mnie patrzą oni ze strachem, a na ciebie spoglądają z najwyższym obrzydzeniem. Zbieraj teraz, coś posiała.

Zatrzymał się i powiódł okiem po zgromadzonych.

— Jacyście wy wszyscy głupi! Czyście nie widzieli nigdy galernika? Galernik w rodzaju obecnego tutaj Collina jest człowiekiem mniej nikczemnym od innych, człowiekiem, który protestuje przeciw kłamstwu ustaw społecznych, jak mówi Jan Jakub, którego uczniem mam zaszczyt się nazywać. Wreszcie ja występuję sam przeciw rządowi, który ma za sobą całą kupę trybunałów, żandarmów i budżetów.

— Do licha! — zawołał malarz — Warto by go odmalować w tej chwili.

— Powiedz mi, przewodniku imć pana kata, naczelniku WDOWY (jest to imię pełne straszliwej poezji, które galernicy nadają gilotynie), bądź dobrym dzieckiem, powiedz, czy to Fil-de-Soie mnie zaprzedał! — mówił Collin do szefa policji. — Nie chciałbym, żeby on pokutował za drugiego, to byłoby niesprawiedliwie.

Agenci policyjni, którzy przetrzęśli i opisali wszystko, co się znajdowało w jego mieszkaniu, zeszli w tej chwili na dół i mówili coś z cicha do naczelnika wyprawy. Protokół był skończony.

— Za chwilę już mnie stąd uprowadzą — rzekł Collin do wszystkich mieszkańców domu. — Byliście państwo dla mnie bardzo uprzejmi przez cały ciąg naszej znajomości; nigdy wam tego nie zapomnę. Teraz żegnam was. Pozwólcie, że wam przyślę fig prowansalskich.

Postąpił kilka kroków i zatrzymał się, żeby popatrzeć na Rastignaca.

— Bywaj zdrów, Eugeniuszu — powiedział głosem smutnym i łagodnym, który dziwnie jakoś odbijał od szorstkiego tonu słów poprzednich. — Gdybyś był kiedy w potrzebie, to pamiętaj, żem ci zostawił szczerego przyjaciela.

Pomimo kajdan zrobił ruch, jak gdyby zasłaniał się szpadą, przy czym zakomenderował głosem fechmistrza: raz, dwa! I zadał pchnięcie.

— W razie nieszczęścia możesz się tam udać. Osoba jego i pieniądze, wszystko na twe usługi.

Dziwny ten człowiek wymówił ostatnie słowa tak żartobliwie, że tylko Rastignac i on sam mogli pojąć ich znaczenie. Po chwili żandarmi, żołnierze i agenci policyjni opuścili gospodę. Sylwia nacierała octem skronie swej pani i spoglądała po obecnych, którzy nie mogli wyjść z podziwu.

— No proszę! — powiedziała — A jednak był to dobry człowiek.

Słowa te rozwiały urok wywołany dziwną sceną, która obudziła w sercach obecnych tłum uczuć różnorodnych. Zgromadzeni spojrzeli po sobie i zatrzymali wzrok na pannie Michonneau. Stara panna stała pod piecem, sucha i chłodna jak mumia, z oczyma spuszczonymi, jak gdyby z obawy, że cień daszka nie zdoła ukryć wyrazu malującego się w jej wzroku. Wszyscy pojęli, dlaczego ta twarz wydawała się zawsze tak niemiłą. Jednozgodny szmer rozległ się po sali, świadcząc o wstręcie powszechnym. Panna Michonneau słyszała szemranie, lecz nie ruszyła się z miejsca. Bianchon pochylił się najpierwszy do swego sąsiada.

— Ja się stąd wynoszę, jeżeli ta panna myśli zasiadać z nami do stołu — wyrzekł półgłosem.

W mgnieniu oka wszyscy, z wyjątkiem Poireta, zgodzili się ze zdaniem medyka, który, poparty zgodą ogólną, przystąpił do Poireta.

— Pan jesteś w najlepszych stosunkach z panną Michonneau — powiedział — zechciejże pomówić z nią i dać jej do zrozumienia, że powinna wynieść się stąd natychmiast.

— Natychmiast? — powtórzył Poiret z podziwem. Zbliżył się potem do starej panny i szepnął jej coś do ucha.

— Jam zapłaciła komorne i mieszkam tu za pieniądze, tak jak i wszyscy — odparła panna Michonneau, rzucając na zgromadzonych wzrok jaszczurki.

— To nic nie znaczy, my się złożymy i oddamy pani pieniądze — rzekł Rastignac.

— Pan trzyma stronę Collina — odparła panna Michonneau mierząc go spojrzeniem zjadliwym i badawczym — i nie trudno zgadnąć dlaczego.

Na te słowa Rastignac podskoczył, jak gdyby chciał rzucić się na starą pannę i udusić ją własnymi rękoma. Spojrzenie jej pełne fałszu rozjaśniło straszliwym światłem głąb jego duszy.

— Dajże jej pan pokój! — zawołali obecni.

Eugeniusz skrzyżował ręce i nie rzekł ani słowa.

— Skończmy raz przecie z tym Judaszem rodzaju żeńskiego — rzekł malarz do pani Vauquer. — Jeżeli pani nie wypędzisz Miszonówny, to my opuścimy natychmiast tę szopę i wszędzie rozgłaszać będziemy, że to jest przytułek szpiegów i galerników. W razie przeciwnym nie powiemy nikomu o tym wypadku, bo, co prawda, to samo może się wydarzyć w najlepszym towarzystwie; dopóki nie zaczną piętnować galerników na czole, nie zabronią im przebierać się za mieszczan paryskich i zgrywać głupią rolę trefnisia, do której oni mają jakiś pociąg szczególny.

Na tę mowę pani Vauquer odzyskała cudownie zdrowie, wyprostowała się, skrzyżowała ręce i otworzyła oczy jasne, w których ani śladu łez nie było.

— Ależ, mój drogi panie, chyba pan pragniesz ruiny mego domu? Oto już pan Vautrin... O, mój Boże! — zawołała przerywając sobie — nie mogę powstrzymać się, żeby nie nazywać go tym uczciwym nazwiskiem. Oto — ciągnęła dalej — jedno mieszkanie już próżne, a pan chcesz, żebym miała jeszcze dwa do wynajęcia w takiej porze, kiedy wszyscy siedzą na miejscu.

— Panowie, bierzmy kapelusze i idźmy na obiad do Flicoteaux, na placu Sorbonne — powiedział Bianchon.

Pani Vauquer obrachowała w jednej chwili, po której stronie jest większa korzyść i potoczyła się ku pannie Michonneau.

— No cóż, moja piękna panienko, nie pragniesz przecież zguby mojego zakładu? Widzisz, do jakiej ostateczności ci panowie mnie doprowadzają; zechciejże przepędzić dzisiejszy wieczór w swoim pokoju.

— O nie, nie — zawołali wszyscy stołownicy — żądamy, żeby wynosiła się stąd natychmiast.

— Ależ biedna panna nie jadła jeszcze obiadu — rzekł Poiret z wyrazem litości.

— Niech sobie idzie jeść, gdzie się jej tylko podoba — zawołało kilka głosów.

— Precz ze szpiegiem!

— Precz ze szpiegami!

— Panowie! — zawołał Poiret, uzbrajając się nagle w odwagę, której miłość nawet baranom udziela — chciejcież płeć uszanować.

— Szpiegi do żadnej płci nie należą — powiedział malarz.

— Wyborna płciorama.

— Precz za drzwiorama.

— Moi panowie, to jest nieprzyzwoicie. Gdy się kogo wyprawia, to należy grzeczniej postępować. Myśmy zapłacili i zostajemy — powiedział Poiret i włożył czapkę na głowę, siadając obok panny Michonneau, którą gospodyni domu starała się skłonić do odwrotu.

— Oj, figlarz, figlarz z pana! — powiedział malarz żartobliwie.

— No, jeżeli państwo nie idziecie, to my sobie pójdziemy — zawołał Bianchon.

I wszyscy stołownicy posunęli się zgodnie ku salonowi.

— Moja panno, cóż to znaczy? — zawołała pani Vauquer. — Jam zrujnowana. Nie możesz pani pozostać, bo oni gotowi zrobić tu awanturę.

Panna Michonneau wstała.

— Wyjdzie! — Nie wyjdzie! — Wyjdzie! — Nie wyjdzie! — wołano po kolei. Słowa te wraz z nieprzyjaznym usposobieniem obecnych, które zaczęło się coraz wyraźniej objawiać, zmusiły pannę Michonneau do odwrotu. Przed wyjściem zawierała po cichu jakieś układy z gospodynią.

— Idę do pani Buneaud — powiedziała groźnie.

— Możesz pani iść, gdzie się podoba — odparła pani Vauquer, widząc dla siebie krwawą obelgę w wyborze gospody Buneaud, która z nią wiecznie rywalizowała, a tym samym była jej nienawistna. — Idź panna do Buneaudowej, będą cię tam poić kwaśnym winem i karmić potrawami kupionymi od przekupniów.

Nie mówiąc nic, stołownicy uszykowali się w dwa rzędy. Poiret spoglądał tak czule na pannę Michonneau i tak naiwnie wahał się, czy ma iść za nią, czy pozostać, że stołownicy, uszczęśliwieni z pozbycia się starej panny, nie mogli wstrzymać się od śmiechu.

— Ksi, ksi, ksi, Poiret — zawołał malarz. — Dalej, hopla, hop!

Urzędnik z muzeum zaczął wyśpiewywać w sposób komiczny początek znanej piosenki:

Partant pour la Syrie,
Le jeune et beau Dunois...

— Idźże pan, nie zadawaj sobie przymusu; *trahit sua quemque voluntas* — rzekł Bianchon.

— Każdy idzie za swą niebogą, wolny przekład z Wirgiliusza — dodał korepetytor.

Panna Michonneau spojrzała na Poireta, przy czym zrobiła takie poruszenie, jak gdyby chciała wesprzeć się na jego ramieniu. Nieborak nie mógł się oprzeć temu wezwaniu i stanął przy boku starej panny. Śmiech głośny i oklaski rozległy się po sali. Brawo! Poiret! Stary Poiret! — Apollo-Poiret! — Mars-Poiret! — Dzielny Poiret!

W tej chwili posłaniec wszedł do pokoju i podał list pani Vauquer. Wdowa przebiegła go oczyma i upadła bezwładnie na krzesło.

— Pozostaje chyba spalić mój dom, piorun weń uderzył. Młody Taillefer umarł o trzeciej. To kara za to, żem pragnęła szczęścia tych kobiet z krzywdą biednego młodzieńca. Pani Couture i Wiktoryna żądają, bym oddała ich rzeczy, gdyż od dzisiejszego dnia obie mają mieszkać u starego Taillefera, Ojciec Wiktoryny zgadza się, żeby wdowa Couture została przy niej, jako dama do towarzystwa. Cztery mieszkania nie zajęte, brak pięciu stołowników!

Usiadła strapiona i bliska płaczu.

— Nieszczęście weszło do mego domu! — zawołała.

Turkot zajeżdżającego powozu dał się słyszeć na ulicy.

— Jeszcze coś nowego — rzekła Sylwia.

Goriot ukazał się nagle we drzwiach z twarzą zarumienioną i jaśniejącą wyrazem takiego szczęścia, iż rzekłbyś, że się odrodził na nowo.

— Goriot przyjechał fiakrem! — zawołali stołownicy — ależ to chyba koniec świata.

Stary poszedł prosto do Eugeniusza, który stał w kącie zadumany:

— Chodź pan — powiedział wesoło biorąc go za ramię.

— Pan nie wiesz, co się stało? — zapytał Eugeniusz. — Vautrin był galernikiem i policja ujęła go przed chwilą, a młody Taillefer już nie żyje.

— Mniejsza o to, co to nas obchodzi? — odparł ojciec Goriot. — Będę dziś jadł obiad z moją córką u pana, słyszysz pan? Ona cię czeka; chodź prędzej!

Porwał go silnie za ramię i uprowadził prawie przemocą, jak gdyby to była jego kochanka.

— Jedzmy obiad — zawołał malarz.

Wszyscy przysunęli sobie krzesła i usiedli przy stole.

— Masz tobie! — rzekła gruba Sylwia. — Dziś już same nieszczęścia, przypaliła mi się potrawa z baraniny z rzepą. No! cóż robić, musicie panowie zjeść przypaloną.

Pani Vauquer nie miała odwagi odezwać się, widząc tylko dziesięć osób u stołu, lecz wszyscy obecni usiłowali pocieszyć i rozweselić niebogę. Z początku rozmawiano o Vautrinie i o wypadkach dnia ubiegłego, lecz rozmowa ślizgająca się biegiem wężowym nie

zatrzymała się długo na tym przedmiocie. Zaczęto mówić o pojedynkach, o galerach, o sprawiedliwości, o prawach potrzebujących reformy, o więzieniach i wkrótce rozmawiający zostawili o sto mil za sobą Jakoba Collin i Wiktorynę z bratem. Dziesięciu stołowników krzyczało za dwudziestu i rzekłbyś, że dnia tego grono ich było liczniejsze niż zwykle, to była jedyna różnica między tym obiadem, a obiadem dnia poprzedniego. Wzruszenie prędko ustąpiło przed zwykłą obojętnością tych ludzi samolubnych, którzy spodziewali się znaleźć nazajutrz nową pastwę dla siebie w codziennych wypadkach Paryża; nawet pani Vauquer uspokoiła się nadzieją, która przemawiała do niej przez usta grubej Sylwii.

Cały ten dzień miał być dziwną jakąś fantasmagorią dla Eugeniusza. Pomimo wielkiej trzeźwości umysłu i siły charakteru, student nie mógł zebrać myśli, gdy znalazł się w powozie, obok Goriota. Po całodziennych wzruszeniach, mowa starego, zdradzająca radość niezwykłą, dźwięczała mu w uszach, jak wyrazy przez sen słyszane.

— Skończyliśmy dziś wszystko. Mamy jeść obiad razem, razem, czy ty to pojmujesz? Cztery lata minęło, jakem nie jadł obiadu z Delfiną, z kochaną mą Delfinką. Będę ją miał przez cały wieczór przy sobie. Byliśmy w twym mieszkaniu od samego rana. Ja pracowałem w pocie czoła jak wyrobnik. Pomagałem przenosić sprzęty. Ach! Nie wiesz, jaka ona uprzejma u stołu, jak ona będzie się mną zajmowała. „Tatku, zjedz kawałek, to takie dobre." A ja wówczas jeść nie mogę. O! Dawno już nie byliśmy z nią tacy spokojni, jak dziś będziemy!

— Ależ dziś chyba cały świat się przewrócił? — rzekł Eugeniusz.

— Czy się przewrócił? Ależ nigdy jeszcze nie było tak dobrze na świecie. Na ulicach spotykam dziś same wesołe twarze; widzę, jak przechodnie podają sobie dłonie i ściskają się serdecznie, a wszyscy wyglądają tak uszczęśliwieni, jak gdyby każdy z nich szedł do swej córki *uraczyć się* takim obiadem, jaki Delfina obstalowała przy mnie w kawiarni angielskiej. Ale, ba! przy niej piołun wydałby się miodem najsłodszym.

— Zdaje mi się, że powracam do życia — rzekł Eugeniusz.

— Poganiajże, woźnico — zawołał ojciec Goriot, otwierając przednie okno od powozu. Jedź prędzej, dam ci sto su na piwo, jeżeli za dziesięć minut staniemy na miejscu.

Usłyszawszy tę obietnicę, woźnica popędził przez ulice Paryża z szybkością błyskawicy.

— Ten woźnica jedzie żółwim krokiem — mówił ojciec Goriot.

— Dokąd mnie pan wieziesz? — zapytał Rastignac.

— Do twego mieszkania — rzekł ojciec Goriot.

Powóz zatrzymał się na ulicy d'Artois. Stary wyskoczył najpierwszy i rzucił woźnicy dziesięć franków z rozrzutnością wdowca, który o nic nie dba w paroksyzmie dobrego humoru.

— Dalejże, chodźmy — mówił prowadząc Rastignaca przez dziedziniec. Zatrzymali się na trzecim piętrze, u drzwi mieszkania położonego w tylnej części nowego i bardzo ładnego domu.

Ojciec Goriot nie potrzebował dzwonić. Teresa, pokojówka pani de Nucingen, otworzyła im drzwi. Eugeniusz znalazł się w prześlicznym kawalerskim mieszkaniu, które składało się z przedpokoju, niewielkiego saloniku, sypialni i gabinetu z oknem wychodzącym na ogród. Wszystkie sprzęty i ozdoby w saloniku odznaczały się wdziękiem niezrównanym. Delfina siedziała na kanapce przy kominie, na którym palił się ogień; spostrzegłszy Eugeniusza, odrzuciła ekran i wstała na jego spotkanie.

— Trzeba było posyłać po pana — rzekła głosem wzruszonym — bo sam nie chcesz nic zrozumieć.

Teresa wyszła. Student pochwycił Delfinę w objęcia, uścisnął ją żywo i zapłakał z radości. To, co teraz widział, odbijało tak silnie od tłumu wrażeń, które przez cały dzień szarpały mu serce i głowę, że nie mógł zapanować w tej chwili nad rozdrażnieniem nerwowym.

— Już ja wiedziałem, że on cię kocha — szepnął ojciec Goriot, zbliżając się do córki, gdy tymczasem Eugeniusz osunął się bezwładnie na kanapę, niezdolny przemówić, ani pojąć, w jaki sposób odbyło się to ostatnie skinienie łaski czarnoksięskiej.

— Chodźże pan zobaczyć — mówiła Delfina, biorąc go za rękę i wprowadzając do pokoju, w którym dywany, sprzęty i najdrobniejsze szczegóły naśladowały, tylko w mniejszych rozmiarach, wszystko to, co się znajdowało w pokoju Delfiny.

— Brak tutaj łóżka — rzekł Rastignac.

— Tak jest — powiedziała rumieniąc się i ściskając go za rękę.

Eugeniusz spojrzał na nią i pojął, choć tak młody, ile to wstydliwości niekłamanej ukrywa się w sercu kochającej kobiety.

— Należysz do tych istot, które zawsze ubóstwiać potrzeba — szepnęła mu do ucha. — Tak jest, my się tak dobrze rozumiemy, że ośmielam się powiedzieć, co myślę: im bardziej miłość jest gorąca i szczera, tym więcej powinna być ukrywana i osłonięta. Niech żaden człowiek żywy nie wie o naszej tajemnicy.

— O, ja przecie nie będę tym człowiekiem — rzekł ojciec Goriot z wymówką.

— Wiesz przecie, ojcze, że ty znaczysz tyle, co my...

— Ach! Tego tylko pragnąłem. Nie będziecie zwracali na mnie uwagi, nieprawdaż? Ja będę przychodził i wychodził, niby jaki duch dobroczynny, którego nie widzimy, choć jest tuż przy nas. No cóż? Delfineczko, Nineczko, Dedelko! czy nie miałem słuszności, gdym ci mówił: „Jest piękne mieszkanie przy ulicy d'Artois, urządźmy je dla niego." Tyś nie chciała. Ach! jam ci dał radość tak, jak dałem życie. Ojciec musi zawsze dawać, żeby być szczęśliwym. Dawać zawsze, to znaczy być ojcem.

— Jak to? — zapytał Eugeniusz.

— A tak, ona nie chciała, bała się plotek, jak gdyby dla świata warto było szczęścia się wyrzekać! Zresztą wszystkie kobiety marzą tylko o tYm, żeby postępować tak, jak ona postępuje...

Nikt nie słuchał ojca Goriot; pani de Nucingen wprowadziła Eugeniusza do gabinetu, w którym rozległ się szmer leciuchnego pocałunku. Pokój ten harmonizował z wykwintnością całego mieszkania, w którym nie zbywało na niczym.

— Cóż, czy trafiono panu do gustu? — zapytała Delfina, wracając do salonu, gdzie już stół był nakryty.

— O, najzupełniej — odpowiedział. — Niestety! Oceniam ten przepych, to spełnienie snów najpiękniejszych, całą tę poezję życia młodego i wykwintnego, oceniam ją tak dobrze, że przez to samo już na nią zasługuję; lecz od pani tego przyjąć nie mogę, a sam jestem jeszcze zbyt biedny, żeby...

— Ach, ach! Już mi się pan opierasz — wyrzekła z komiczną powagą, robiąc przy tym piękną minkę, którą kobiety przybierają, gdy potrzeba jakiś skrupuł w żart obrócić, aby później rozproszyć go z większą łatwością.

Eugeniusz zadał dziś sobie tyle pytań uroczystych, a przygoda Vautrina, odkrywająca całą głąb przepaści, w którą się omal nie stoczył, wzmocniła w nim tak bardzo dobre i szlachetne uczucia, że słowa Delfiny nie zdołały ich obalić. Ogarnął go tylko smutek głęboki.

— Jak to! — zawołała pani de Nucingen — miałżebyś pan odmówić? A wiesz, co taka odmowa znaczy? Wątpisz pan o przyszłości i dlatego nie śmiesz zbliżyć się do mnie. A więc obawiasz się, że zdradzisz moje uczucie? Jeżeli pan mnie kochasz, jeżeli ja... kocham ciebie, to dlaczegóż obawiasz się tak małego zobowiązania. Gdybyś wiedział, z jaką przyjemnością urządzałam ci to kawalerskie mieszkanko, to przepraszałbyś mnie za swoje wahanie. Miałam w ręku pieniądze należące do ciebie i zrobiłam z nich dobry użytek, oto i wszystko. Zdaje ci się, żeś wielki, a w rzeczy samej jesteś mały. Żądasz nieskończenie więcej... (A! — wyrzekła, pochwyciwszy wyraz namiętności we wzroku Eugeniusza), a drożysz się o lada głupstwo. Jeżeli mnie nie kochasz, o! w takim razie nie powinieneś przyjmować. Jedno słowo los mój rozstrzyga. Mów pan! Mój ojcze, choć ty postaraj się go przekonać — dodała po chwili, zwracając się do ojca. Czy on sądzi, że ja jestem mniej drażliwa od niego, gdy chodzi o nasz honor?

Ojciec Goriot słuchał tej wdzięcznej sprzeczki z posągowym uśmiechem.

— Dziecko! — poczęła znowu chwytając dłoń Eugeniusza — spotykasz na progu życia zaporę, której wielu ludzi przebyć nie może, i cofasz się, gdy ręka kobiety chce ci ją otworzyć! Ale ty będziesz szczęśliwy w życiu, masz świetną przyszłość przed sobą, powodzenie wyryte jest na twym pięknym czole. Czyż wówczas nie będziesz mógł oddać mi tego, co ci dziś pożyczam? Wszak za dawnych czasów dama dawała swemu rycerzowi zbroję, miecz, hełm, kolczugę i konia, żeby rycerz mógł iść na turnieje walczyć w jej imieniu. Otóż, Eugeniuszu, to co ja ci daję, jest bronią naszej epoki, narzędziem, bez którego nie obejdzie się człowiek pragnący stać się czymkolwiek na świecie. Wyobrażam

sobie, że stodoła, w której mieszkasz obecnie, musi być piękna, bo pewnie przypomina pokój mego ojca. No cóż, nie będziemy dziś jedli obiadu? Czy pragniesz mnie zasmucić? Odpowiedz przecie — mówiła wstrząsając go za rękę. — Mój Boże! Przekonaj go, tatku, albo pójdę stąd i nigdy już nie będę się z nim widziała.

— Ja cię przekonam — rzekł ojciec Goriot, budząc się z zachwycenia. Powiedz mi, kochany panie Eugeniuszu, wszak będziesz pożyczał pieniądze u żydów?

— Zmuszony jestem — powiedział student.

— Dobrze, trzymam za słowo — począł stary, wyjmując z kieszeni pugilares wytarty i zniszczony. Ja stałem się żydem i zapłaciłem wszystkim dostawcom. Nie winieneś ani grosza za wszystko, co się tutaj znajduje. Nie tak wielka to suma, najwyżej pięć tysięcy franków. Otóż, pożyczam ci te pieniądze. Nie odmówisz mi, jam przecie nie kobieta. Napiszesz rewers na jakim świstku, a z czasem uiścisz mi się z długu.

Łzy zakręciły się w oczach Eugeniusza i Delfiny; oboje spojrzeli po sobie ze zdumieniem, po czym student pochwycił dłoń starego i ścisnął ją gorąco.

— No cóż! Czy nie jesteście mymi dziećmi? — rzekł ojciec Goriot.

— Biedny mój ojcze, jak żeś ty to zrobił? — zapytała pani de Nucingen.

— Gdym cię nakłonił, byś go tu sprowadziła, gdym zobaczył, że kupujesz rzeczy piękne jak dla panny młodej, wtedy pomyślałem sobie: „Nabawi się ona kłopotu!" Adwokat powiada, że proces, którym mamy zmusić twego męża, by ci oddał twe mienie, będzie trwał przeszło pół roku. Otóż ja sprzedałem tymczasem tysiąc trzysta pięćdziesiąt liwrów dożywotniego dochodu; wziąwszy piętnaście tysięcy franków, zapewniłem sobie na dobrej hipotece tysiąc dwieście franków dochodu, a pozostałymi pieniędzmi zaspokoiłem waszych dostawców, drogie dzieci. Za pięćdziesiąt talarów będę miał pokój tu na górze, w którym mogę żyć jak książę nie wydając nawet czterdziestu su na dzień. Odzienia prawie wcale nie potrzebuję, bo nie niszczę tego, co mam. Już od dwóch tygodni śmieję się potajemnie i myślę sobie: „Toż dopiero będą szczęśliwi!" No cóż, alboż nie jesteście szczęśliwi?

— O! tatku, tatku! — zawołała pani de Nucingen rzucając się ku ojcu, który wziął ją na kolana. Przytuliła do niego swą głowę złotowłosą, okrywając pocałunkiem i łzami twarz starca pomarszczoną, na której malował się w tej chwili wyraz błogiego zadowolenia.

— Ojcze drogi, ty jesteś prawdziwym ojcem! Nie, drugiego takiego ojca nie ma pod słońcem. Eugeniusz kochał cię już przedtem, a cóż to teraz będzie?

— Dzieci moje — mówił ojciec Goriot, który po dziesięciu latach pierwszy raz przyciskał swą córkę do piersi — Delfinko, chcesz chyba, żebym ja umarł z radości! Biedne moje serce rozerwać się gotowe. Patrz, panie Eugeniuszu, jam za wszystko wynagrodzony, już mi się nic od ciebie nie należy!

I starzec uścisnął córkę tak dziko i szalenie, że Delfina zawołała: „Ach, mnie boli!"

— Jam ci ból sprawił! — wyrzekł Goriot blednąc z przerażenia i spojrzał na nią z wyrazem nadludzkiej boleści. Chcąc dobrze odmalować oblicze tego ideału ojcostwa, trzeba by szukać wzoru w postaciach, które mistrze pędzla stworzyli dla oddania męki Zbawiciela, cierpiącego za świat cały. Ojciec Goriot ucałował Delfinę z największą ostrożnością.

— Nie, nie, jam ci bólu nie sprawił — począł znów zapytując ją uśmiechem — tyś mi raczej sprawiła ból swoim wykrzyknikiem. To drożej kosztuje — szepnął pochylając się do ucha Delfiny i całując je ostrożnie — ale musiałem go podejść, żeby się nie gniewał.

Eugeniusz zdumiał się na widok tego przywiązania bez granic i patrzył na Goriota z tym naiwnym zachwytem, który w wieku młodzieńczym nazywamy wiarą.

— Ja potrafię być godnym tego wszystkiego! — zawołał.

— O mój Eugeniuszu, jakże to piękne, coś ty teraz powiedział — i pani de Nucingen złożyła pocałunek na czole studenta.

— On wyrzekł się dla ciebie panny Taillefer i jej milionów — rzekł ojciec Goriot. — Tak jest, panie Eugeniuszu, ta mała kochała cię dawno, a teraz, po śmierci brata, stała się bogata jak Krezus.

— O! Po cóż o tym mówić? — zawołał Rastignac.

— Eugeniuszu — szepnęła mu Delfina do ucha — to, co słyszę, zasępia mi dzisiejszy wieczór. A! Ja będę cię kochała szczerze i na zawsze!

— Tak pięknego dnia nie miałem jeszcze od czasu, jakeście za mąż powychodziły — zawołał ojciec Goriot, — Niech Bóg zsyła na mnie wszystkie cierpienia, byle tylko nie

kazał mi cierpieć przez was, a ja sobie powiem: w lutym tego roku doznałem w jednej chwili tyle szczęścia, ile ludzie przez całe życie doznać nie mogą. Spójrz na mnie, Delfinko! — powiedział do córki. — Jaka ona piękna, nieprawdaż? Proszę mi powiedzieć, czy wiele jest kobiet na świecie, co by miały takie prześliczne kolory i takie dołeczki w policzkach? Nie, prawda? I ta pieszczotka jest moim dzieckiem! Teraz, gdy będzie szczęśliwa przy tobie, stanie się jeszcze tysiąc razy piękniejsza. Ja mogę iść do piekła, kochany sąsiedzie — mówił do Eugeniusza — ustąpię ci moje miejsce w raju, jeżeli ci go potrzeba. Jedzmy, jedzmy — ciągnął dalej, nie wiedząc sam co mówi, wszystko to do nas należy.

— Biedny ojciec!

— Gdybyś ty wiedziała drogie dziecię — mówił idąc do niej i całując ją w głowę owiniętą jasnymi warkoczami — gdybyś wiedziała, jak łatwo możesz uczynić mnie szczęśliwym! Przyjdź czasem do mnie, ja będę tam na górze, o kilka kroków. Przyrzecz mi, powiedz!

— Dobrze, ojcze kochany.

— Powiedz jeszcze.

— Dobrze, drogi mój ojcze.

— Przestań już, kazałbym ci sto razy powtarzać, gdybyś mnie słuchała. Jedzmy obiad.

Cały wieczór zszedł na takich dzieciństwach, a ojciec Goriot nie ustępował placu dwojgu młodym. Padał przed córką, żeby ucałować jej nogi, wpatrywał się w jej oczy, przyciskał głowę do jej sukni, jednym słowem popełniał szaleństwa, na jakie mógłby się zdobyć chyba bardzo młody i czuły kochanek.

— Widzisz pan? — rzekła Delfina do Eugeniusza — gdy ojciec jest z nami, to trzeba wyłącznie jemu się poświęcać. To będzie nas bardzo krępować.

Eugeniusz doznał już kilka razy uczucia zazdrości, nie mógł więc zganić słów Delfiny, w których był zarodek najgłębszej niewdzięczności.

— Kiedyż mieszkanie będzie gotowe? — zapytał Eugeniusz, rozglądając się po pokoju. — Jak widzę, dziś trzeba będzie się rozstać.

— Tak, ale jutro będziesz pan u mnie na obiedzie — rzekła Delfina z minką figlarną. — Jutro mamy operę włoską.

— To i ja pójdę na parter — powiedział ojciec Goriot.

Była północ. Powóz pani de Nucingen czekał u bramy. Ojciec Goriot i student skierowali się ku domowi Vauquer, rozmawiając o Delfinie ze wzrastającym uniesieniem, które wywołało ciekawą walkę między tymi dwiema gwałtownymi namiętnościami. Eugeniusz nie mógł ukryć przed sobą, że miłość ojca, której nie splamił żaden wzgląd osobisty, zaćmiewała jego uczucie swoją wytrwałością i potęgą. W oczach ojca przedmiot miłości był zawsze piękny i nieskalany, a miłość sama potęgowała się przeszłością i przyszłością całą.

Gdy przyszli do domu, stara gospodyni siedziała pod piecem w towarzystwie Sylwii i Krzysztofa. Wyglądała nieboga jak Mariusz na ruinach Kartaginy, a gruba Sylwia podzielała jej żałość, oczekując powrotu dwóch wiernych mieszkańców, którzy pozostali im z całego grona. Niczym są rzewne skargi, które lord Byron włożył w usta Tassa, wobec głębokiej prawdy, jaką tchnęły w tej chwili żale pani Vauquer.

— Sylwio, wszak jutro tylko trzy filiżanki kawy nalać trzeba będzie. Ach, serce mi pęknie, dom mój opustoszał! Czymże będzie życie moje, gdy w domu mieszkańców zabraknie? Niczym. Dom mój wyprzątnięty teraz z ludzi. Życie całe jest w meblach. Cóżem zawiniła niebu, że zesłało na mnie nieszczęść tyle? Zapas fasoli i kartofli zrobiony na osób dwadzieścia. Policja była w mym domu! Chyba samymi kartoflami żyć będziemy! Wypadnie chyba odprawić Krzysztofa.

Sabaudczyk spał sobie spokojnie, lecz przy ostatnich wyrazach obudził się nagle i zapytał:

— Co, proszę pani?

— Biedny chłopak! Wierny był jak pies — rzekła Sylwia.

— Teraz czas niewłaściwy, nikt mieszkań nie zmienia. Skądże mi spadną lokatorowie? Ja głowę stracę. A jeszcze ta sybilla Michonneau porywa mi Poireta! Jak to ona zrobiła, że ten człowiek jak piesek za nią chodzi?

— A! Do licha! —- rzekła Sylwia wstrząsając głową — już to stare panny znają się na takich sztukach.

— Albo ten biedny Vautrin, którego zrobili galernikiem — poczęła znów wdowa — wiesz Sylwio, to przechodzi moje siły, ja nie mogę jeszcze uwierzyć. To był człowiek taki wesoły, przy tym płacił mi piętnaście franków na miesiąc za kawę z wódką, a zawsze oddawał wszystko co do grosza!

— A jaki był hojny! — dodał Krzysztof.

— To musi być jakaś omyłka — rzekła Sylwia.

— Ale nie, przecie on się przyznał — mówiła pani Vauquer. — Kto by dał wiarę, że wszystko to stało się w moim domu, w tej dzielnicy, gdzie nawet kot rzadko się zabłąka! Słowo uczciwej kobiety, ja śnię chyba. Bo to widzisz, za mej pamięci zdarzył się wypadek z Ludwikiem XVI, później byłam świadkiem upadku cesarza, widziałam, jak powrócił i upadł powtórnie, a wszystko to było w porządku rzeczy możliwych. Ale gospodom mieszczańskim to już zdaje się nic grozić nie powinno: bez króla żyć można, a bez jedzenia nikt się nie obejdzie; a gdy do tego uczciwa kobieta z domu Conflans daje na obiad najlepsze potrawy, to chyba musi być koniec świata, skoro... Bo też tak i jest, przyszedł już koniec świata.

— I to trzeba wiedzieć, że panna Michonneau, która nawarzyła pani tej kaszy, będzie miała, jak mówią, tysiąc talarów rocznego dochodu — zawołała Sylwia.

— Nie mów mi o niej, to zbrodniarka! — rzekła pani Vauquer. — W dodatku przenosi się jeszcze do Buneaudowej! Ale ona do wszystkiego jest zdolna, ona musiała okropieństwa popełniać, musiała zabijać i okradać w swoim czasie. Ją to trzeba było posłać na galery zamiast tego biednego, kochanego człowieka...

W tej chwili Goriot z Eugeniuszem zadzwonili.

— Ach, to moi dwaj wierni — rzekła wdowa z westchnieniem.

Dwaj wierni zapomnieli już prawie zupełnie o nieszczęściach, które spadły dnia tego na gospodę i oświadczyli gospodyni bez ogródek, że mają zamiar przeprowadzić się na Chaussée-d'Antin.

— Ach! Sylwio! — krzyknęła wdowa — już teraz po wszystkim. Panowie zadaliście mi cios śmiertelny! Coś mnie tu ścisnęło w żołądku. Dzień dzisiejszy zwalił mi dziesięć lat na głowę. Słowo daję, ja rozum stracę! Co teraz robić z fasolą? A, dobrze! ponieważ ja sama zostaję w całym domu, to ty możesz sobie odejść od jutra, Krzysztofie. Żegnam was, panowie, dobrej nocy.

— Co jej jest? — rzekł Eugeniusz do Sylwii.

— A cóż! wszyscy ją opuścili wskutek interesów. To jej zmysły pomieszało. Cicho! słyszę, że płacze. Niech się *wybeczy*, to jej ulgę sprawi. Przez cały czas mojej służby ani razu jeszcze nie wypróżniała sobie oczu.

Nazajutrz pani Vauquer *upamiętała się* w swojej żałości, że użyjemy jej własnego wyrażenia. Była wprawdzie strapiona, jak przystało na gospodynię, którą los wytrącił ze zwykłej kolei życia, zabierając jej od razu wszystkich lokatorów; lecz odzyskała już zupełny spokój umysłu i przedstawiała obraz boleści szczerej i głębokiej, boleści sprawionej poniesioną stratą i odmianą przyzwyczajeń. To pewne, że spojrzenie, którym kochanek żegna miejsce pobytu swej kochanki, nie może być smutniejsze niż spojrzenie, którym pani Vauquer ogarnęła stół swój opuszczony. Eugeniusz pocieszał wdowę, że na swoje miejsce zostawi jej pewnie Bianchona, którego kontrakt kończy się za dni kilka, a na miejscu pani Couture zamieszka prawdopodobnie urzędnik z Muzeum, który nieraz oświadczał, że rad by mieć lokal podobny; jednym słowem przekonywał gospodynię, że nie trudno jej będzie zebrać nowy personel.

— Oby cię Bóg wysłuchał, łaskawy panie! Ale nieszczęście zagościło w mym domu. Zobaczysz pan, że najwyżej za dziesięć dni śmierć tu przyjdzie — mówiła rzucając złowrogie spojrzenie po sali jadalnej. — Kogo też ona zabierze?

— Dobrze, że my się stąd wynosimy — szepnął Eugeniusz do ojca Goriot.

— Proszę pani — zawołała Sylwia, wbiegając z miną przerażoną — od trzech dni już nie widzę naszego Mistigrisa.

— Ach! Jeżeli mój kot zdechł, jeżeli nas opuścił, to ja...

Biedna wdowa nie dokończyła, złożyła ręce i pochyliła się na poręcz fotela pod ciosem tej straszliwej przepowiedni.

Około południa, to jest w porze, kiedy posłańcy pocztowi przybywają do dzielnicy du Panthéon, wręczono Eugeniuszowi list w eleganckiej kopercie, na której była pieczęć

z herbem Beauséantów. Był to bilet wicehrabiny zapraszający pana i panią de Nucingen na wielki bal, o którym mówiono już od miesiąca w Paryżu.

Przy bilecie była kartka do Eugeniusza.

„Zdaje mi się, panie Eugeniuszu, że zostaniesz chętnie tłumaczem mych uczuć dla pani de Nucingen. Posyłam panu zaproszenie, o któreś mnie prosił i będę bardzo rada poznać siostrę pani de Restaud. Proszę więc, żebyś mi pan przyprowadził tę piękną panią, lecz zastrzegam, żebyś jej nie oddał całego swego uczucia, którego wielka część mnie się należy w zamian za przyjaźń, jaką żywię dla pana.

Wicehrabina de Beauséant."

— Ależ — myślał Eugeniusz, odczytując powtórnie słowa wicehrabiny — pani de Beauséant mówi mi dość wyraźnie, że nie życzy oglądać barona de Nucingen.

Pośpieszył do Delfiny, szczęśliwy, że będzie mógł sprawić jej radość, za którą pewnie otrzyma nagrodę. Pani de Nucingen była w kąpieli. Rastignac czekał w buduarze z niecierpliwością właściwą młodemu człowiekowi, który pragnie jak najprędzej posiąść kochankę, o której marzył przez dwa lata. Są to wzruszenia, co się nie powtarzają dwa razy w życiu młodzieży. Pierwsza ukochana kobieta, która prawdziwie jest kobietą, to jest przedstawia się mężczyźnie w świetnym otoczeniu, jakiego żąda towarzystwo paryskie, może być pewna, że nigdy rywalki mieć nie będzie. Miłość paryska niepodobna jest do żadnej innej miłości. Ani mężczyźni ani kobiety nie dadzą się tu złapać na bogate wystawy oklepanych frazesów, którymi każdy przystraja dla przyzwoitości swoje niby bezinteresowne uczucia. W kraju tym nie dosyć, żeby kobieta zadowoliła serce i zmysły; ma ona jeszcze ważniejsze obowiązki do spełnienia względem tysiącznych odcieni próżności, z których się życie składa. Miłość jest tu dziwnie samochwalcza i bezwstydna, dziwnie rozrzutna, kłamliwa i próżna.

Czegóż chcieć można od reszty ludzkości, skoro wszystkie damy dworu Ludwika XIV zazdrościły pannie de La Valliere namiętności, która sprawiła, iż wielki król zapomniał, że mankiety jego kosztowały dwa tysiące talarów i podarł je, żeby ułatwić księciu de Vermandois wejście na scenę świata? Miejcie młodość, bogactwo, tytuły, miejcie wszystko, co za wami przemawia; im więcej ziarn kadzidła spalicie przed swym bożyszczem, tym bożyszcze łaskawszym dla was będzie. Miłość jest religią, tylko wyznanie jej drożej kosztuje niż wyznanie wszelkiej innej wiary; przechodzi ona szybko, a przechodzi jak ulicznik, który lubi wszystko niszczyć po drodze. Zbytek uczucia jest poezją poddaszy; bez tego w cóż by się tam miłość obróciła? Są wprawdzie wyjątki od tych okrutnych praw kodeksu paryskiego, lecz trzeba ich szukać w samotności, w głębi dusz, co nie zasmakowały jeszcze w doktrynach społecznych i żyją w pobliżu jakiegoś źródła o wodzie jasnej, bieżącej i niewyczerpanej; co zadowalają się zielonym cieniem swej ustroni, przysłuchują się głosowi nieskończoności, który do nich zewsząd przemawia i czekają cierpliwie, aż będą mogły skrzydła rozwinąć, ubolewając na tymi, co do ziemi przyrośli. Lecz Rastignac, podobnie jak wielu młodych ludzi, którzy wcześnie zakosztowali przepychu, chciał wstąpić zbrojnie w szranki świata; zaraził się jego gorączką, czuł w sobie może dość siły, żeby nad nim panować, lecz nie znał ani dróg, ani celu swej ambicji.

W braku miłości czystej i świętej, która życie wypełnia, takie pragnienie potęgi może stać się piękną rzeczą; dość jest odrzucić interes osobisty, a wziąć za cel dobro kraju. Lecz student nie stanął jeszcze na wysokości, z której można śledzić bieg życia i sądzić je. Dotąd nie wyłamał się nawet spod czaru świeżych i miłych pojęć, które, niby liście zielone, otulają młodość dzieci wychowanych na prowincji.

Wahał się jeszcze ciągle, czy ma przejść Rubikon paryski. Pomimo palącej ciekawości, zachował jakieś wspomnienie o życiu szczęśliwym, które wiedzie prawdziwy, szlachcic w swej siedzibie. Wszakże ostatnie jego skrupuły pierzchły w przeddzień dnia tego, gdy wszedł do nowego swego mieszkania. Zaczynając korzystać z materialnych wygód fortuny, tak jak dawno już korzystał z moralnych wygód, jakie daje dobre urodzenie, Rastignac

pozbył się swej powłoki prowincjonalnej i wszedł nieznacznie na stanowisko, z którego piękna przyszłość odkrywała się przed nim. Toteż, oczekując przyjścia Delfiny w pięknym buduarze, w którym czuł się prawie tak swobodnym jak u siebie, był już tak niepodobny do owego Rastignaca, który przybył w przeszłym roku do Paryża, że, przyglądając mu się wzrokiem duszy, pytał sam siebie, czy jest jeszcze między nimi jakiekolwiek podobieństwo.

— Pani baronowa jest w swym pokoju — powiedziała Teresa, budząc go z zadumy.

Delfina spoczywała na kanapie w pobliżu kominka. Widząc tę postać świeżą, tonącą w falach białego muślinu, trzeba było mimo woli przyrównać ją do owych pięknych roślin indyjskich, których owoc ukrywa się w kielichu kwiatu.

— A! Jesteś pan przecie — powiedziała ze wzruszeniem.

— Zgadnij pani, co ci przynoszę — powiedział Eugeniusz, siadając przy niej i podnosząc jej rękę do ust.

Pani de Nucingen zdradzała żywą radość czytając zaproszenie wicehrabiny. Zwróciła na Eugeniusza oczy zwilżone łzami i, zarzuciwszy mu ręce na szyję, przyciągnęła go do siebie, upojona próżnym zadowoleniem.

— Więc to pan, (ty — szepnęła mu do ucha — ale Teresa jest w moim gabinecie, bądźmy ostrożni!) — pan dajesz mi takie szczęście? Tak jest, śmiem nazwać to szczęściem. Czyliż zaproszenie to, które panu zawdzięczam, nie jest czymś więcej, niż prostym zadowoleniem miłości własnej? Nikt nie chciał wprowadzić mnie do tego koła wybranego. Może być, że w tej chwili wydaję się panu małą, próżną i lekkomyślną, jak paryżanka prawdziwa, lecz pomyśl, przyjacielu, żem ja dla ciebie wszystko poświęcić gotowa i że teraz pragnę najgoręcej, żeby mnie przyjęto na przedmieściu Saint-Germain, dlatego, że ty tam bywasz.

— Czy pani nie znajduje — rzekł Eugeniusz — że pani de Beauseant daje nam do zrozumienia, iż nie spodziewa się widzieć barona de Nucingen na swym balu.

— Ależ tak — powiedziała baronowa, oddając list Eugeniuszowi. — Te kobiety umieją być genialnie niegrzeczne. Mniejsza o to, ja będę jednak na balu. Siostra moja wybiera się również wiem, że przygotowuje strój przepyszny. Eugeniuszu — ciągnęła dalej zniżonym głosem — Anastazja będzie na balu, żeby rozproszyć straszne podejrzenia. Nie wiesz, jakie pogłoski o niej krążą! Nucingen mówił mi z rana, że wczoraj rozmawiano o tym w klubie bez żadnej ceremonii. Mój Boże! Na czym to spoczywa cześć kobiet i rodzin! Ja sama czuję się podrażniona, dotknięta w osobie biednej mej siostry. Powiadają niektórzy, że pan de Trailles podpisał weksli na sto tysięcy franków, że termin upłynął i kredytorzy mieli go prześladować. Otóż, w takiej ostateczności, siostra moja miała sprzedać jakiemuś Żydowi swoje brylanty, te piękne brylanty, które musiałeś u niej widzieć, a które dostały się jej po matce hrabiego de Restaud. Od paru dni wszyscy o tym mówią, nic więc dziwnego, że Anastazja kazała sobie robić suknię ze złotogłowu, żeby zwrócić na siebie powszechną uwagę, ukazując się na balu u wicehrabiny w całym bogactwie swych brylantów. Ale i ja nie chcę być gorsza od niej. Ona starała się zawsze upokorzyć mnie i nigdy dla mnie dobra nie była, a jam tysiące usług jej wyświadczała, jam zawsze miała dla niej pieniądze, gdy ona była w potrzebie. Lecz dajmy pokój światu; dzisiaj chcę być zupełnie szczęśliwa.

Rastignac przesiedział u pani de Nucingen aż do pierwszej po północy. Przy pożegnaniu, przy tym prawdziwym pożegnaniu kochanków, które zwykła osładzać nadzieja przyszłych radości, pani de Nucingen rzekła z wyrazem tęsknoty:

— Jestem tak bojaźliwa, tak zabobonna — nazwij pan jak chcesz moje przeczucia — iż obawiam się, że będę musiała straszną jakąś katastrofą okupić szczęście obecne.

— Dziecko! — rzekł Eugeniusz.

— A! — zawołała ze śmiechem — dziś ja z kolei dzieckiem zostałam.

Eugeniusz wracał do domu Vauquer z tym przekonaniem, że nazajutrz zupełnie go opuści i oddawał się w drodze tym słodkim marzeniom, którymi upaja się młodzieniec czujący jeszcze smak szczęścia na ustach.

— No cóż? — zapytał ojciec Goriot, gdy Eugeniusz przechodził koło jego mieszkania.

— Jutro opowiem panu wszystko — rzekł Eugeniusz.

— Wszystko, nieprawdaż? — zawołał stary. — Idź pan spać. Od jutra zaczniemy szczęśliwe życie.

Nazajutrz Goriot i Rastignac wyglądali, czy nie pokaże się jaki tragarz, który by pomógł im wynieść się z gospody mieszczańskiej gdy, około południa, powóz jakiś wtoczył się na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève i zatrzymał się przed drzwiami domu Vauquer. Po chwili pani de Nucingen wyskoczyła z powozu i zapytała, czy pan Goriot znajduje się jeszcze w gospodzie, a odebrawszy od Sylwii potakującą odpowiedź, wbiegła lekko na schody.

Eugeniusz był w swoim pokoju, choć nikt w domu o tym nie wiedział. Przy śniadaniu student prosił Goriota, żeby zdał jego rzeczy razem ze swoimi, a sam wyszedł na miasto, mówiąc, że o czwartej spotkają się w nowym mieszkaniu przy ulicy d'Artois. Niebawem stary poszedł szukać tragarzy, a Eugeniusz odpowiedział tymczasem na apel szkolny i wrócił śpiesznie do domu, żeby rozliczyć się z panią Vauquer, gdyż obawiał się, że Goriot w przystępie swego fanatyzmu gotów zapłacić za niego z własnej kieszeni. Nie zastawszy gospodyni, która wyszła na miasto, Eugeniusz wstąpił jeszcze do swego mieszkania, chcąc się przekonać, czy przypadkiem czego nie zapomniał; jakoż nie pożałował swej przezorności, bo znalazł w szufladzie od stolika rewers, który napisał był dla Vautrina, a potem, po zapłaceniu należności, wrzucił niedbale do stolika.

Nie mając ognia, chciał podrzeć go na drobne kawałki, gdy wtem usłyszał za ścianą głos Delfiny i stanął bez ruchu, żeby posłyszeć, oo będzie mówiła baronowa, która, jak sądził, nie powinna była mieć dla niego żadnej tajemnicy. Pierwsze wyrazy, które usłyszał obudziły w nim takie zajęcie, że postanowił wysłuchać rozmowy między ojcem a córką.

— Ach, mój ojcze! — mówiła Delfina — postanowiłeś upomnieć się o moją fortunę, lecz daj Boże, żeby nie było za późno i żebyś zdołał jeszcze ochronić mnie od ruiny! Czy mogę mówić?

— Mów, w całym domu nikogo nie ma — wyrzekł ojciec Goriot głosem zmienionym.

— Co ci to, mój ojcze? — zapytała pani de Nucingen.

— Uderzyłaś mnie jak obuchem po głowie — rzekł starzec. — Niech ci Bóg tego nie pamięta, dziecię moje! Ty nie wiesz, jak ja cię kocham; gdybyś wiedziała, nie rzuciłabyś mi tych słów okrutnych bez przygotowania, zwłaszcza jeżeli nie zaszło nic nadzwyczajnego. Cóż cię tak znagliło, żeś przyjechała do mnie aż tutaj, wiedząc, że za chwilę mam być na ulicy d'Artois?

— A, mój ojcze! Czyliż w nieszczęściu można zapanować nad pierwszym poruszeniem? Ja głowę tracę! Adwokat twój wskazał mi dzisiaj nieszczęście, które niebawem pewnie w nas uderzy. Handlowe twoje doświadczenie będzie nam potrzebne; toteż przybiegłam szukać ciebie, jak tonący, co się gałązki chwyta. Pan Derville przekonał się, że Nucingen myśli stawić opór i zagroził mu procesem, mówiąc, że nie trudno będzie otrzymać na to zgodę prezesa trybunału. Nucingen przyszedł dziś do mnie i zapytał, czy ja pragnę jego i swojej ruiny. Odparłam mu, że ja się na tym nic a nic nie znam, że wiem tylko tyle, iż mam fortunę i powinnam z niej korzystać, że zresztą wszystko co się do tego sporu odnosi, należy wyłącznie do mego adwokata, gdyż ja sama nic z tego nie rozumiem i nic w tym względzie powiedzieć nie mogę. Czyż nie tak kazałeś mi powiedzieć, ojcze?

— Dobrześ powiedziała — odrzekł ojciec Goriot.

— Otóż — poczęła znów Delfina — Nucingen przedstawił mi stan swoich interesów. Kapitały jego i moje włożone są w przedsięwzięcia zaledwie rozpoczęte, na które trzeba było wyłożyć z góry wielkie sumy. Jeżeli zażądam obecnie mego posagu, to Nucingen będzie zmuszony ogłosić się bankrutem; jeżeli zaś zaczekam rok jeden, to przysięga mi na honor, że kapitały moje podwoją się, a może i w trójnasób się powiększą, gdyż on będzie robił obroty i tak poprowadzi interesy, że ja zostanę właścicielką dóbr ziemskich. Ojcze mój, on mówił szczerze i ta szczerość jego mnie przeraziła. Przepraszał mnie za swe postępowanie, wrócił mi zupełną swobodę, pozwolił mi postępować, jak mi się podoba, bylebym tylko upoważniła go do prowadzenia interesów w moim imieniu. Na dowód swej uczciwości przyrzekł mi, że ile razy ja zechcę, tyle razy wezwie pana Derville dla osądzenia, czy akta, na mocy których ja zostanę właścicielką ziemską, będą prawnie zredagowane. Jednym słowem, oddał mi się zupełnie na łaskę i niełaskę. Błaga tylko żebym przez dwa lata jeszcze pozwoliła mu dom prowadzić i nie wydawała dla siebie nic nad to, co mi przeznacza. Przekonał mnie, że odprawił swą tancerkę, że zmuszony jest zaprowadzić najsurowszą oszczędność, żeby nie zachwiać swego kredytu, zanim nie ukończy, rozpoczętych spekulacji. Jam była nieubłagana, udawałam, że w nic nie wierzę, żeby przy-

wieźć go do ostateczności i dowiedzieć się całej prawdy: pokazywał mi swe księgi, płakał wreszcie. Nigdy jeszcze nie widziałam człowieka w takim stanie. Stracił zupełnie głowę, mówił, że się zabije, bredził jak w gorączce, aż mnie litość wzięła.

— I ty wierzysz w takie głupstwa? — zawołał ojciec Goriot. — To komediant! Miałem ja do czynienia z Niemcami: są to prawie zawsze ludzie uczciwi i otwarci; lecz gdy który zacznie szachrować pod płaszczykiem szczerości, to pewnie stokroć gorzej od innych cię oszuka. Mąż twój zwodzi ciebie. Widzi, że go przyparto do muru, udaje więc nieżywego i chce zasłonić się twoim imieniem, więcej niż swoim własnym. Chce on skorzystać z tej okoliczności, żeby się zabezpieczyć przed niedającymi się obliczyć z góry rezultatami swoich obrotów handlowych. Kręta z niego sztuka: równie jest chytry jak przewrotny. Ale nic z tego, nie pójdę ja na Pere-La-chaise z tym przekonaniem, że córki moje ze wszystkiego zostały wyzute. Znam się jeszcze trochę na interesach. Powiada, że kapitały jego włożone są w przedsiębiorstwa, dobrze! W takim razie musi posiadać weksle, rewersy, umowy pisemne! Niechże ci je pokaże i niech się z tobą rozliczy. Wtedy wybierzemy najkorzystniejsze spekulacje, poprowadzimy je na swoje ryzyko i będziemy mieli dokumenty*na imię Delfiny Goriot małżonki barona de Nucingen, której majątek oddzielony jest od mężowskiego*. Nie tacyśmy głupi, jak się jemu zdaje. Czy on sądzi, że ja pogodzę się z tą myślą, że ty możesz zostać bez majątku, bez kawałka chleba? Ja bym jej nie zniósł przez jeden dzień, przez noc jedną, nawet przez dwie godziny! Ja nie mógłbym żyć z tą myślą. Jak to! Jam pracował przez lat czterdzieści, zlewając się potem i dźwigając worki na własnych ramionach, jam sobie wszystkiego w życiu odmawiał dla was, anioły drogie, coście mi dodawały sił do każdej pracy; a dzisiaj mienie moje, życie moje całe miałoby pójść z dymem! O, ja bym umarł szalony rozpaczą! Nie, na wszystko, co jest świętego na ziemi i w niebie! my tę sprawę rozjaśnimy, sprawdzimy wszystkie księgi, kasę, przedsięwzięcia! Nie zasnę, nie położę się do łóżka, jeść nie będę, dopóki się nie przekonam, że fundusz twój jest cały i nienaruszony. Z łaski Boga masz separację majątkową, a pan Derville, adwokat twój, jest na szczęście człowiekiem uczciwym. Na Boga! Będziesz miała swój milionik, swoje pięćdziesiąt tysięcy liwrów dochodu aż do końca życia lub ja podniosę gwałt na cały Paryż. Ach! Ach! Udam się do izb, jeżeli trybunały nie wymierzą nam sprawiedliwości. Dotychczas sądziłem, żeś spokojna, że twój byt materialny zapewniony i myśl ta była mi pociechą w nieszczęściach, osłodą w cierpieniu. Mienie — to życie. Pieniądz wszystko może. Więc cóż ten bałwan nam prawi?... Delfino, nie ustępuj ani pół szeląga temu bydlakowi, który przykuł cię do łańcucha i uczynił nieszczęśliwą. Jeżeli nie będzie mógł obejść się bez ciebie, to przynajmniej wyuczymy go prosto chodzić. Boże! Głowa mi płonie, coś mi czaszkę pali. Moja Delfina w nędzy! Och! Fifinko moja! Sapristi! Gdzież są moje rękawiczki? Dalej, śpieszmy! Idę, zrewiduję wszystko, książki, interesy, kasę, korespondencję, pójdę w tej chwili. Nie uspokoję się, aż póki się nie przekonam, że twój fundusz jest zabezpieczony, aż póki nie zobaczę tego na własne moje oczy.

— Rozważnie tylko, ojcze kochany! Pamiętaj, że zgubiłbyś mnie, gdybyś przystąpił do tego dzieła z najmniejszą chętką zemsty lub gdybyś zdradził zbyt nieprzychylne usposobienie. On cię zna i nie zdziwił się wcale, że pod twoim wpływem ja sama zaczęłam się troszczyć o swój fundusz; lecz przysięgam ci, on wszystko zagarnął w swoje ręce. To nikczemnik! On gotów porzucić nas i uciec ze wszystkimi kapitałami, bo wie dobrze, że ja bym go nie prześladowała, bo nie chciałabym hańbić własnego imienia. Jest on i słaby, i silny zarazem. Jużem ja wszystko dobrze zbadała. Przekonałam się, że, przywodząc go do ostateczności, przyspieszę tylko własną ruinę.

— Ależ to łotr wierutny?

— Ha! tak jest, ojcze — zawołała, rzucając się z płaczem na krzesło — Nie chciałam mówić o tym, żeby ci oszczędzić zmartwienia, żeś mnie wydał za takiego człowieka! Obyczaje i sumienie, ciało i dusza, wszystko się w nim zgadza! To coś okropnego: czuję dla niego pogardę i nienawiść. Tak jest, po tym, co mi ten podły Nucingen powiedział, nie mogę mieć dla niego najmniejszego szacunku. Człowiek, który mógł wdać się w takie spekulacje handlowe, o jakich on mi dziś mówił, nie ma żadnego poczucia delikatności. Obawy moje pochodzą stąd, żem jasno zobaczyła głąb jego duszy. On, mąż mój, powiedział otwarcie, że daje mi zupełną swobodę, wiesz ojcze, co to znaczy? Ale za to ja mam być w razie nieszczęścia narzędziem w jego ręku, mam go zasłonić swoim imieniem.

— Ależ na to są prawa! Mamy przecie plac de Greve dla zięciów tego rodzaju! — zawołał ojciec Goriot. — Ja sam ściąłbym mu głowę, gdyby kata nie było.

— Nie, mój ojcze, na niego prawa nie ma. Powtórzę ci w krótkości jego mowę, odrzucając niepotrzebne dodatki, w które treść samą obwijał: „Musisz pozwolić, bym ukończył rozpoczęte spekulacje, albo wszystko przepadnie i ty sama zostaniesz zrujnowana, bez grosza przy duszy; ja zaś nikogo prócz ciebie nie mogę wziąć za wspólnika". Czy to dość jasno? On nie przestał jeszcze dbać o mnie. Uczciwość moja jest dla niego dostateczną rękojmią; wie, że mi dosyć własnego funduszu, że się na jego pieniądze nie pokwapię. Jest to spółka nieuczciwa i złodziejska, na którą muszę przystać, bom zagrożona utratą całego funduszu. Nucingen kupuje moje sumienie, a za to pozwala, bym należała do Eugeniusza. „Możesz popełniać błędy, ale w zamian pozwól mi dopuszczać się zbrodni, pozwól mi wydzierać chleb biedakom!" Czy taka mowa jest dość jasna? Wiesz, ojcze, co on nazywa spekulacją handlową? On kupuje na swe imię kawał ziemi, na którym spekulanci podstawieni z jego ramienia zaczynają budować domy. Ludzie ci wchodzą w umowę z rozmaitymi przedsiębiorcami, którym płacą nie gotówką, tylko wekslami z bardzo dalekim terminem wypłaty; następnie mąż mój wypłaca im bardzo niewielką sumę i dostaje za to pokwitowanie, które czyni go właścicielem wszystkich domów; oni zaś ogłaszają się bankrutami, a biedni, oszukani przedsiębiorcy muszą iść z kwitkiem. Firma domu de Nucingen służy do przyciągania tych biedaków. Zrozumiałam i to także, że Nucingen, chcąc dowieść w razie potrzeby, że jest w stanie wypłacać sumy ogromne, posłał znaczne kapitały do Amsterdamu, Londynu, Neapolu i Wiednia. Jakże zdołalibyśmy je pochwycić?

Eugeniusz posłyszał głuchy odgłos: to ojciec Goriot upadł na kolana.

— Boże mój, cóżem ja ci zawinił? Córka moja oddana w ręce nikczemnika, który wymoże na niej wszystko, czego zechce. Przebacz mi, córko! — zawołał starzec.

— Tak, jest w tym i twoja wina, żem ja w taką przepaść wpadła — rzekła Delfina. — Myśmy tak nierozsądne, gdy za mąż wychodzimy! Czyż my znamy wtedy świat, interesy, ludzi, obyczaje? Ojcowie powinni by myśleć za nas. Ojcze drogi, ja ci nic nie wyrzucam, przebacz mi te słowa. W tym razie, wina cała jest po mojej stronie. Nie, nie płacz, tatku — mówiła, całując go w czoło.

— I ty nie płacz, Delfinko moja mała. Pozwól, niech ci pocałunkiem łzy z oczu obetrę. Nie bój się! Niech ja tylko pójdę po rozum do głowy, to jeszcze potrafię rozwikłać pasmo interesów, które twój mąż splątał.

— Nie, ojcze, pozwól mnie działać; ja potrafię wziąć się do niego. On mnie kocha, mam nad nim przewagę, skorzystam więc z tego i wymogę na nim, żeby obrócił niezwłocznie część moich kapitałów na kupno nieruchomości. Może potrafię skłonić go, żeby odkupił na moje imię ziemię Nucingen w Alzacji. Tylko proszę cię, ojcze, przyjdź jutro przejrzeć księgi i zbadać stan jego interesów. Pan Derville nic a nic nie zna się na sprawach handlowych. Nie, lepiej jutro nie przychodź. Nie chcę sobie psuć krwi. Pojutrze będzie bal u pani de Beauséant, muszę więc oszczędzać się, żeby być piękną i świeżą i przynieść chlubę kochanemu memu Eugeniuszowi! Pójdźmy zobaczyć jego pokój.

W tej chwili powóz jakiś zatrzymał się na ulicy Neuve-Sainte-Genevieve, po czym dał się słyszeć na schodach głos pani de Restaud, która zapytywała: „Czy mój ojciec jest w domu?" Okoliczność ta wybawiła szczęśliwie Eugeniusza, który zamierzał już rzucić się na łóżko i udać, że śpi w najlepsze.

— Ach! ojcze, czyś nie słyszał nic o Anastazji? — rzekła Delfina, poznając głos siostry. — Zdaje się, że u niej w domu dzieją się też dziwne rzeczy.

— Co takiego? — zapytał ojciec Goriot — to już chyba przyszła ostatnia moja godzina? Biedna moja głowa nie wytrzyma podwójnego nieszczęścia.

— Dzień dobry, ojcze — rzekła hrabina we drzwiach. — Ach! I tyś tutaj, Delfino.

Pani de Restaud była widocznie niezadowolona ze spotkania z siostrą.

— Dzień dobry, Naściu — rzekła baronowa. — Czy cię moja obecność zadziwia? Ja się co dzień z ojcem widuję.

— Od jakiegoż to czasu?

— Nie potrzebowałabyś pytać, gdybyś również u niego bywała.

— Nie drażnij mnie, Delfino — zawołała hrabina płaczliwie. — Jam taka nieszczęśliwa, jam zgubiona, biedny mój ojcze! O! Tym razem zupełniem już zgubiona!...

— Co ci jest, Naściu? — zawołał ojciec Goriot. — Powiedz nam wszystko, dziecię drogie. — Jak ona zbladła! Delfino, pomóżże jej, bądź dla niej dobrą, a ja będę cię kochał jeszcze więcej, jeżeli tylko potrafię!

— Biedna Naściu — rzekła pani de Nucingen, podając siostrze krzesło — mów proszę. Widzisz w nas dwie jedyne istoty, które kochają cię tak bardzo, że wszystko przebaczyć ci gotowe. Widzisz, miłość rodzinna nigdy nie zawodzi.

Podała jej flakonik z eterem i hrabina przyszła do siebie.

— Ja tego nie przeżyję! — zawołał ojciec Goriot. — Słuchajcie — mówił, poprawiając torf rozpalony w piecu. — Zbliżcie się tu obie. Mnie zimno. Co ci jest, Naściu? Mów prędko, bo mnie zabijasz...

— Ach! — zawołała biedna kobieta — mąż mój wie o wszystkim. Wyobraź sobie, ojcze, że niedawno... Przypominasz sobie ten weksel Maksyma? Niestety! Nie był to już pierwszy, jużem ja przedtem niejeden zapłaciła. W początku stycznia, pan de Trailles wydawał mi się jakoś bardzo zmartwiony. Nic wprawdzie nie mówił; ale to tak łatwo odgadnąć, co się dzieje w sercu istoty ukochanej: dosyć najlżejszej wskazówki; przy tym bywają czasem przeczucia. Był bardziej rozkochany, bardziej czuły niż zwykle, a ja byłam coraz szczęśliwsza. Biedny Maksym! Wyznał później, że w myśli żegnał się ze mną, bo chciał sobie życie odebrać. Ale zaczęłam go dręczyć, błagać, dwie godziny modliłam go na kolanach, aż wyznał, że winien był sto tysięcy franków! Mnie się w głowie przewróciło. Tyś nie miał pieniędzy, bom ci wszystko wydarła...

— Nie — rzekł ojciec Goriot — nie mógłbym zebrać tyle pieniędzy, chyba bym kraść poszedł. Ale ja byłbym poszedł, Naściu! Ja pójdę.

Obie siostry milczały; ostatnie słowo starego brzmiało złowrogo, jak przedśmiertne chrapanie i świadczyło o agonii uczucia ojcowskiego, które stało się już bezsilne. Jakiż egoizm nie zmiękłby na ten krzyk rozpaczy, co niby kamień w przepaść ciśnięty, zdradzał głębokość jej niezmierzoną?

— Uzyskałam te pieniądze, rozporządzając tym, co do mnie nie należało — zawołała hrabina, zalewając się łzami.

Delfina, wzruszona, zapłakała także, tuląc głowę do szyi siostry.

— Więc to wszystko prawda — wyrzekła.

Anastazja spuściła głowę; pani de Nucingen otoczyła jej kibić ramieniem, ucałowała ją czule i przytuliła do piersi.

— Tu znajdziesz zawsze miłość, a nigdy sądzona nie będziesz — powiedziała.

— Aniołki moje — rzekł Goriot słabym głosem — dlaczegóż nieszczęście jest przyczyną waszego połączenia?

— Chcąc ocalić życie Maksyma, chcąc wreszcie ocalić całe moje szczęście — poczęła hrabina ośmielona dowodami uczucia żywego i gorącego — poszłam do znanego ci lichwiarza, do tego piekielnego Gobsecka, którego nic wzruszyć nie może i sprzedałam mu wszystkie brylanty familijne, do których pan de Restaud niezmiernie jest przywiązany. Wszystkie sprzedałam! Rozumiecie? On został wybawiony, ale ja za to umarłam! Restaud o wszystkim się dowiedział.

— Przez kogo? Jak? Ja go zabiję! — krzyknął ojciec Goriot.

— Wczoraj kazał mnie prosić do swego pokoju. Poszłam... „Anastazjo — powiedział takim głosem... (och! dość mi było głos jego usłyszeć, bym się wszystkiego domyśliła) — gdzie są twoje brylanty?" — Mam je u siebie. — „Nie — odparł patrząc mi w oczy — one są tu, na mojej komodzie". — I pokazał mi szkatułkę, którą przykrył był chustką do nosa. — „Wiesz skąd się tu wzięły?" — zapytał. Upadłam mu do nóg... płakałam, pytałam, jaki rodzaj śmierci wolałby wybrać dla mnie.

— Tyś to wszystko powiedziała? — zawołał ojciec Goriot.— Na święte imię Pańskie! Każdy kto ośmieli się skrzywdzić jedną z was, póki ja żyję, może być pewien, że go na wolnym ogniu spalę! Tak jest, posiekam go, jak...

Ojciec Goriot zamilkł, wyrazy zamierały mu w gardle.

— W końcu, moja droga, objawił takie żądanie, że wolałabym, iżby wydał na mnie wyrok śmierci. Nie daj Boże żadnej kobiecie, żeby miała usłyszeć to, co ja usłyszałam!

— Ja zamorduję tego człowieka — powiedział ojciec Goriot spokojnie. — Ale on ma tylko jedno życie, a mnie dwa winien. Czegóż on chciał? — zapytał, patrząc na Anastazję.

— Oto — poczęła hrabina po chwilowym milczeniu — odezwał się do mnie w te słowa: „Anastazjo, ja pokryję wszystko milczeniem, pozostaniemy nadal razem, mamy dzieci. Nie zastrzelę pana de Trailles, bo mógłbym go chybić, a chcąc się go pozbyć w inny sposób, mógłbym się spotkać ze sprawiedliwością ludzką. Zabić go w twoich objęciach, to znaczyłoby zniesławić dzieci. Chcąc uniknąć zguby twych dzieci, ich ojca i swojej własnej, podaję ci dwa warunki. Odpowiadaj: Czy ja mam choć jedno dziecko?" Odpowiedziałam, że tak. „Które?" — Ernesta, najstarszego. — „Dobrze — powiedział — teraz przysięgnij, że będziesz mi posłuszną w jednym razie". — Przysięgłam. — Podpiszesz, gdy ja zechcę, akt sprzedaży dóbr swoich".

— Nie podpisuj — zawołał ojciec Goriot. — Nigdy nie podpisuj tego! Ach! Ach! Panie de Restaud, nie umiesz zapewnić szczęścia kobiecie, ona szuka go gdzie indziej, a ty karzesz ją za swą głupią niedołężność?... Ale hola! Ja tu jestem, znajdzie on mnie na swojej drodze! Bądź spokojna, Naściu! A! Pan hrabia troszczy się o spadkobiercę! Bardzo dobrze. Ja mu pochwycę tego syna, który, do pioruna, jest przecie moim wnukiem! Wolno mi będzie przecie zobaczyć tego bębna. Będę miał o nim staranie, bądź spokojna. Upokorzę ja tego potwora, gdy mu powiem: „Teraz między nami sprawa! Jeżeli chcesz mieć syna, to oddaj mej córce cały fundusz i pozwól jej postępować, jak się jej podoba!"

— Mój ojcze!

— Tak, jam twój ojciec. A! jam ojciec prawdziwy. Niech ten jasny pan nie śmie krzywdzić mych córek. Do pioruna! Nie wiem, co w mych żyłach krąży. Mam krew tygrysią, chciałbym pożreć tych dwóch ludzi. O dzieci! Więc to takie wasze życie? Ach! To śmierć moja. Cóż się z wami stanie, gdy mnie już nie będzie? Rodzice powinni by żyć tak długo jak i dzieci. Mój Boże! Jakże ten świat źle urządzony! A jednak mówią nam, że Ty masz syna. Powinien byś nie dopuścić, żebyśmy w dzieciach naszych cierpieli. Jak to, drogie moje anioły, więc tylko boleści waszej zawdzięczam, żeście tu przyszły? Pokazujecie mi tylko łzy swoje. O tak, wy mnie kochacie, widzę to dobrze. Chodźcie, chodźcie poskarżyć się tutaj! Serce moje jest wielkie, może wszystko zmieścić. Tak jest, na próżno rozrywać je będziecie, bo z każdego kawałka powstanie serce ojcowskie. Chciałbym wziąć na siebie troski wasze i wycierpieć wszystko, co wy cierpicie. Ach, byłyście bardzo szczęśliwe, gdyście były małe...

— Tylko wówczas dobrze nam było — rzekła Delfina. — Gdzież są te czasy, kiedyśmy to zeskakiwały z worków w wielkim spichlerzu?

— Ojcze, to jeszcze nie wszystko — szepnęła Anastazja, pochylając się ku Goriotowi, który aż się cofnął. — Sprzedaż brylantów nie przyniosła mi stu tysięcy franków. Maksyma wciąż ścigają. Pozostaje zapłacić tylko dwanaście tysięcy, a on przyrzekł, że się ustatkuje, że już nadal grać nie będzie. Ja mam tylko tę miłość jego na świecie, a zapłaciłam za nią tak drogo, że umrę, jeżeli utracić ją będę musiała. Poświęciłam jej mienie, sławę, spokój i dzieci. O, niechże przynajmniej Maksym będzie swobodny, szanowany, niech pozostanie w świecie, gdzie sobie stanowisko wyrobić potrafi. Teraz on winien mi nie samo szczęście: mamy dzieci, które zostałyby bez majątku. Wszystko przepadnie, jeżeli go osadzą w Sainte-Pélagie.

— Ja nie mam pieniędzy, Naściu. Nie mam już nic, nic! To skończenie świata. O, świat się zawali, to pewne. Idźcie stąd, uciekajcie prędzej! Ach! Mam jeszcze sprzączki srebrne i sześć nakryć, najpierwszych jakie posiadłem w swym życiu. Wreszcie, pozostało mi już tylko dwanaście tysięcy franków rocznego dochodu.

— A cóżeś zrobił, ojcze, z swoim dożywotnim dochodem?

— Sprzedałem go i zabezpieczyłem sobie tylko szczupłą pensyjkę na własne potrzeby. Potrzebowałem dwunastu tysięcy franków, żeby urządzić Fifince apartament.

— W twoim domu, Delfino? — zapytała pani de Restaud.

— A! To wszystko jedno! — zawołał ojciec Goriot. — Dość, że już nie ma dwunastu tysięcy franków.

— Domyślam się — rzekła hrabina. — To dla pana de Rastignac. Ach, zatrzymaj się, biedna Delfino! Spójrz, dokąd to mnie zaprowadziło.

— Moja droga, pan de Rastignac jest młodym człowiekiem, który z pewnością nie zuboży swej kochanki.

— Dziękuję, Delfino. Spodziewałam się coś lepszego usłyszeć od ciebie w krytycznym moim położeniu; ale tyś mnie nigdy nie kochała.

— Przeciwnie, ona cię kochała, Naściu — zawołał ojciec Goriot — właśnie przed chwilą mi to mówiła. Rozmawialiśmy o tobie i Delfina utrzymywała, że ty jesteś piękna, a ona tylko ładną nazwać się może.

— Ona! — powtórzyła hrabina — ona posiada chłodną piękność.

— Niech i tak będzie — rzekła Delfina — lecz powiedz, jakżeś ty ze mną postępowała? Tyś się mnie zaparła, tyś zamknęła przede mną drzwi wszystkich domów, w których bywać pragnęłam, jednym słowem, korzystałaś z każdej sposobności, żeby mi przykrość wyrządzić. A ja, czyż przychodziłam za twoim przykładem wydzierać ojcu tysiąc po tysiącu, wyzuwać go z mienia i doprowadzać do stanu, w jakim obecnie się znajduje? Patrz, siostro, to twoje dzieło. Ja widywałam ojca, póki tylko mogłam, jam go za drzwi nie wypchnęła i nie przychodziłam lizać mu rąk, gdy mi był potrzebny. Nie wiedziałam nawet, że wydał dla mnie te dwanaście tysięcy franków. Zresztą, tatko dawał mi podarunki, gdy chciał — jam ich nigdy nie żebrała.

— Bo tobie szczęście sprzyjało. Pan de Marsay był bogaty, zdaje się, że wiesz o tym dobrze. Ale ty byłaś zawsze zimna jak złoto. Żegnam was, nie mam ani siostry, ani...

— Milcz, Naściu! — krzyknął ojciec Goriot.

— Tylko taka siostra jak ty może powtarzać rzeczy, w które już nikt nie wierzy. Tyś istny potwór — mówiła Delfina.

— Dzieci, dzieci, przestańcie, bo się w waszych oczach zabiję.

— Słuchaj, Naściu, przebaczam ci, boś ty nieszczęśliwa — mówiła baronowa dalej. — Ale jam lepsza od ciebie. Jak mogłaś powiedzieć mi coś podobnego i to w takiej chwili, kiedy ja zdolna byłam wszystko dla ciebie uczynić, nawet wejść do pokoju mego męża, czego nie zrobiłabym ani dla siebie, ani dla... To godne wszystkich złych postępków, jakich dopuściłaś się względem mnie od lat dziewięciu.

— Dzieci, dzieci, uściśnijcie się! — mówił ojciec. — Wyście obie dobre jak anioły.

— Nie, proszę mi dać pokój — zawołała hrabina, odpychając ojca, który ją wziął za ramię. — Nawet mąż mój miałby dla mnie więcej litości, niż ona. Można by pomyśleć, że ona jest wzorem cnoty!

— Wolę zawsze, żeby mówiono, żem winna pieniądze panu de Marsay, niż żebym sama miała wyznać, że pan de Trailles kosztuje mnie przeszło dwieście tysięcy franków — odparła pani de Nucingen.

— Delfino! — krzyknęła hrabina i postąpiła ku niej krok jeden.

— Ja mówię prawdę, a ty mnie czernisz — powiedziała chłodno baronowa.

— Delfino! Ty jesteś...

Ojciec Goriot rzucił się ku hrabinie, powstrzymał ją i zakrył jej ręką usta, nie dając reszty domówić.

— Mój Boże! Do czego ty się dotykałeś, ojcze? — zawołała Anastazja.

— Ach, prawda! Moja wina — rzekł biedny ojciec, wycierając ręce o spodnie. — Nie wiedziałem, że przyjdziecie, przygotowywałem się do przenosin.

Szczęśliwy był, że zasłużył na wymówkę, która ściągnęła na niego gniew córki.

— Ach! — począł, rzucając się na krzesło — wyście mi serce rozdarły. Przyszła już moja ostatnia godzina! W głowie mi się coś gotuje, jak gdyby ogień był pod czaszką. Bądźcie już grzeczne, kochajcie jedna drugą! Chyba śmierci mojej chcecie. Delfino, Naściu, wy miałyście słuszność, nie — wy obie nie miałyście słuszności. Słuchaj, Dedelko — mówił dalej, podnosząc na baronową oczy pełne łez — ona potrzebuje dwunastu tysięcy franków, postarajmy się o nie. Nie patrzcie na siebie takim wzrokiem.

Stary ukląkł przed Delfiną.

— Przeproś ją, jeżeli chcesz mi zrobić przyjemność — szepnął z cicha. — Ona jest bardziej nieszczęśliwa.

— Biedna moja Naściu — rzekła Delfina przerażona dzikim i obłąkanym wyrazem, jaki twarz ojca przybrała pod wpływem boleści — jam zawiniła, uściśnij mię...

— Ach! Przykładacie mi balsam do serca — zawołał ojciec Goriot. — Ale skąd tu wziąć dwanaście tysięcy franków? A gdybym ja ofiarował się na zakładnika...

— A, nie, nie, ojcze! — zawołały obie córki, zbliżając się do niego.

— Bóg ciebie za tę myśl wynagrodzi, bo naszego życia na to za mało! Nieprawdaż, Naściu? — mówiła Delfina.

— A zresztą, ojcze, byłoby to kroplą w morzu — zauważyła hrabina.

— Czyż i za cenę krwi nic zrobić nie można? — zawołał starzec z rozpaczą. — Poświęcę się dla tego, kto ciebie, Naściu, wybawi; gdy każe, człowieka dla niego zabiję. Zrobię jak Vautrin, pójdę na galery! Ja...

Zatrzymał się, jak gdyby grom w niego uderzył.

— Nic już nie mam! — zawołał, rwąc sobie włosy. — Gdybym wiedział, gdzie ukraść można; ale i kradzież trudno popełnić. Zresztą, chcąc bank rozbić, potrzeba niemało ludzi i czasu. Cóż, trzeba umierać, nic już innego zrobić nie mogę. Tak jest, na nic się już nie przydam, nie jestem już ojcem, nie! Ona mnie prosi, ona, potrzebuje, a ja, nędzny, nic już nie mam. A! Stary niegodziwcze, zachciało ci się dochodu dożywotniego, a zapomniałeś, że masz córki! Chyba już ich nie kochasz? Zdychaj, zdychaj, psie jakiś! Tak, jam gorszy od psa, żaden pies nie postąpiłby w ten sposób! Och, moja głowa! coś mi ją rozsadza!

— Ależ, ojcze, bądź rozsądny — wołały obie kobiety, zatrzymując Goriota, który uderzał głową o ścianę.

Stary zanosił się od płaczu. Eugeniusz, przerażony tym, co słyszał, pochwycił rewers podpisany dla Vautrina na znacznie większą sumę; poprawił cyfrę i zrobił na imię Goriota rewers regularny na dwanaście tysięcy franków.

— Oto są pieniądze — powiedział, wchodząc do pokoju Goriota i podając papier hrabinie. — Spałem w swoim mieszkaniu, ale obudziła mnie głośna rozmowa i dowiedziałem się, com winien panu Goriotowi. Oto jest mój rewers, możecie go państwo sprzedać, a ja zapłacę go jak najsumienniej.

Hrabina stała jak martwa, trzymając papier w ręku.

— Delfino! — zawołała blada i drżąca z gniewu, wściekłości i szału — przebaczyłam ci wszystko, Bóg mi świadkiem, a tyś tak postąpiła! Jak to! Ten pan był za ścianą, tyś o tym wiedziała i zemściłaś się nikczemnie, pozwalając, bym wydała przed nim swoje tajemnice, życie swoje i swoich dzieci, swój wstyd, swoją sławę! Słuchaj, nie dbam teraz o ciebie, nienawidzę cię, będę ci szkodziła jak tylko potrafię, będę...

W gardle jej zaschło i gniew przeciął jej słowa.

— Ależ to syn mój, to dziecko nasze, to brat twój, twój zbawca — wołał ojciec Goriot.— Uściskaj go, Naściu! Patrz, ja go uściskam — dodał, chwytając Eugeniusza w ramiona z szalonym jakimś zapałem. — O, dziecię moje! Ja będę tobie więcej niż ojcem, będę ci całą rodziną. Chciałbym być Bogiem, żeby ci świat rzucić pod nogi. Ale pocałujże go, Naściu! To nie człowiek, to anioł, prawdziwy anioł.

— Daj jej pokój, ojcze, ona szalona w tej chwili.

— Szalona! Szalona! A ty, jaka jesteś? — zapytała pani de Restaud.

— Dzieci moje, ja umrę, jeżeli tak mówić będziecie — zawołał starzec, padając na łóżko, jak gdyby postrzałem śmiertelnym ugodzony. — One mnie zabijają! — powiedział.

Hrabina spojrzała na Eugeniusza, który stał niemy, ogłuszony gwałtownością tej sceny.

— Panie — wyrzekła, zapytując go ruchem, głosem i spojrzeniem, gdy tymczasem Delfina rozpinała pośpiesznie kamizelkę ojca.

— Pani, zapłacę i będę milczał — odparł, nie czekając zapytania.

— Zabiłaś ojca, Naściu! — rzekła Delfina, pokazując siostrze starca zemdlonego.

Hrabina uciekła z pokoju.

— Przebaczam jej — rzekł stary, otwierając oczy. — Położenie jej jest tak okropne, że obłąkało by nawet lepszą głowę. Pocieszaj ją, Delfino, bądź dla niej łagodna; przyrzecz to biednemu twemu ojcu, który prosi cię o to w ostatniej godzinie — mówił, ściskając rękę Delfiny.

— Ale co ci jest, ojcze? — pytała baronowa przerażona.

— Nic, nic, to przejdzie — odparł ojciec. — Coś mi ściska czoło, to pewnie migrena. Biedna Naścia, co za przyszłość!

Hrabina wróciła w tej chwili do pokoju i rzuciła się do kolan ojca.

— Przebaczenia! — zawołała.

— Przestań, Naściu, bo to mi jeszcze większy ból sprawia — rzekł ojciec Goriot.

— Panie — rzekła hrabina, podnosząc na Rastignaca oczy zalane łzami — boleść uczyniła mnie niesprawiedliwą. Będziesz mi pan bratem? — dodała, wyciągając do niego rękę.

— Naściu — zawołała Delfina, przyciskając siostrę do piersi — zapomnijmy o wszystkim, droga moja Naściu!

— O nie! — odparła tamta. — Ja będę pamiętała.

— Anioły moje — zawołał ojciec Goriot — zdejmujecie zasłonę, która mi spadła na oczy, wasz głos mnie ożywia. Uściskajcie się jeszcze. No cóż, Naściu? Czy cię ten weksel poratuje?

— Mam nadzieję. Ale, tatku, czy ty go nie podpiszesz?

— Patrzcie, tożem dopiero głupi, żem o tym zapomniał! To dlatego, że mi się źle zrobiło, daruj mi, Naściu. Przyślij mnie zawiadomić, żeś się już swojej troski pozbyła. Albo ja sam przyjdę. Ale nie, nie pójdę: nie mogę już widzieć się z twoim mężem, bo zabiłbym go na miejscu. Ale nie bój się, przyjdę, gdy będzie mowa o sprzedaży twych majątków. Śpiesz, moje dziecko, i postaraj się, żeby się Maksym ustatkował.

Eugeniusz stał zdumiony.

— Biedna Naścia była zawsze taka gwałtowna — rzekła pani de Nucingen — ale serce ma najlepsze.

— Ona powróciła po to tylko, by podpis uzyskać — powiedział Eugeniusz, pochylając się do ucha Delfiny.

— Tak sądzisz?

— Chciałbym temu nie wierzyć. Nie ufaj jej — mówił Eugeniusz, wznosząc oczy do góry, jak gdyby pragnął powierzyć Bogu myśli, do wypowiedzenia których brakło mu odwagi.

— A tak, ona miała zawsze skłonność do udawania, a biedny ojciec nie umie się na tym poznać.

— Jakże wam teraz, dobry ojcze Goriot? — zapytał Eugeniusz starego.

— Spać mi się chce.

Eugeniusz pomógł mu położyć się na łóżku i stary usnął po chwili, trzymając córkę za rękę.

— Zobaczymy się wieczorem w teatrze — rzekła Delfina powstając — powiesz mi wtedy, jak się ma mój ojciec. Pan przenosisz się jutro. Chodźmy zobaczyć pański pokój. Ach! Co za okropność! — zawołała, wchodząc do jego mieszkania. — Wszak tu gorzej jeszcze jak u mego ojca. Jakżeś ty dziś pięknie postąpił, Eugeniuszu! Będę cię kochała jeszcze więcej, jeżeli tylko potrafię; ale, dziecko drogie, kto chce dorobić się fortuny, ten nie powinien wyrzucać po dwanaście tysięcy franków za okno. Hrabia de Trailles jest szulerem. Anastazja nie chce tego widzieć. Potrafiłby on zdobyć sobie te dwanaście tysięcy tam, gdzie zwykł wygrywać i przegrywać całe góry złota.

Głuchy jęk przywołał ich do pokoju Goriota. Stary wydawał się uśpiony, lecz za zbliżeniem się dwojga zakochanych, usta jego zaczęły się poruszać:

—One nie są szczęśliwe! — wyszeptał.

Nie wiadomo, czy słowa te zostały wymówione we śnie, czy na jawie, ale dźwięk ich przeniknął tak głęboko serce córki, że zbliżyła się do barłogu, na którym ojciec spoczywał i pocałowała go w czoło. Stary przymknął oczy.

— To Delfina! — powiedział.

— No cóż, jakże ci, ojcze? — zapytała baronowa.

— Dobrze. Bądź spokojna, ja wstanę niebawem. Idźcie, idźcie moje dzieci, bądźcie szczęśliwi.

Eugeniusz przeprowadził Delfinę do domu, ale nie chciał pozostać u niej na obiedzie i pośpieszył do gospody, zaniepokojony stanem Goriota. Stary przyszedł był właśnie do sali jadalnej i zamierzał siąść do stołu. Bianchon obrał sobie takie miejsce, z którego mógł najlepiej obserwować fizjonomię eksfabrykanta. Ojciec Goriot wziął swoim zwyczajem kawałek chleba i zaczął go wąchać, by osądzić z jakiej mąki był wypieczony, ale ruch jego był tak dalece machinalny i pozbawiony tego, co można by nazwać świadomością czynu, że student medycyny potrząsł głową w sposób złowieszczy.

— Zbliż się do mnie, panie asystencie przy szpitalu Cochin — rzekł Eugeniusz.

Bianchon przysiadł się do niego tym chętniej, że zarazem zbliżał się i do Goriota.

— Co jemu jest? — zapytał Rastignac.

— Już po nim! Jeżeli się nie mylę, musiało się z nim stać coś nadzwyczajnego, bo zdaje mi się, że mu grozi lada chwila atak apoplektyczny. Niższa część twarzy jest wprawdzie spokojna, ale patrz, w wyższej części wszystkie rysy ściągają się mimowolnie ku czołu. Przy tym oczy jego przybrały wyraz szczególny, który dowodzi, że woda na mózg naciska. Wyglądają tak, jak gdyby były zasypane drobniuchnym pyłkiem. Jutro rano będę mógł powiedzieć coś pewniejszego.

— Czy na to jest jakie lekarstwo?

— Nie ma żadnego. W najlepszym razie będzie można opóźnić śmierć, jeżeli uda się wywołać reakcję ku kończynom, zwłaszcza ku nogom; lecz jeżeli symptomy nie ustaną do jutrzejszego wieczora, to biedny stary przepadł bez ratunku. Czy nie wiesz, co spowodowało chorobę? Musiał to być jakiś cios gwałtowny, pod którym zachwiała się moralna jego istota.

— Zgadłeś — powiedział Rastignac — przypominając sobie, że obie córki wstrząsały bez przerwy sercem ojcowskim.

— Delfina kocha przynajmniej swego ojca — myślał Eugeniusz.

Wieczorem, w teatrze, zaczął mówić o starym z wielką ostrożnością, żeby nie zaniepokoić pani de Nucingen.

— Bądź spokojny — powiedziała baronowa przy pierwszych jego wyrazach — ojciec, mój jest silny. Tylko zanadtośmy go dzisiaj wzruszyły. Fundusz nasz jest zagrożony, czy pojmujesz całą doniosłość takiego nieszczęścia? Ja bym tego nie przeżyła, gdyby nie miłość twoja, wobec której zbladło nawet to, co dawniej byłoby dla mnie niepokojem śmiertelnym. Dziś drżę tylko przed jednym nieszczęściem, jedną tylko znam obawę, żeby nie utracić tej miłości, przez którą poznałam całą wartość życia. Po za tym uczuciem wszystko mi jest obojętne, nic więcej w świecie nie kocham. Tyś wszystkim dla mnie. Jeżeli cenię bogactwo, to dlatego tylko, żeby się tobie lepiej podobać. Muszę wyznać ze wstydem, że jestem więcej kochanką niż córką. Dlaczego? Nie wiem sama. Całe moje życie jest w tobie. Ojciec dał mi serce, ale tyś mu bić kazał. Niech mnie cały świat potępia, mniejsza o to! Ty nie możesz mieć do mnie żalu, ty musisz usprawiedliwić przestępstwa, na które mnie skazuje uczucie niezwalczone. Sądzisz może, że ze mnie córka wyrodna? O nie! Któż by mógł nie kochać tak dobrego ojca? Ale czyż mogłam zapobiec, żeby nie spostrzegł wreszcie następstw, jakie wynikły z naszych małżeństw opłakanych? Dlaczegóż im nie zapobiegł? Czyż nie powinien był myśleć za nas? Wiem, że dzisiaj cierpi nie mniej od nas, ale cóż miałyśmy zrobić? Pocieszać go? To by się na nic nie zdało. Widok naszej rezygnacji przyczyniłby mu więcej bólu, niż wszystkie nasze wyrzuty i skargi. Bywają chwile, w których wszystko staje się goryczą.

Eugeniusz milczał, wzruszony do głębi naiwnym wyrazem prawdziwego uczucia. Prawda, że paryżanki bywają często przewrotne i próżne, samolubne, zimne i zalotne, lecz i to pewna, że umieją kochać prawdziwie i poświęcać swym namiętnościom więcej uczucia, niż inne kobiety; że stają się wzniosłe, gdy podniosą się nad wszystkie swoje małostki. Zastanawiała też Eugeniusza głębokość i trafność umysłu, z jaką kobieta sądzi uczucia najbardziej naturalne, gdy jaka skłonność silniejsza oddala ją od nich.

— O czymże pan myślisz? — zapytała pani de Nucingen obrażona milczeniem Eugeniusza.

— Wsłuchuję się jeszcze w to, coś mi powiedziała. Sądziłem dotychczas, że ja kocham silniej od ciebie.

Baronowa uśmiechnęła się, ale natychmiast zapanowała nad doznanym zadowoleniem, bo chciała zatrzymać rozmowę w granicach zakreślonych przez formy przyzwoitości. Dotąd nigdy jeszcze nie słyszała przejmujących wyrazów miłości młodzieńczej i szczerej. Jeszcze słów kilka, a nie miałaby już siły zapanować nad sobą.

— Eugeniuszu — powiedziała zmieniając przedmiot rozmowy — czy wiesz, że cały Paryż będzie jutro u pani de Beauséant. Rochefide'owie i markiz d'Adjuda postanowili działać w tajemnicy. Król ma podpisać jutro kontrakt ślubny, a biedna twoja kuzynka nic jeszcze o tym nie wie. Będzie musiała przyjmować jutro masę osób, a markiz nie będzie na jej balu. Powszechnie o tym tylko mówią.

— A świat śmieje się z podłości i udział w niej przyjmuje! Czyż nie wiesz, że pani de Beauséant życiem to przypłaci?

— Nie! — odparła Delfina z uśmiechem. — Nie znasz tego rodzaju kobiet. Ale cały Paryż pójdzie do niej i ja tam będę! Tobie jednak zawdzięczam to szczęście.

— Może to tylko jedna z niedorzecznych pogłosek, których tak wiele krąży po Paryżu? — powiedział Rastignac.

— Jutro dowiemy się prawdy.

Eugeniusz nie poszedł do domu Vauquer. Nie mógł wymóc na sobie, żeby nie nacieszyć się nowym mieszkaniem. Ostatnim razem Eugeniusz wyszedł od Delfiny o pierwszej po północy, a teraz znów Delfina pożegnała go koło drugiej. Nazajutrz spał dość długo, a później czekał pani de Nucingen, która przyjechała o południu na śniadanie.

Młodzi ludzie tak są chciwi tych uroczych chwil szczęścia, że Eugeniusz zapomniał prawie zupełnie o ojcu Goriot. Jakże mu błogo było oswajać się z tymi wykwintnymi przedmiotami, które do niego należały. Obecność pani de Nucingen podnosiła jeszcze wartość każdej rzeczy.

Około czwartej, kochankowie przypomnieli sobie ojca Goriot, myśląc o szczęściu, którego nieborak spodziewał się zakosztować w tym domu. Eugeniusz zrobił uwagę, że stary mógł się na dobre rozchorować i że dlatego właśnie należało przenieść go jak najrychlej do nowego mieszkania. Pożegnał więc Delfinę i pośpieszył do domu Vauquer, gdzie wszyscy stołownicy zgromadzeni już byli u stołu. Brakowało tylko Goriota i Bianchona.

— Wiesz — zawołał malarz — ojciec Goriot zupełnie się rozkleił; Bianchon jest tam u niego. Stary widział się z jedną z swych córek, z hrabiną de Restaurama, potem chciał wyjść, ale słabość jego się wzmogła. Społeczeństwo utraci jedną z najpiękniejszych swych ozdób.

Rastignac postąpił szybko ku schodom.

— Panie Eugeniuszu!

— Proszę pana — rzekła wdowa — i ojciec Goriot i pan mieliście opuścić mój dom piętnastego lutego. Tymczasem trzy dni upłynęły już od tej daty. Trzeba będzie zapłacić mi za cały miesiąc, ale ja poprzestanę na słowie pańskim, jeżeli pan zechcesz zaręczyć za ojca Goriot.

— Po co? Czyż mu pani nie ufasz?

— Czy nie ufam! Gdyby nieborak stracił przytomność i umarł, to córki jego nie dałyby mi ani grosza, a to, co po nim pozostanie, nie warte i dziesięciu franków. Nie wiem, po co wyniósł dziś z domu ostatnie swoje sztućce srebrne. Wystroił się jak młodzieniec, a nawet, Boże odpuść, zdaje mi się, że się uróżował, bo był dziwnie jakoś wyświeżony.

— Ja odpowiadam za wszystko — rzekł Eugeniusz i zadrżał z przerażenia przeczuwając nową jakąś katastrofę.

Poszedł co prędzej do Goriota, którego zastał w łóżku. Bianchon siedział tuż przy nim.

— Dzień dobry ojcze —- rzekł Eugeniusz.

Starzec uśmiechnął się łagodnie zwracając na niego szkliste swoje oczy.

— Jakże się ona ma? — zapytał.

— Dobrze. A ty, ojcze?

— Nieźle.

— Nie trzeba go utrudzać — rzekł Bianchon odciągając Eugeniusza w róg pokoju.

— Cóż tu słychać? — zapytał Rastignac.

— Biedak cudem chyba może być zbawiony. Uderzenie na mózg już nastąpiło. Przyłożyłem mu synapizmy, szczęściem odczuwa je, to znak, że działają.

— Czy można go przenieść?

— Niepodobna. Trzeba go pozostawić w spokoju i strzec od wszelkiego wzruszenia fizycznego lub moralnego.

— Kochany Bianchon, my obaj będziemy go pielęgnowali.

— Jużem ja wezwał naczelnego lekarza z mego szpitala.

— No i cóż?

— On zawyrokuje dopiero jutro wieczorem. Przyrzekł mi, że przyjdzie, gdy załatwi swą czynność. Na nieszczęście, ten biedak stary popełnił dziś jakiś krok nierozważny, z którego nie chce się wytłumaczyć. Uparł się jak muł jaki. Gdy mówię do niego, to udaje, że nie słyszy, albo że śpi, a gdy oczy otworzy, to zaczyna stękać, żeby mi tylko nie odpowiadać. Chodził dziś z rana na miasto, nie wiadomo dokąd. Zabrał z sobą, co tylko

posiadał z kosztowniejszych rzeczy i musiał zrobić jakąś frymarkę, przy czym resztki sił wyczerpał. Jedna z córek była u niego.

— Hrabina? — zapytał Eugeniusz. — Czy to była brunetka wysmukła o kształtnej nóżce i żywych, pięknych oczach?

— Tak jest.

— Zostaw mnie na chwilę sam na sam ze starym. Ja go wyspowiadam, on mi wszystko powie.

— Pójdę tymczasem na obiad. Tylko staraj się nie wzruszać go zanadto, bośmy jeszcze ostatecznie nadziei nie stracili.

— Bądź spokojny.

— Jutro będą się dobrze bawiły — rzekł ojciec Goriot do Eugeniusza, gdy zostali sami. — Będą na wielkim balu.

— Powiedz, tatku, coś ty dziś robił z rana, że teraz masz się gorzej i musisz leżeć w łóżku?

— Nic.

— Anastazja była u ciebie? — zapytał Rastignac.

— Tak — odparł ojciec Goriot.

— No i cóż? Proszę nic przede mną nie ukrywać. Czegóż ona jeszcze żądała?

— Ach! — począł stary z wysiłkiem — cóż chcesz, moje dziecko, ona była bardzo nieszczęśliwa! Naścia nie ma ani grosza od czasu owej sprawy z brylantami. Kazała sobie robić na bal suknię ze złotogłowu, w której będzie wyglądała jako cacko. Ale szwaczka niegodziwa nie chciała nic robić na kredyt i Naścia musiała wziąć tysiąc franków od pokojówki, żeby zapłacić jej z góry. Biedna, trzebaż jej było dojść do tego! To mi serce rozdarło. Pokojówka zobaczyła tymczasem, że Restaud stracił całe zaufanie do Naści, przelękła się więc o swoje pieniądze i umówiła się ze szwaczką, żeby nie wydawać sukni, aż dopóki pani nie odda jej pożyczonej sumy. Bal ma być jutro, suknia już gotowa. Naścia jest w rozpaczy. Chciała wziąć moje nakrycia stołowe, żeby je zastawić. Mąż jej chce, żeby była na tym balu dla pokazania całemu Paryżowi brylantów, o sprzedaż których wszyscy ją posądzają. Ale czyż ona może powiedzieć temu potworowi: „Winnam tysiąc franków, zapłać je?" Nie, ja to dobrze pojmuję. Delfina będzie miała strój wspaniały, a za cóż Naścia ma być gorszą od młodszej siostry? Biedne dziecko! Ona we łzach tonie. A ja nie miałem wczoraj dwunastu tysięcy franków, to mnie tak upokorzyło, że dla okupienia swojej winy oddałbym chętnie resztki nędznego żywota. Wiesz co? Dotychczas miałem siłę przenieść wszystkie nieszczęścia, ale ostatni brak pieniędzy rozdarł mi serce. Och! och! Nie namyślając się długo sprzedałem za sześćset franków nakrycia stołowe i sprzączki, później ustąpiłem papie Gobseck dochód całoroczny za czterysta franków, które mi wypłacił od razu . Ha! Będę żyć suchym chlebem! Wystarczało mi to, gdy byłem młody, to i teraz może wystarczyć. Ale za to moja Naścia będzie miała piękny wieczór i ubierze się jak lalka. Mam tysiąc franków pod poduszką. Aż mi się cieplej robi, gdy pomyślę, że tu pod głową u mnie leży coś takiego, co sprawi przyjemność biednej mojej Naści. Będzie mogła przynajmniej wypędzić tę szkaradną Wiktorynę. Czy to słychane rzeczy, żeby słudzy nie mieli ufności w swoich panach! Jutro będę zdrowszy. Naścia przyjdzie o dziesiątej. Nie trzeba, żeby one myślały, żem chory, bo żadna nie poszłaby na bal, a obie chciałyby mnie pielęgnować. Naścia uściśnie mnie jutro jak swoje dziecko, a pieszczoty jej zupełnie mnie uzdrowią. Mogłem wydać tysiąc franków na lekarstwo, lecz wolę dać je memu wszechlekarzowi, mojej Naści. Przynajmniej pocieszę ją w nędzy, a to zgładzi mą winę, żem śmiał zapewnić sobie dochód dożywotni. Ona jest na dnie przepaści, a ja nie mam dość siły, żeby ją stamtąd wyciągnąć. O! Ja rozpocznę znów handel. Pojadę do Odessy po zboże, które kosztuje tam trzy razy mniej niż u nas. Przywóz ziarna w naturze jest wprawdzie zabroniony, ale dobrzy ludzie, co tworzą prawa, nie pomyśleli o rozlicznych produktach, które się ze zboża wyrabia. Ho! ho! Myśl ta przyszła mi dziś od rana do głowy! Krochmal może do wielkich rzeczy doprowadzić.

— On zwariował — pomyślał Eugeniusz patrząc na starego. — Dosyć, ojcze, uspokój się, nic nie mów...

Eugeniusz nie poszedł na obiad, aż póki Bianchon nie powrócił. Następnie obaj przepędzili noc przy chorym, doglądając go po kolei, przy czym jeden czytał książki medyczne,

a drugi pisał listy do sióstr i do matki. Symptomy, które się objawiły nazajutrz, były, zdaniem Bianchona, dosyć pomyślne; lecz stan chorego wymagał ciągłej pieczołowitości, na którą tylko nasi studenci mogli się zdobyć, a której opis musiałby obrazić wstydliwą frazeologię naszej epoki. Wychudłe ciało starego pokryte zostało pijawkami i kataplazmami; zrobiono mu wannę na nogi i próbowano różnych środków medycznych, do zastosowania których trzeba było całej siły i całego poświęcenia dwóch naszych młodzieńców. Pani de Restaud nie przyszła sama, tylko przysłała posłańca dla zabrania pieniędzy.

— Sądziłem, że sama przyjdzie, ale to i lepiej, że przysłała, bo widok mój mógłby ją zaniepokoić — rzekł ojciec Goriot, którego i ta okoliczność zdawała się uszczęśliwiać.

O siódmej wieczorem Teresa przyniosła list od Delfiny.

„Czym żeś ty zajęty, drogi przyjacielu? Czyż miałbyś mnie zaniedbywać, mnie, którą tak niedawno pokochałeś? Słysząc twoje zwierzenia serdeczne poznałam, że masz piękną duszę i musisz być z liczby tych, co pozostają zawsze wiernymi z pełną świadomością wszystkich odcieni uczucia. Pamiętam, jakeś powiedział słuchając modlitwy Mojżesza: Dla jednych to dźwięk monotonny, dla innych to nieskończoność harmonii! Pamiętaj, że cię czekam, bo mamy jechać razem na bal do pani Beauséant. Kontrakt pana d'Adjuda został dziś rzeczywiście podpisany u dworu; biedna wicehrabina dowiedziała się o tym o drugiej po południu. Cały Paryż pójdzie dziś do niej, jak pospólstwo idzie tłumnie na plac de Greve w dzień egzekucji. Czyż to nie okrucieństwo iść po to tylko, by zobaczyć, czy ta kobieta będzie umiała ukryć swą boleść, czy dobrze umrzeć potrafi? Ja nie poszłabym, to pewna, gdybym przedtem u niej bywała; ale dzisiejsze przyjęcie będzie pewnie ostatnim, nie mogę go więc opuścić, bo wszystkie moje zabiegi byłyby daremne. Położenie moje jest wyjątkowe. Zresztą, chcę być na balu, bo i ty na nim będziesz. Czekam twego przybycia. Jeżeli nie przyjdziesz za dwie godziny, to nie wiem, czy potrafię przebaczyć ci takie wiarołomstwo".

Rastignac wziął pióro i odpisał co następuje:

„Czekam doktora, który zawyrokuje, czy ojciec twój żyć będzie. Zdaje się, że jest umierający. Przyniosę ci wyrok, lecz boję się, żeby to nie był wyrok śmierci. Zobaczysz jeszcze, czy będziesz mogła być na balu. Przyjm zapewnienia najczulszej miłości".

Doktór przyszedł o wpół do dziewiątej i stwierdził, że choć chory wyzdrowieć nie może, lecz i śmierć nie tak rychło jeszcze nastąpi. Zapowiedział ciągłe zmiany na lepsze i na gorsze, od których życie i przytomność starego będą zależały.

— Lepiej byłoby dla niego, gdyby prędzej skończył — rzekł doktor na zakończenie.

Eugeniusz powierzył ojca Goriot pieczy Bianchona, a sam poszedł do pani Nucingen ze smutnymi wieściami, które miały zaćmić jej radość. Tak przynajmniej sądził nasz student, którego umysł napojony był jeszcze surowym pojęciem obowiązków rodzinnych.

— Z tym wszystkim, powiedz jej, niech się dobrze bawi — zawołał ojciec Goriot, podnosząc się na posłaniu, na którym leżał dotąd bezwładnie.

Eugeniusz stanął przed Delfina z sercem rozdartym boleścią. Baronowa była już w trzewikach balowych, uczesana, gotowa tak, że tylko suknię włożyć pozostawało. Ale ostatnie te przygotowania, podobne do pociągnięć pędzla, którymi malarze wykończają swoje płótna, wymagały więcej czasu niż samo tło obrazu.

— Jak to, jeszcześ pan nie ubrany? — zapytała pani de Nucingen.

— Ale ojciec pani...

— Jeszcze mój ojciec — zawołała przerywając. — Ależ nie będziesz mnie pan uczył, com winna swemu ojcu. Znam ja ojca od dawna. Ani słowa, Eugeniuszu. Wtedy będę pana słuchała, gdy zobaczę, żeś już ubrany. Teresa przygotowała wszystko w pańskim mieszkaniu, powóz mój gotów, bierz go pan i powracaj. Pomówimy o ojcu jadąc na bal. Trzeba wyjechać wcześnie, bo i tak zatrzyma nas cały szereg powozów i w najlepszym razie chyba o jedenastej wejdziemy na salę.

— Pani!

— Dosyć, ani słowa więcej — zawołała biegnąc do buduaru po naszyjnik.

— Niechże pan jedzie, panie Eugeniuszu, bo się pani rozgniewa — rzekła Teresa popychając studenta, który stał przerażony tym wykwintnym ojcobójstwem.

Eugeniusz wyszedł oddając się najsmutniejszym, najbardziej zniechęcającym rozmyślaniom. Świat wydawał mu się oceanem błota, w którym dość było nogę umoczyć, by

wnet ugrzęznąć po szyję.

— Tylko nędzne zbrodnie tu się popełnia! — myślał sobie. — Vautrin jest większy.

Zobaczył już z bliska trzy wielkie wyrazy społeczeństwa: Posłuszeństwo, Walkę i Bunt; Rodzinę, Świat i Vautrina. I nie miał odwagi wybierać. Posłuszeństwo było nudne, Bunt niemożliwy, a Walka niepewna. Myśl jego przeniosła się na łono rodziny. Przypomniał sobie czyste wzruszenia życia spokojnego, przypomniał dni spędzone w gronie istot kochających, które poddawały się prawom przyrodzonym ogniska domowego znajdując przy nim szczęście zupełne, trwałe, niczym nie zmącone. Pomimo tych dobrych myśli, Eugeniusz nie miał odwagi złożyć przed Delfiną wyznania wiary dusz czystych i nakazać jej Cnotę w imię Miłości. Były to pierwsze owoce rozpoczętego niedawno wychowania; młodzieniec zaczynał już kochać samolubnie. Spryt wrodzony pozwolił mu odgadnąć naturę serca Delfiny, przeczuwał, że ta kobieta mogłaby iść na bal po trupie własnego ojca, a nie miał siły wystąpić w roli moralisty, nie miał dość odwagi, by się jej narazić, ani dość cnoty, żeby ją opuścić.

— Nie przebaczyłaby mi nigdy — myślał sobie — gdybym ją przekonał, że nie miała w tym razie słuszności.

Następnie zaczął się zastanawiać nad słowami lekarzy i wmawiać w siebie, że ojciec Goriot nie był wcale tak słaby, jak mu się zdawało; w końcu zdobył się na tysiące niegodnych rozumowań, za pomocą których potrafił usprawiedliwić Delfinę. Ona nie wie, w jakim stanie ojciec się znajduje, a zresztą sam stary odesłałby ją na bal, gdyby poszła do niego. Częstokroć prawo społeczne, nieubłagane w swojej formule, potępia tam, gdzie zbrodnia pozorna jest usprawiedliwiona tysiącem modyfikacji, które wyradza w łonie rodziny różnica charakterów oraz rozmaitość interesów i położeń. Eugeniusz chciał oszukać siebie samego i gotów był zrobić dla kochanki ofiarę z własnego sumienia. Od dwóch dni wszystko się w jego życiu zmieniło. Kobieta zmąciła jego porządek, zaćmiła blask rodziny i wszystko na swoją korzyść zabrała. Rastignac i Delfina spotkali się wśród takich okoliczności, które pozwoliły im odczuć całą słodycz tego spotkania. Namiętność ich dobrze przygotowana wzmogła się przez posiadanie, które zwykło zabijać namiętności.

Posiadając tę kobietę, Eugeniusz przekonał się, że dawniej pragnął jej tylko, a pokochał ją dopiero wtedy, gdy mu szczęście poznać dała. Kto wie, czy miłość nie jest tylko wdzięcznością za przyjemność doznaną? Eugeniusz nie pytał, czy ta kobieta jest nikczemną, czy wzniosłą; ubóstwiał ją za całe szczęście, które jej przyniósł w udziale i którego sam od niej doświadczył. Delfina również kochała go tak, jak Tantal kochałby anioła, który by przyszedł nasycić głód jego lub ugasić palące jego pragnienia.

— Jakże ma się mój ojciec? — zapytała Delfina, gdy stanął przed nią w stroju balowym.

— Niezmiernie źle — odparł student — jeżeli chcesz dać mi dowód swego przywiązania, to wstąpimy do niego.

— Dobrze — powiedziała — ale to po balu. Mój Eugeniuszu, bądźże dobry, nie praw mi morałów. Chodźmy.

Pojechali. Eugeniusz nie odzywał się przez czas długi.

— Co tobie? — zapytała Delfina.

— Słyszę chrapanie twego ojca — odparł z nieukontentowaniem.

I zaczął opowiadać z młodzieńczym zapałem o okrutnym postępku, którego pani de Restaud dopuściła się przez próżność, o śmiertelnym niebezpieczeństwie, na jakie ojciec dla niej się naraził, i o tym, jaką ceną okupiona będzie świetna suknia Anastazji. Delfina płakała.

— Łzy mnie oszpecą — pomyślała baronowa, a oczy jej oschły natychmiast. — Pójdę pielęgnować ojca, nie odstąpię od jego łóżka — powiedziała.

— Ach! Teraz jesteś taka, jaką cię widzieć pragnąłem — powiedział Eugeniusz.

Latarnie pięciuset powozów oświecały pojazd pałacu Beauséantów. Żandarmi na koniach znajdowali się po obu stronach drzwi oświetlonych. Wyborowe towarzystwo napływało tak obficie, a każdemu tak pilno było zobaczyć tę wielką kobietę w chwili upadku, że parterowe salony pałacu były już napełnione, gdy pani de Nucingen przybyła z Rastignac'iem.

Od chwili, gdy cały dwór cisnął się do „wielkiej Panny", której Ludwik XIV wydzierał kochanka, żadne nieszczęście serdeczne nie miało tyle rozgłosu, co przygoda pani de Beauséant. Ale ostatnia córa prawie królewskiego domu burgundzkiego okazała się wyższa od swego nieszczęścia i panowała aż do ostatniej chwili światu, od którego przyjęła próżność tylko dlatego, że ta miała dopomóc do tryumfu jej miłości. Najpiękniejsze kobiety Paryża ożywiały salon świetnością stroju i wdziękiem swych uśmiechów. Dokoła wicehrabiny cisnęli się dworacy najbardziej dystyngowani, znakomitości wszelkiego rodzaju, ambasadorowie i ministrowie obwieszani krzyżami, gwiazdami i wstęgami różnych kolorów. Orkiestra brzmiała pod złocistymi stropami pałacu, który zmienił się dla swej królowej w pustynię bezludną.

Pani de Beauséant stała na środku pierwszego salonu, przyjmując mniemanych swoich przyjaciół. Ubrana biało, bez żadnych ozdób w gładko zaplecionych włosach, wydawała się spokojna i nie zdradzała ani boleści, ani dumy, ani radości kłamanej. Nikt nie mógł wyczytać, co się działo w jej duszy. Rzekłbyś, że to Niobe wyciosana z marmuru. Uśmiech, którym witała najszczerszych przyjaciół przybierał niekiedy odcień szyderstwa; a zresztą była zupełnie taka jak zwykle, tak podobna do owej wicehrabiny, którą szczęście opromieniało swym blaskiem, że najobojętniejsi musieli ją podziwiać, jak młode Rzymianki podziwiały gladiatorów, którzy umieli uśmiechać się konając. Rzekłbyś, że świat przystroił się odświętnie na pożegnanie jednej z władczyń swoich.

— Obawiałam się, że pan nie przyjedziesz — rzekła do Rastignaca.

— Pani — odparł głosem wzruszonym, biorąc jej słowa za wymówkę — przyszedłem i wyjdę ostatni.

— Dobrze — powiedziała biorąc go za rękę. — Pan jesteś tu może jedyną istotą, której mogę zaufać. Przyjacielu, kochaj tylko taką kobietę, którą będziesz mógł kochać wiecznie, a nigdy żadnej nie opuszczaj.

Wsparła się na ramieniu Rastignaca i poprowadziła go do salonu, w którym grano w karty.

— Jedź pan do markiza — rzekła siadając z nim na kanapie. — Jakub, kamerdyner mój pojedzie razem i wręczy ci list do markiza, w którym upominam się o swoją korespondencję. Chcę wierzyć, że odda ci ją w całości. Gdy wrócisz pan z mymi listami, wejdź proszę do mego pokoju; każę, żeby mi znać dano.

Powstała na spotkanie najlepszej swej przyjaciółki, księżny de Langeais. Rastignac pojechał do pałacu Rochefide'ów, gdzie margrabia d'Adjuda miał spędzić wieczór. Jakoż był tam rzeczywiście, lecz dowiedziawszy się, o co chodzi, pojechał ze studentem do swego mieszkania i wręczył mu szkatułkę mówiąc:

— Tu są wszystkie listy.

Zdawało się, że chce coś jeszcze mówić, może pragnął dowiedzieć się szczegółów o balu u wicehrabiny, a może chciał wyznać przed Eugeniuszem, że już zaczyna rozpaczać z powodu swego małżeństwa, co później rzeczywiście miało miejsce, lecz błyskawica dumy zapaliła mu się w oczach i miał smutną odwagę zamilczeć o najszlachetniejszych swych uczuciach.

— Nic jej o mnie nie mów, kochany Eugeniuszu — wyrzekł, ściskając dłoń jego z wyrazem przychylności i smutku; po czym dał mu znak, żeby się oddalił.

Eugeniusz powrócił do pałacu Beauséantów i kazał się zaprowadzić do pokoju wicehrabiny, w którym widać było poczynione przygotowania do podróży. Usiadł przy ogniu, a utkwiwszy wzrok w szkatułkę cedrową, pogrążał się w głęboką i smutną zadumę. Pani de Beauséant przybierała w jego oczach rozmiary bogiń Iliady.

— Ach! przyjacielu — rzekła wicehrabina, wchodząc i opierając rękę na ramieniu Rastignaca.

Stała cała przed nim we łzach, z oczyma wzniesionymi; jedną rękę drżącą wyciągnęła ku niemu, a drugą podniosła ku górze. Pochwyciła nagle szkatułkę, rzuciła ją do ognia i śledziła okiem, aż póki nie spłonęła.

— Tańczą! Wszyscy przyszli punktualnie, tylko śmierć przyjdzie za późno. Cyt! Przyjacielu — zawołała kładąc palec na ustach Rastignaca, który chciał coś powiedzieć. — nigdy już nie zobaczę ani Paryża, ani świata. O piątej z rana odjeżdżam stąd, żeby zagrzebać się w głębi Normandii. Od trzeciej po południu zajęta już jestem przygotowaniem do drogi; musiałam podpisywać akta, wejrzeć w interesy, nie miałam kogo posłać do...

Zatrzymała się.

— Byłam pewna, że można go znaleźć u...

Zatrzymała się znowu przejęta boleścią. W takiej chwili wszystko jest cierpieniem, a niektórych słów wymówić nawet niepodobna.

— Wreszcie — poczęła znowu — liczyłam na pana, że zechcesz mi oddać tę ostatnią przysługę. Chciałabym dać ci jakiś zadatek przyjaźni. Będę myślała często o tobie, boś mi się wydał dobry i szlachetny, młody i czysty wśród tego świata, w którym podobne przymioty tak rzadko się spotykają. Pragnę, żebyś o mnie czasem pomyślał.

Obejrzała się dokoła.

— Oto jest — powiedziała — pudełko, w którym chowałam rękawiczki. Ilekroć otworzyłam go przed wyjazdem na bal lub do teatru, zawsze czułam, żem piękna, bo byłam szczęśliwa i po to tylko do niego się dotykałam, żeby myśl jaką wdzięczną w nim pozostawić: jest w nim wiele mojej istoty, jest cała pani de Beauséant, która już istnieć przestała. Przyjm je pan ode mnie. Postaram się, żeby ją odniesiono do twego mieszkania przy ulicy d'Artois. Pani de Nucingen bardzo pięknie dziś wygląda, kochaj ją szczerze. Jeżeli nie zobaczymy się więcej, to bądź pewien, przyjacielu, który byłeś zawsze dobry dla mnie, że modlić się będę za ciebie. Zejdźmy do salonu; nie chcę, żeby myślano, że ja płaczę. Mam wieczność całą przed sobą, będę sama i nikt nie zażąda rachunku łez moich. Jeszcze jedno tylko spojrzenie na ten pokój.

Wice-hrabina zatrzymała się, przysłoniła ręką oczy, po czym obtarła je, zwilżyła zimną wodą i wsparła się na ramieniu studenta.

— Idźmy — powiedziała.

Nic w życiu nie wzruszyło Rastignaca tak silnie, jak zetknięcie się z tą boleścią szlachetnie stłumioną. Pani de Beauséant obeszła z Eugeniuszem dokoła sali, była to ostatnia uprzejmość tej kobiety, odznaczającej się dziwnym wdziękiem.

Spojrzenie Eugeniusza padło na obie siostry: panią de Restaud i panią de Nucingen. Hrabina wyglądała wspaniale w całym przepychu brylantów, które musiały palić jej ciało, bo po raz ostatni miała je na sobie. Pomimo potężnej dumy i miłości, którą miała w sercu, nie mogła znieść spokojnie wzroku swego męża. Widok ten nie rozjaśnił wcale smutnych myśli Rastignaca. Tak jak pułkownik włoski przypominał mu postać Vautrina, tak również brylanty obu sióstr przywodziły na myśl barłóg, na którym ojciec Goriot spoczywał. Wicehrabina wytłumaczyła sobie opacznie smutek studenta i puściła jego ramię.

— Idź pan — powiedziała — nie chcę zatruwać ci przyjemności.

Delfina przywołała go natychmiast do siebie. Śpieszno jej było rzucić pod stopy studenta hołdy zebrane w tym świecie, do którego spodziewała się być już na zawsze przyjęta.

— Jakże znajdujesz pan Naścię? — zapytała.

— Ona umie korzystać nawet ze śmierci ojca własnego — rzekł Rastignac.

Około czwartej muzyka ucichła i tłumy zaczęły się przerzedzać, aż w końcu księżna de Langeais i Rastignac znaleźli się sami w sali balowej. Po chwili i wicehrabina stanęła na progu, pożegnawszy tylko co pana de Beauséant, który odszedł do swej sypialni powtarzając po kilkakroć:

— Źle robisz, moja droga, że uciekasz od świata w twoim wieku! Pozostań, proszę, z nami.

Pani de Beauséant wydała okrzyk podziwu na widok księżny, spodziewała się bowiem zastać samego Eugeniusza.

— Odgadłam cię, Klaro — rzekła pani de Langeais. — Odjeżdżasz, żeby nigdy już nie wrócić; lecz przed odjazdem musisz mnie wysłuchać, musimy się porozumieć!

Wzięła przyjaciółkę za rękę i wprowadziła ją do sąsiedniego salonu, a tam, popatrzywszy na nią ze łzami w oczach, przycisnęła ją do piersi i ucałowała gorąco.

— Nie chcę rozstawać się z tobą obojętnie, moja droga, to byłby dla mnie zbyt ciężki wyrzut sumienia. Możesz rachować na mnie jak na siebie samą. Byłaś wielka dzisiejszego wieczora, ja poczułam, żem ciebie godna i chcę ci tego dowieść. Zawiniłam względem ciebie, nie zawsze byłam dobra; przebacz mi to, najdroższa, zapieram się wszystkiego, co mogło cię zranić, chciałabym cofnąć moje słowa. Jedna boleść połączyła dusze nasze i nie wiem, która z nas będzie bardziej nieszczęśliwa. Pan de Montriveau nie był dziś tutaj, czy ty to pojmujesz? Kto cię widział, Klaro, podczas tego balu, ten nigdy ciebie nie zapomni.

Co do mnie, zrobię jeszcze ostatnie usiłowanie. Jeżeli mi się nie uda, to pójdę do klasztoru! A ty dokąd się udasz?

— Do Normandii, do Courcelles, kochać, modlić się, aż póki Bóg nie powoła mnie z tego świata.

— Chodź pan do nas, panie de Rastignac — rzekła wicehrabina głosem wzruszonym przypominając sobie, że Eugeniusz czeka na nią w salonie.

Student ukląkł przed kuzynką i złożył na jej ręce pocałunek.

— Bądź zdrowa, Antonino! — wyrzekła pani de Beauséant — bądź szczęśliwa! A ty, panie Eugeniuszu — mówiła do studenta — tyś szczęśliwy, boś młody, bo jeszcze wierzyć możesz. Opuszczając ten świat, mam wkoło siebie święte i szczere wzruszenia, jakie towarzyszyły zgonowi wybrańców szczęśliwych!

Rastignac pozostał aż do piątej i odszedł dopiero wtedy, gdy pani de Beauséant przesłała mu z powozu podróżnego ostatnie pożegnanie zroszone łzami. Pożegnanie to świadczyło, że osoby najwyżej położone nie są wyjęte spod praw serca i nie żyją bez troski, jak to wmawiają w naród ludzie goniący za popularnością.

Poranek był chłodny i wilgotny, a Eugeniusz wracał piechotą do domu Vauquer. Tak się uzupełniało jego wychowanie.

— Nie zdołamy ocalić biednego ojca Goriot — rzekł Bianchon, gdy Eugeniusz wszedł do pokoju sąsiada.

— Słuchaj, przyjacielu — powiedział Eugeniusz popatrzywszy na starca uśpionego — nie schodź nigdy ze skromnej drogi życia, która zadowala umiarkowane twoje żądania. Ja jestem w piekle i muszę w nim pozostać. Wierz we wszystko, cokolwiek złego powiedzą ci o świecie! Nie ma takiego Juwenala, co by zdołał opisać całą jego szkaradę okrytą złotem i klejnotami.

Nazajutrz Bianchon obudził Rastignaca około drugiej, prosząc, by go zastąpił przy łóżku Goriota, którego stan pogorszył się bardzo od rana.

— Stary nie przeżyje dwóch dni, a może nawet i sześciu godzin nie wytrzyma — mówił student medycyny — pomimo to musimy jednak walczyć z chorobą do ostatka. Potrzeba będzie użyć środków kosztownych. Będziemy go pielęgnowali, to pewne; ale ja nie mam ani grosza przy duszy. Przewróciłem jego kieszenie, przetrząsłem szafy: zero w ilorazie. Zapytałem go w chwili przytomności, ale powiedział mi, że nie ma ani jednego szeląga. A ty, czy masz cokolwiek?

— Mam tylko dwadzieścia franków, ale postawię na kartę i wygram.

— A jak przegrasz?

— Zwrócę się do jego zięciów i córek z prośbą o pieniądze.

— A jeżeli ci nic nie dadzą? — zapytał znów Bianchon. — Musimy dostać pieniędzy jak najprędzej, bo trzeba okryć starego wrzącymi synapizmami od stóp aż do połowy bioder. Jeżeli zacznie krzyczeć, to możemy mieć nadzieję. Wiesz, jak to się urządza, zresztą Krzysztof ci dopomoże. Ja wstąpię do apteki zaręczyć za wszystkie lekarstwa, jakie tam będziemy brali. Co za nieszczęście, że nie można było przenieść tego biedaka do naszego szpitala, byłoby mu tam nierównie lepiej. No, chodź ze mną do jego pokoju i nie opuszczaj go, aż póki ja nie wrócę.

Weszli obaj do pokoju starego. Eugeniusz przestraszył się zmianą, jaka zaszła na tej twarzy skrzywionej, bladej, wynędzniałej.

— Jak się masz, ojczulku? — zapytał pochylając się nad nędznym posłaniem.

Goriot podniósł na Eugeniusza oczy zagasłe, popatrzył uważnie, ale nie poznał, kto przed nim stoi. Student nie wytrzymał tego widoku, łzy zalały mu oczy.

— Bianchon, czy nie należałoby przysłonić okien firankami?

— Nie, okoliczności atmosferyczne nie wywierają już na niego żadnego wpływu. Byłby to zbyt szczęśliwy objaw, gdyby on poczuł wrażenie ciepła lub chłodu. Z tym wszystkim potrzeba nam ognia, żeby ugotować tyzannę i przyrządzić wiele innych rzeczy. Przyślę ci kilka wiązek gałęzi, które będą musiały wystarczyć, aż póki nie zdobędziemy drzewa. Przez dzień wczorajszy i przez noc spaliłem wszystek torf tego biedaka i cały zapas drzewa, jaki się u ciebie znajdował. Było tak wilgotno, że woda spływała po ścianach. Z wielkim trudem zdołałem osuszyć trochę ten pokój. Krzysztof zamiótł podłogę, bo to była istna stajnia. Wykadziłem tu jałowcem, bo smród był okropny.

— Mój Boże — rzekł Rastignac — a córki jego!

— Słuchaj, jeżeli poprosi pić, to dasz mu tego — rzekł asystent pokazując Rastignacowi wielki garnek biały. — Jeżeli zacznie się skarżyć, a żołądek będzie gorący i twardy, to wezwiesz Krzysztofa do pomocy i dasz mu... wiesz. Gdyby popadł przypadkiem w wielkie rozdrażnienie, gdyby mówił wiele lub dostał trochę obłędu, to nie potrzeba mu przeszkadzać. Będzie to niezły znak. Przyślesz w takim razie Krzysztofa do szpitala Cochin. Lekarz naczelny, kolega mój lub ja, przyjdziemy przypalić mu plecy moksą. Z rana, gdy spałeś jeszcze, zrobiliśmy wielką naradę z jednym uczniem doktora Galla, z naszym doktorem naczelnym i z lekarzem z Hôtel-Dieu. Panowie ci upatrują ciekawe symptomy, mamy więc śledzić przebieg choroby, żeby wyjaśnić kilka kwestii naukowych dosyć wielkiej wagi. Jeden z tych panów utrzymuje, że krew, naciskająca na jeden organ więcej niż na drugi, mogłaby wywołać szczególne objawy. Słuchaj więc dobrze, gdy zacznie mówić, żebyś potrafił określić, jakiego rodzaju wyobrażenia będą przemagały w jego mowie: czy to będą objawy pamięci, przenikliwości lub rozwagi; czy będzie się zajmował rzeczami materialnymi czy uczuciami; czy będzie rozumował lub zwracał się myślą do przeszłości; jednym słowem, uważaj, żebyś mógł zdać nam dokładne sprawozdanie. Może być, że atak będzie silny i jednorazowy, w takim razie, stary pozostanie aż do śmierci w zupełnym osłupieniu. Przebieg podobnych chorób bywa tak dziwaczny! Gdyby nieszczęście tu się skierowało — mówił Bianchon wskazując na tylną część głowy chorego — to bywają przykłady dziwnych zjawisk: mózg odzyskuje niektóre władze i śmierć nie tak rychło następuje. Krew może odstąpić od mózgu i obrać sobie drogi, których kierunek sekcja chyba może wykazać. W szpitalu chorób nieuleczalnych znajduje się pewien starzec idiota, u którego odpływ nastąpił wzdłuż kości pacierzowej; cierpi on straszliwie, ale żyje.

— Czy się one dobrze bawiły? — zapytał ojciec Goriot poznając Eugeniusza.

— Och! Nie przestaje myśleć o swych córkach — rzekł Bianchon. — W ciągu nocy powtórzył mi ze sto razy: One tańczą! Ona ma swą suknię! Wołał je po imieniu. Płakałem, do licha, słuchając tych wykrzykników: Delfino! Delfino moja! Naściu! Słowo daję — mówił student medycyny — nie można się było od łez powstrzymać.

— Delfina! — zawołał starzec. — Ona jest tu, nieprawdaż? Nie wątpiłem o tym.

I oczy jego zaczęły biegać z szaloną ruchliwością po drzwiach i ścianach.

— Idę powiedzieć Sylwii, żeby przyrządziła synapizmy — zawołał Bianchon — teraz jest najwłaściwsza chwila.

Rastignac pozostał sam przy łożu chorego, zapatrzony w tę głowę, której widok sprawiał wrażenie bolesne i przerażające.

— Pani de Beauséant ucieka, ten umiera — mówił do siebie. — Piękne dusze nie mogą przebywać długo na tym świecie. Bo jakże w rzeczy samej wielkie uczucia mogą się pogodzić ze społeczeństwem nędznym, płytkim i małym?

W myśli jego obudziły się wspomnienia balu, odbijające jaskrawo od łoża śmierci, które miał przed oczyma. Bianchon ukazał się nagle we drzwiach.

— Słuchaj, Eugeniuszu, spotkałem naszego lekarza naczelnego i przybiegam co tchu z powrotem. Jeżeli będą jakie oznaki rozsądku, jeżeli zacznie mówić, to położysz go na długim kawale synapizmu w ten sposób, żeby okryć go musztardą od karku aż do bioder, a potem przyślesz zaraz po nas.

— Drogi Bianchon!

— O! tu chodzi o fakt naukowy — zawołał student medycyny z całym zapałem neofity.

— Jak to — rzekł Eugeniusz — czyżbym ja jeden tylko pielęgnował tego starca przez przyjaźń?

— Nie mówiłbyś tak, gdybyś widział mnie dzisiaj rano — odparł Bianchon nie obrażony przymówką Eugeniusza. — Lekarze praktykujący od dawna widzą tylko chorobę, a ja, mój drogi, widzę jeszcze chorego.

Eugeniusz pozostał znowu sam na sam z chorym, w oczekiwaniu przesilenia, które rzeczywiście dość prędko nastąpiło.

— Ach! To ty, drogie dziecię — rzekł ojciec Goriot, poznając Eugeniusza.

— Czy ci lepiej, ojcze? — zapytał student, biorąc go za rękę.

— A tak, miałem głowę ściśniętą, jak w kleszczach, ale teraz już się wyswobadza. Czy widziałeś moje córki? One przyjdą niezadługo, przybiegną, jak tylko dowiedzą się, żem chory, one mnie tak pielęgnowały, gdyśmy mieszkali przy ulicy de la Jussienne! Boże!

Chciałbym, żeby mój pokój był czysty na ich przyjęcie. Był tu jakiś młody człowiek, który wypalił mi cały zapas torfu.

— Słyszę, że Krzysztof przychodzi — rzekł Eugeniusz. — Przynosi on właśnie drzewo, które panu ten młody człowiek przysyła.

— Ba! A czymże zapłacić za drzewo? Ja nie mam ani grosza, mój synu. Wszystko, wszystko oddałem. Jestem w domu przytułku. Czy przynajmniej suknia ze złotogłowu pięknie wyglądała? (Ach! jak ja cierpię!) Dziękuję, Krzysztofie, Bóg ci zapłaci, mój chłopcze, ja nic już nie mam.

— Bądź spokojny, ja zapłacę i tobie, i Sylwii — szepnął mu Eugeniusz do ucha.

— Moje córki mówiły ci, że zaraz przyjdą, nieprawdaż, Krzysztofie? Pójdź do nich raz jeszcze, dam ci za to sto sous. Powiedz, że mi niedobrze, że chciałbym je ucałować, zobaczyć raz jeszcze przed śmiercią. Powiedz tak, tylko uważaj, żebyś ich zbytecznie nie przeraził.

Krzysztof wyszedł na znak Rastignaca.

— Zaraz przyjdą — począł znów starzec. — Już ja je znam. Dobra Delfina! Jak się ona zmartwi, jeżeli ja umrę. I Naścia także. Nie chciałbym umrzeć, żeby one nie płakały. Umrzeć, dobry mój Eugeniuszu, to znaczy nie widzieć ich więcej. Będzie mi nudno tam, gdzie ludzie idą po śmierci. Dla ojca nie mieć dzieci, to znaczy być w piekle, a ja zaprawiałem się już do tego od czasu, jak one wyszły za mąż. Mój raj był przy ulicy de la Jussienne. Powiedz, proszę, wszak poszedłszy do raju, mógłbym powracać na ziemię i być jako duch przy nich. Nieraz o tym słyszałem. Czy to prawda? Zdaje się, że widzę je takimi, jakimi były przy ulicy de la Jussienne. Przychodziły co rano powiedzieć mi: dzień dobry, tatku. Brałem je na kolana, nagabywałem je, robiłem różne figielki. A one pieściły mnie wdzięcznie. Jadaliśmy razem śniadanie i obiad, słowem byłem ojcem, cieszyłem się swymi dziećmi. One jeszcze nie rozumowały, gdyśmy mieszkali przy ulicy de la Jussienne, nie wiedziały jeszcze nic o świecie i kochały mnie szczerze. Mój Boże! Czemuż na zawsze małymi nie zostały! (Och, cierpię, głowa mi pęka!) Ach! ach! darujcie mi, dzieci moje, cierpię okrutnie. Musi to być jakiś ból straszliwy, bom ja wytrwały na cierpienie, wyście mnie dobrze zahartowały. Mój Boże! Nie czułbym wcale tego bólu, gdybym mógł ręce ich trzymać w swojej dłoni. Czy sądzisz, że one przyjdą? Krzysztof taki głupi! Należało mi pójść samemu. On je zobaczy, a ja... Ale ty byłeś wczoraj na balu. Powiedz mi, jak one wyglądały? One nie wiedziały nic o mojej słabości. Biedaczki moje! Nie tańczyłyby pewnie, gdyby wiedziały. O! Nie chcę być dłużej chory. One mnie potrzebują. Mienie ich zagrożone. A jakim mężom one się dostały! Wyleczcie mię! Wyleczcie! (Och, jak ja cierpię! ach! ach! ach!) Widzisz, trzeba mnie wyleczyć, bo one potrzebują pieniędzy, a ja wiem, gdzie ich dostać. Pojadę do Odessy wyrabiać krochmal. Jestem sprytny, dorobię się na tym milionów. (Och! cierpię za wiele!)

Goriot zamilkł na chwilę: zdawało się, że zbiera siły, żeby ból wytrzymać.

— Nie skarżyłbym się, gdyby one tu były — powiedział. — Po cóż się skarżyć?

Po tych słowach nastąpiło lekkie uśpienie, które trwało aż do powrotu Krzysztofa. Rastignac sądził, że ojciec Goriot zasnął na dobre i pozwolił służącemu zdawać głośno sprawę ze swego poselstwa.

— Poszedłem najpierw do pani hrabiny — mówił Krzysztof — ale nie mogłem się z nią widzieć, bo zajęta była wraz z mężem ważnymi jakimiś interesami. Alem ja tak nastawał, że sam pan hrabia wyszedł do mnie i tak mi powiedział: „Pan Goriot umiera, to i dobrze! Nic rozumniejszego nie mógł zrobić. Pani de Restaud jest mi potrzebna, bo musimy pokończyć ważne interesy, pójdzie sobie wtedy, gdy wszystko będzie skończone". A taki był rozgniewany! Miałem już wychodzić, aż tu pani hrabina wchodzi do przedpokoju jakimiś drzwiami, których pierwej nie widziałem. „Krzysztofie — zawołała — powiedz memu ojcu, że ja się posprzeczałam z mężem i nie mogę go zostawić; chodzi o śmierć lub życie moich dzieci; ale przyjdę natychmiast, gdy wszystko będzie skończone". Z panią baronową to znów inna historia. Nie widziałem jej wcale, ani mówić z nią nie mogłem. „A! — powiedziała mi pokojówka — pani śpi; wróciła dziś z balu po piątej i gniewałaby się, gdybym ją przed południem obudziła. Gdy zadzwoni na mnie, to wtedy powiem, że jej ojciec ma się gorzej. Ze złą nowiną nie ma się czego śpieszyć, zawsze będzie czas ją powiedzieć". Daremnie prosiłem! Ach! Prawda! Chciałem się widzieć z panem baronem, ale nie było go w domu.

— Więc żadna z jego córek nie przyjdzie! — zawołał Rastignac. — Napiszę zaraz do obydwóch.

— Żadna — powtórzył starzec, podnosząc się na posłaniu. — Zajęte są, śpią, nie przyjdą. Ja to wiedziałem. Trzeba umrzeć, żeby poznać, czym są dzieci. Ach, przyjacielu! Nie żeń się, pozostań bezdzietny! Dajesz dzieciom życie, a one ci śmierć dają. Wprowadzasz je w świat, a one cię spychają do grobu. Nie — one nie przyjdą. Wiedziałem o tym od lat dziesięciu. Powtarzałem to sobie niekiedy, ale sam wierzyć nie śmiałem.

Łzy zakręciły się w oczach jego otoczonych krwawą obwódką.

— Ach! Gdybym był bogaty, gdybym miał całą fortunę, którą córkom oddałem, to i one byłyby tutaj i lizałyby mi twarz swymi pocałunkami! Mieszkałbym w pałacu w pięknych komnatach, miałbym sługi na zawołanie i ognia pod dostatkiem, a one tonęłyby we łzach, stojąc przy mym łożu z dziećmi i mężami swoimi. Tak, mógłbym mieć to wszystko, a nic nie mam, pieniądz daje wszystko, nawet córki. O, moje pieniądze! Gdzież one? Jakby one mnie pielęgnowały i doglądały, gdybym miał skarby do zostawienia; widziałbym je przy sobie, słyszałbym ich głos. Ach! Dziecię moje, drogie, jedyne, moje dziecię! Wolę ja opuszczenie, wolę nędzę swoją! Gdy nieszczęśliwy jest kochany, to wie przynajmniej, że szczerze go kochają. A jednak chciałbym być bogatym, żeby je zobaczyć. Słowo daję, kto wie? One obie mają serca z głazu. Zanadtom je kochał, żeby one kochać mnie miały. Ojciec powinien być zawsze bogaty, powinien trzymać swe dzieci na wodzy, jak konie narowiste. A ja, nieszczęsny, klękałem przed nimi! Nędznice! Chcą godnie uwieńczyć swoje dziesięcioletnie postępowanie ze mną. Gdybyś wiedział, jak one mi nadskakiwały zaraz po wyjściu za mąż! (Och! cierpię mękę okrutną!) Dałem wtedy każdej z nich do ośmiuset tysięcy franków, więc ani one, ani ich mężowie nie mogli obchodzić się ze mną niegrzecznie. A jak mnie przyjmowano: „Dobry ojcze, proszę tędy; proszę tamtędy, ojcze kochany". Na stole ich było zawsze jedno nakrycie dla mnie. Obiadowałem z ich mężami, którzy okazywali mi głęboki szacunek. Zdawało się im, że ja mam jeszcze cośkolwiek. A dlaczego? Jam nic nie mówił o swoich interesach. Człowiek, dający swym córkom po osiemset tysięcy franków, wart jest zabiegów. Toteż nadskakiwano nie mnie, tylko moim pieniądzom. Świat nie jest piękny. Jam się o tym przekonał! Wożono mnie do teatru, zapraszano na zebrania, i siedziałem u nich, ile mi się podobało. Wreszcie one nie zapierały się, że są mymi córkami, uznawały mnie za ojca. Cóż chcesz? Jam nie stracił jeszcze przenikliwości, nic nie uszło mojej uwagi. Wszystko trafiało do celu i serce mi raniło. Widziałem doskonale, że wszystko to było udane; ale już rady nie było. Nie byłem u nich tak swobodny, jak tu, przy naszym stole. Nie umiałem nic powiedzieć. Toteż ludzie światowi pytali nieraz, pochylając się do ucha mych zięciów: „Kto jest ten jegomość? — To ojciec z dukatami; bardzo jest bogaty. — Ach! do licha!" — mówiono, patrząc na mnie z szacunkiem, jaki wzbudzało wspomnienie o dukatach. Krępowałem i ich niekiedy, ale płaciłem drogo za swe błędy. A zresztą, któż jest doskonały? (Głowa moja jest jedną raną!) Cierpię w tej chwili tyle, ile trzeba cierpieć, aby umrzeć; a jednak, drogi mój panie Eugeniuszu, to jedno nic wobec boleści, której doznałem, gdy Anastazja dała mi po raz pierwszy poznać spojrzeniem, żem powiedział głupstwo, które ją upokorzyło; wzrok jej otworzył mi wszystkie żyły. Zapragnąłem wszystko umieć, a pojmowałem jedno tylko, żem już zbyteczny na ziemi. Chcąc się pocieszyć, poszedłem nazajutrz do Delfiny i znowu popełniłem tam jakieś głupstwo, które ją rozgniewało. Myślałem, że rozum stracę. Przez cały tydzień nie wiedziałem, co mam z sobą robić. Nie śmiałem iść do nich, obawiając się wymówek. I tak zostałem wygnany od mych córek. O Boże mój! Ty znasz przecie nędzę i cierpienia, których ja wtedy doznałem. Tyś porachował, ile sztyletów przeszyło mnie w owym czasie, który mnie postarzył, zmienił, zabił, i po cóż każesz mi cierpieć jeszcze? Przecież odpokutowałem już za to, żem je kochał zanadto. One zemściły się za mą miłość, szarpały mnie jak katy rozpalonymi kleszczami! I cóż powiesz? Ojcowie są tak głupi! Kochałem je tak bardzo, żem powracał do nich jak szuler do gry. Moje córki, to był mój występek, one mi były kochankami, wszystkim! Zdarzało się, że potrzebowały jakiegoś stroju, jakiejś ozdoby; pokojówki ich donosiły mi wnet o tym, a ja śpieszyłem z podarunkiem żeby zasłużyć na dobre przyjęcie! Pomimo to strofowały mnie po trosze za nieumiejętne moje znalezienie się w świecie. O! Nie odkładały nigdy lekcji do jutra. Obie już zaczynały rumienić się za mnie. Oto co znaczy dać dzieciom dobre wychowanie.

A przecie w moim wieku nie mogłem już iść do szkoły. (Cierpię okrutnie! Boże mój! doktorów, doktorów! Cierpiałbym bez porównania mniej, gdyby mi głowę otwierano!) Córki moje, córki! Anastazjo! Delfino! Chcę je widzieć. Poślijcie po nie żandarmów, niech je przyprowadzą przemocą. Sprawiedliwość jest po mojej stronie; natura, kodeks cywilny, wszystko za mną przemawia. Protestuję. Ojczyzna zginie, jeżeli ojców będą potrącać nogami. To jasne przecie. Społeczeństwo, świat cały stoi na ojcostwie, wszystko więc runie, gdy dzieci nie będą ojców kochały. O! Chcę je widzieć, słyszeć, mniejsza o to, co mi powiedzą, bylebym głos ich usłyszał, zwłaszcza głos Delfiny, bo to uśmierzy moje boleści. Ale powiedzcie im, gdy przyjdą, żeby nie patrzyły na mnie ze zwykłą oziębłością. Ach! Panie Eugeniuszu, dobry mój przyjacielu! Nie wiesz, co to znaczy, gdy złoto spojrzenia zmienia się dla nas nagle w ołów szary. Wieczna zima otoczyła mnie od chwili, gdy oczy ich przestały oblewać mnie swymi promieniami, boleść sama była mym udziałem! Żyłem po to, by znosić ciągłe upokorzenia. A kochałem je tak bardzo, że połykałem tysiąc zniewag, byle za tę cenę kupić sobie jaką biedną, ukradkową przyjemność. Ja, ojciec, musiałem widywać swe córki po kryjomu! Dałem im życie, a one nie dadzą mi dziś jednej godziny. Pragnę i łaknę i serce mi się pali, a one nie przyjdą ochłodzić mego zgonu, bo umieram już, czuję to dobrze. Ależ one nie wiedzą chyba, co to znaczy deptać po trupie ojca? Jest Bóg w niebie: On mści się za ojców wbrew ich woli. Och! One przyjdą! Przyjdźcie, moje ukochane, przyjdźcie ucałować mnie raz jeszcze! Dajcie ostatni pocałunek, jak wiatyk waszemu ojcu, który będzie modlić się za was do Boga i bronić was będzie, i powie, żeście były dobrymi córkami! Bo wyście przecie niewinne. One niewinne, przyjacielu! Powiedz to wszystkim, żeby nikt nie miał do nich żalu za mnie. Jam winien wszystkiemu, jam je przyzwyczaił do tego, żeby mnie nogami tratowały. Mnie to przyjemność sprawiało. Cóż komu do tego? Nie należy to ani do ludzkiej, ani do boskiej sprawiedliwości. Bóg byłby chyba niesprawiedliwy, gdyby je za mnie potępił. Ja nie umiałem postępować, byłem tak głupi, żem się zrzekł praw swoich. Ja byłbym się spodlił dla nich! Cóż chcecie? Najpiękniejsza natura, najlepsza dusza zepsułaby się pod wpływem takiej pobłażliwości ojcowskiej. Jam nędznik sprawiedliwie ukarany. Sam popchnąłem córki do złego, sam je zepsułem. Dziś zachciewa się im przyjemności, jak dawniej cukierków się zachciewało. Pozwalałem im zadowalać wszystkie zachcianki dziecinne. W piętnastym roku miały już swój powóz! Nic się im oprzeć nie mogło. Ja jeden zawiniłem, lecz zawiniłem przez miłość. Ich głos otwierał mi serce. Słyszę je, już nadchodzą. O, tak! One przyjdą! Prawo chce, żeby dzieci przychodziły do ojca umierającego. Prawo jest po mojej stronie. Czyż to tak drogo kosztuje przyjechać? Ja sam zapłacę za kabriolet. Napisz im, że ja mam miliony! Słowo honoru! Pojadę do Odessy i będę tam wyrabiał makaron włoski. Wiem, jak się to robi. Mam dobry plan, zdobędę sobie niejeden milionik. Makaron nie zepsuje się w czasie przewozu, jak zboże lub mąka. Ba! ba! A krochmal? I on przyniesie miliony! Nie skłamiesz więc, mówiąc im o milionach. Niech sobie przyjdą przez chciwość, niech mnie oszukają, bylebym je zobaczył. Chcę moich córek! One są moim dziełem! One do mnie należą! — wołał, podnosząc się na posłaniu i ukazując Eugeniuszowi głowę pokrytą siwym, najeżonym włosem, głowę, która groziła wszystkim, co mogło groźbę wyrażać.

— Połóż się, dobry mój ojcze Goriot — rzekł Eugeniusz. — Ja do nich zaraz napiszę. Czekam tylko Bianchona; pójdę do nich sam, jeżeli tu nie przyjdą.

— Jeżeli nie przyjdą? — powtórzył starzec ze łkaniem. — Ależ ja umrę, umrę tymczasem w przystępie szaleństwa, szaleństwa! Szaleństwo mnie ogarnia! Widzę w tej chwili całe moje życie. Jam głupiec! One mnie nie kochają, one mnie nigdy nie kochały! Przecie to jasne, jeżeli dotąd nie przyszły, to wcale już nie przyjdą. Im dłużej będą zwlekały, tym bardziej nie zechcą sprawić mi tej radości. Znam je; nigdy nie umiały one przeczuwać potrzeb, trosk i boleści moich, toteż i śmierci mej nie przeczują. One nie pojmują nawet mej miłości. Tak, widzę teraz, że wszystko, co dla nich robiłem, wydawało im się rzeczą małej wagi, bo wiedziały, żem ja gotów dla nich wnętrzności sobie otworzyć! Gdyby zapragnęły wyłupić mi oczy, to ja bym powiedział: „Wyłapcie je!" Zanadtom głupi. A im się zdaje, że wszyscy mają takich ojców jak one. Trzeba zawsze kazać siebie cenić. Dzieci ich pomszczą się za mnie. Ależ własny interes każe im przyjść do mnie. Ostrzeż je, proszę, że nie chcąc uszanować moich chwil ostatnich, przygotowują sobie zgon niedobry. W tej jednej zbrodni popełniają wszystkie inne. Idźże do nich, powiedz im prędzej, że nieobecnością swoją ojcobójstwo popełniają! Dość ich i bez tego popełniły. Krzyczże, krzycz tak jak ja:

„Hej! Naściu! hej! Delfino! pójdźcie do ojca, który był dla was tak dobry, a teraz cierpi okrutnie!" Nic z tego, nikt nie przychodzi. Mamże umrzeć, jak pies jaki? Więc opuszczenie jest moją nagrodą! Ależ to są nikczemnice, zbrodniarki! Przeklinam je! Brzydzę się nimi! Podniosę się w nocy z trumny, żeby je przekląć raz jeszcze, bo, powiedzcież przyjaciele, czy ja nie mam słuszności? Wszak one bardzo źle postępują, nieprawdaż? Co ja mówię? Powiedzieliście mi przecie, że Delfina przyszła. Ona jest lepsza od tamtej. Tyś synem moim, Eugeniusza! Kochaj ją, bądź dla niej ojcem. Druga jest bardzo nieszczęśliwa! A ich fortuna! Ach! Boże mój! Umieram, cierpię za wiele: oderżnijcie mi głowę, zostawcie tylko serce.

— Krzysztofie, biegnij po Bianchona i sprowadź mi kabriolet! — zawołał Eugeniusz przerażony gwałtownością skarg i krzyków starego.

— Pojadę po córki twoje, dobry ojcze Goriot, i przywiozę je tutaj.

— Przemocą! Przemocą! Wezwij na pomoc straż, armię, wszystko, wszystko! — zawołał, rzucając na Eugeniusza ostatnie spojrzenie, w którym zaświeciła jeszcze iskra rozumu. — Udaj się do władz, do prokuratora królewskiego, powiedz, żeby mi je tutaj przyprowadzili, bo ja tego żądam!

— Ależ przeklinałeś je, ojcze.

— Któż to powiedział? — zawołał starzec zdumiony. — Wiesz przecie, że je kocham, ubóstwiam! Ozdrowieję natychmiast, gdy je zobaczę... Idź, dobry sąsiedzie, idź, drogie moje dziecię; jesteś taki dobry, chciałbym ci podziękować, ale nic ci dać nie mogę oprócz błogosławieństwa umierającego. Ach, chciałbym widzieć choć Delfinę! Powiedziałbym jej, żeby ci za mnie zapłaciła. Choć tę mi przyprowadź, jeżeli druga przyjść nie może. Powiedz, że przestaniesz ją kochać, jeżeli przyjść nie zechce. Ona cię tak kocha, że przyjdzie niezawodnie. Pić! Wnętrzności mi płoną! Przyłóżcie mi cokolwiek do głowy. Dajcie tu rękę mej córki, to mnie zbawi, czuję... Mój Boże! Któż im powróci dobrobyt, gdy ja umrę? Chcę pojechać dla nich do Odessy! Do Odessy robić makaron włoski.

— Napij się, ojcze — rzekł Eugeniusz, podnosząc chorego.

Objął go lewem ramieniem, a drugą ręką podniósł mu do ust filiżankę pełną tyzanny.

— O, ty musisz kochać ojca swego i matkę swoją! — mówił starzec, ściskając słabnącymi rękami dłoń Eugeniusza. — Czy ty pojmujesz, że ja umrę, nie zobaczywszy mych córek? Życie moje było od lat dziesięciu ciągłym, nieugaszonym pragnieniem... Zięciowie zabili mi córki. Tak jest, nie miałem już córek od czasu, jakem je za mąż powydawał. Ojcowie, powiedzcie izbom, że potrzeba nowego prawa o małżeństwie! Albo nie wydawajcie córek za mąż, jeżeli je kochacie. Zięć — to nikczemnik, który psuje nam córkę. Dosyć małżeństw! One wydzierają nam dzieci i nie mamy ich później przy sobie w ostatniej godzinie. Wydajcie prawo o śmierci ojców. To rzecz okropna! Zemsty! Zięciowie nie puszczają mych córek do mnie. Zabijcie ich! Na śmierć Restauda, na śmierć Alzatczyka, to są moi mordercy! Dajcie mi śmierć lub córki! Ach! Już po wszystkim, umieram bez nich! Naściu! Fifinko! Prędzej, chodźcie! Tatko wasz umiera...

— Uspokój się, dobry ojcze Goriot, nie wzruszaj się, nie myśl.

— Nie widzieć ich — to śmierć moja!

— Zaraz je zobaczysz.

— Doprawdy! — zawołał starzec obłąkany. — O! Zobaczyć je! Ja je zobaczę, posłyszę ich głos. Umrę szczęśliwy. A tak, nie proszę o dłuższe życie, nie dbałem już o nie, bo troski moje rosły z dniem każdym. Ale zobaczyć je, dotknąć się ich sukien, ach, tylko sukien, to tak niewiele; lecz dość, bym wziął w ręce jaki przedmiot, który do nich należy. Pozwólcie mi wziąć włosy... sy...

Upadł na poduszkę, jak gdyby powalony uderzeniem maczugi. Ręce jego zaczęły coś chwytać po kołdrze; widocznie szukał włosów swych córek.

— Błogosławię je — wyrzekł z wysiłkiem — błogosławię...

I osłabł raptownie. Bianchon ukazał się w tej chwili we drzwiach.

— Spotkałem Krzysztofa, zaraz ci fiakra sprowadzi — powiedział.

Popatrzył na chorego, podniósł mu przemocą powieki i obaj studenci ujrzeli oko, w którym już ani blasku, ani ciepła nie było.

— Zdaje mi się, że to już nie przejdzie — rzekł Bianchon. Wziął starego za puls, następnie przyłożył mu rękę do serca.

— Maszyna jeszcze iść nie przestała; ale w takim stanie, w jakim on się znajduje, jest to prawdziwe nieszczęście. Lepiej byłoby, gdyby umarł.

— To prawda — rzekł Rastignac.

— Co tobie? Jesteś blady jak śmierć.

— Ach, przyjacielu, słuchałem wciąż skarg i krzyków. Jest Bóg! O, tak! Jest Bóg i jest świat lepszy, który On dla nas przygotował, bo inaczej ziemia nasza byłaby nonsensem. Tonąłbym we łzach, gdyby to było mniej tragiczne, ale coś mi okropnie ściska serce i żołądek.

— Słuchaj, trzeba będzie wiele rzeczy; skądże weźmiemy pieniędzy?

Rastignac wyciągnął zegarek.

— Masz, zastaw to prędko. Ja nie mogę zatrzymać się po drodze, bo każda chwila jest droga, a teraz czekam Krzysztofa. Nie mam ani szeląga; trzeba będzie zapłacić woźnicy, gdy odwiezie mnie z powrotem.

Rastignac zbiegł pędem po schodach i pojechał na ulicę du Helder, do pani de Restaud. W drodze, wyobraźnia uderzona straszliwym obrazem, na który patrzył przed chwilą, podniecała coraz bardziej jego oburzenie. Na zapytanie, czy może się widzieć z panią hrabiną, odpowiedziano mu, że pani nie przyjmuje nikogo.

— Ależ — powiedział Eugeniusz do kamerdynera — ja przychodzę od ojca pani hrabiny, który jest umierający.

— Pan hrabia zakazał nam najsurowiej.

— Jeżeli pan de Restaud jest w domu, to proszę powiedzieć mu, w jakich okolicznościach znajduje się teść jego oraz oświadczyć, że ja potrzebuję koniecznie rozmówić się z nim w tej chwili.

Eugeniusz czekał długo, nie mogąc pozbyć się myśli straszliwej, że stary może umrzeć tymczasem.

Kamerdyner wprowadził go do pierwszego salonu, gdzie pan de Restaud stał przed wygasłym kominkiem. Hrabia przywitał studenta ozięble i nie prosił go siadać.

— Panie hrabio — powiedział Rastignac — teść pański kona w tej chwili w nędznej dziurze i nie ma szeląga jednego na drzewo. Pragnie widzieć się z córką, bo ostatnia jego godzina się zbliża...

— Mój panie — odparł ozięble hrabia de Restaud — mogłeś pan zauważyć, że ja nie mam zbyt wiele sympatii dla pana Goriot. Naraził mi się przez swoje postępowanie z panią de Restaud, zakłócił szczęście mego życia, jednym słowem, widzę w nim nieprzyjaciela mojego spokoju. Może sobie umierać lub żyć, wszystko mi to jedno. Oto jakie są moje uczucia dla niego. Świat może mnie ganić, ja gardzę opinią. Mam w tej chwili zbyt ważne rzeczy do spełnienia, żeby zajmować się tym, co pomyślą o mnie głupcy lub obojętni. Pani de Restaud nie jest w stanie wyjść z domu. Zresztą, ja nie chcę, żeby się teraz oddalała. Proszę oświadczyć jej ojcu, że przyjdzie do niego wtedy, gdy spełni swe obowiązki względem mnie i względem mego dziecka. Jeżeli kocha ojca, to może być swobodna za chwilę...

— Panie hrabio, nie do mnie należy sądzić postępowanie pańskie, jesteś panem swej żony; lecz mogę rachować na pańską uczciwość i proszę, żebyś mi przyrzekł jedno tylko, że powiesz hrabinie, iż ojciec jej nie przeżyje dnia dzisiejszego i przeklął już ją za to, że nie przyszła czuwać u jego wezgłowia!

— Powiedz jej pan to osobiście — rzekł hrabia, tknięty wyrazem oburzenia, które dźwięczało w głosie Eugeniusza.

Rastignac wszedł z nim do salonu, w którym hrabina zwykle przebywała, znalazł ją zalaną łzami i zagłębioną w fotelu z takim jakimś wyrazem przygnębienia, jak gdyby śmierci już tylko wyglądała. Żal mu się jej zrobiło, gdy podniosła na męża wzrok bojaźliwy, w którym malował się zupełny upadek sił wyczerpanych tyranią moralną i fizyczną. Hrabia skinął głową, znak ten ośmielił ją do mówienia.

— Słyszałam wszystko — wyrzekła. — Powiedz pan ojcu, że przebaczyłby mi, gdyby wiedział, w jakim położeniu ja się znajduję. Nie spodziewałam się tej męczarni, przechodzi ona moje siły, lecz pomimo to wytrwam do końca — mówiła zwracając się do męża. — Matką jestem. Powiedz pan memu ojcu, żem nie zasłużyła na jego wyrzuty, chociaż pozory mnie potępiają — wykrzyknęła z rozpaczą.

Eugeniusz złożył ukłon i cofnął się zdumiony, odgadując, jak straszliwie hrabina cierpiała w tej chwili. Z mowy pana de Restaud pojął, że usiłowanie jego było daremne i że Anastazja nie była już swobodna. Pośpieszył z kolei do pani de Nucingen, którą znalazł w łóżku.

— Jestem cierpiąca, biedny mój przyjacielu — powiedziała Delfina. — Zaziębiłam się przy wyjściu z balu i obawiam się, czy nie dostałam kataru płuc. Czekam doktora...

— Choćbyś pani stała jedną nogą w grobie, to i tak powinna byś zawlec się do ojca. On woła ciebie, pani! Zapomniałabyś pewnie o swym cierpieniu, gdybyś mogła słyszeć najsłabszy krzyk jego.

— Eugeniuszu, ojciec mój nie jest może tak chory, jak ty mówisz; ale chcę być w twych oczach bez zarzutu i postąpię według twej woli. Wiem, że ojciec umarłby sam ze zmartwienia, gdybym ja, wyszedłszy z domu, naraziła się na śmiertelną chorobę. Pomimo to pójdę, tylko muszę zobaczyć się wpierw z doktorem. Ach! Dlaczegóż to nie masz zegarka? — zapytała — widząc, że na piersi Eugeniusza nie ma złotego łańcuszka.

Eugeniusz się zarumienił.

— Eugeniuszu! Eugeniuszu! Jeżeliś go już sprzedał lub zgubił... o! To byłoby bardzo niedobrze.

Student pochylił się nad łóżkiem Delfiny i szepnął jej do ucha:

— Chcesz wiedzieć? dobrze więc, słuchaj! Ojciec twój nie ma za co kupić sobie całunu, w który go dziś jeszcze uwiną. Zastawiłem twój zegarek, bom nie miał już nic więcej.

Delfina wyskoczyła nagle z łóżka i pobiegła do biurka.

— Jadę, jadę natychmiast, Eugeniuszu — zawołała podając mu sakiewkę, którą z biurka wyjęła.

Zadzwoniła.

— Pozwól mi się ubrać; byłabym chyba potworem, gdybym nie pojechała! Idź, ja cię uprzedzę! Tereso — zawołała na pokojową — powiedz panu de Nucingen, żeby przyszedł natychmiast rozmówić się ze mną.

Eugeniusz był tak uszczęśliwiony dobrą nowiną, którą miał zwiastować umierającemu, że powrócił prawie wesół na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève. Stanąwszy przed domem, sięgnął co prędzej do sakiewki, żeby zapłacić woźnicy. Niestety! Sakiewka bogatej i eleganckiej baronowej zawierała tylko sześćdziesiąt sześć franków. Eugeniusz wbiegł szybko na schody i stanął przy łóżku Goriota. Bianchon podtrzymywał w tej chwili chorego, a felczer szpitalny przypalał mu plecy moksą według wskazówki lekarza. Ostatni ten środek, na jaki nauka mogła się zdobyć, nie wywierał już żadnego skutku.

— Czy pan czujesz palenie? — pytał lekarz.

Ojciec Goriot spostrzegł w tej chwili studenta i powiedział:

— Przyjdą, nieprawdaż?

— Kiedy mówi, to jeszcze nadzieja nie stracona — rzekł felczer.

— Tak — odparł Eugeniusz — Delfina wnet przyjdzie.

— Ba! — rzekł Bianchon — on mówił o swych córkach, których pragnie, jak człowiek wbity na pal pragnie wody...

— Przestań — rzekł lekarz do felczera — to próżna robota, nic mu już nie pomoże.

Bianchon i felczer złożyli znów chorego na wstrętnym barłogu.

— Należałoby jednak zmienić mu bieliznę — rzekł lekarz. — Nie ma już wprawdzie żadnej nadziei, ale trzeba uszanować w nim ludzką naturę. Powrócę tu jeszcze — rzekł do Bianchona. — Jeżeli zacznie znów narzekać, to przyłóż mu pan kompres z opium.

Po tych słowach lekarz wyszedł z felczerem.

— No, synu, odwagi! — rzekł Bianchon do Rastignaca gdy pozostali sami — trzeba mu włożyć czystą koszulę i pościel odmienić. Powiedz Sylwii, niech weźmie czyste prześcieradła i przyjdzie nam dopomóc.

Eugeniusz zeszedł na dół i zastał panią Vauquer, i Sylwię zajęte nakrywaniem stołu. Przy pierwszych słowach Rastignaca, wdowa zbliżyła się do niego ze słodkokwaskowatą miną podejrzliwej kupcowej, która nie chciałaby ani stracić pieniędzy, ani obrazić kupującego.

— Kochany panie Eugeniuszu — wyrzekła — wiesz pan równie dobrze jak ja, że ojciec Goriot nie ma już ani grosza. Jak ja dam prześcieradło człowiekowi, który już oczy zawraca, to mogę być pewna, że nic za nic nie dostanę, a przecie i tak trzeba będzie

poświęcić jedno z nich na całun. Winniście mi już panowie sto czterdzieści cztery franki; proszę teraz dodać czterdzieści franków za prześcieradła, za różne drobiazgi i za świecę, którą Sylwia da panom, wszystko to wyniesie przynajmniej dwieście franków, których ja, biedna wdowa, wyrzec się nie mogę. Chciej pan być sprawiedliwy, panie Eugeniuszu, dość już ja straciłam od czasu, jak nieszczęścia zagościły w mym domu. Dałabym z chęcią dziesięć talarów, żeby tylko ten stary wyniósł się był ode mnie wówczas, kiedyście to panowie projektowali zmienić mieszkanie. To przeraża wszystkich moich stołowników. Kazałabym go przewieźć do szpitala za bardzo niewielkie wynagrodzenie. Wreszcie, chciej pan wejść w moje położenie. Ja muszę się troszczyć przede wszystkim o swój zakład, bo to jest życie moje.

Eugeniusz pobiegł szybko na górę do Goriota.

— Bianchon, gdzie są pieniądze, któreś wziął za zegarek?

— Na stole. Po zapłaceniu wszystkiego, cośmy byli winni, pozostało jeszcze trzysta sześćdziesiąt kilka franków. Pokwitowanie z lombardu leży pod pieniędzmi.

— Możemy załatwić rachunki — rzekł Eugeniusz zbiegłszy ze schodów z uczuciem wstrętu. — Pan Goriot niedługo już pozostanie u pani, a ja...

— A tak, nieborak wyjdzie nogami naprzód — mówiła pani Vauquer — rachując pieniądze z wyrazem na wpół smętnym, a na wpół wesołym.

— Kończmy teraz — rzekł Rastignac.

— Sylwio, daj prześcieradła i idź pomóc tym panom.

— Nie zapomnij pan o Sylwii — szepnęła pani Vauquer do ucha Eugeniuszowi — ona czuwała dwie noce.

Widząc, że Eugeniusz zwraca się ku schodom, stara podbiegła co prędzej do kucharki i szepnęła:

— Weź prześcieradła przeszywane, numer siódmy. Na Boga! Przecie to aż nadto dobre dla nieboszczyka.

Eugeniusz wbiegł już na schody i nie mógł słyszeć słów gospodyni.

— Zmieńmy mu koszulę — rzekł Bianchon — Trzymaj go prosto.

Rastignac stanął u wezgłowia i podniósł chorego, a Bianchon zdjął z niego koszulę. Stary zrobił ruch, jak gdyby chciał przycisnąć coś do piersi, wydając przy tym żałosne jakieś i niewyraźne okrzyki, przypominające głos zwierząt, które chcą boleść wielką wyrazić.

— Och! och! — zawołał Bianchon — on szuka łańcuszka z włosów i medalionu, któreśmy mu zdjęli przed chwilą, gdy felczer mu plecy przypalał. Biedny człowiek! Trzeba mu je oddać. Leżą tam na kominku.

Eugeniusz wziął w ręce łańcuszek wypleciony z włosów złocistopopielatych; były to zapewne włosy pani Goriot. Z jednej strony medalionu wyryte było imię Anastazja, z drugiej — Delfina. Tak więc człowiek ten nosił zawsze na piersi wierny obraz serca swojego. Włosy zamknięte w medalionie były tak cienkie, że musiały należeć do młodziuchnych główek dziecinnych. Przy dotknięciu medalionu, z piersi starca wyrwało się westchnienie przeciągłe, świadczące o głębokim zadowoleniu. W westchnieniu tym był ostatni oddźwięk uczucia, które zdawało się cofać do owego środka nieznanego, z którego wychodzą i ku któremu zwracają się nasze sympatie. Twarz jego konwulsyjnie skrzywiona, przybrała wyraz radości chorobliwej. Ten wybuch potężnego uczucia, które przetrwało nawet myśl samą, wzruszył do głębi obu studentów; z oczu ich popłynęły łzy gorące i spadły na umierającego, który wydał przeraźliwy okrzyk zadowolenia.

— Naściu! Fifinko! — zawołał.

— Żyje jeszcze — rzekł Bianchon.

— Do czego mu się to zdało? — zapytała Sylwia.

— Żeby cierpieć — odparł Rastignac.

Bianchon ukląkł po jednej stronie łóżka i wziął chorego pod kolana, a Rastignac ukląkł z drugiej strony i podsunął mu ręce pod plecy. Obaj unieśli go w górę, a Sylwia ściągnęła brudne prześcieradła i zastąpiła je czystymi. Goriot, zwiedziony zapewne łzami studentów, zebrał resztki sił i wyciągnął ręce, a napotkawszy dwie głowy po obu stronach łóżka, schwycił je gwałtownie za włosy, przy czym usta jego wyszeptały słabo:

— Ach! Moje anioły!

Były-to niby słowa, niby szmer jakiś, z którym i dusza razem uleciała.

— Biedny, kochany człowiek — zawołała Sylwia, wzruszona tym wykrzyknikiem, w którym malowało się najwyższe uczucie, obudzone po raz ostatni kłamstwem najstraszliwszym i najniewinniejszym zarazem.

Ostatnie westchnienie tego ojca miało być westchnieniem radości. Było w nim streszczenie życia całego; człowiek ten mylił się jeszcze, mylił się po raz ostatni. Studenci złożyli go ze czcią na posłaniu. Od tej chwili twarz jego wyrażała wciąż walkę bolesną między życiem a śmiercią, która toczyła się w machinie pozbawionej już tego rodzaju samowiedzy mózgowej, z której wynika dla istoty ludzkiej wrażenie przyjemności i bólu. Zniszczenie zupełne było już tylko kwestią czasu.

— Pozostanie tak kilka godzin, nie będzie nawet chrapał i skona nieznacznie. Mózg musi być zupełnie zaatakowany.

W tej chwili dały się słyszeć szybkie kroki młodej kobiety.

— Za późno przychodzi — rzekł Rastignac.

Zamiast Delfiny ukazała się we drzwiach pokojówka jej, Teresa.

— Panie Eugeniuszu — wyrzekła zdyszana — wynikła u nas gwałtowna scena między panem i panią z powodu pieniędzy, których biedna moja pani żądała dla swego ojca. Pani zemdlała, sprowadzono doktora, trzeba było krew jej puszczać, a ona ciągle krzyczała: „Ojciec mój umiera, chcę go zobaczyć!" Serce pękało słuchając tych krzyków.

— Dosyć, Tereso. Pani nie miałaby już po co przychodzić, bo pan Goriot stracił przytomność.

— Biedny, kochany pan! Czyż on już taki słaby! — rzekła Teresa.

— Ja tu nie potrzebna, pójdę lepiej doglądać obiadu, bo już pół do piątej — powiedziała Sylwia zwracając się ku schodom, gdzie omal nie potrąciła pani de Restaud.

Hrabina ukazała się jak zjawisko pełne grozy i powagi. Zwróciła oczy na łoże śmierci, oświetlone niepewnym blaskiem jednej świecy i zalała się łzami na widok zmienionej twarzy ojca, po której przechodziły jeszcze ostatnie dreszcze życia. Bianchon wycofał się dyskretnie.

— Nie wymknęłam się dość wcześnie — rzekła hrabina do Rastignaca.

Student odpowiedział jej pełnym smutku skinieniem. Pani de Restaud ujęła rękę ojca i przycisnęła ją do ust.

— Przebacz mi, ojcze! Mówiłeś, że głos mój wywołałby cię z grobu; wróć więc, wróć na chwilę do życia, by pobłogosławić twą córkę skruszoną. Usłysz mnie! To coś okropnego! Twoje błogosławieństwo jest jedynym, jakie ja mogę otrzymać tu na ziemi. Wszyscy mnie nienawidzą, ty jeden mnie kochasz. Nawet dzieci własne nienawidzić mnie będą. Uprowadź mnie z sobą, ojcze, ja cię otoczę miłością i staraniem. On już nie słyszy, jam szalona!

Upadła na kolana i patrzyła nań nieprzytomnie.

— Niczego nie brak do mego nieszczęścia — mówiła zwracając się do Eugeniusza. — Pan de Trailles odjechał pozostawiając tu długi ogromne, a ja dopiero teraz się przekonałam, że mnie oszukiwał. Mąż trzyma w ręku cały mój fundusz i nie przebaczy mi nigdy mego postępowania. Pierzchły wszystkie moje złudzenia. Niestety! Dla kogóż zdradziłam jedyne serce — wskazała na ojca — które mnie ubóstwiało! Zapomniałam go, odepchnęłam, wyrządzałam mu krzywd tysiące, o ja niegodziwa!

— On wiedział o tym — wyrzekł Rastignac.

W tej chwili ojciec Goriot otworzył oczy wskutek drgnienia konwulsyjnego. Poruszenie, którym hrabina zdradziła budzącą się nadzieję, sprawiało nie mniej okropne wrażenie, jak wyraz umierającego.

— Miałżeby mnie usłyszeć? — krzyknęła.— Ale nie! — wyrzekła po chwili siadając przy łóżku.

Eugeniusz zostawił panią de Restaud przy ojcu, a sam zbiegł na dół, żeby się trochę posilić. Stołownicy byli już zgromadzeni.

— No, cóż? — rzekł malarz — będziemy mieli podobno małą śmiercioramę tam na górze?

— Karolu — zawołał Eugeniusz — zdaje mi się, że mógłbyś obrać sobie mniej posępny przedmiot do żartów.

— Czy już tu nie wolno będzie się zaśmiać? — zapytał malarz. — Cóż to szkodzi? przecie Bianchon powiada, że stary jest nieprzytomny.

— W takim razie — podchwycił urzędnik z Muzeum — nieborak umrze tak, jak żył.

— Mój ojciec umarł! — krzyknęła hrabina.

Na ten krzyk straszliwy, Sylwia, Rastignac i Bianchon rzucili się na górę. Hrabina leżała zemdlona. Zaczęto ją cucić i przeniesiono do fiakra, który czekał u drzwi gospody. Eugeniusz powierzył hrabinę pieczy Teresy, zalecając, by ją odwiozła do pani de Nucingen.

— O! Teraz już umarł rzeczywiście — rzekł Bianchon schodząc na dół.

— Panowie, siadajmy do stołu, bo zupa ostygnie — zawołała pani Vauquer.

Dwaj studenci siedli obok siebie.

— Cóż teraz zrobimy? — rzekł Eugeniusz do Bianchona.

— A cóż? Zamknąłem mu oczy i położyłem go jak się należy. Pójdziemy teraz do ratusza, donieść o jego śmierci, dostaniemy poświadczenie lekarza, po czym zaszyją trupa w całun i pogrzebią. A cóż z nim więcej robić?

— Nie będzie już wąchał chleba w ten sposób — rzekł jeden ze stołowników, naśladując grymas starego.

— Do licha, panowie —- zawołał korepetytor — dajcież pokój ojcu Goriot i nie traktujcie nas ciągle tym samym; dość go już mamy, bo od dwóch godzin o niczym więcej nie mówicie. Jest to jeden z przywilejów dobrego miasta Paryża, że można się w nim urodzić, żyć i umrzeć nie zwracając niczyjej uwagi. Korzystajmyż z wygód cywilizacji. Sześćdziesiąt osób umarło dziś w mieście, czyż będziecie się rozczulali nad tymi hekatombami paryskimi? Ojciec Goriot przeniósł się na tamten świat, tym lepiej dla niego! Jeżeli go ubóstwiacie, to siedźcie sobie przy nim, a nam pozwólcie jeść spokojnie.

— O tak! — rzekła wdowa — lepiej mu, że umarł. Zdaje się, że nieborak miał w swym życiu wiele nieprzyjemności.

Była to jedyna mowa pogrzebowa nad zwłokami istoty, która była dla Eugeniusza uosobieniem ojcostwa. Piętnastu stołowników zaczęło rozmawiać zwykłym trybem. Skończywszy jeść, Eugeniusz i Bianchon nie mogli znieść panującej wrzawy; brzęk widelców i łyżek, rozmowa przeplatana śmiechem, wesołość biesiadujących, wszystko to przejmowało zgrozą naszych studentów. Wstali obaj od stołu i poszli po księdza, który miał czuwać i modlić się w nocy przy umarłym. Musieli stosować ostatnią posługę, którą mieli oddać staremu, do niewielkiego zapasu pieniędzy. Około dziewiątej wieczorem położono ciało na ramie od łóżka, między dwiema świecami, w pustym pokoju, w którym tylko ksiądz pozostał przy nieboszczyku. Przed odejściem na spoczynek, Rastignac zapytał duchownego, ile będzie kosztowało nabożeństwo i pogrzeb, po czym napisał parę słów do barona de Nucingen i do hrabiego de Restaud, prosząc, by zechcieli przysłać swych pełnomocników, dla zaspokojenia wszystkich kosztów pogrzebu. Posłał listy przez Krzysztofa, a sam położył się i usnął prędko po całodziennym znużeniu. Nazajutrz rano Rastignac i Bianchon musieli pójść sami zawiadomić o śmierci, którą zaświadczono około południa. Czekali następnie dwie godziny, lecz zięciowie nie przysyłali ani pieniędzy, ani pełnomocnika upoważnionego do działania w ich imieniu i Rastignac musiał zapłacić księdzu z własnej kieszeni. Sylwia podejmowała się zaszyć nieboszczyka w całun za dziesięć franków, lecz Eugeniusz i Bianchon zmiarkowali, że i bez tego trudno im będzie podołać kosztom, jeżeli krewni nieboszczyka umyją ręce od wszystkiego. Student medycyny postanowił w końcu, że sam złoży nieboszczyka do trumny żebraczej, którą kupił w swym szpitalu za tanie pieniądze.

— Wypłataj tym łotrom figla — mówił do Eugeniusza. — Kup na Père-Lachaise kawałek ziemi na pięć lat i zamów obrządek pogrzebowy trzeciej klasy. Jeżeli zięciowie i córki nie zechcą ci kosztów powrócić, to każ wyryć na grobie: „Tu spoczywa pan Goriot, ojciec hrabiny de Restaud i baronowej de Nucingen, pochowany kosztem dwóch studentów".

Eugeniusz nie chciał pójść za radą przyjaciela, póki nie spróbował udać się nadaremnie do państwa de Nucingen i państwa de Restaud. Nie chciano go za próg wpuścić; odźwierni mieli surowe rozkazy.

— Państwo nie przyjmują nikogo — powiadali — stracili ojca i pogrążeni są w najgłębszej boleści.

Eugeniusz znał już tak dobrze świat paryski, że pojął, iż nie było po co dłużej nastawać. Serce ścisnęło mu się boleśnie, gdy zobaczył, że nie ma sposobu dostać się do Delfiny.

„Sprzedaj pani jaki klejnot — pisał do niej w mieszkaniu odźwiernego — żeby ojciec twój mógł być przyzwoicie odprowadzony na miejsce wiecznego spoczynku".

Zapieczętował kartkę prosząc odźwiernego, żeby oddał ją Teresie dla wręczenia pani baronowej; lecz odźwierny odniósł ją do samego barona, który po przeczytaniu wrzucił ją do ognia.

Spełniwszy wszystko, co było potrzeba, Eugeniusz wrócił do domu około trzeciej po południu i uronił łzę na widok trumny zaledwie przykrytej czarnym suknem, którą postawiono przy drzwiach, wśród pustej ulicy. Przy trumnie w miedzianym posrebrzanym półmisku znajdowała się woda święcona, a w niej mizerne kropidełko, którego nikt jeszcze nie poruszył. Nawet drzwi kirem nie pokryto. Była to śmierć biedaków nie znająca ani wystawy, ani orszaku, pozbawiona przyjaciół i krewnych! Bianchon musiał odejść do szpitala i zostawił tylko parę słów do Eugeniusza, donosząc mu, że był w kościele i dowiedział się, że zakupienie mszy przechodziło ich środki, trzeba więc było poprzestać na mniej kosztownym nabożeństwie nieszpornym. Donosił mu też, że przed wyjściem posłał Krzysztofa do Bractwa Pogrzebowego. Skończywszy czytać bazgraninę Bianchona, Eugeniusz spostrzegł w ręku pani Vauquer medalion oprawny w złoto, w którym były włosy córek Goriota.

— Jak pani mogłaś wziąć ten medalion? — zawołał.

— Masz tobie! — rzekła Sylwia — alboż mieliśmy go z tym pochować? Przecie to złoto.

— Naturalnie! — odparł Eugeniusz z oburzeniem — niech zabierze z sobą choć to jedno, co może przypomnieć jego córki.

Gdy karawan zajechał, Eugeniusz kazał wnieść trumnę na powrót do mieszkania, odbił wieko i złożył ze czcią na piersi starego pamiątkę z owych czasów, kiedy Anastazja i Delfina były młodymi, niewinnymi dziewicami i *nie rozumowały* jeszcze, jak to powiedział ojciec w przedśmiertnej godzinie. Oprócz dwóch żałobników, tylko Eugeniusz i Krzysztof odprowadzili trumnę biedaka do kościoła Saint-Etienne-du-Mont, położonego w pobliżu ulicy Neuye-Sainte-Genevieve. Wniesiono ciało do niskiej i ciemnej kapliczki, w której oczy Eugeniusza szukały na próżno córek lub zięciów Goriota. Nie było nikogo, prócz Krzysztofa, który uważał za obowiązek oddać ostatnią posługę zmarłemu, może dlatego, że z jego łaski otrzymał nieraz suty tryngielt. Czekając przyjścia księży, chłopaka z chóru i posługacza kościelnego, Eugeniusz wzruszony uścisnął w milczeniu dłoń Krzysztofa.

— Tak, panie Eugeniuszu — powiedział Sabaudczyk — był to człowiek dobry i poczciwy, który nigdy słowa za głośno nie powiedział, nic złego nie zrobił i nikomu nie zaszkodził.

Dwaj księża, chłopak z chóru i posługacz kościelny przyszli, by dać wszystko, co można mieć za siedemdziesiąt franków w epoce, kiedy religia nie jest dość bogata, by modlić się darmo. Odśpiewano psalm *Libera* i *De profundis*. Nabożeństwo trwało dwadzieścia minut. Był tylko jeden powóz żałobny dla księdza i chłopaka z chóru, którzy zgodzili się zabrać z sobą Eugeniusza i Krzysztofa.

— Nie ma żadnego orszaku — rzekł ksiądz — pojedziemy prędzej, żeby się nie spóźnić, bo już jest pół do szóstej.

W chwili jednak, gdy trumna stanęła na karawanie, dwa próżne powozy przyłączyły się do orszaku pogrzebowego i odprowadziły go aż do Père-Lachaise. Na jednym powozie był herb hrabiego de Restaud, na drugim — barona de Nucingen. O szóstej wieczorem ciało ojca Goriot zostało spuszczone do dołu w obecności sług Anastazji i Delfiny, którzy odeszli za księdzem zaraz po odmówieniu krótkiej modlitewki, jaka się należała staremu za pieniądze studenta. Dwaj grabarze rzucili trochę ziemi na trumnę i przyszli do Rastignaca, prosząc, by im dał na piwo. Eugeniusz sięgnął do kieszeni, lecz nic w niej nie znalazł i musiał pożyczyć dwadzieścia soldów u Krzysztofa. Drobna ta okoliczność obudziła w sercu studenta uczucie głębokiej żałości. Zmrok zapadał, powietrze wilgotne rozstrajało nerwy; Eugeniusz zwrócił oczy na grób świeży i pogrzebał w nim ostatnią łzę młodzieńczą, wywołaną świętym wzruszeniem serca niepokalanego, jedną z tych łez, co upadłszy na ziemię wytryskują z niej aż ku niebiosom. Krzysztof odszedł z wolna pozostawiając studenta w głębokiej zadumie, z rękoma skrzyżowanymi i wzrokiem wzniesionym ku górze.

Rastignac postąpił kilka kroków ku brzegom cmentarza, skąd odkrywał się Paryż rozłożony nierówno po obu stronach Sekwany. Światła połyskiwały już gdzieniegdzie. Oczy studenta zatrzymały się chciwie pomiędzy kolumną placu Vendôme a kopułą Inwalidów, w miejscu, gdzie żyło towarzystwo wykwintne, do którego on dostać się usiłował. Zmierzył ten ul brzęczący spojrzeniem, które zdawało się od razu wszystek miód z niego wysysać, i wyrzekł te wielkie słowa:

— Teraz my się spróbujemy!

Rzuciwszy światu takie wyzwanie, Rastignac poszedł na obiad do pani de Nucingen.

Sache, we wrześniu 1834.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ojciec-goriot

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, Komedya ludzka, tom 3, Ojciec Goriot, z serii: Biblioteka Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej. Literatura Francuzka, tłum. Amelia Bortnowska, wyd. S. Lewental, Warszawa 1881

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Olga Sutkowska.

Okładka na podstawie: dogrando@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0072-4

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.
Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.